



Anne B.
Ragde

**Zawsze jest
przebaczenie**

Anne B. Ragde

**Zawsze jest
przebaczenie**

z języka norweskiego przełożyły:

Ewa M. Bilińska

Karolina Drozdowska

smak  słowa

Sopot

część 1



Na korytarzu panowała zupełna cisza.

Siedział w wygodnym fotelu, pochylony nad otwartą książką, która leżała na jego kolanach. Stojąca obok lampa rzucała precyzyjny strumień światła na stronicę, a on był tak pogrążony w lekturze, że aż drgnął, usłyszawszy pukanie do drzwi. Udało mu się jednak mocno przycisnąć paznokiec prawego kciuka w miejscu, do którego dotarł, a był właśnie w połowie zdania.

– Proszę – powiedział.

Młoda pielęgniarka otworzyła drzwi i weszła do środka. Miała buty na gumowej podeszwie i poruszała się całkowicie bezgłośnie.

– Mam na imię Marthe – rzekła, wyciągając do niego dłoń.

Spuścił wzrok na książkę i dostawił paznokiec lewego kciuka w miejsce, gdzie dotychczas trzymał prawy, a potem wyciągnął rękę w jej kierunku. Wyszło niezgrabnie, musiał mocno przyciskać palcem stronicę, żeby książka nie ześlizgnęła mu się z kolan, ale gdy tylko uwolniła jego rękę, od razu zamienił palce.

– Przepraszam, chyba przeszkodziłam – powiedziała.

– Tak, nie... ja... wszystko w porządku.

– Jestem tutaj nowa, więc chciałam się tylko przywitać – rzekła.

– Mam dzisiaj pierwszy dyżur nocny. A pan nazywa się Tormod

Neshov?

– Tak.

– Z listy wynika, że nie ma pan zleconych żadnych leków?

– Nie.

– To znakomicie. Nawet leków nasennych panu nie potrzeba?

– Nie.

– A zatem zdrów jak ryba – stwierdziła.

– Jestem stary – odparł.

– Nie aż taki stary – powiedziała. – Za chwilę stuknie panu zaledwie osiemdziesiąt pięć lat. A od jak dawna jest pan tutaj?

– Latem miną cztery lata. Dlaczego pyta pani o... takie rzeczy? Zostanę tutaj. To tu mam...

– Oczywiście, że pan tutaj zostanie, tak tylko pytam, sam pan rozumie. O czym czyta pan dziś wieczorem?

– O Terbovenie.

– O...? A co to?

– To... człowiek.

– Wobec tego nie będę już panu przeszkadzać, przygotuje się pan sam do spania, w sensie mycia zębów i takich spraw, prawda?

– Tak.

– Wszyscy już się położyli, jest prawie jedenasta. Mogę chociaż zdjąć panu kapę z łóżka. I zasłonić okna.

– Nie. Tylko nie zasłony.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, rzucił okiem w dół na trzymaną książkę, a potem podniósł wzrok, zdjął okulary i wyjrzał przez okno. Na dworze było ciemno i nic nie można było zobaczyć, ale jutro rano będzie rozpościerał się stąd szeroki widok na krainę Byneslandet, falującą szarymi i brązowymi odcieniami późnej zimy

aż po ujście fiordu Trondheimsfjorden.

Zatrzasnął książkę i przymknął oczy. Jakże ona go męczyła i wypytywała. Czy nie wystarczyło, że był stary, powinien jeszcze być chory...?

Nie. Margido zapewniał go wiele razy, że ma tutaj swoje stałe, długoterminowe miejsce, ona po prostu była nowa, ciekawska, młoda i nawet nie miała pojęcia, kim był Terboven, to mu w niczym nie zagrażało.

Powolnym ruchem otworzył ponownie książkę i odszukał właściwą stronę. Światło lampy do czytania naprowadziło go na cień głębokiej rysy zrobionej paznokciem. Jutro nie będzie miała już o co pytać, teraz wiedziała o nim wszystko, co jej było potrzebne, mógł spokojnie czytać dalej.



– To jest po prostu tak straszne, Krumme, że nie mogę. Tylko spójrz! Zobacz, jakie to potworne i ordynarne!

Sztapel grubych czasopism wnętrzarskich leżał na stole jadalnym, Erlend kupił je w drodze z pracy do domu. Wziął ich całe naręcz, biuro i tak zwróci mu za to pieniądze, te czasopisma miały inspirować projektantów i otwierać przed nimi nowe horyzonty albo – jak w tym wypadku – wręcz przeciwnie, kiedy tak wymachiwał nimi przed nosem Krumme.

– I co takiego jest w tym przerażającego? – zapytał Krumme zwrócony do niego plecami.

Krumme stał przy kuchence, przestawiając tam różne rondle, tak jak zawsze o tej godzinie, kiedy przygotowywał obiad z myślą o wspólnym zjedzeniu go w spokoju i ciszy, gdy dzieci pójdą już do łóżek. Odwrócił się, z poczucia obowiązku rzucając okiem na pismo, tak błyskawicznie, że oczywiście niczego nie miał szansy dostrzec.

– Ależ spójrz dokładnie, Krumme!

– Tatusiu, chcę więcej soku – rzekła Nora.

Krumme zerknął raz jeszcze, znowu irytująco pobieżnie.

– Widzę tylko całkiem sporo pięknych wzorów, Erlendzie, nie wiem, czemu się tak nakręcasz. Oszczędzaj swoje serce.

– Widzisz wzory, tak, ale spójrz na materiały, Krumme!

– Tatusiu, soku!

– Ja też chcę – dodała Ellen.

– To plastik! Dywany z plastiku! – wykrzyknął Erlend. – Plastikowe chodniki! Pomyśl tylko, znów wracają do łask. Sama ta myśl, choćby nie wiem jak piękny miały wzór. To horror. Przewracam się w moim przyszłym grobie.

– Tato! Tatuś mnie nie słyszy! Chcę więcej soku! Teraz! – zawołała Nora.

– Ja też – dodała Ellen.

Krumme przyniósł karton z lodówki na napoje, gdzie szampany, piwa i toniki musiały teraz dzielić miejsce z sokami, mlekiem i smoothies.

– Tylko nie mieszaj mi z wodą! – powiedziała Nora.

– Oczywiście, że trzeba dolać wody – odparł Krumme, potrząsając energicznie kartonem. – Inaczej będzie za dużo cukru, przecież o tym wiesz, skarbie.

– Kocham cukier – powiedziała Ellen.

– No tak, to bomba dnia – rzekł Krumme. Odkręcił kran, zostawiając lejącą wodę, i poszedł po dziecięce szklanki.

– Bomba? Taka jak w telewizji? – zapytał Leon, unosząc na chwilę głowę znad komiksu z Kaczorem Donaldem. Oczywiście nie potrafił jeszcze przeczytać ani słowa, ale zawsze przeglądał komiksy z nabożeństwem, jedząc przy tym podwieczorek. Nora i Ellen siedziały z iPadem i oglądały *Krainę lodu* ze ściszonego dźwiękiem, ponieważ ku pewnej irytacji Erlenda widziały to już wiele razy. Ale przestał na ten temat cokolwiek mówić, klamka zapadła, zawsze jakoś uda mu się stworzyć przeciwwagę dla tej disnejowskiej wersji prawdziwej baśni, napisanej przez H.C.

Andersena.

– Ależ nie, Leonie, to tylko taki sposób mówienia dorosłych – rzekł Erlend. – A przy okazji, pamiętasz, jak nazywa się Fedtmule^[1] po norwesku?

– Tak! Langbein! – odparł Leon, zaśmiewając się. – A przecież on ma takie krótkie nogi!

– Plastikowe chodniki, Krumme. To nie do wytrzymania. Wiesz, co widzę w wyobraźni, myśląc o plastikowych chodnikach?

– To może być cokolwiek, skąd mam zatem, do cholery...

– Popękane, odkryte pięty w letnich butach. Chodziła w czymś, co nazywało się wówczas butami typu Raff, kupowała jedną parę takich łapci rocznie i mogę ci przysiąc, że nie miały nic wspólnego z wyrafinowaniem, Krumme. Miały za to perforowany kaptur, zakrywający palce, tak żeby smrodliwe opary spoconych stóp mogły swobodnie się unosić, a ten kaptur miał sraczkowaty kolor, o ile dobrze pamiętam. Stała przy blacie albo przy kuchence, dokładnie tak jak ty teraz, a ja siedziałem przy stole, czekając, aż posmaruje mi kromkę chleba, albo właśnie zaczynałem ją jeść, a wszystko, co widziałem, to te paskudne, szare pięty z pionowymi i czasami lekko sączącymi się pęknięciami. A pod łapciami – pasiasty, plastikowy chodnik. Czerwono-czarno-biały. Cały w plamach i resztkach jedzenia.

– Zakładam, że mówisz o...

– Mojej obrzydliwej matce, zgadza się. Niech spoczywa w niepokoju.

– Co to znaczy „obrzydliwej”? – zapytał Leon.

– Erlendzie, proszę. Maluszki też mają uszki, ile razy mam ci to mówić, myszko, przecież rozumieją z każdym dniem więcej. To tylko norweskie słowo, Leonie, ale nie wiem, jak to będzie po

duńsku, nie zwracaj sobie tym głowy, skarbie.

– Ta baba tutaj dostała nawet nagrodę w dziedzinie designu! To Szwedka, no cóż, to wiele wyjaśnia, jakaś Anna Becker, nagrodzona za projekt plastikowego chodnika! No nie poradzę. To tak, jakby wygrać Bocuse d’Or^[2] za danie ze skórek od ziemniaków.

Krumme roześmiał się głośno.

– Jesteś naprawdę zajebicie dobry w nakręcaniu się byle czym, Erlendzie.

– Tata powiedział „zajebicie”! – krzyknął Leon.

– Tak, powiedział to! – zawołała Nora, a Ellen skinęła głową.

– Maluszki też mają uszki, Krumme, musisz teraz umyć sobie usta w środku wodą z mydłem.

– Tak! Tak! Niech umyje! Tato! Masz umyć buzię w środku! Tatuś tak powiedział!

– Wasz tatuś mówi dużo dziwnych rzeczy.

– Ale tato! Musisz!

– To wobec tego umyję ją sobie mlekiem – odparł Krumme.

– TAAAK! – krzyczały dzieci na przemian.

– Zgoda – rzekł Erlend. Krumme nie cierpiał mleka, uważał, że nadaje się tylko dla osesków, cieląt i do niektórych sosów. Krumme poszedł i przyniósł karton z mlekiem oraz szklanę, nalał do niej niewielki łyk, a potem wlał go sobie do gardła bez przełykania. Zamiast tego zaczął gwałtownie gulgotać z mocno zaciśniętymi oczami. Dzieci siedziały jak zaczarowane, śledząc każdy jego ruch. A Krumme ich nie zawiódł.

Po zakończeniu gulgotania rzucił się – na tyle szybko, na ile mały, okrągły mężczyzna był w stanie to zrobić, pomyślał sobie Erlend – w stronę jednego ze zlewów, wymachując rękami, po

czym wypluł zawartość ust, rycząc przy tym głośno i trzepiąc głową na boki pod kranem z wodą.

– BŁEEE! – powtarzał co chwilę między kolejnymi płukaniami, a dzieci śmiały się tak, że pospadały z kuchennych krzeseł i znalazły się na podłodze.

– Ale zimne mleko jest pyszne! Po prostu pyszne! – krzyknęła Nora.

– No właśnie! – zawołała Ellen.

– Nie – odparł Krumme. – Do ch..., nie jest.

– Ależ jak najbardziej – powiedział Erlend. – Nasze małe, słodkie dziewczynki dawno to zrozumiały.

– Ale chłopak nie – dodał Leon, który też nie lubił mleka. Wypijał jednak szklanekę, kiedy go o to prosili, wiedział, że tak trzeba, żeby rosnąć i mieć mocne kości i zęby. A jeśli Leon protestował, Krumme mawiał: Małe dzieci po to mają zęby mleczone, żeby pić mleko. Nikt nie słyszał nigdy o zębach soczkowych.

Erlend twierdził z uporem, że mleko i chleb stanowią dobre i właściwe pożywienie dla dzieci. Dlatego w ramach podwieczorku dostawały chleb wypiekany z ekologicznego zboża, z jakimś dodatkiem i sokiem albo mlekiem do popicia. Na kolację jadały owsiankę z owocami, również wtedy, gdy zostawały u matek. Była łatwa do przyrządzenia i do tego zdrowa. Płatki owsiane oczywiście też musiały być organiczne.

Erlend nauczył Jytte piec chleb. Jytte i Lizzi aż do porodów odżywiały się wyłącznie białym chlebem i niedopieczonymi mrożonymi bułeczkami firmy Hatting, ale jedzenie dla dzieci nie było tylko jedzeniem, Krumme i Erlend byli co do tego zgodni. Pożywienie stanowiło klocki potrzebne do wykonania tej

nieskończenie skomplikowanej pracy, jaką było zbudowanie dorosłego ciała. Trzech dorosłych ciał.

– A w tej kwestii nie będziemy na niczym oszczędzać! – mawiał Krumme z tak wielkim patosem, że nikt ani przez chwilę nie miał najmniejszych wątpliwości, iż dokładnie to ma na myśli. Poza tym posiadał i niezbędne pieniądze, i wolę, aby przeprowadzić swój zamiar.

Erlend kochał te jego wypowiedzi, czuł się od tego bezgranicznie wprost bezpieczny, tak jakby stał na mostku kapitańskim ogromnego statku, którym dowodził Krumme, a on sam był pierwszym sternikiem i obaj byli ubrani w eleganckie mundury ze złotymi sznurami, guzikami i epoletami oraz w białe czapki marynarskie z wyszywanymi złotą nicią kotwicami ponad błyszczącym daszkiem.

Ale nie wpadali w histerię. Wśród produktów w lodówce stała również Nutella, a jeśli nie udało im się dostać ekologicznego sera, kupowali jego zupełnie zwykłą i zapewne szkodliwą wersję, to samo dotyczyło się mięsa. Dzięki temu zachowywali słuszną równowagę.

W dni powszednie dzieci nie jadały obiadów w domu, ponieważ chodziły do prywatnego przedszkola, o którym Erlend wyrażał się, że jest „drogie do wyrzygu”. Nawet nie dostali w nim zniżki grupowej, chociaż posyłali tam trójkę dzieci. Jednak nie było się o co wyklócać, kolejka oczekujących była nieznośnie długa, a oni dostali miejsca tylko dlatego, że dyrektorka, która była również współwłaścicielką przedszkola, uważała ten układ rodzinny za „niesłychanie interesujący” i „fascynujący”. Dlatego też chciała na wszelkie możliwe sposoby przyczynić się do „harmonijnego dzieciństwa” maluchów. Krumme poczuł się trochę urażony,

słyszając takie sformułowanie, ale jak stwierdził później, ze względu na dzieciaki ugryzł się w język.

W przedszkolu uprawiano własne warzywa w ogródku za budynkiem, dzieci jadały rybę i białe mięso pochodzące od drobiu z wolnego wybiegu, a mięso czerwone tylko jeden raz w tygodniu. Oprócz wysoko wykwalifikowanych pedagogów przedszkole zatrudniało własnego kucharza, a menu wykraczało daleko poza posiłki przeciętnego duńskiego obywatela pod względem walorów odżywczych i różnorodności.

W weekendy cała duża rodzina spotykała się na wspólnych obiadach albo u Jytte i Lizzi, albo w domu przy Gråbrødretorv, najchętniej wszyscy siedmioro, o ile nikt nie miał innych planów. Weekendy to był ich wspólny, konstruktywnie spędzany czas, wypełniony ciekawymi wycieczkami i pysznymi, celebrowanymi posiłkami, podczas których dzieci mogły swobodnie przybiegać do stołu i od niego odchodzić, zjadając to, co najbardziej im pasowało.

Jeśli któremuś z maluchów zasmakowała testowana potrawa, pozostali od razu też chcieli jej spróbować. Matki były przekonane, że dobrowolny wybór jedzenia wspiera rozwój zasady przyjemności w dziedzinie odżywiania, z czym Krumme zgadzał się całkowicie, natomiast Erlend uważał, że to wszystko bliższe jest raczej totalnej anarchii gastronomicznej. Mimo to nie zabierał głosu w tej sprawie i starał się skupiać na własnym talerzu, jako że anarchiści tak czy owak stanowili większość.

– A po soku chcę dostać też mleko – rzekła Nora. – W sumie – dodała, jako że właśnie nauczyła się tego określenia i korzystała z niego przy absolutnie każdej nadarzającej się okazji w celu podkreślenia wagi swoich słów.

– Jeśli miałbym powiedzieć coś dobrego o Norwegii, to mają tam najlepsze mleko na świecie – stwierdził Erlend.

– Nie mogę z tym dyskutować – odezwał się Krumme – ponieważ nigdy go nawet nie spróbowałem.

– Najlepsze na świecie. Nie zmyślam – powiedział Erlend. – A to dlatego, że krowy żyją tak zdrowo.

– Co to są klooowy? – zapytał Leon.

– Krowy. Jedna krowa. Zwierzę, które je trawę, ma rogi i daje mleko – wyjaśnił Erlend.

– Mają rogi? – zapytał Krumme. – Wydawało mi się, że dotyczy to tylko byków.

Erlend nagle sam zaczął mieć wątpliwości.

– Co takiego tam przyrządzasz? – zapytał. – W tych rondlach?

– Zupę z soczewicy z dodatkiem wędzonej golonki, a w osobnej miseczce będzie fenkuł, cebulka i zioła, bo nie chcę, żeby rozgotowały mi się w zupie na miazgę.

– Mniem. To brzmi bombastycznie. Ale wróćmy do tematu. Krooowy, Leonie, krowy pasą się na łące, oddychają świeżym powietrzem i jedzą czystą, zieloną trawę i z tej trawy robią w swoich brzuskach pyszne mleko. A tutaj w Danii stoją w oborach i do jedzenia dostają zupełnie inne rzeczy.

– Widziałam je – powiedziała Ellen – Na dworze.

– Pewnie i tutaj niektóre wychodzą na dwór, skarbie – rzekł Erlend. – Ale w Norwegii chodzą sobie wysoko w górach, gdzie powietrze jest czystsze niż tutaj w Danii. Krumme, zrób dzieciom jeszcze kilka kanapek, ta zupa może chyba się sama popilnować przez dwie sekundy. Co chcecie mieć na chlebie?

– Ser.

– Ser.

– Nutellę.

– Nie. Jedna kanapka z Nutellą wystarczy, Leonie. Trzy z serem, Krumme. A trawa na większej wysokości jest bardziej zielona i...

– A więc w Norwegii istnieją wysokogórskie krowy z rogami? – zapytał Krumme.

– Przestań marudzić wreszcie z tymi rogami!

– Tak! Powinniśmy naprawdę wykorzystać to jako temat dla „BT”, to brzmi naprawdę egzotycznie. Chciałbyś może espresso, myszko? Muszę jakoś pozbyć się z ust tego smaku mleka.

– Pewnie uzyskasz w ten sposób cappuccino, jak tylko upijesz łyk. Tak czy owak, najlepsze mleko na świecie. Trochę jak w Szwajcarii, Krumme, tam krowy też chodzą wysoko po górach zamiast szwendać się między nadbrzeżnymi kamieniami jak tutaj w Danii, o ile w ogóle uda im się wyjść na zewnątrz. W sumie dokładnie rzecz ujmując, nigdy nie próbowałem szwajcarskiego mleka, ale robią tam znakomite czekolady, w Norwegii podobnie, a to przecież zależy wyłącznie od mleka.

– Belgijska czekolada też jest wyborna, a Belgia nie może się pochwalić nadmiarem gór.

– Belgijska czekolada sprowadza się tylko do nadzienia, Krumme! A ja mówię o czystej, mlecznej czekoladzie! A w tej materii Norwegia i Szwajcaria nie mają sobie równych. Nie-ma-ją.

– Chcę ladę – rzekł Leon.

– Przecież właśnie zjadłeś kanapkę z Nutellą – odparł Erlend. – W niej też jest kakao. W zwykły dzień tygodnia tyle wystarczy, skarbie. A może... mamy przecież osiemdziesięcioprocentową czekoladę na gorąco twojego taty, tę prawie całkowicie czarną, którą tak lubi. Może chcesz kawałek, Leonie?

– Nie! Fúj...

– Ona obniża cholesterol, coś mi się zdaje, że też zjem sobie kawałek do espresso. Czy trzylatki mają cholesterol, Krumme?

– Mam szczerą nadzieję, zważywszy że to ważny dla życia element ludzkiego metabolizmu. Proszę. A ja przyniosę dla nas lekarstwo na cholesterol.

Krumme pocałował Erlenda w czoło, stawiając przed nim malutką filiżankę espresso. Kiedy Erlend siedział, a Krumme stał obok niego, i tak był tylko niewiele wyższy od Erlenda.

– Przypomniało mi się nagle, co chciałem ci opowiedzieć! – zawołał Erlend. – O tym, czego się dzisiaj dowiedziałem i za sprawą czego spojrzałem nowymi oczami na całą sytuację na świecie.

Krumme westchnął.

– Ty to masz energię, aż mnie uszy bołą. Rozumiałbym, gdyby trójka małych dzieci wykończyła dorosłego człowieka, ale z tobą jest jeszcze gorzej.

– Kochasz to. Teraz tylko udajesz, a tak naprawdę umierasz z ciekawości.

– Wiesz, że nie lubię plotek.

– To nie plotki – odparł Erlend. – I dobrze wiesz, że nienawidzę tego słowa. Plotki. Jakie ohydne określenie. Kojarzy mi się z ciotkami. I równie dobrze wiesz, że preferuję pojęcie „nieformalny przepływ informacji”. Ale to są twarde fakty, mój ukochany.

– No to dawaj – powiedział Krumme, przykręcając gaz pod rondlami i opadając na krzesło przy stole.

– Chodzi o Putina – rzekł Erlend. – Teraz już wszystko rozumiem! Dlaczego ma taką manię wielkości. Dlaczego chciałby

ciągle gdzieś robić inwazję. Dlaczego pozwala się fotografować w tych wszystkich żalonych pozach przedstawiających go jako macho, na przykład w łodzi podwodnej albo półnago na koniu. Dlaczego lekceważy i zastrasza ludzi i całe kraje, nie wyłączając własnych rodaków.

– A przyczyną jest...?

– Ma tylko metr sześćdziesiąt trzy wzrostu! To wszystko wyjaśnia. Ma zatem ten kompleks, sam rozumiesz!

– Czy to prawda? Mój Boże. Faktycznie można by o tym napisać. Naprawdę – dodał, głaszcząc Norę po włosach. W odpowiedzi wdrapała mu się na kolana.

– Nie! Nie wolno wam. To oficjalnie tajemnica. Jeśli napiszecie o tym w „BT”, Dania może znaleźć się w kiepskiej sytuacji i już następnego dnia będzie tu Rosja. A rosyjskie wino musujące smakuje obrzydliwie, Krumme, więc nie chcemy go tutaj. Ale to naprawdę wyjaśnia wszystko. Sądziłem, że się ucieszysz, w końcu sam masz... metr sześćdziesiąt dwa.

W ostatniej chwili udało mu się powstrzymać od dodania małego „tylko”, które wręcz cisnęło mu się na usta.

– Szczerze mówiąc, wolę porównanie z Tomem Cruise'em albo Dustinem Hoffmanem – rzekł Krumme i pocałował Norę w karczek, podnosząc najpierw jej długi, ciemny warkoczek. Zarówno Nora, jak i Ellen miały długie, ciemne włosy, które zawsze były zaplecione, ponieważ dziewczynki nie cierpiały kołtunów i wrzeszczały na wyścigi przy każdej próbie dokładnego rozczesania czy wyszczotkowania włosów.

– Przyszło mi właśnie coś do głowy, nie całkiem na temat, ale w kwestii niewysokich mężczyzn – rzekł Krumme. – Pamiętasz może, jak Woody Allen powiedział kiedyś, że nie może słuchać

Wagnera, bo zaraz czuje gwałtowną chęć, żeby zaatakować Polskę.

– Boże... to ciekawe, że wspominasz o Woodym Allenie. Prawie dostałem gęziej skórki! Przez cały dzisiejszy dzień o nim myślę!

– A to w związku z czym, myszko? Z wystawą, nad którą pracujesz?

– Tak. Będzie genialna. Nie żebym wpadał w samozachwyty, ale taka właśnie będzie. Naprawdę.

Nora włożyła kciuk do buzi, przysłuchując się każdemu jego słowu, nieskończenie śliczna malutka dziewczynka, prawie zapomniał, co chciał powiedzieć, musiał natychmiast nachylić się i pogłaskać ją po policzku. I pomyśleć, jacy przerażeni i spanikowani byli na wieść, że będą mieli trójkę dzieci, a potem wszystko potoczyło się tak gładko, naturalnie i zwyczajnie. Oczywiście nie od samego początku, ostatni czas przed porodami i zaraz potem stanowił przedsiónek piekła, ale teraz uważał, że wszystko idzie jak po maśle.

Dzieciaki były spokojne i rozwijały się harmonijnie, już dawno temu wyrosły z pieluch, nie miały żadnych alergii ani nietolerancji pokarmowych, chociaż w obecnych czasach było to prawie w modzie, to była chyba jedyna modna rzecz, za którą nie tęsknił, nawet w eleganckich restauracjach w menu podawano, czy poszczególne dania zawierają gluten, jajka albo orzechy, ćwierć daktyla albo dwa ziarenka cukru, to była taka nowoczesna masowa histeria i gdyby on był kucharzem w takim miejscu, to na pewno w niedługim czasie poderżnąłby sobie oba przeguby nożem do krojenia indyka.

– To opowiedz o tej wystawie, no już – powiedział Krumme.

– Oczywiście! Kojarzysz ten wypasiony sklep z antykami, który otworzyli ostatnio przy Gammeltorv?

– Nie, myszko, nie kojarzę.

– No tak, to zrozumiałe. Nie jesteś miłośnikiem zakupów. Ale mniejsza o to. Odkryłem przezroczyste, plastikowe tworzywo, którym pokrywam szybę od środka, to pieprz... wymagająca praca, bo najdrobniejszy pęcherzyk powietrza zepsuje cały efekt, więc podczas montażu posuwaliśmy się centymetr po centymetrze i już jest gotowe. A ta plastikowa warstwa sprawia, że każda rzecz na wystawie zyskuje coś na kształt patyny w kolorze sepii, trochę jak na starych zdjęciach. Więc myślałem sporo o *Złoty*ch czasach radia Woody'ego Allena, ten film też ma takie barwy, no wiesz, lekko złote i prawie pozbawione połysku, nieco brudne, sam nie wiem, jak miałbym to określić, ale tak czy owak, ta wystawa to dokładnie *Złote* czasy radia.

– Wyszło pięknie?

– A zgadnij! Absolutnie spektakularnie. Można również kupić szybę, która stworzyłaby taki sam filtr światła, ale na takie wielkie okno wystawowe kosztowałaby majątek, może z czasem pozwolą sobie na to. Niezależnie od tego, jak pospolita będzie wystawiona komoda albo krzesło, przypominać będzie mebel ze starej fotografii. Musisz tam pójść i zobaczyć. Ludzie przecież kochają nostalgię. Czy jesteś w stanie zrozumieć to przywiązanie do przeszłości? Czy ty to pojmujesz?

– Tak. Pojmuję, myszko. Ale do tego trzeba mieć dobre wspomnienia z przeszłości.

– Trafiłeś w samo sedno, Krumme. Też o tym sporo dziś myślałem. Że stałem się odpowiedzialnym ojcem rodziny...

– No to prawda...

– ...ale że to jest rodzina przyszłości! A nie miniona rodzina. Stworzyliśmy teraz własną, małą rodzinę i nie zamierzam

pielęgnować dawnych więzi.

– Mamy przecież moją siostrę i ojca.

– Snobów.

– Ale istnieją. I od czasu do czasu się z nimi spotykamy.

– Ale nie pielęgnujemy tych więzi, Krumme. Wystarczy, że zajmują się czule sobą nawzajem i każdy na własny użytek.

– Właśnie, czy ostatnio odzywała się do ciebie Torunn?

– Po co, do diabła, nagle o tym wspominasz? Przecież dobrze wiesz, że całe wieki minęły od ostatniej rozmowy, inaczej bym ci powiedział. Nasze relacje stały się jednostronne, przecież to zawsze ja musiałem wykazywać inicjatywę i miałem tego po jebane dziurki w nosie.

Leon bystrze podniósł głowę.

– Tak bardzo dosyć – poprawił się szybko Erlend. – Chcesz jeszcze pić, Leonie? Może jakieś smoothie?

– Wtedy będzie się czuł zbyt najedzony, a zaraz będzie wieczorna owsianka – rzekł Krumme. – A Margido, zdaje się, wpadł już do tej samej szuflady? Szuflady z napisem „miniona rodzina”.

– Całkowita racja. Co takiego jest z nimi nie tak? Mają telefon i dostęp do poczty, a nawet średniej wielkości lotnisko! I nawet nie chcieli im się przyjechać na imprezę z okazji nadania imion dzieciom, chociaż zaoferowaliśmy im gratisowy pobyt w hotelu. Te żałosne usprawiedliwienia. Ech, nie! Porozmawiajmy o czymś przyjemnym. O marnym metrze i sześćdziesięciu trzech centymetrach Putina.

– No, no, weź trochę na wstrzymanie. Daję sobie nieźle radę również bez tego jednego centymetra.

– To dlatego, że masz siłę wewnętrzną, mój piękny. I w związku z tym nie potrzebujesz siedzieć na koniu z gołym

torse. Chociaż ten widok na pewno odwróciłby uwagę niejednego wojowniczego dyktatora. Przyczyniłbyś się do zaprowadzenia pokoju na świecie, Krumme. A twój brzusek zapewniłby ci Pokojową Nagrodę Nobla.

– Co będziesz im czytał dziś wieczorem? – zapytał Krumme. – Kiedy będę robił dla nas kolację?

– Jeszcze nie zostało to zdecydowane, mój osobisty Władimirze. Ustalimy te sprawy w łazience.

– Tatuś powiedział „jebane” – rzekł Leon. – Naprawdę.

– Ależ skądże, nic podobnego nie powiedziałem, mój książę. Powiedziałem... „zatkane” – stwierdził Erlend.

– *You lie to your son?*^[3] – zapytał Krumme.

– Chcę go chronić. To przecież nasze zadanie jako odpowiedzialnych rodziców. Odpowiedzialność, którą traktuję bardzo poważnie. Właśnie, czy wyjąłeś sery z lodówki? Chyba pamiętasz, że kupiłem do nich ten pyszny chlebek figowy? Do zjedzenia po zupie z soczewicy?

– Sery leżą już na blacie i dochodzą.

– Dzięki Bogu. Świat jest piękny. Chrzanić rosyjską inwazję.



– No proszę. A ty kim jesteś, maluchu?

Margido niewiele wiedział o ptakach. Maleńkie stworzonko siedzące na ziemi i spoglądające na niego spośród wrzosów miało czerwoną plamkę na piersi, poza tym było brązowe. Gil? Nie, gile są większe, całe brzuszki mają jaskrawoczerwone, tyle w każdym razie wiedział, widywał gile niezliczone razy, zarówno przy karmniku w Neshov, jak i na nostalgicznych kartkach bożonarodzeniowych, gdzie zawsze skubały obfite świąteczne snopki na tle śniegu, starych drewnianych chat i w towarzystwie skrzatów w czerwonych czapeczkach wyglądających zza rogów domów.

To właściwie dziwne, że jego wiedza o ptakach była tak wąta, dorastał w końcu w odległości krótkiego spaceru od rozlewiska rzeki Gaula, mekki ornitologów. Wiele ptasich gatunków urządzało sobie tam stację pośrednią w swoich podróżach na północ i na południe. Ale on nie miał nigdy nart ani wędki, nie chadzał na piesze wędrówki, nie wspinał się po górach, nie tęsknił do tego i wcale go to nie pociągało.

Chyba dlatego, że w ogóle mało go obchodziła przyroda. Wolał asfalt, schody i płaskie podłogi, stworzone przez człowieka ciągi

komunikacyjne i pojazdy silnikowe, przewidywalne otoczenie dostosowane do jego potrzeb. Ptakami, z którymi miał na co dzień najwięcej do czynienia, były jaskółki, często wybierane jako motyw dekoracyjny nekrologów. A także ptaki, o których czytał w Biblii. Ale to było jednak coś innego, emblematy w alegoriach.

– „Przypatrzcie się ptakom podniebnym – powiedział do nikogo konkretnego – nie sięgają ani znają i nie zbierają do spichlerzy, a Ojciec wasz niebieski je żywi...”^[4]

Zdarzało się, że wychodził na swój mały balkon i patrzył w gwiazdy, dużo rzadziej – na zorzę polarną, wprawiało go to w niemal sakralny nastrój.

Natomiast dzika natura na poziomie ziemi nieszczególnie do niego przemawiała. To też oczywiście było Dzieło Stworzenia, nie ważyłby się zaprzeczyć, że trzeba przed nim chylić głowę z szacunkiem, ale Dzieło to wzbudzało w nim zainteresowanie o charakterze czysto teologicznym i abstrakcyjnym.

A mimo to siedział tu teraz, pośród natury. Na pieńku w lesie, z odwiniętym z papieru drugim śniadaniem na zaciśniętych kolanach, w zupełnie zwyczajny dzień powszedni na początku marca.

– Zaraz dostaniesz. Proszę bardzo. Co prawda nie jestem twoim ojcem niebieskim, ale pożywić cię mogę, On to na pewno doceni.

Margido odkleił papier od górnej kromki chleba, oderwał szczodry kawałek skórki i rzucił go podskakującemu w wyschniętych wrzosach ptaszкови. Samotne małe stworzonko rozdziobało chleb, jakby się bało, że ktoś mu go zabierze, i lecąc nisko z ciężącym mu pełnym brzuszkiem, zniknęło między pniami drzew. Margido śledził je wzrokiem, błyskawiczne uderzenia

małych skrzydeł zlewały się w jego oczach w jeden drgający trzepot.

W tej samej chwili zwrócił uwagę na świergot w koronach drzew, głośny, intensywny, musiało tam siedzieć wiele ptaków. Usłyszał je dopiero teraz. Jednemu pełnemu ekscytacji szczebiotowi zaraz odpowiadał drugi. Ależ one nadawały.

Te istotki potrafiły zafascynować niektórych ludzi tak bardzo, że gotowi byli zjeździć cały kraj wzdłuż i wszerz, by na własne oczy zobaczyć jakiś ciekawy okaz. Margido pomyślał o Yngvem Kotumie, synu gospodarza majątku sąsiadującego z Neshov. On także podglądał ptaki, zanim popełnił samobójstwo, kiedy to właściwie było? Krótco przed śmiercią matki, o ile dobrze pamiętał, a przeważnie się nie mylił, gdy chodziło o kogoś, kogo sam pochował, to było zaraz przed świętami cztery lata temu. Uniósł głowę, zerkając przelotnie na korony drzew, w „Adresseavisen” pisali, że ptaki budują teraz gniazda, parzą się i są bardzo zajęte, „najwcześniejsza wiosna wszech czasów”, głosił dzisiejszy nagłówek, „gniazdowanie już ruszyło”, donoszono.

Zima była zaskakująco sucha, ciepło zaczęło się robić zaraz po świętach, nie miał siły zastanawiać się nad tą całą gadaniną o zmianach klimatycznych, jeśli jakieś zmiany mają być, to będą, nieważne, czy wrzuci kawałek plastiku do tego czy innego kontenera, ale tak czy inaczej pilnował, by robić to jak trzeba, oczywiście, że tak, sortował odpady dokładnie i pieczołowicie. Mimo to było strasznie sucho, sosnowy las sprawiał wrażenie na wpół martwego, wrzosa więdły, rolnicy byli zrozpaczeni, o czym także donosiły gazety. Wysychały koryta strumieni, poziomy w zbiornikach były alarmująco niskie, ludzi proszono, by

oszczędzali wodę, powstrzymując się między innymi od mycia aut, ale jemu na szczęście udzielono dyspensy. Karawan musiał lśnić czystością, wszyscy to rozumieli, także Stein-Ove w myjni.

– Twój wóz będzie *shiniest in the city!*^[5] – oświadczył Stein-Ove, lubiący zadać szyku wtrącaniem do zdań angielskich zwrotów. – Nawet bardziej *flashy* niż w Kalifornii, *The Sunshine State*, a tam już zaczęli spryskiwać trawę zielonym lakierem... Pomyśl tylko, Margido! Fundują trawnikowi taką *green spray tan*^[6], po tym jak sami wrócą z opalania natryskowego. Tak, bo nie myśl sobie, że oni wystawiają się na słońce, mimo że u nich świeci trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku! Ha, nic z tych rzeczy. Bo wiesz, od tego można dostać *wrinkles*. *Wrinkles and skin cancer*^[7]. Ale w Kalifornii karawany też mają dyspensę. Można lać wody, ile wlezie. Poza tym tak woskujesz swojego caprice'a, że wystarczy splukać kurz i tyle. Twój wosk właściwie oszczędza wodę.

– Wydaje mi się, że to Floryda jest nazywana *Sunshine State*.

– A całkiem możliwe. *Whatever*. Prawie nigdy nie pada deszcz w Kaaaaaalifornii i to też się zgadza, *mark my words*^[8].

Na pieńku niewygodnie się siedziało. Podobnych widział dookoła mnóstwo, pewnie to jakaś poręba, ale stara, inne pozostałości drzew musiały się dawno rozłożyć. Zerknął na odpakowane z papieru drugie śniadanie. Widok ten przepełnił go bezgranicznym poczuciem bezpieczeństwa, bo jego własnoręcznie przygotowane kanapki zawsze wyglądały tak samo, poza kolejnością, w której je układał, ta zależała bowiem od dodatków.

Dziś na szczycie leżała kromka z żółtym serem Jarlsberg i pastą kawiorową wyciśniętą z tubki na kształt litery S, teraz z oderwanym brzegiem, którym pożywił się ptak. Spod spodu

wystawał niewielki półksiężyc salami z kromki poniżej. Kozięgo sera leżącego na dolnej kromce nie było widać, ale on wiedział, że tam na niego czeka i że jest go całkiem sporo, bardzo lubił kozi ser, ten nieco ostry posmak, który pozostawiał w ustach. Kromka z żółtym serem nie zawsze lądowała na szczycie – umieszczał ją tam tylko w dni, gdy ozdabiał kanapkę pastą kawiorową, wtedy musiała leżeć na górze, żeby inne kromki nie ubrudziły się pastą. Gdyby do salami dodał kilka plasterków ogórka, albo może odrobinę majonezu, wtedy to tę kromkę spotkałby zaszczyt spoczęcia na pierwszym miejscu.

Przyszła mu do głowy nagła i dziwaczna myśl, że nigdy nie robił sobie drugiego śniadania z ogórkiem i pastą kawiorową naraz. Zawsze przyozdabiał dodatkowymi składnikami tylko jedną kromkę.

Kanapki przygotowywał na autopilocie, pomyślał, że procedurę ozdabiania ich i układania we właściwej kolejności zdążył najwyraźniej opanować tak, że weszła mu w nawyk. I bardzo dobrze. Dzięki temu unikał konieczności podejmowania decyzji jeszcze przed wyjściem z mieszkania i rozpoczęciem dnia pracy.

Poranne rytuały miały być właśnie tym: rytuałami. Wyznaczać bezpieczne ramy. Każdej z jego koszul odpowiadał pasujący do niej krawat, do każdego takiego zestawu mógł włożyć dowolny z posiadanych garniturów. Nie było się nad czym zastanawiać, chodziło tylko o regularną rotację i wymianę zużytych części garderoby. Ubrania przygotowywał sobie zawsze wieczór wcześniej, także w weekendy, na wypadek konieczności nagłej wizyty u kogoś w domu.

Podniósł do ust kromkę z jarlsbergiem, odgryzł kęs, słony smak

pasty kawiorowej szczypał przyjemnie tył podniebienia.

Nie miał kawy. Kiedy ostatnio jadł drugie śniadanie bez kawy? Po prostu skręcił z drogi, wziął kanapki, wysiadł z samochodu, zamknął go i ruszył przed siebie niepozorną leśną ścieżką, której początek dostrzegł przypadkiem niedaleko niewielkiej brzeziny; szedł, aż stracił auto z oczu, a w końcu usiadł na tym pieńku.

Przeczytał gdzieś, że już tylko Norwegowie pozostawali wierni kanapkom na drugie śniadanie, nawet Duńczycy i Szwedzi rezygnowali z zawiniętych w papier kromek chleba na lunch, że to wszystko przez fakt, iż Norwegowie byli kiedyś tak biednym narodem. Chleb i coś do chleba. Zupełnie inaczej niż w kuchni śródziemnomorskiej, gdzie królowały egzotyczne jarzyny. Norwegom pozostawały stare dobre warzywa korzeniowe, ziemniak, marchew, brukiew, mogące bezpiecznie rosnać pod ziemią, podczas gdy na jej powierzchni siał spustoszenie surowy klimat. Ale warzywa jadło się do obiadu. Przed południem zawsze kanapki.

Wciąż przeżuając, sięgnął po kromkę z salami. Woskowany papier, którym oddzielał od siebie kanapki, zgniótł i ułożył na papierze śniadaniowym, obok kromki z kozim serem. Kozi ser bez smaku kawy, nie, tak nie da rady, pomyślał i zdecydował, że zostawi tę kanapkę na później.

Siedział z przymkniętymi oczami, pochyloną głową i ustami pełnymi jedzenia, było suche i ciężko się je żuło, otworzył wreszcie oczy i przełknął ostatni kęs, po tym krótkim spacerze noski jego butów nabrały koloru matowej szarości, powinien był włożyć kalosze, chroniące obuwie przed kurzem i zarysowaniami, ale zostawił je przecież w aucie. Tuż przy jego prawym bucie piął się

w górę maleńki kwiatek podbiału. Niewielka roślina, której udało się znaleźć dość wilgoci, by móc precyzyjnie się z ziemi ku światłu, nowe życie czerpiące moc z pozostałości zeszłorocznych, od dawna martwych przedstawicieli tego samego gatunku. Żółciutki symbol dzieła stworzenia, życia pośród śmierci.

Śmierci.

Tak marginalnej, a jednocześnie tak wszechobecnej. Wszędzie dookoła, wokół tego małego pieńka w tym wielkim lesie, śmierć kroczyła ręką w rękę z życiem, stała na barkach życia, w każdej chwili gotowa, by rzucić je na kolana. Oto i sens, równowaga, harmonia.

Rachunek się zgadzał.

Zupełnie inaczej niż w jego życiu, niewiele tam było równowagi i harmonii, miał dość, był tak zmęczony, że łapał się czasami na tym, że chciałby zapaść na śmiertelną chorobę, nieszczególnie bolesną, chorobę, która zdjęłaby z jego barków całą odpowiedzialność i dała mu godną, szybką śmierć w otoczeniu profesjonalnych pracowników służby zdrowia dbających o jego potrzeby. Oddać los w cudze ręce, móc odpocząć, stanąć przed Stwórcą, będąc pewnym w swej wierze.

Życie zaczęło męczyć, w jego ciało wpił się jakiś smutek, żal, którego nie rozumiał.

Ptaszek wrócił, to musiał być ten sam, co wcześniej, wyglądał identycznie.

– No to teraz będzie z kozim serem.

Uznał, że może równie dobrze pokruszyć całą kromkę, rozrzucił chleb we wrzosach tuż przed pieńkiem, zlizął z palców masło i resztki sera, zmiął papier śniadaniowy w kulkę.

Co on, do diabła, tutaj robił, siedział zupełnie bez celu i sensu. Ale byłoby tak dobrze móc się położyć między pieńkami i umrzeć spokojnie i godnie, tak jak ta stara kobieta w balladzie Egguma, ta, która umarła, idąc po wodę, a „wokół jej spódnic rosły konwalie”, ziemia się pod nią otworzyła, przygarnęła ją z powrotem do swojego łona, taka piękna myśl, przymknął oczy i poczuł, że bardzo chce mu się płakać, ale oczywiście nie był w stanie, doskonale to wiedział.

Bo jaki to wszystko ma sens. Nawet liturgia nie dawała mu już szczególnej radości. Ale co takiego sprawiło, że zatrzymał auto, zostawił je, wszedł do lasu i znalazł ten pieńek? Spróbował sobie przypomnieć. Miał włączone radio samochodowe, czyżby to jakaś muzyka wytrąciła go tak z równowagi? Nagle doznał objawienia. Ktoś zaczął mówić o „platformach społecznościowych”, a jemu zachciało się wymiotować.

Wszystkie te słowa, cała ta pusta, nowa rzeczywistość zmieniająca jego codzienność i jego zawód. Cała branża biur pogrzebowych pędziła naprzód niczym pociąg pospieszny, a on został na peronie, prawdziwej platformie, którą chociaż można zobaczyć.

Po co nazywać tę nową rzeczywistość, która nawet nie była rzeczywistością, lecz jedynie plątaniną abstrakcji, tymi wszystkimi zaskakująco konkretnymi terminami? Platforma to konstrukcja z betonu lub drewna, wzniesiona przed dworcem kolejowym albo domem, ma formę tarasu. Budka na mleko to też właściwie mała platforma. Wielkie platformy wiertnicze na Morzu Północnym zostały być może zbudowane z czegoś innego, ale tak czy inaczej były konkretne i namacalne, można było tam pojechać, zważyć je i zmierzyć.

Ale platformy społecznościowe?

Nie nadążał za duchem czasu, ot i wszystko. Dostawcy płyt nagrobnych też zaczęli już wysyłać faktury mailem. Nie można było przejrzeć aktualnej poczty, mimo że w biurze dopiero co był listonosz, o nie, żeby być na bieżąco z pocztą i rachunkami, trzeba było co godzinę sprawdzać maila.

Panie Marstad i Gabrielsen wiedziały, jaki ma do tego stosunek, więc drukowały faktury i kładły je schludnie złożone na jego biurku, tak by wyglądały jak prawdziwe faktury, ale nie było już żadnych procedur, żadnej przewidywalności.

To samo dotyczyło się zgonów. Strony ku czci zmarłych na Facebooku, księgi kondolencyjne i całe listy nazwisk na ekranie. „Zapal światełko na FB”. Była nawet apka na komórkę informująca o zgonach.

Apka.

Branża nastawiała się, że za kilka lat nekrologi w ogóle znikną. Za dużo kosztowały. Internet natomiast był darmowy. Wszystkie te bezosobowe kanały komunikacji, wszystkie te emocje kierowane do ekranu, a nie do ludzkiej twarzy. Coraz częściej bliscy zmarłego dowiadywali się o jego śmierci w internecie zamiast od pełnego współczucia księdza z krwi i kości, który stawał na ich progu, w najgorszym razie być może z policjantem lub lekarzem, jeśli w grę wchodził nagły wypadek. Ciepłe, żywe dłonie, prawdziwe ramię, na którym można płakać, niosące pociechę słowa szeptane do ucha. „No już, już...”

Teraz o śmierci ludziom mówił ekran.

Śmierć została mu odebrana. Wyjęto ją z jego rąk. Jego profesja bardzo zmieniła się w ciągu ostatnich dekad, przerosła go, a on ze

wszystkich sił starał się za nią nadażyć.

Mówiło się „w dawnych czasach”, wspominając wydarzenia sprzed kilku zaledwie lat. Wciąż było tak, że w „Wiadomościach” nie podawano nazwisk ofiar wypadków przed powiadomieniem o tragedii rodziny. Ale nie minie wiele czasu, a i ten pełen szacunku zwyczaj pewnie też zaniknie. Gdzie się podziała godność? Nabożny stosunek do śmierci? Respekt? Zaskakujące było też to, że równocześnie śmierć stawała się coraz bardziej oddalona od ludzkiego życia, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Coraz mniej było tych, którzy na własne oczy widzieli martwego człowieka. A jak można chwalić życie, nie znając śmierci?

Cóż. On śmierć znał. Jeśli o kimś można w ogóle powiedzieć, że ją znał, to był to właśnie on. A siedział tu teraz przecież, marząc o śmierci i nieszczególnie chwając przy tym życie. Przymknął oczy i zrobił głęboki wdech, wciągając powietrze przez nos, ta natura, do której nie miał żadnego stosunku, wydzielala silną, autentyczną woń, cały świat przestał dla niego istnieć, siedział tu niczym otyła skamielina z brudnymi butami i zmiętym papierem śniadaniowym w dłoniach.

Gdyby tylko wszystko potoczyło się inaczej wtedy, gdy pojawiła się Torunn, gdyby nie wyjechała, gdyby to wszystko się nie skończyło. Tak bardzo za nią tęsknił.

To wszystko była wina Erlenda. Zupełnie jakby żył w operze mydlanej. Wydawało mu się, że mogli zostać rodziną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, tylko dlatego, że łączyło ich to samo DNA, i zachowywał się, jakby ich drzewo genealogiczne wyrosło w ciągu jednej nocy. Nie pojmował, że z tak kruchą

konstrukcją należy obchodzić się ostrożnie, nie majstrować przy niej, zanim nie wyschnie klej.

Torunn.

Zdążył nie tylko ją pokochać, nabrał do niej także głębokiego szacunku.

Ale nie był wcale pewien, czy ona to zrozumiała, a teraz, tak czy inaczej, było już za późno. Nie upomniała się nawet o swoją część kwoty za gospodarstwo, a przecież wiedziała, że Neshov zostanie wystawione na sprzedaż zaraz po jej wyjeździe. Fakt, że gospodarstwa nikt nie chciał kupić, że stało ono teraz tylko pograżone w ciemnościach i martwe wśród wydzierżawionych pól, też najwyraźniej w ogóle jej nie obchodził.

Formalnie to jej przypadła masa spadkowa. Musiała przecież zapłacić od Neshov podatek majątkowy, wyliczony na podstawie stawek urzędu skarbowego, było w tym coś śmiesznego. Stare, walące się budynki wypełnione bezużytecznymi rupieciami.

Majątek. Żałosne.

Sam też do niej nie zadzwonił, ale cały czas miał nadzieję na pojawienie się jakiegoś kupca. Dowiedział się w tamtym czasie od jej matki, że Torunn chce przyjechać do domu, by sprzedać zarówno mieszkanie, jak i swoje udziały w klinice weterynaryjnej, osobiście nie widział w tym żadnej logiki, bo sądził, że Torunn wróci do swojego dawnego życia, oddzielając wszystko, co się zdarzyło, grubą, bezkompromisową kreską. Ale najwyraźniej było jej dobrze, skoro nie naciskała na przyspieszenie sprzedaży gospodarstwa. Nie miał zresztą siły się nad tym zastanawiać. Nad tym też nie.

Niech te budynki sobie stoją i podupadają coraz bardziej, w środku i na zewnątrz.

Wstał z pieńka. Z zeszywniałym ciałem, przemarzniętym krzyżem i nogami podreptał ostrożnie z powrotem do auta.

Komórka leżała na siedzeniu pasażera z rozświetlonym ekranem.

Cztery nieodebrane połączenia, wszystkie z biura. A przecież on zawsze był dostępny. Zawsze. Dzień i noc. Powie, że wyładowała mu się bateria, z nadzieją, że mu uwierzą, choć przecież wiedzą, że ma wszędzie ładowarki, łącznie z dwunastowatowym gniazdem w aucie.

Nigdy nie miał wyładowanej baterii.



Zanim nacisnęła dzwonek Margrete, przystanęła na chwilę, lustrując drzwi mieszkania naprzeciwko.

Te zupełnie obce teraz drzwi, które przez wiele lat otwierała i zamykała z największą oczywistością. Zamykała je za sobą, idąc po zakupy, do dentysty, w odwiedzinach do matki i wtedy jeszcze ojczyma, ruszając do pracy, by stawić czoła wymaganiom świata. Otwierała je, wracając: zmęczona, wypoczęta, szczęśliwa, przybita, lecz zawsze z poczuciem ulgi, bo zaraz miała wejść do swojego małego domu, do swoich rzeczy, bałaganu i wszystkich osobistych drobiazgów.

Sprzętów i mebli, które, pochowane w skrzyniach, stały obecnie w magazynie w Sandvika. Przedmiotów, których teraz właściwie już nie pamiętała. Jedynym obrazem, który stawał jej przed oczami, gdy z rzadka myślała o tym magazynie, była wysłużona sofa ze starym pledem, jej ulubione miejsce po ciężkim dniu, niczym jaskinia, do której mogła wpełznąć i zniknąć, zapaść w drzemkę lub pooglądać serial na swoim iPadzie. Ta sofa była jedynym, za czym tęskniła, osią jej dawnego życia.

Ale nie znalazłaby już jej za tymi obcymi drzwiami.

Wciąż była w stanie dostrzec ślady po śrubkach utrzymujących

kiedyś w miejscu wąską mosiężną tabliczkę, podarowaną jej przez ojczyma, gdy kupiła swoje pierwsze mieszkanie. Torunn Breiseth, czarne, pochyle litery na złocistym metalu. Ojczym zapakował tabliczkę w papier jedwabny, razem z kartką, na której napisał, że dodatkowo przelał na jej konto dwadzieścia tysięcy koron. „Żebyś się mogła urządzać, serdeczne uściski, Gunnar”.

Ależ się wtedy ucieszyła. Tak samo z wizytówki, jak i z pieniędzy. Nie miała pojęcia, gdzie się takie tabliczki kupuje, planowała zamiast tego zwykłą kartkę papieru z imieniem i nazwiskiem, skreślonymi długopisem, przymocowaną dwustronną taśmą klejącą pod dzwonkiem do drzwi na prawo, na chropowatej ceglanej ścianie.

Co to powiedział jej kiedyś ojciec? „Breiseth? To tak się dziś każesz nazywać?” Zupełnie jakby mogła otrzymać inne nazwisko niż panińskie jej matki po tym, gdy ciężarna dziewczyna została odesłana jako niedoszła małżonka dziedzica z Neshov, bo zbyt szczerze nałożyła sobie pasztetu podczas swoich pierwszych i ostatnich odwiedzin w gospodarstwie. A wierzyła wtedy, że z tym gospodarstwem i tym mężczyzną zwiąże na zawsze swoje życie. „Każesz się nazywać”... W oczach ojca to był tylko jakiś jej przydomek, nie to, kim była naprawdę. Pamiętała, jak śmieszne i żałosne wydało jej się wtedy takie rozumowanie.

Drzwi wyglądały teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy były furtką do jej prywatnego życia. Sprawiały wrażenie, jakby przyozdobiono je na karnawał.

Nie było nazwisk wygrawerowanych w mosiądzu ani ręcznie namalowanych na porcelanie, ani nawet wypalonych ciemnobrązowymi literami na tabliczce z drewna. Nie, zamiast tego wisiał wielki arkusz kartonu z pięcioma imionami wypisanymi

po arabsku i – zaraz obok – zwykłymi literami. Karton przytwierdzono na samym środku drzwi, przyklejając jego rogi niebieską taśmą maskującą. Pięć osób w małym dwupokojowym mieszkaniu. Dzieło sztuki wykonał bez wątpienia jeden z młodszych mieszkańców, obstawiała Fatimę, której imię widniało jako drugie od dołu, nad Muhammedem. Arabskie litery były równe i kształtne, skreślone najpewniej ręką dorosłego, ale reszta stanowiła chaos jaskrawego różu i intensywnego turkusu, zarówno litery, jak i dekoracje, składające się z kwiatków i szlaczków oraz brokatowej posypki, trzymającej się na paskach kleju wzdłuż każdego z boków i ostro kontrastującej z taśmą maskującą.

– O rany, Torunn, zaraz padnę, wyglądasz jak drzewko świąteczne!

– Szłam na piechotę. Opcjonalnie mogłabym wyglądać jak przydrożna padlina. Niech żyją odblaski. Chyba zawiesiłam ich na sobie z dziesięć, a mam jeszcze odblaskowe paski na ubraniach.

– Na piechotę? Aż z Maridalen? To chyba maszerowałaś kilka godzin.

– Dwie i pół, prawie nie odgarnęli na trasie śniegu. Ale szłam szybko, mam kolce na butach. Zdjęłam je już, nie chcę ci zrobić dziur w podłodze. Mogłam wziąć auto, ale chciałabym przenocować, a tu nie sposób znaleźć miejsca do parkowania. Mam w plecaku białe wino, więc nigdzie się stąd już dziś nie ruszam.

– A ja mam gdzieś czerwone.

Przez ostatnie lata odwiedzała Margrete chyba jeszcze częściej niż w czasie, gdy mieszkała po drugiej stronie korytarza. Ale wtedy pracowała na pełen etat w klinice weterynaryjnej i prowadziła

dodatkowo kursy dla świeżo upieczonych właścicieli psów.

Do domu wracała późno, a jej sporadyczne odwiedziny u Margrete polegały głównie na picu w pośpiechu kawy lub wina i wymienianiu się przy tym najnowszymi informacjami o codziennych wydarzeniach.

Teraz przeznaczala na te wizyty całe wieczory. Czasami nocowała, mimo że właściwie nie czuła się tam zbyt komfortowo, sofa Margrete była nierówna i niewygodnie się na niej leżało, a Christer oczekiwał od niej, by oporządzała rano kennel.

– Nie wkurzy się? Że u mnie nocujesz?

– A żebyś wiedziała. Sam będzie musiał iść do kennelu. A ja mu nawet nie powiedziałam, że się do ciebie wybieram. Co pichcisz? Pachnie pomidorami i ziołami. Boże, ależ jestem głodna.

– Na razie tylko sos do pizzy, ciasto odstawiłam do wyrośnięcia. Zrobiłam je ze świeżych drożdży i prawdziwej mąki na pizzę.

– Prawdziwej mąki na pizzę? A jest jakaś nieprawdziwa?

– Nie kłopotz się tym. Lekcję gotowania dam ci później. Na razie trzymajmy się robótek ręcznych. Ściągaj kurtkę. Zaraz dostaniesz kieliszek wina.

W małym mieszkanku, lustrzanym odbiciu tego, w którym sama kiedyś mieszkała, zdawał się jak zawsze panować chaos. Salon pełnił funkcję pracowni, długi stół jadalny był stołem jadalnym tylko na jednym z końców i to ledwie co. Maszyna do szycia stała niczym miniaturowa lokomotywa pośród gór tkanin i rozpoczętych projektów w różnych fazach zaawansowania. Na podłodze, pod deską do prasowania, która zawsze tkwiła na środku pokoju, pełno było kartonowych pudeł z materiałami.

Kuchenny stolik z laminowanym blatem zawałony był

papierami, nożyczkami i wydrukami z komputera, na ławie zaś stał sztapel pudełek z mnóstwem lamówek we wszystkich kolorach tęczy, a obok – plastikowa kasetka ze szpulkami nici i mniejsze pudełeczka wypełnione różnymi metalowymi elementami do zawieszania zasłon. Do zwykłej kulinarnej działalności przeznaczono tu tylko kuchenkę, na której stał teraz rondel z parującym sosem, oraz wielką deskę do krojenia ze stosikami posiekanej cebuli i pociętych w plasterki czarnych oliwek, spoczywających na kilku warstwach papierowego ręcznika.

– Ten sos pachnie niebiańsko. A gdzie ciasto z prawdziwej mąki?

– Miska stoi w sypialni. Nie znalazłam tu dla niej miejsca.

– Chyba masz jeszcze większy bałagan niż zazwyczaj. Zostałaś zasypana zamówieniami czy co?

– Tak. Zasypana to dobre słowo. Niedługo chyba będę mogła złożyć wypowiedzenie. Na zdrowie! Dobrze cię widzieć.

Margrete pracowała jako pielęgniarka w Szpitalu Uniwersyteckim w Akershus i szczerze tego nie znosiła. W ramach hobby założyła stronę internetową, za pomocą której przyjmowała zlecenia na szycie, sprowadzała także tkaniny, zawarła korzystne umowy z dostawcami i otrzymywała materiały po cenach zakupu. Najwięcej napływało zleceń na zasłony.

– Mam teraz wśród klientów także firmy, te mniejsze, bo na większe nie mam czasu ani miejsca, część rzeczy trzymam już w sypialni. Tylko w tym tygodniu byłam na trzech spotkaniach z klientami tu w Oslo, oddychają z taką ulgą, kiedy im mówię, że mogę wszystko za nich załatwić, tak jest dużo lepiej, niż kiedy zamawiają przez internet, bo nie muszę wysyłać materiałów pocztą, a potem się z nimi jeszcze użerać przez telefon.

– A po co potem z nimi tyle rozmawiać?

– Bo próbki, które mogę im wysłać, są maleńkie! Kiedy jadę na spotkanie, oko w oko, mogę zabrać całą belę tkaniny na zasłony i klient od razu widzi, co mu się najbardziej podoba.

– Może mogłabyś coś wynająć. Jakiś lokal na pracownię. I kogoś zatrudnić. Założysz firmę, to dopiero prestiż! Boże, jestem taka głodna, masz coś do przekąszenia w międzyczasie? Orzeszki? Czipsy?

– Mam chrupki serowe.

– Jeszcze lepiej. *I love you.*

Margrete zrobiła na kuchennym stoliku miejsce na kieliszki z winem i małą miseczkę z chrupkami.

– Twoja popielniczka stoi na balkonie.

– Super. To ja od razu pójdę zapalić.

Popielniczką był stary słoik po dżemie z odrobiną wody na dnie. Z balkonu roztaczał się ten sam widok, który miała kiedyś u siebie. Stojąc tak z papierosem, czuła się niemal jak w czasach, kiedy tu mieszkała. Musiała stanąć zaraz przy drzwiach, pomimo zadaszenia na balkon nawiało sporo śniegu, stopy w samych skarpetkach straszliwie marzły, ale było warto, papieros smakował wspaniale po tak długim marszu.

Margrete w tym czasie uzupełniła kieliszki.

– Nie boisz się tak łązić wzdłuż drogi? Przecież w Maridalen jest ciemno, choć oko wykol.

– Owszem, jest ciemno, i to jeszcze jak. Boże. O tej porze roku... zupełnie jakby się poruszać w czarnym worku. Wyobraź sobie, że nawet śnieg nie pomaga. Ale jak nie widać księżyca, to...

– Nie boisz się? Że ktoś podjedzie i cię wciągnie do auta?

– Ależ skąd, jakby spróbowali, to dopiero by sobie napytali biedy,

przecież umiem się bronić. Ale zobaczyłam dziś lisa, jak jeszcze szłam z czołówką, zanim zaczęły się latarnie. Wystraszył się bardziej niż ja i zniknął za hałdą śniegu na poboczu, aż furknęło! Ciemność nie jest straszna, masz wokół siebie dokładnie to samo, co za dnia.

– Głupio gadasz. W ciemnościach może zdarzyć się wszystko, Torunn.

– Ale nie ot tak, bez uprzedzenia. Auta mają światła, które widać z daleka. A żadne zwierzęta nie stanowią zagrożenia. Nie w Norwegii. Poważnie się zastanawiasz nad złożeniem wypowiedzenia?

– Owszem, mam już tak dość, że brakuje mi słów. Cały czas mam wrażenie, że się nie wyrabiam, że dookoła panuje bałagan, a najgorszy jest cały ten personel pomocniczy, który nie mówi po norwesku, czasem mi się zdaje, że całkiem tam zeświruję. Tyle się na to marnuje czasu! Na jakies śmieszne nieporozumienia i tłumaczenie po sto razy tego samego. Nie, nie mam nawet siły o tym myśleć, teraz spędzamy miło czas i się relaksujemy. Przynieść ci twój koc?

Miała poczucie, że angażuje się w jakąś tajną, niemal nielegalną działalność. Nigdy w swoim życiu nie robiła czegoś, co do tego stopnia wymagałoby od niej wyjścia ze swojej zwyczajowej roli, nawet gdy była pomocą domową w Neshov, najpierw dla ojca i dziadka, potem tylko dla dziadka. Bo tam chodziło w końcu o praktyczne sprawowanie nad kimś opieki i logistykę, a na tych polach czuła się pewnie. To, co robiła tutaj – to dopiero było niezbadane terytorium.

Margrete nauczyła ją szydełkować.

Najbardziej niepojęte było to, że pokochała ten spokój, który ją ogarniał, gdy siedziała pochylona nad włóczką i szydełkiem, patrząc, jak przed jej oczami rośnie piękny pled, coraz większy i większy, aż w końcu, któregoś dnia, będzie tak duży, by mogła się nim okryć cała. Nie do wiary. Christer w życiu by w to nie uwierzył. Wzgardziłby jej pracą albo ją wyszydził i wyśmiał. Jej własnej matce też by to pewnie przez myśl nie przemknęło, nawet w najdziwniejszych fantazjach. A Torunn nie miała zamiaru sprawiać matce radości, opowiadając jej o tym.

– Dużo już masz, Torunn, niedługo będzie metr.

– Tylko brzegi mi się nie udają. Są nierówne.

– Naprawię to potem lamówką, zobaczysz, jak będzie pięknie. Masz trzy różne odcienie szarego, chyba najciemniejszy najlepiej się nada na brzegi.

Ścieg był zygzakowaty, w stylu Missoni. Zbierała pięć oczek u podstawy zygzaka i odpowiednio rozszerzała ścieg u jego szczytu. Zmieniała kolor co drugi rząd. Motki leżały w skrzynce, także one po cenie zakupu, Margrete robiła bowiem na szydełku poszewki na poduszki w stylu Missoni dla wielu sklepów z wyposażeniem wnętrz. Przęd potrafiła wykonać w jeden wieczór, przyszyć tyłu z suwakiem zajmowało jej chwilę. Za taką poszewkę dostawała dwieście pięćdziesiąt koron, w sklepie sprzedawano ją za czterysta i wszyscy byli zadowoleni.

– Christer powinien mnie teraz zobaczyć.

– Powtarzasz to za każdym razem. Olej faceta.

– Przecież go olewam. Zresztą pieprzy teraz nową panienkę, jestem tego prawie pewna.

– Znowu? Że też nie...

– Oszczędzam pieniądze. Nic nie płacę za mieszkanie. Kupuje

nam też jedzenie, bo w tylu rzeczach mu pomagam, a on ma przecież forsy jak lodu i nawet się nad tym nie zastanawia. Twierdzi, że ostatnio zarobił pół miliona w jedną noc, na tych swoich akcjach. A pieniądze, które dostałam za mieszkanie i sprzedaż moich udziałów w klinice, mogą sobie spokojnie rosnąć na koncie.

– Pomyśleć, że zrezygnowałaś z kliniki.

– Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Może zamiast tego pogadamy o twoim szpitalu?

– Ale ty przecież lubiłaś tę pracę! Ja swojej nie lubię.

– Nie o to chodziło. Czy to ciasto przypadkiem już nie wyrosło?

– Boże! Dobrze, że mówisz. Piekarnik grzeje się już całą wieczność.

Margrete włożyła jednorazowe rękawiczki i rozwałkowała ciasto, rozsmarowała na nim sos, rozłożyła plastry sera, na koniec posypując pizzę cebulą, oliwkami i drobno siekaną kiełbasą.

– To salami?

– Nie, chorizo. Dużo lepsze. Ma więcej smaku. I jest doprawione chili.

– Opowiedz mi teraz o tej mące.

– Ha, ha! Tak jakbyś kiedykolwiek miała zamiar robić ciasto na pizzę od zera – przecież można kupić gotowe w sklepie.

– Nikt też by nie uwierzył, że nauczysz mnie szydełkować. Sama nie wierzyłaś.

– Słuszna uwaga. Chodzi po prostu o to, że ta mąka jest drobniej mielona niż zwykła i do jej wyrobu używa się pszenicy najwyższej jakości. Dodaje się do niej bardzo mało drożdży, więc ciasto musi wyrastać dużo dłużej.

– Zdam sprawozdanie Christerowi. Wiesz, on bardzo dobrze sobie radzi w kuchni. Tipo zero-zero, tak to się nazywa. Dobrze to sobie zapamiętam i wplotę któregoś dnia w jakąś luźno rzuconą uwagę. To mu dopiero zaimponuje.

– Myślisz, że jemu trzeba imponować? Kogo on teraz obraca? Albo kogo sądzisz, że obraca?

– Lepiej usiądź, zanim ci powiem, jak ona ma na imię.

Margrete natychmiast opadła na krzesło i upiła duży łyk czerwonego wina.

– Iris. Ma na imię Iris. I dwadzieścia lat. Słodziutka jak karmelek.

– Ach tak. Dokładnie dwa razy młodsza od ciebie.

– I od Christera. Ale to imię, Margrete. Kto daje córce na chrzcie Iris?

– Co ona w ogóle u was robi?

– Trzyma u nas trzy psy do czasu, aż zbuduje własny kennel. Poza tym pomaga trenować husky Christera, smaruje im łapy, naprawia uprząże i tak dalej, on przecież ma niedługo wziąć udział w wyścigu Finnmarksløpet. Ale Iris, Margrete. Że też to możliwe.

– Bardziej cię oburza jej imię niż to, że z nią sypia?

– Chyba tak. Bo to przecież nie ma żadnego związku ze mną.

– Ach nie?

– Używamy prezerwatyw. Okłamałam go, że źle znoszę pigułkę i spiralę, a on mi uwierzył.

– Uzywacie prezerwatyw? Prezerwatyw? He? Ależ Torunn, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że wy nadal...

– Owszem.

– Mimo że wiesz, że on...

– No.

– A to dlatego, że...

– A to dlatego, że tego potrzebuję. On jest dobry w łóżku. Poza tym może sobie wmawiać, że nie mam pojęcia, co on wyprawia, a to też ma znaczenie. Jestem naiwną słodką idiotką.

– Chcesz, żeby tak myślał?

– Gdyby tak nie myślał, musiałyby dojść do konfrontacji, a ja musiałabym się wyprowadzić, prawda? Dla zachowania szacunku dla samej siebie. Ale dopóki regularnie ze sobą sypiamy, on sobie myśli, że doskonale zaciera ślady, i wszystko jakoś się kręci.

– Na twoich kontach w banku.

– Między innymi.

– To jakie ty masz właściwie plany? W dalszej perspektywie?

Gdy to samo pytanie zadawała jej matka, dodając czasami: „masz czterdzieści lat, Torunn!”, z reguły wstawiała bez słowa i wychodziła. Ale teraz poprawiła tylko niemal już metrowy koc Missoni na kolanach i wbiła wzrok w szydełko i włóczkę, w rosnące na jej oczach kolejne rzędy.

– Tipo zero-zero, powiadasz. Dziwaczne określenie...

Zjadły pizzę u szczytu stołu jadalnego i wróciły do kuchni na kawę, szydełkowanie i więcej wina. Torunn odpisała na esemesa od Christera, który zauważył, że jej nie ma. Wyjaśniła, że nie wróci na noc, i nie dostała odpowiedzi.

– Mówisz, że Christer ma forsy jak lodu, ale ty przecież właściwie też, Torunn.

– Nie jestem w tej lidze co on.

– Ale kilka milionów masz.

– No mam. Chyba trochę więcej niż cztery, musiałam spłacić resztę kredytu za mieszkanie, mimo że sprzedałam je po dużo

wyższej cenie, niż kupiłam. Nie jestem pewna. Miałabym jeszcze więcej, gdyby udało się sprzedać gospodarstwo. Nie pojmuję, co wyprawia Margido, jakim cudem jeszcze nie załatwił i nie zamknął tej sprawy. Co za ślamazara.

– Aż dziwnie myśleć, że to twoja rodzina. Mówiąc łagodnie, wymykacie się schematom.

– Sama właściwie nie wiem, czy w moim odczuciu to rodzina. Chyba już nie. Szczerze mówiąc, bliższe są mi niektóre psy Christera niż ci faceci z Neshov.

– Ale to chyba dlatego, że nigdy ich nie widzisz.

– Przez jakiś czas bardzo regularnie ich widywałam. Nawet za bardzo. Ale tęsknię za dziadkiem. Za nim bardzo tęsknię.

– To ten, co mieszka w domu opieki?

– Tak. Tak, to on. Mój dziadek jest taki kruchy i dobry. Mimo że nikt nie był dobry dla niego, nikt, przez całe jego życie.

– Opowiadałaś, jak go traktowano. Nieprzyjemnie nawet o tym myśleć. Ile on ma teraz lat? Był już chyba dość stary, kiedy...

– Osiemdziesiąt trzy albo osiemdziesiąt cztery, tak mniej więcej. Chyba wydawał mi się taki stary, bo cały czas było mu przykro. Cały czas. Pomyśl, Margrete. Ale teraz jest mu dobrze, teraz mieszka w domu opieki. Siedział w swoim salonie i krzyczał, że chce, by go tam oddać, to przecież tragiczne. Jeśli ktoś tego pragnie, to musi być mu naprawdę źle, tak się strasznie cieszę, że wszystko udało się załatwić. Czuję radość, gdy tylko zaczynam o tym myśleć, kiedy sobie uświadamiam, że udało mu się wydostać z tego gospodarstwa.

– Miejmy tylko nadzieję, że ten dom opieki jest dobry.

– Na pewno jest. To gdzieś na wsi. Margido powiedział, że naprawdę tam ładnie. A skoro on to mówi, to ja mu wierzę.

– A za nim tęsknisz?

– Nie wiem. Byłam na niego wściekła, kiedy stamtąd wyjeżdżałam, ale on robił chyba wszystko, co w jego mocy. Był taki sztywny. Nadal taki jest. Nie da się do niego zbliżyć. Ale to bardzo porządny człowiek, wszystko traktuje poważnie, jest godny zaufania. Tylko trochę powolny. I bardzo konkretny. Kiedy o nim myślę, widzę przed sobą szary kwadrat.

– Szary kwadrat... Prawie jak twój pled. A jak myślisz o swoim bracie z Kopenhagi, to co widzisz?

– O Boże. Oni tam przecież mają troje dzieci, ale sądzę, że nadal jadą na piątym biegu. Nie, o tym towarzystwie staram się myśleć jak najmniej. Co za rozgardiasz. Właściwie to się cieszę, że nie mam aż tak dużo pieniędzy. Bo można od tego wpaść w histerię.

– Oni tam teraz ganiają za małymi dziećmi. Zupełnie inaczej niż my, Torunn. Siedzimy tu sobie z winem, robimy na szydełku poszewki i pledy.

– I żadna z nas nie znalazła miłości życia. Westchnij, serce moje, ale nie pęknij. Zdrowie.

– To tak *à propos* planów? Czy koniecznie trzeba w nie mieszać mężczyznę? Ja mam w każdym razie mnóstwo planów w głowie, ale żaden z nich nie uwzględnia faceta.

– To dlatego, że robisz to, co kochasz. Tu, u siebie w domu.

– Ty też tak miałaś. Kursy dla właścicieli psów, wspaniali koledzy w pracy i...

– To nie byli po prostu koledzy, tylko weterynarze z dyplomami. Prowadziliśmy wspólnie klinikę, to wszystko.

– To o to się wszystko rozbija? Dokuczają ci kompleksy, bo nie masz wykształcenia?

– Byłam przecież na zootechnice. Przez rok. Wieki temu.

I jestem dyplomowaną asystentką weterynarza, nie zapominaj o tym! Śmiech na sali... Więc dwa lata temu zabrałam się do matmy i fizyki z liceum, chciałam pozdawać egzaminy.

– Naprawdę? Nic o tym nie wspomniałaś.

– Ubzdurałam sobie, że chcę się dostać na weterynarię. Ale nie mam motywacji. Właściwie to do niczego. Zobaczymy. Na razie sprzątam, krzątam się po domu, gotuję jedzenie dla psów i bardzo dużo czytam.

– Nie możesz tak po prostu przepędzić życia w lesie z tym facetem.

– Nazwij mnie ekspertem do spraw organizacji czasu wolnego, ha, ha! Zaczęłam czytać o drugiej wojnie światowej, choć trudno w to uwierzyć. O tak wielu rzeczach nie mam pojęcia!

– Ależ Torunn, musisz przecież...

– Jezu Chryste, Margrete, miałyśmy miło spędzać czas! Skupmy się na szydełkowaniu i włączmy jakąś muzykę. Nie masz przypadkiem czegoś słodkiego do kawy? Małego kawałeczka czekolady? O której w ogóle zaczynasz jutro pracę?

– Dopiero o dwunastej. Niebiosom niech będą dzięki. Przecież ci powiedziałam, kiedy zadzwoniłaś się zapowiedzieć. Inaczej nigdy nie pozwoliłabym ci przyjść. Nie pierwszy raz przynosisz alkohol w plecaku. Chyba mam gdzieś snickersa i pół daima.

Dobrze było położyć się na sofie Margrete, mimo że była nierówna, zwłaszcza w miejscach, w których stykały się jej trzy poduszki. Ale jedno z tych miejsc znajdowało się dokładnie pod jej pupą i to właściwie nie było takie złe. Leżało się tu przyjemnie także dlatego, że tuż obok była Margrete, a Margrete na niej zależało, nie miała w swoim życiu zbyt wielu takich ludzi, dobrze jej było ze

świadomością, że jest tu ktoś taki. Gdyby nagle obudziła się w środku nocy, nie mogąc złapać tchu z powodu ataku paniki lub innej tajemniczej dolegliwości, Margrete by jej pomogła, w końcu to pielęgniarka i w ogóle, o mało by nie zemdląca z rozpaczy na myśl, że może ją stracić, co za fenomenalna świadomość, bo tak przecież jest z ludźmi, na których nam zależy. Czyż nie? Christer nie reagował, nawet gdy dręczyły ją koszmary, tylko ją szturchał.

Pewnej nocy przed kilkoma tygodniami miała odłamki szkła pod paznokciami, wbijały się coraz głębiej, rzucała się ogarnięta paniką w przepoconej pościeli, nie zmieniali jej zbyt często, poszwa lepiła się do spoconego ciała, ale ona odchodziła od zmysłów z bólu przez te szklane odłamki, drobne, ostre jak sztylety drzazgi, których nie dało się przełamać ani wyciągnąć spod paznokci, obudziła się, czując, że ktoś wymierzył jej bolesnego prztyczka w dolną wargę.

– Co...?

– Hałasujesz.

– Mam szkło, mam szkło pod paznokciami. Mam SZKŁO pod paznokciami!

– He? Weź się w garść. Śpij już. Śpij! Dobry Boże... Całą noc pracowałem i właśnie się położyłem, muszę mieć spokój!

Otworzyła oczy i szklane odłamki zniknęły, zegar z radiem pokazywał wpół do szóstej i ujrzała tylko plecy, szerokie i górujące nad nią, w połowie energicznego ruchu, który miał oddalić go od jej ciała, polizała opuszki palców, które, dzięki Bogu, nie były przeszyte szklanymi drzazgami, i pomyślała, nie mogę tu, kurwa, zostać, oczywiście, że nie, ale zostanę jeszcze trochę, aż nadejdzie chwila, gdy naprawdę zrozumie, że nie mogę tego dłużej ciągnąć.



Nigdy, przenigdy w całym swoim czterdziestotrzyletnim życiu Erlend nie czuł się tak bezradny i przerażony jak w chwili, kiedy matkom zbliżał się termin porodu. Dla Lizzi noszącej bliźniaczki przypadał on wcześniej, trzynastego listopada, a dla Jytte trzy tygodnie później.

Pierwszy okres po badaniu USG, które wykazało nie dwoje, lecz troje dzieci, był pełen euforii, codziennego otwierania szampana i intensywne zakupów ubrań oraz sprzętów w internecie; a także cudownych obiadów u nich w domu albo u matek przy Koreavej w Amager, kiedy to planowali, płakali, śmiali się i szukali w sieci najniezwyklejszych rzeczy, począwszy od porodów w wodzie przy akompaniamencie muzyki z nurtu Hare Kriszna, a skończywszy na duńskich szkołach prywatnych, w których obowiązywały mundurki.

Erlend zmuszony był pokazać wszystkie małe ubranka, które zdążył już kupić dla swojej córki Eleonory, która na obrazie USG okazała się chłopcem, a Krumme musiał wymienić nabyty już pojedynczy wózek na model dla bliźniaków, czyli małych dziewczynek, które przecież będą mogły w pełni wykorzystać szafę Erlenda, wypchaną do granic dziewczęcymi ubrankami. Erlend

zamówił również szybko torbę na akcesoria niemowlęce marki Mia Bossi, bo dwie zakupił już wcześniej ze szczerym przekonaniem, że to wystarczy. Jak bardzo człowiek mógł się mylić.

– Dzieciom niczego nie zabraknie, Krumme. I nie będziemy kupować im żadnego taniego szajsu.

– Oczywiście, że nie, myszko. Wiem dobrze, ile radości daje ci wyszukiwanie najlepszych rzeczy. I najdroższych.

– Właśnie!

Jednak w miarę jak brzuchy się powiększały, sprawy nie przedstawiały się już tak zabawnie.

Erlend nigdy nie musiał zmierzyć się z kobiecym ciałem. Nie tęsknił za kobiecą skórą, piersiami i doskonałymi kształtami bogini Wenus. Oczywiście, że dostrzegał w nich piękno, jasne, że doceniał urodziwe, dobrze ubrane i stylowe kobiety, podziwiał gęste i błyszczące włosy, zmysłowy chód i długie nogi, szczupłe dłonie z idealnie zrobionym manikiurem, oczywiście, że potrafił napawać się tym widokiem! Ale tylko z bezpiecznej odległości. Jedyłą kobietą, którą znał z bliska, była matka, ale nigdy nie zobaczył jej ciała.

Matka to były nagie łydki i stopy latem oraz ręce od łokci w dół, skrawek szyi i naturalnie głowa, ale w zasadniczej większości jej postać składała się z ubrań. Brzydkich i bezosobowych, które w żaden sposób nie podkreślały okrągłości oraz kształtów, nie wspominając już o piersiach czy brzuchu, były tylko zwisającą od ramion w dół tkaniną, przy czym ramiona stanowiły dla nich coś w rodzaju środka ciężkości. Poza tym na swojej bezbarwnej sukience miała zawsze fartuch, zawiązany na karku oraz z tyłu, fartuch zakrywający ją z przodu od obojczyków aż po kolana.

W którymś momencie musiał zrozumieć, że za tymi materiałami znajduje się jakieś ciało, ale to napełniało go tylko odrazą. Kiedy w szkole uczył się o rozmnażaniu, wydawało mu się niepojęte, że jego własna matka chodzi sobie po Neshov, obiera ziemniaki albo myje podłogi wyposażona w waginę między nogami.

Takie piękne słowo na określenie czegoś tak ohydneho.

To, że – co gorsza – i on, i Tor, i Margido zostali wyciśnięci na świat przez ten otwór, wystarczało, aby przyprawiać go o bezsenne noce spowodowane czystą odrazą, miał wtedy ochotę wstać, wziąć prysznic i zdezynfekować całe ciało, musiał też nauczyć się pewnych trików myślowych, żeby nie dopuszczać do siebie tych obrazów, drobnych wybiegów, w których nieuchronnie pojawiał się bocian. Również wtedy, gdy był już starszy i w oczywisty sposób zaakceptował fakty dotyczące rozmnażania wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza, włącznie z samym aktem zapłodnienia, fantazje o bocianie stanowiły dla niego wielką pociechę i rozwijał je w myślach z najdrobniejszymi szczegółami, wyobrażając sobie, jak ten dumny, silny ptak ostrożnie ląduje przy drzewie na podwórzu w Neshov z jasnoniebieskim kocykiem przywiązany kokardą do dzioba, z wierzgającym niemowlęciem leżącym na dnie zawiniątka. Matka wybiega z domu, wykrzykując słowa podzięk, ubrana w fartuch i tak dalej, wyjmując dziecko, odwiązuje kocyk od bocianiego dzioba, owija nim niemowlę, a potem daje bocianowi coś dobrego do zjedzenia w podzięk za dostawę, najpewniej świeżo upieczony chleb, i że on, Erlend, właśnie w ten sposób przybywa do Neshov.

Oczywiście z Torem i Margidem było podobnie, ale raczej nie za sprawą tego samego bociana, nie do końca był pewien, jak długo bociany są w szczytowej formie, jeśli chodzi o latanie i noszenie,

przecież bezpieczny i precyzyjny przelot z czterema solidnymi kilogramami zwisającymi z dzioba wymagał od ptaka niezłej kondycji.

Nigdy w życiu nie miał przed oczami nagiej kobiety. Na paradach równości kobiety były zawsze mniej lub bardziej rozebrane, nie miało znaczenia, że były to lesbijki preferujące siebie nawzajem, tak czy owak były kobietami, miały kobiece kształty, jednak w jego oczach stanowiły wyłącznie stado złożone z poruszających się kończyn i skóry i nie miały z nim nic wspólnego.

A ta cała wagina, ten damski otwór, budził w nim wprost odrazę. Nigdy w życiu nie oglądał filmów porno, żeby przyjrzeć się temu bliżej, nie interesowało go to. Porno w ogóle nie budziło jego zainteresowania, Bogu dzięki Krumme miał podobne odczucie, nigdy nie oglądali filmów gejowskich, wystarczali sobie nawzajem, kochali się, ze wszystkimi swoimi cielesnymi wadami i niedoskonałościami.

Kochał również Jytte i Lizzi, byli bliskimi przyjaciółmi na długo przed pojawieniem się pomysłu z dziećmi, były osobami, przy których potrafili odpocząć, oddychać i śmiać się w jednym rytmie, osobami, które akceptowały i tolerowały. Były ludźmi, a nie przede wszystkim kobietami, ten fakt miał mniejsze znaczenie.

Aż do teraz.

Nagle sprawy nabrały powagi. Waginy istniały, a Jytte i Lizzi je posiadały. On i Krumme mieli zostać ojcami trójki dzieci, które zostaną z nich wyciśnięte. Mógł agitować do woli za cesarskim cięciem, ale i Jytte, i Lizzi chciały urodzić siłami natury i rozmawiały o tym tak, jakby chodziło o coś równie prostego jak wysadzenie korka z butelki bollingera.

I do tego te brzuchy, które bez przerwy się powiększały, brzuch Lizzi naturalnie szybciej. Zrobiły się jej rozstępy, które pokazywała im w taki sposób, jak ludzie pokazują palec owinięty plastrem. Jasnoblękitne kreski z perłowym odcieniem rozbiegały się złowrogo po skórze na napiętym jak bęben brzuchu.

– To zaraz pęknie! – zawołał, czując skurcze w przyrodzeniu na skutek oglądania rozstępów. – Opuść sukienkę i spróbuj wciągnąć ten brzuch. Błagam cię, zrób to!

Śmiali się tylko z niego. W zasadzie ryli ze śmiechu. I to pomimo że stopień napięcia skóry był tak duży, że coś takiego w jego pojęciu nie miało prawa zrobić się na brzuchu. Przyglądał się własnemu ciału. Bark? Nie. Skóra nie była rozciągnięta. Największe podobieństwo znalazł w przedniej części kolana, po uprzednim zgięciu go bardzo mocno. Skóra przecież nie mogła tego w żaden sposób wytrzymać, a rozstępy były widowym dowodem, że to wszystko jest sprzeczne z naturą. Brzuch powinien być miękki. Nie żeby nic w nim nie mogło być, ależ skąd, dziecko, albo nawet dwoje, mogło spokojnie tam przebywać. Ale czy mimo to nie mógł pozostać mięciutki i delikatny w dotyku?

Brzuch Krumme był dostatecznie duży, żeby pomieścić trojaczki, a jednak był miękki. Kochał brzuch Krumme, jego pępek w zagłębieniu na szczycie niczym krater małego wulkanu, prawie zawsze wypełniony puszystym meszkiem, małym kotkiem o zapachu Krumme.

– Wydłubuję go co rano w jacuzzi, ale już po chwili znów się tam robi – mawiał Krumme, jego cudowny, rubensowski anioł. Który nie podzielał w najmniejszym stopniu przerażenia Erlenda. Wręcz przeciwnie. Według Krumme wszystko, co wiązało się z brzuchami Jytte i Lizzi, było cudowne.

Cudowne. Może nie było to takie dziwne, zważywszy że Krumme w latach młodości był nawet przez chwilę związany z płcią przeciwną. Co prawda tyle tylko, ile potrzeba mu było na zrozumienie, że jest na manowcach, ale jednak. Zawarł osobistą, intymną znajomość z tym kobiecym otworem, nie paraliżował go strach na samą myśl o nim, akceptował bez obrzydzenia tę nieuchronną część kobiecej biologii, a także fakt, że była niezbędna, aby zostać ojcem, akceptował to w taki sam sposób, jak każdy heteroseksualny mężczyzna rozumiał, że wdzieranie się w kobiecy otwór było jednoznaczne z tym, że jego potomstwo wyjdzie na świat tą samą drogą.

I kiedy dzieci zaczęły poruszać się za napiętą skórą brzuchów, Krumme szalał ze szczęścia.

Erlend zachowywał się podobnie, jego gra aktorska zasługiwała na Oscara i był w stanie wszystkich nią zwieść, przykładając ucho do brzuchów, nie czyniąc żadnej różnicy pomiędzy Jytte a Lizzi. Głaskał je i przytulał, filmował iPhonem falującą skórę, śmiał się do łez, kiedy któreś z dzieci miało czkawkę, chociaż działało się to niepokojąco często, tak uważał. Czkawka to było zjawisko zdarzające się, kiedy odrobina jedzenia zawędrowała tam gdzie nie trzeba i zbłądziła, ale przecież dzieci odżywiane były przez łożysko, więc co to w ogóle było za zachowanie płodowe?

A jednak się śmiał, szczerze i serdecznie, w pełnej wspólnocie z pozostałymi. Z tej gry zdołał zrezygnować dopiero wówczas, gdy lekarz przepisał mu relanium. Pięciomiligramowe tabletki, które dzielił na pół. Ukrywał je przed Krumme.

Połówka relanium plus dwadzieścia minut niespokojnego oczekiwania i było po problemie. Dostosowany. Znów w klubie. W idealnej zgodzie z całą resztą. W końcu to on miał największą

wiedzę o pierwszym okresie ciąży i na bieżąco informował pozostałą trójkę o rozwoju płodu, przewidywanym terminie odpadnięcia ogona, kształtowaniu się uszu i palców.

Ale wtedy chodziło o płody.

Które nagle zmieniły się w ludzkie istoty i stały się dziećmi.

Za cienką warstwą powoli pękającej skóry.

I za niedługi czas miały stamtąd wyjść na spotkanie czterem piersiom. Czterem mokrym od mleka piersiom, którym on też zmuszony był sprostać, po dwóch porodach, na które na pewno nie wystarczy połówka relanium, czytał w internecie, że relanium można dostać także w czopkach, a w naprawdę poważnych przypadkach również w roztworze. Czy dałby radę zrobić samemu sobie zastrzyk? W zgięciu łokcia? Czy pisane mu jest zostać narkomanem, żeby podolać roli ojca? A więc tak daleko zaszły sprawy z tym w oczywisty sposób szalonym projektem, tylko dlatego, że pewnego wieczoru Krumme został przypadkiem potrącony i nieomal zabity przez samochód, a potem zaczął zadawać sobie pytania o sens życia, istnienia i tak dalej, bla-bla-bla.

Boże święty. Zupełnie jakby brakowało im w życiu czegokolwiek aż do tej chwili, w której jakiś popieprzony kierowca wcielił się w Los w całej swojej złej krasie, zakłócając biegun magnetyczny Ziemi. I kiedy również skóra Jytte zaczęła pękać, pokrywając się jasnoniebieskimi kreskami, a do tego usłyszał, że w jej piersiach już pojawiło się mleko, a w zasadzie coś w rodzaju żółtawego śluzu, który jednakże smakował jak mleko, nie odczuwał najmniejszej ochoty, żeby z tej okazji wygrzebać w Google coś odpowiednio zabawnego, a wręcz przeciwnie, poczuł nieprzepartą chęć zwiększenia dawki relanium z połówki tabletki do całej. Chęć,

której natychmiast zadośćuczynił, stojąc w łazience u matek, posiłkując się ohydłą, letnią wodą z kranu.

Tego samego wieczoru, kiedy po raz pierwszy zwiększył dawkę tabletek, Krumme eksplodował. Właśnie przyszli do domu po odwiedzinach u matek, niosąc ze sobą resztki sycącej, doskonałej zupy gulaszowej, którą Erlend zamierzał zjeść na kolację, popijając ją niewielkim kieliszkiem musującego wina. Zaproponował to właśnie, kiedy Krumme nagle wrzucił całe pudełko zupy gulaszowej do zlewu, na skutek czego otwarło się tuż nad odpływem, a Erlend rzucił się na ratunek resztkom. Wtedy Krumme krzyknął, jego zawsze opanowany i zrównoważony, ukochany Krumme nagle wydał z siebie głośny i mroczny ryk:

– Dość tego! Do kurwy nędzy, dosyć tego! Już teraz wystarczy, myszko. Nie mam dalej siły. Mówię zupełnie serio.

Erlend zaczął płakać z dłońmi zanurzonymi w zlewie, pokrytymi rdzawoczerwonym gulaszem, usiłował strząsnąć go z rąk, kilka kawałków ugotowanej, kruchej wołowiny wyskoczyło aż na wypolerowany blat z czarnego kamienia, śledził je wzrokiem, nieskończenie wdzięczny, że tabletki, którą zażył zaledwie kilka godzin wcześniej, ciągle jeszcze osnuwa aksamitną mgiełką jego oczy i usta, niemniej łzy mu popłynęły, uwolniły się i leciały bez żadnych trudności.

– Co masz na myśli? O czym mówisz? Krumme... Co się z tobą stało?

– Dobrze wiesz.

Krumme odkręcił wodę, żeby Erlend mógł umyć sobie ręce.

– Idziemy teraz usiąść sobie w salonie – rzekł.

– W którym?

– W jadalni. Zrobię kawę i naleję nam koniaku, Erlendzie. Idź i siadaj.

– Ale dlaczego?

– Powiedziałem, idź i siadaj tam. Zaraz przyjdę.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien dorzucić trochę chemii do krwiobiegu, zażywając jeszcze pół tabletki. Ale może koniak wystarczy, nawet jeśli niekoniecznie dobrze komponuje się z lekami. Tak czy owak, cieszyła go myśl o drobnym łyku trunku, a nuż pomoże mu chwycić się brzytwy w tej zniecka głębokiej wodzie.

Usiadł wyprostowany na krześle w jadalni i utkwiał spojrzenie w blacie stołu, a nawet zaplótł dłonie na kolanach. Czy kiedykolwiek widział Krumme tak wściekłego? Nie. Nawet wtedy, gdy niechcący – albo raczej, mówiąc szczerze, po pijaku – zarezerwował dwa tygodnie urlopu na Alasce, z wliczonym w cenę lokalnym transportem lotniczym pomiędzy jakimiś zapomnianymi przez Boga miejscami, żeby mogli dodać sobie trochę męskiego animuszu taką wycieczką, poszukać rustykalnych inspiracji, a potem móc tym bardziej cieszyć się życiem w mieście oraz rzucić od czasu do czasu na spotkaniach towarzyskich rubaszną anegdotę. Ponadto zamówił dwa śpiwory w chorej cenie, tak drogie, że musiały zawierać w sobie puch co najmniej kolibrów, ze stylowym kapturem zawiązywanym pod brodą, w tych śpiworach mogli spokojnie spać na dworze w trzydziestostopniowym mrozie, Alasce nie była w końcu jakimś śródziemnomorskim celem podróży.

Problem polegał na tym, że nie zaznaczył opcji ubezpieczenia od rezygnacji z wyjazdu i że nie wziął pod uwagę – czy też raczej zapomniał, zważywszy na stan upojenia – że Krumme ma właśnie

wyjątkowo gorący okres w redakcji „BT” i że pod żadnym pozorem nie może wziąć dwóch tygodni wolnego, żeby dać się obwozić samolotem po pustkowiach Alaski, ze śpiworem z kolibrów ani bez.

Wtedy Krumme się wkurzył.

Nie z powodu pieniędzy. Boże, mniejsza o pieniądze. To oczywiste, że one nigdy nie były głównym problemem i nie stanowiły podstawowego powodu wściekłości Krumme. Jednak fakt, że Erlend tak totalnie i w widoczny sposób był ignorantem w kwestii codziennego życia Krumme, zupełnie jakby te sprawy nie istniały, jakby Erlend mógł sobie dowolnie modelować wszechświat we własnej głowie i tylko sądzić coś na temat rzeczywistości. Tylko to denerwowało Krumme w fakcie, że Erlend nie zaznaczył opcji ubezpieczenia od odwołania wycieczki.

Jednak w samym środku Krummowej złości i oskarżeń, które Erlend przyjął jak mężczyzna, z pochyloną głową, gdzie odbijało się echo tupania kotów, Erlend poczuł mimo wszystko ogromną ulgę na myśl, że dzięki Bogu nie pojedą na Alaskę.

Bo Alaska – cóż, do diabła, miałby na niej robić, czy nie lepiej było jak inni ludzie kupić po pijaku w internecie kilka jedwabnych garniturów albo meble do jadalni, albo parę lamp włoskiego projektanta.

Ale nawet wtedy Krumme nie wściekł się tak jak teraz.

Kiedy śpiwory z puchu kolibra zostały przysłane pocztą, Krumme już od dawna był w swoim zwykłym, dobrym humorze i zaproponował, żeby dać je w prezencie ślubnym dwójce dziennikarzy z redakcji „BT”, którzy mieli się pobrać i marzyli o podróży poślubnej na Svalbard, gdzie podobno panowało lodowate zimno, zważywszy że biegun północny był tylko o rzut kamieniem, i w ten sposób wszystko rozeszło się po kościach, a Erlend znów

zanurzył się w ciepłe, przytulony policzkiem do rozkosznego, gościnnego brzuszka Krumme.

– Proszę.

Brzdęk, i na stole wylądowała mała, czarna, nowiusienka taca marki Chanel, którą Erlend osobiście kupił w Illums w poprzednim tygodniu. Na tacy stały w tym momencie dwie filiżanki espresso, z jednej z nich wystawała łyżeczka, ponieważ Krumme często brał do kawy odrobinę ciemnego cukru trzcinowego, oraz dwa kieliszki koniaku, jeden był porządnie napełniony, połyskujący ciepłym brązem, a drugi na dnie miał tylko mikroskopijny półksiężyc brunatnego płynu.

– Ależ Krumme? Dlaczego...

– Nie dostaniesz więcej. Myślisz, że nie widzę, co się dzieje?

– Dzieje? Ależ nie rozumiem. Chodzi o gulasz?

– Idiota.

– Idiota...?

Z oczu znów popłynęły mu łzy.

– Daj już sobie spokój, Erlendzie. Z tymi cholernymi łzami. Teraz rozmawiamy na serio. Płacz nie pomoże.

– Przerażasz mnie, Krumme. Jesteś jakiś taki... pozbawiony miłości.

Mówiąc to, nie miał odwagi podnieść oczu na Krumme. Kochali się. Byli razem od tysiąca lat. Sypiali pod małżeńską kołdrą.

– Pozbawiony miłości, powiadasz. Któż tutaj jest pozbawiony miłości?

– Nic już nie rozumiem... Krumme. Nie rozumiem.

– Spójrz na mnie. Popatrz mi w oczy.

Erlend spojrział. Ale to miało swoją cenę. Łzy nie chciały przestać

płynąć, powinien był wziąć te kolejne pół tabletki. Kurczę, że też tego nie zrobił.

– Nie cieszysz się wcale z dzieci, które mają się narodzić, Erlendzie. Myślisz, że tego nie rozumiem.

– Ależ cieszę się! Naprawdę się cieszę! Nawet już im nadałem imiona!

– Imiona. Imiona, Erlendzie... Ani przez pięć sekund nie wierzę w to twoje aktorstwo. Matki wierzą. Ale ja nie.

– Przecież kupiłem im same najlepsze rzeczy!

– To prawda. I coś jeszcze kupiłeś. A raczej poprosiłeś, aby ci wypisano.

– Co?

– Czy sądzisz, że jestem zupełnym durniem? Co takiego zażywasz?

– Zażywam?

– Przestań. JUŻ! Co zażywasz?

– Relanium. Tylko połówkę naraz. Oprócz dzisiejszego wieczoru, tylko dziś wziąłem drugą połówkę dość szybko po pierwszej.

– A to z powodu...

– Ponieważ jestem KUREWSKO PRZERAŻONY! KUREWSKO PRZERAŻONY! Posrany ze strachu na samą myśl o tych kobiecych ciałach i o tym wszystkim, co tam pływa za tą rozciągniętą skórą!

– Siadaj. Siadaj z powrotem i przestań wymachiwać rękoma, bo coś zrzucisz. Napij się kawy i zażyj swoją porcyjkę koniaku. Najlepiej jednym łykiem. A jak myślisz, jak ja się czuję, Erlendzie?

– Ty jesteś wyjątkowy. Zawsze jesteś wyjątkowy. Na zdrowie!

– Jestem kurewsko przerażony, myszko. Kurewsko przerażony. Tak samo jak ty.

Erlend usiadł, mocno zaciskając powieki, i wypił jednym

haustem koniak, który miał pokojową temperaturę, a potem popił go bardzo gorącym espresso, czuł, jak płyn rozlewa się po jego ciele, płynie obok serca, spływa do żołądka, pali go w środku, otworzył oczy i napotkał spojrzenie Krumme.

– Ty, Krumme...? Ty jesteś kurewsko przerażony?

– Oczywiście, myszko. Oczywiście.

– Ale dlaczego? Czego ty się boisz?

– Wszystko może pójść nie tak. W tych brzuchach jest trójka naszych maleństw. Trójka! Statystyki są przeciwko nam, jedno dziecko jest cudem, a my spodziewamy się trzech cudów. Pomyśl tylko, że coś może im się stać podczas porodów, albo zaraz po urodzeniu dostaną zapalenia płuc, albo okażą się chore na coś, czego nie wykrywa USG, albo Lizzi lub Jytte umrą na zator w środku skurczu, a może nawet umrą obie i wtedy zostaniemy jedynymi rodzicami.

– Ależ Krumme, teraz to brzmiś zupełnie histerycznie. Zator? Nawet o tym nie pomyślałem.

– Nie. Myślałeś tylko o sobie. Dlatego jestem taki wściekły. Myślałeś tylko o tym, jak ty się czujesz z tym wszystkim. I poszukałeś sobie ucieczki w tabletkach zamiast ze mną porozmawiać. Zawiodłeś mnie, Erlendzie. Zawiodłeś. Teraz, kiedy naprawdę powinniśmy trzymać się razem. Czy rozumiesz, jak samotnie się czuję? Kiedy zachowujesz się w ten sposób?

– Przecież to ja czułem się strasznie samotny. Całe to szczęście, które wy...

– *And here we go again...* ^[9]

– Muszę chwilę pomyśleć.

– Idź na taras, zapal sobie i chwilę się zastanów. A ja posprzątam w tym czasie resztki zupy.

- Tego pysznego gulaszu. Który tak po prostu...
- Idź teraz. Idź. Zmykaj!

Stał na tarasie, obserwując lotnisko Kastrup, gdzie samoloty wznosiły się i lądowały niczym perełki nanizane na niewidoczny sznurek, ogromne maszyny, w których każde najmniejsze kółko zębate pasowało do następnego, gdzie każdy najdrobniejszy element pełnił odrębną funkcję. A tuż za nim, w kuchni oddzielonej wielkimi połaciami szyb, znajdował się Krumme, miłość jego życia, pełen lęku, że ten projekt o nazwie dziecko może zaprowadzić ich na manowce.

A tak oczywiście mogło się stać.

On sam myślał z obrzydzeniem o tym, że w piersiach Jytte przelewa się jakieś oślizgłe mleko. Musiał łykać tabletki, żeby wytrzymać sam fakt, że ona o tym mówi. A jego własny mały synek, Leoś, leżał sobie w tym czasie w środku i być może zdawał sobie sprawę z odrazy, jaką odczuwa jego ojciec do tego eliksiru życia, którym jego matka będzie mu strzykać do ust, kiedy już pojawi się na tym padole jako gotowy, mały człowiek.

Och, dobry Boże. Dobry, łaskawy Boże, w którego nawet nie wierzył, jak to się stało, że wylądował w tym bagnie, jak, jak, jak. Krumme nie wystarczą teraz słowa, żadne słowa nie mogły tego wymazać ani przykryć, wciągał w siebie zajadle nikotynę, czując wielką i niebezpieczną jasność wglądu, powie po prostu, jak jest, on też powie, będzie tym, kim faktycznie jest, wszedł więc ponownie do środka i usiadł na tym samym krześle.

– Krumme? Kocham cię. Wiesz o tym. Czy słyszysz mnie mimo tego łomotu?

– Tak.

– Kocham cię tak bardzo, że nawet gdyby słońce spadło z nieba, nie obeszloby mnie to ani odrobinę, jeśli tylko byłbyś przy mnie w tym momencie.

– Słucham cię uważnie.

– Zostaw tę zupę. Wracaj. Wracaj do mnie, Krumme.

– Idę.

Poczuł się tak, jakby zobaczył Krumme po raz pierwszy. Grubiutkiego Karlsona na dachu, czterdziestosześcioletniego, kiedy tak nadszedł z mokrymi dłońmi, z czubków palców kapłała mu na parkiet woda, ramiona mu zwisały, oczy miał spuszczone, wyglądał na zrezygnowanego, Erlend poderwał się i objął go z całej siły.

– Mój najdroższy Krumme, oczywiście, że nie dostaną żadnego zatoru, są młode i zdrowe, stworzone do rodzenia dzieci, wszystko pójdzie absolutnie dobrze.

Poczuł, jak czoło Krumme opiera się ciężko o jego prawy obojczyk, jak skóra na tym czole drży od płaczu.

– Ależ Krumme...

– Wróciłeś do mnie, myszko.

– Usiądźmy. Czy mogę dostać jeszcze trochę koniaku?

– Możesz. W zamian za opakowanie z tabletkami.

– Mam całe pudełko.

– To oddaj mi pudełko.

Erlend pobiegł do przedpokoju i przyniósł pigułki z kieszeni kurtki.

– Proszę.

– Dziękuję. Idę spuścić je w toalecie. A ty nalej nam koniaku, dobrze?

Kiedy Krumme wrócił i usiadł, Erlend schwycił jego dłonie, te drobne, krągłe palce, nadal jeszcze wilgotne. Wilgotne i ciepłe, całe drżące.

– Co możemy zrobić? – zapytał Erlend.

– Najlepiej to, co każdy z nas potrafi najlepiej.

– Czyli?

– Musimy przypominać sobie nawzajem o naszych atutach. Być może zabrzmiało to cynicznie, ale mam wrażenie, że tylko to przywróci nam radość, skieruje z powrotem na bezpieczne wody – rzekł Krumme.

– Czy mogę pocałować cię w czoło, zanim przystąpimy do dalszych negocjacji?

– No dobrze.

Dotyk napiętej skóry czoła Krumme na ustach.

Boże. Oczywiście! Skóra na czole pełnym zmartwień stawała się chyba najbardziej napięta, że też o tym nie pomyślał?

– Nasze największe atuty – powiedział Erlend. – Zaczniemy od twoich.

– Pieniądze. I dobre jedzenie.

– Ja potrafię urządzać i dekorować. I robić ładne tartinki. A ty jesteś dobry w przygotowywaniu prawdziwego jedzenia, całych wielkich obiadów. Umiem sprzątać. Gdyby była wojna i Birte zrezygnowała z pracy u nas, mógłbym sprzątać sam i robiłbym to równie dobrze jak sprzątaczką z dowolnej firmy sprzątającej najwyższej klasy tutaj, w Kopenhadze. Albo w Nowym Jorku. Albo w Dubaju. Wiem dokładnie, gdzie przebywają bakterie. Nie tylko Birte i seter angielski są w tej dziedzinie ekspertami.

– Seter angielski? Nie do końca rozumiem...

– Susy, przecież! Ta, która od czasu do czasu zastępuje Birte

albo pomaga jej ogarnąć po naszych przyjęciach! W Norwegii tylko setery angielskie mają na imię Susy.

– A to są...

– Psy, Krumme! Psy myśliwskie! Jezus Maria...

– Umówmy się, że jakoś to będzie, myszko.

– To nie wystarczy, Krumme.

– Co takiego nie wystarczy?

– Jedzenie, sprzątanie i pieniądze, Krumme, to po prostu nie wystarczy.

– Musi. Bo tylko taki może być nasz wkład. Oprócz miłości. Nie jesteśmy nadludźmi, jesteśmy zwykłymi istotami. Choćbyśmy nie wiem jak chcieli.

– Dobry Boże, Krumme, stąpamy po cienkim lodzie.

– To prawda.

– Ale na tym cienkim lodzie jesteśmy razem, mój drogi Krumme.

Od teraz. Obiecuję.

– Zaczynamy od nowa. Złap mnie jeszcze mocniej za rękę.

– Trzymam cię. Trzymam cię, Krumme. Nie puszczę.



Margido spojrział w dół, na swoje ciało, i zobaczył wieloryba.

Żadne inne słowo nie opisałoby tego ciała lepiej, pomyślał. To wieloryba, a konkretnie białuchę, widział, gdy siedział tak z pochyloną głową, lustrując własne nagie członki i pot lejący się z każdego pora, ciało blade i obrzmiałe w swoim zapadniętym saunowym rozluźnieniu.

Za dużo kanapek z serem smażonych na patelni pod przykrywką, posmarowanych z obu stron masłem. Uwielbiał, gdy roztopione masło wsiąkało w chleb, czyniąc go chrupiącym. Oczywiście mógłby także opiekać kanapki w piekarniku, na bezkalorycznym papierze do pieczenia, ale to nie to samo, zupełnie nie to. Do takich smażonych kanapek pił mleko. Nie wodę albo niskokaloryczny napój gazowany, ale mleko. Co prawda chude, ale mimo wszystko.

Ser i mleko, i masło, jego wnętrzności regularnie odbierały dostawy nabiału i nasyconych kwasów tłuszczowych. Albo może nienasyconych, nigdy nie pamiętał, jaka jest różnica, wiedział tylko, że te jego kwasy tłuszczowe są najgorsze z możliwych i że w kuchni powinien właściwie sięgać po oliwę z oliwek. Tyle że jej nie lubił, zostawiała obrzydliwą powłokę na podniebieniu.

Imigranci utrzymywali, że są w stanie rozpoznać Norwegów

pijących mnóstwo mleka po zapachu.

Przymknął oczy i wziął wielki haust wypełnionego parą powietrza, poczuł je aż w brzuchu. Co za szczęście, co za oczyszczenie. Dobry Boże, taki był wdzięczny temu pośrednikowi nieruchomości, komicznemu chudzielcowi, który rzucił tylko okiem na jego łazienkę i stwierdził, że jest tu miejsce na saunę typu kompaktowego. I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pośrednik stracił klienta, bo marzenie o saunie było jedynym powodem, z jakiego Margido chciał sprzedać dom. Chłopak mógł pewnie po prostu ugryźć się w język, ale co się stało, to się nie odstanie.

Margido uniknął więc przeprowadzki, zamiast tego kazał sobie zainstalować swoją błogosławioną saunę. Tak, była prawdziwym szczęściem. Nigdy i nigdzie nie odpoczywał tak, jak siedząc tu, w tej małej szczelnej kabinie parowej, pozwalając myślom płynąć we wszystkich kierunkach, swobodnie i bez niczyjego sprzeciwu.

Może to właśnie odpoczynku szukał także wtedy, gdy zaskoczył samego siebie, wchodząc do lasu? Poczłapał po prostu przed siebie ścieżką, na chybił trafił, i usiadł na pieńku z drugim śniadaniem, do którego nie miał kawy. Nie. Chyba nie o to chodziło. Jeśli dobrze pamiętał, to myślał wtedy o balladzie Egguma i zazdrościł kobiecie, która leżała martwa, a wokół jej ciała rosły konwalie. Rozważał kuszącą myśl, że można by po prostu się położyć i umrzeć, znaleźć spokój, wpełznąć w ramiona Jezusa i wreszcie zamknąć oczy.

Może powinien iść do lekarza i gruntownie się przebadać. Niewykluczone, że miał anemię. Skończył już przecież pięćdziesiąt sześć lat. Nie był pewien, ale możliwe, że niedokrwistość albo niedobór witamin mogły prowadzić do obniżenia nastroju. Bo

właśnie to mu najprawdopodobniej dokuczało. Obniżenie nastroju.

A może... nie musiał chyba tak od razu zawracać głowy lekarzowi. Lepiej pójdzie jutro do apteki i kupi witaminy i jakiś preparat z żelazem. To mu na pewno pomoże. Albo tran? Wiedział, że zimą brakuje organizmowi witaminy D. A zima tego roku była długa.

Za szklanymi drzwiami kabiny, na których skraplała się para, widział leżący na brzegu umywalki telefon. Zobaczy, jeśli ekran nagle się rozświecili. W ciągu ostatnich tygodni dwa razy nie odebrał telefonu, który zaczął dzwonić, kiedy siedział w saunie. W obu przypadkach dzwonili z policji i w obu przypadkach czuł po wszystkim ulgę. Nie zawiódł nikogo poza własnym biurem pogrzebowym, bo policjanci zadzwonili po prostu do kogoś innego, zawsze znalazł się ktoś gotów przyjechać na miejsce zdarzenia w krótkim czasie, w mieście było dużo biur, a jego własne należało do tych mniejszych.

Ale mimo wszystko się wstydził i czuł, że okłamuje ludzi. Miał poczucie, że nie odbierając telefonu, udawał, że jest zajęty, a tak naprawdę siedział tu przecież tylko, rozkoszując się ciepłem i parą. Chociaż w pracy i tak mieli ręce pełne roboty, na sytuację finansową nie mógł narzekać, jego konto oszczędnościowe spuchło do tego stopnia, że co najmniej raz w miesiącu dzwonili do niego z banku, by zapytać, czy „mógłby być tak dobry” i zastanowić się nad funduszem oszczędnościowym, bo niemalże tracił pieniądze, trzymając je na koncie przy tak niskim oprocentowaniu. Ale on nie chciał, za każdym razem konsekwentnie odmawiał, nie podając żadnego wyjaśnienia.

Przyczyna jego odmów była banalna i staromodna, tak samo

niedzisiejsza i archaiczna jak on sam, zmuszony do konfrontacji z tą nową epoką razem z jej apkami i absurdalnymi platformami: Chciał móc wypłacać pieniądze, gdy sam tego zechce, mieć taką możliwość, fizycznie położyć na nich łapę w dowolnej chwili, udając się do najbliższego banku i zlecając wypłatę. Jego pieniądze nie powinny nosić nazwy innej niż po prostu pieniądze.

Fundusz oszczędnościowy. Nagle nie wystarczyło już po prostu oszczędzać. Trzeba to było nazwać funduszem.

A może zdobyłby się na odwagę i napisał list do sekcji „Odczytelników” w „Adresseavisen” o tych wszystkich słowach? Mogliby wydrukować go anonimowo, ale gazeta chciałaby od niego pewnie kompletnych personaliów. Więc to nie wchodziło w grę, mimo że jego zdaniem mogłoby pomóc. Wyrzuciłby z siebie swoją irytację i frustrację, w pewnym sensie nadając jej jakieś ramy. Przeczytaliby o niej inni, napisali swoje listy, wsparli go. To byłby miód na jego serce, mimo że podpisałby się tylko „Czytelnik, 56”.

Podbudowałałaby go świadomość, że inni byli tak samo niespokojni jak on. Dziwny mechanizm odnajdywania pociechy w podobnym cierpieniu innych, który dostrzegał u bliskich samobójców, a także ofiar wypadków i nowotworów, zwracających się po pomoc do grup wsparcia. W liście wspomniałby także o podcastach. Przez te wszystkie lata nie miał nawet pojęcia, co to takiego, aż pewnego dnia pani Marstad powiedziała w czasie przerwy na lunch:

– Co to właściwie jest ten podcast? To pewnie głupie, że pytam, ale...

– Ależ to bardzo proste – odezwała się pani Gabrielsen, ale to niestety nie do niej pani Marstad kierowała swoje pytanie.

Zarówno on sam, jak i pani Marstad zerknęli zamiast tego pospiesznie na Pedera Bovima, młodego biurowego mądralę, który

odgryzł potężny kęs drożdżówki, nim odpowiedział, z ustami pełnymi ciasta i budyniem na zębach:

– Przecież to takie nagranie.

Przecież? A dlaczego przecież?

– Na taśmie? – spytała pani Marstad.

– Nie na taśmie – odrzekł Bovim, przeżuając. – Nagranie dźwięku. Naciska się tylko taki symbol na ekranie i można go słuchać. Widzi pani, to nie jest nagrane na taśmę. Z taśmy nikt już nie korzysta.

Są tylko żałobne taśmy na wieńcach, pomyślał wtedy Margido.

Ale to było takie proste. Podcast to zwykle nagranie.

Chodziło tu w końcu o język. I nawet nie o powtarzane od dawna frazesy o angielszczyźnie, która się wszędzie wciska, lecz o to, że wszystko stawało się trudniejsze i niedostępne, język wykluczał tych, którzy czegoś nie wiedzieli albo nie rozumieli. Jak jakaś kara. Wpychał ich w ciemności niewiedzy tylko dlatego, że przypadkiem nie złapali znaczenia nowych słów, przegapili tę sekundę na samym starcie, kiedy było ono tłumaczone, w pełnym pędzie.

Zrobiło mu się niewygodnie na drewnianym siedzisku, przesunął pośladki na prawo i zerknął na zegar zamontowany obok termometru. Czternaście minut. Jeszcze minuta i wystarczy. A przy okazji, pomyślał, kiedy nie odbierał telefonu, siedząc w saunie, mógł zwalić winę na coś jeszcze.

Poty wtórne.

Mogły trwać nawet trzy kwadranse, pewnie dlatego, że był taki stary. Z jego porów tryskała przejrzysta woda, mimo że wracał do zwykłej temperatury pokojowej, niemal fascynujące przeżycie, jakby dostawał coś w rodzaju dodatkowej rundy w saunie zupełnie

bez sztucznego ogrzewania, ciało pozostawało po prostu w saunowym trybie. Po dwóch seansach zawsze prał swój szlafrok frotté.

Ze trzy albo cztery razy zdarzyło się, że musiał jechać do zmarłego prosto z sauny, nie pamiętał, czy to były trzy czy cztery razy, pewnie wyparł tę wiedzę.

Musiał wciągnąć majtki na mokrą skórę z takim impetem, że prawie pękały, wkładać skarpety na wilgotne stopy, ubierać się w białą koszulę z krawatem, dyszał, gdy zaciskał go wokół szyi, a potem jeszcze spodnie, marynarka, musiał znaleźć wszystkie papiery, przeczesać włosy, choć pot zalewał mu czoło, poszukać kluczyków i pamiętać o komórce, zastanowić się, czy zabrać coś jeszcze, czy musi wstąpić po drodze do biura, by wziąć plastikowy kombinezon i kontener na odpady oraz rękawiczki, sprawdzić, czy ma wszystko, czego trzeba, w schowku na dole, dowiedzieć się, czy musi jechać do Neshov po tymczasową trumnę, czy też ma jakąś w samochodzie, czy może policja przyjechała na miejsce zdarzenia z workiem na zwłoki.

Jeśli dzwonili z domu opieki, to odpadało mu wiele kwestii praktycznych, mieli tam zazwyczaj na stanie wszystkie niezbędne środki higieny, ale w takiej sytuacji miało się w zamian do czynienia z bliskimi zmarłego.

I to wszystko w czasie, gdy pot tryskał albo właśnie przestawał tryskać z jego porów. Tak czy inaczej, całe ubranie miał przemoczone do suchej nitki. Nie śmierdział, bo pocił się samą wodą. Ale marzył i było mu nieprzyjemnie. I nie mógł się, rzecz jasna, na to skarżyć, nikomu, przecież wkraczał w sam środek czyjejś śmierci, odejścia kogoś, kto dałby pewnie wszystko, by móc się dalej pocić, musiał więc znosić dyskomfort w milczeniu.

Wyłączył funkcję sauny, uruchomił wentylator, złożył drewniane siedzisko, które tak uwielbiał, i odkręcił prysznic. Lodowata woda polała się na jego łysinę, rozpościerając się wokół całego ciała jak parasol, powoli zwiększył temperaturę do trzydziestu stopni, rozłożył znów siedzisko i dokładnie je opłukał, po czym na powrót złożył, pochylił głowę i przyjrzał się paznokciom u stóp, które dawno już powinien był obciąć. Między innymi dlatego, że długie szpony u dużych palców drapały od środka noski butów i je niszczyły.

Ludzie z innych branż nie mieli pojęcia o dyskomforcie związanym z obuwem, może za wyjątkiem księży.

Na pogrzeby musiał zawsze wkładać eleganckie półbuty, ewentualnie wciągał na nie kaloszki, kiedy pogoda była naprawdę paskudna i trzeba było przygotować wokół grobu przestrzeń do pochówku. Ani on, ani ksiądz nie mogli paradować przed żałobnikami w gumiakach albo wysokich kaloszach, po prostu nie wypadało. Wykluczone w połączeniu z sutanną. Wykluczone w połączeniu z ciemnym garniturem.

Mokre cmentarze i lodowate kościelne posadzki. Chłód ciągnący zimą od kamiennej podłogi potrafił sięgać aż do łydek, nawet jeśli miało się w butach od garnituru wełniane wkładki, a na zewnątrz kaloszki, jeżeli oczywiście było mokro. Na podłodze wzdłuż rzędów ław montowano rury grzewcze albo grzejniki nawiewowe, by parafianom nie marzły stopy, siedzieli tam na dodatek w ciepłym obuwiu, dopasowanym do pory roku, nie zaś do roli, którą musieli odgrywać. To właściwie zaskakujące, jak mało chorował, zważywszy, jak często marzły mu nogi.

Tor powiedział kiedyś, że mają dobre geny, on też nigdy się nie przeziębiał, podobnie matka. To dziwne, że za przeziębienia miały

odpowiadać geny, ale faktycznie, układ odpornościowy można dziedziczyć. Patrząc na to pod tym kątem, mógł stwierdzić, że wyniósł z rodzinnego domu przynajmniej jedną dobrą rzecz.

Nie miał teraz siły obcinać paznokci, nie miał siły pochylać się, zlany potem, nad jedną, a potem drugą stopą opartą na klapie sedesu, a następnie próbować zbierać kawałki paznokci, które odprysnęły na wszystkie strony. Grzybica stóp wróciła chyba na dobre, to także zarejestrował. Skończyła mu się maść, której kiedyś używał, jak ona się nazywała, coś na „v”. Zapyta jutro w aptece. Ale teraz jego stopy odpoczną w otwartych klapkach, na podnóżku przed fotelem, w ciepłym salonie.

Nikt nie dzwonił. A on zrobi sobie zaraz smażoną kanapkę z serem, niestraszne mu śmiercionośne kwasy tłuszczowe. *Count your blessings*, przypomniał sobie słowa Steina-Owego z myjni. Bądź wdzięczny za to, co masz.

Następnego ranka wstąpił w drodze do pracy do apteki w centrum handlowym Byåsen, znalazł miejsce parkingowe tuż przed wejściem, zaledwie kilka kroków obok, dobry początek dnia, pomyślał, miał nadzieję, że to znak. Drugie śniadanie leżało na siedzeniu pasażera. Dziś nie będzie jadł suchych kanapek w lesie, usiądzie w biurze, ze świeżo zaparzoną kawą.

Maść na grzybicę paznokci nazywała się Verucid, a witaminy i minerały mógł przyjmować jako mieszankę w jednej jedynej tabletkie. Kobieta w białym kitlu z nieestetycznymi tatuażami na prawym przedramieniu pisała na klawiaturze, nie odrywając wzroku od ekranu. Musiała nacisnąć sporo klawiszy tylko po to, by wbić cenę słoiczka witamin i małego pudełeczka maści.

- I jeszcze poprosiłbym o jakieś tabletki na niedokrwistość.
- Ach tak. Żelazo. Przyjmował pan wcześniej żelazo

w tabletkach?

– Nie przypominam sobie.

– A co powiedział pański lekarz rodzinny?

Teraz na niego patrzyła.

– Powiedział? Nie rozmawiałem z lekarzem. Pomyślałem tylko, że tabletki mogłyby pomóc na zmęczenie.

– Zmęczenie...

Rozejrzał się dookoła, nikt nie stał na tyle blisko, by móc usłyszeć ich rozmowę, ale mimo wszystko, czy ta kobieta nie mogłaby po prostu postawić przed nim na ladzie pudełka z jakimś preparatem na niedokrwistość i zakończyć całą sprawę?

– Tak – powiedział.

– W takim wypadku powinien pan najpierw zbadać krew. „Niedokrwistość” to dość ogólne pojęcie, lekarz sprawdza, czy...

– A nie mógłbym po prostu kupić żelaza w tabletkach? Jest na receptę?

– Nie, ale...

– Ma może, na przykład, jakieś poważne skutki uboczne?

Kobieta wyprostowała plecy.

– Może panu dokuczać zatwardzenie, na początku dość silne, kał może przybrać ciemny kolor, nie można brać tych tabletek z mlekiem, bo to niekorzystnie wpływa na ich działanie, i nie wolno przekraczać sugerowanej dawki. Ludzie zazwyczaj przyjmują dość żelaza w pożywieniu.

– W takim razie może mi go nie trzeba – powiedział, wyjmując portfel.

– Najlepiej jeść zielone warzywa, orzechy, najwięcej żelaza jest w nerkowcach, czerwone mięso, pełnoziarnisty chleb. A witamina C, na przykład w soku pomarańczowym, pomaga

organizmowi przyswajać żelazo z przyjmowanych pokarmów. Jego niedobór może wynikać z niewłaściwego odżywiania się lub choroby. W przypadku znacznej, przeważającej większości z nas nie jest konieczna suplementacja za pomocą tabletek.

– Zawsze kupuję ciemny chleb. On jest przecież pełnoziarnisty.

– Ciemnemu chlebowi często bliżej do zwykłego białego pieczywa, ale może pan na przykład kończyć każdy posiłek kromką pieczywa chrupkiego z naprawdę grubo mielonej mąki. Z pasztetem.

– Dobrze. Pasztetu dawno nie kupowałem. Ale za to codziennie jem kozi ser.

– Dawniej faktycznie dodawano żelazo do sera brązowego i koziego – powiedziała aptekarka. – Ale dziś to właściwie już tylko mleko i cukier.

– Chciałbym zapłacić.

– Czerwone mięso to kolejne doskonałe źródło – powiedziała.

Zupełnie jakby go nie słuchała. Wsunął kartę w szczelinę terminala.

– Wędlina to także czerwone mięso.

– Ach tak? – zapytał. – A ja jem codziennie salami.

– Jest w nim żelazo – orzekła kobieta.

– Tak?

– Ależ tak. W salami jest żelazo – uśmiechnęła się.

Grzecznie odwzajemnił uśmiech. Teraz musi tylko kupić chrupkie pieczywo i pasztet, sok pomarańczowy i kilka torebek tych orzechów, które nazwą przypominały nerkę, i będzie mógł rozpocząć nowe, zdrowsze życie.

Poczuł, że coś jest nie tak, kiedy tylko stanął w drzwiach biura.

Nigdy nie powinien był zatrudniać tego trutnia, lenia, pasożyta i wałkonia, który od początku nie miał czego szukać w jego branży.

Margido doskonale pamiętał, jak Peder Bovim zaczął rozmowę od kwestii wysokości pensji i ubezpieczenia emerytalnego, a zaraz potem oznajmił, że swój okres zatrudnienia pragnie rozpocząć od trzytygodniowego urlopu. „Bezbolesne przejście”, jak to nazwał.

Bezbolesne? Jak dla kogo.

Najbardziej bezbolesnym, co mu wtedy przyszło do głowy, był ruch wcierania podkładu w miękkie policzki zmarłej kobiety, przed chwilą jeszcze napięty w stężeniu pośmiertnym, tuż przed okazaniem zwłok rodzinie.

To było bezbolesne we właściwym tego słowa znaczeniu.

Ale Margido potrzebował ludzi. Okresowa konieczność pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę nie była bezbolesna dla nikogo, zwłaszcza gdy nowy pracownik odpoczywał na leżakach w różnych miejscach Europy Środkowej, co pani Gabrielsen mogła na bieżąco śledzić, bo została jego znajomą na Facebooku. Pani Gabrielsen wiedziała również, czym jest podcast. Ale to słowa tego oślizgłego typu potraktowano poważnie, gdy raczył otworzyć usta i podzielić się swoją rozległą wiedzą o świecie komputerów.

Ta branża była dość hermetyczna. Rzadko widywało się ogłoszenia o pracy formułowane przez biura pogrzebowe, zachęcające obcych ludzi bez odpowiedniego doświadczenia do starania się o posadę wymagającą wizyt w domu opieki o różnych porach doby, pielęgnacji zwłok, organizowania pochówków i żonglerki papierami, które wałą się człowiekowi na głowę w momencie, gdy dobiega końca życie obywatela tego kraju.

Rekrutacja przebiegała z reguły wewnątrz branży, biura

pogrzebowe były zazwyczaj interesami rodzinnymi. Wszystkie dzieci z kolejnego pokolenia mogły znaleźć w tym zawodzie pracę, jeśli tylko chciały.

Poza tym nie był to biznes podlegający koniunkturze i rynkowym trendom. Ludzie zawsze umierali, niezależnie od wszystkiego. „W naszej branży nigdy nie ma martwych okresów”, jak to pewnego dnia podczas lunchu rzuciła pani Marstad, ku ogólnemu rozbawieniu. Także Margido nieźle się z tego uśmieł.

I można było na tym dobrze zarobić. Żałobnicy płacili tyle, ile usługa kosztowała, rzadko zdarzały się kłopoty z uiszczeniem opłaty po wykonanej już pracy. Branża była, krótko mówiąc, zamknięta i lukratywna. Więc gdy Margido usłyszał, że Peder Bovim szuka pracy w momencie, w którym sam zaczął myśleć o zatrudnieniu kogoś nowego, wybór wydał się oczywisty.

Peder Bovim był najmłodszym synem właścicieli Biura Pogrzebowego Bovim, Konrad i Karin Bovimowie mieli trzech synów i córkę, która wyraźnie wiodła prym wśród potomstwa i była prawą ręką ojca. Margido zatrudnił Pedera zbyt szybko, nie dając sobie czasu do namysłu. Wiedział, dlaczego tak się stało, i mógł za to winić wyłącznie siebie.

Po pierwsze, wpadł nieomal w panikę na myśl, że jego biuro nie nadąży za powszechnym galopem do świata komputerów. Po drugie zaś, żywił ogromny szacunek dla małżeństwa Bovimów i nie zakładał innej możliwości niż ta, że spłodzili oni solidnych, godnych szacunku ludzi, łącznie z najmłodszym synem.

Na komputerach chłopak się znał, tu nie zawiódł. Ale cała reszta to była w jego wykonaniu praca po łebkach, wybór najłatwiejszych rozwiązań, pójsie po linii najmniejszego oporu, wałkonienie się i odwalanie obowiązków na odczepnego. W pielęgnacji zwłok nie

chciał w ogóle uczestniczyć z powodu „zapachu, który wchodził w ubrania”; nie do pojęcia, że taki wymoczek był synem Konrada Bovima.

Jeśli istniała na tym świecie jedna rzecz, którą Margido szczerze się brzydził, to był to brak profesjonalizmu i to niezależnie od zawodu, niezależnie od zawodu!, tymczasem samo słowo „profesjonalizm” zdawało się nie istnieć w słowniku nowego pracownika. Podobnie zresztą jak słowo „wstyd”, związany z brakiem tego profesjonalizmu, tej zawodowej dumy. Chłopak był obojętny na niemal wszystko z wyjątkiem mądrości życiowych, do których dostęp dawała mu klawiatura i ekran komputera.

– Wiesz, on jest dużo młodszy od reszty rodzeństwa – zwróciła uwagę pani Marstad pewnego dnia, gdy przygotowywali do pochówku zwłoki pensjonariusza domu opieki Ilevollen.

Nie przyszło mu to wcześniej do głowy.

Taka oczywistość.

Siostra i dwaj bracia byli od Pedera dużo starsi. To wiele tłumaczyło. Rozpieszczony beniaminek, mimo że Konrad był człowiekiem godnym najwyższego zaufania. I to właśnie ten szacunek do ojca sprawiał, że wywalenie beniaminka z pracy było niemożliwe.

Jednocześnie Margido nosił w sobie nieśmiałą nadzieję, że Peder Bovim pewnego dnia dorośnie, obudzi się i poczuje, że duch dopędził w rozwoju ciało, że przepełniła go nagle ambicja zostania wybitnym konsultantem pogrzebowym, że wstanie z łóżka, ubierze się i stawi do pracy w Biurze Pogrzebowym Neshov zwarty i gotowy; z bystrym umysłem i wolą dania z siebie wszystkiego.

Niezbadane są wyroki Pana, a Peder Bovim to przecież jeszcze młody chłopak. Beztroską młodości wiele można było wyjaśnić.

Margido ledwie pamiętał, by kiedykolwiek sam był młody, zdawało mu się, że zestarzał się w dniu, gdy odkrył tajemnicę swojej rodziny. Ciężko jest cieszyć się życiem po ujrzeniu swojej matki w sytuacji, o której nie ma się siły myśleć w najmroczniejszych nawet chwilach.

Ale pamiętał, że kiedyś, mógł mieć wtedy z siedemnaście lat, biegł przez pola w stronę kościoła w Byneset, gonił zająca, w Byneset nigdy nie było zające, a on pędził i pędził, aż potknął się i runął jak długi, poharatał sobie straszliwie lewe kolano o jakieś wystające z ziemi korzenie, wszędzie było pełno krwi, zawieziono go na pogotowie w mieście, ale wszystko było mu obojętne, tęsknił tylko za tym dzikim pędem za zajacem, radością życia, którą zazwyczaj w sobie tłumił, a która nagle trysnęła w jego piersi niczym szemrzająca fontanna.

– Zając? – spytał lekarz.

– Tak.

– Pewnie oswojony królik, który komuś uciekł.

Zostawił torebkę z apteki w samochodzie, wiedząc, że jej widok wywołałby u pani Marstad serię pełnych troski pytań o zdrowie, troskę tę, rzecz jasna, cenił, choć czasami straszliwie go irytowała. Wyczuł napiętą atmosferę, gdy tylko przekroczył próg biura.

Pani Marstad i pani Gabrielsen unikały jego spojrzenia, przywitały się z nim tylko mechanicznie i wróciły do swoich obowiązków.

Peder Bovim stał przed kserokopiarką.

– Dzień dobry – powiedział Margido.

– No nie wiem, czy dobry – odrzekł chłopak, nie odwracając się do niego.

– Nie?

– No, miałem wczoraj wieczorem załatwić sprawę tego pochówku z urną – powiedział, nadal stojąc plecami do Margida.

– Zgadza się. Veronika Karlsen. Pamiętam. Chcieli ceremonię wieczorem, prawda? Jej siostra przyleciała chyba na chwilę i miała zaraz potem wracać?

– Zgadza się.

– No i...?

– Imię na urnie zostało wygrawerowane z błędem, więc zrezygnowali.

– Z błędem? Ale to przecież już zauważono w czasie ceremonii kremacji?

– No tak, ale błąd się chyba trochę rozmnożył. I przeszedł na tę urnę.

– Trochę się rozmnożył?

Margido wszedł do biura i zamknął za sobą drzwi. Nie zdejmując dłoni z klamki, zwinął usta w trąbkę i zrobił kilka gorączkowych wdechów i wydechów, myśląc jednocześnie, że to Konrad i Karin powinni byli po spółdzeniu trójki udanych dzieci zaniechać dalszego rozmnażania.

Od ceremonii kremacji Veroniki Karlsen minął już cały miesiąc.

Jedna z żałobnic, przyjaciółka zmarłej, poszła przed organizowaną w kaplicy ceremonią na cmentarz, by odnaleźć miejsce zarezerwowane na późniejszy pochówek, była to zwyczajowa procedura, bo wielu ludzi chciało złożyć kwiaty na grobie, zanim jeszcze urna spocznie w ziemi. W takim miejscu umieszczali zawsze prosty, biały drewniany krzyż z imieniem i nazwiskiem zmarłego i ta krewna, czy też przyjaciółka, zauważyła, że napisano na nim imię Veronica, przez C, po czym

popędziła do auta, gdzie miała czarny pisak, nakreśliła nim przed C na krzyżu pionową kreskę, tak że powstało coś w rodzaju K. Dlatego nikt inny nie zwrócił na to uwagi, ale ta przyjaciółka skontaktowała się z nim potem i była bardzo poruszona, niemal w szoku.

I miała ku temu dobre powody.

Margido załatwił wszystkie sprawy w związku z nekrologiem i programem ceremonii w kościele, wypełnił wszystkie papiery i formularz i oczywiście wszędzie zapisał imię właściwie, ale sam kontakt z zarządcą cmentarza i krematorium powierzył Pederowi Bovimowi. Gdy błąd został odkryty, udzielił mu ostrej reprimendy.

A teraz to.

Otworzył drzwi i wrócił na korytarz. Bovim nie stał już przy kserokopiarce, siedział przy swoim biurku i gapił się w ekran komputera.

– Wiesz, że mam ogromny szacunek dla twojego ojca? – powiedział Margido do jego odwróconej twarzy.

– Tak, spoko z niego gość.

– Spoko? Żywię wielki szacunek do twojej matki, twojego ojca i twojej siostry oraz z pewnością także do twoich dwóch starszych braci, mimo że nie znam ich zbyt dobrze, ale wiem, że pracują z waszym ojcem. Jestem zatem pewien, że to godni zaufania ludzie.

– I?

– Upadłeś dość daleko od jabłoni. Łagodnie rzecz ujmując.

– Wyluzuj.

– Mam wyluzować?

– Tak, bo oni właściwie nawet trochę się ucieszyli, że muszą zrezygnować z pochówku, zmienili zdanie i chcą teraz zamiast tego

rozsypać prochy, ale myśleli, że już za późno, żeby wszystko zmieniać. A teraz mogą to zrobić.

– Udzieliłeś im w związku z tym fachowej porady?

– O co ci chodzi?

– Znasz zasady? Oddalone od siedlisk ludzkich obszary, żadnych zabudowań ani ruchu drogowego, trzeba złożyć wnioski do wojewody, tego typu rzeczy?

– Chcą ją rozsypać przed domkiem letniskowym.

– Wykluczone. To byłoby wtedy tak zwane prywatne miejsce pochówku, prawo tego zakazuje. Zasady są tu bardzo surowe.

– Tak? Bo ja powiedziałem, że na pewno nie będzie problemu. Podoba im się myśl, że prochy użyźnią glebę, wieczny krąg natury i tak dalej...

– Popiół z pieca krematoryjnego zawiera fosforany wapnia, ludzie wychodzą z błędnego założenia, że jest tak samo czysty jak zwykły popiół z kominka.

– Ileż ty wiesz.

– Ileż ja umiem. Śmierć wymaga precyzji, Pederze Bovimie, precyzji, która tobie jest obca. Jak byś się poczuł, gdyby twoje prochy spoczęły w ziemi w trumnie z napisem Petter Bovim? Albo Peder Buvam? Inną kwestią pozostaje, że zmarły sam musi przed śmiercią wyrazić wolę rozsypania prochów.

– Ale ona to chyba zrobiła.

– Chyba? Co ci właśnie powiedziałem o precyzji?

– Zrobiła. Na pewno wyraziła takie życzenie. Tak im się wydaje.

– Przejmuję tę sprawę. Jeśli do ciebie zadzwonią, przekieruj ich do mnie. Albo nie, to ja do nich zadzwonię i to natychmiast.

– A co ja mam robić?

– Najmniej jak się da. Załatw jakieś bieżące sprawy mające związek z komputerami. Nie wstawaj od biurka.

W przerwie na lunch poszedł do kafejki za rogiem. Nie miał siły patrzeć na tępą gębę Bovima, chciał cieszyć się smacznymi kanapkami, kawą i gazetą. Będzie musiał inaczej rozdzielić obowiązki, dopilnować, by Peder Bovim nie miał żadnego kontaktu z żałobnikami ani nie ponosił jakiegokolwiek odpowiedzialności za kwestie praktyczne.

Nie pozostawiało mu to wiele możliwości, bo jedyną pracą, którą chłopak mógłby teraz wykonywać, było kontrolowanie skutków wkroczenia świata w tak zwaną erę cyfrową. Erę, która z początku dała wszystkim nadzieję na ogromną optymalizację wysiłków i możliwość zaoszczędzenia czasu, a to wszystko ku powszechnej radości całego społeczeństwa. Tymczasem nic bardziej mylnego. Starsi ludzie nie mają już nawet okienka w banku, do którego mogliby pójść. Nawet kubek kawy, który sobie właśnie kupił, musiał zostać wprowadzony do systemu na ekranie komputera, stuk, stuk, stuk w klawisze, trwało to całe wieki, przecież to śmieszne. Czuł się jak rozbitek stojący samotnie na wysepce i machający małą chusteczką za wielkim statkiem, który odpływał coraz dalej, a nikt na pokładzie nawet nie zerkał w jego kierunku.

Człowiek pięćdziesięciosześcioletni i zupełnie niedzisiejszy. Gdy jako młody mężczyzna otwierał biuro, był agentem pogrzebowym. Teraz stał się konsultantem. Nie było ani jednej rzeczy, którą można by zostawić w niezmienionej formie. Jak to możliwe, że to wszystko się stało, zanim zdążył się zorientować?

Przymknął oczy nad czytaną gazetą, z której jak na razie nie zrozumiał ani słowa, i zaczął intensywnie rozmyślać o Abrahamie.

Gdy Abraham miał pięćdziesiąt pięć lat, ukazał mu się Pan i powiedział: „Jam jest Bóg Wszechmogący. Służ Mi i bądź nieskazitelny”^[10].

Margido skinął głową i poczuł, jak jego tętno trochę się uspokaja. Miał swoją wiarę, nie był sam. Wręcz przeciwnie. A dziś zacznie brać witaminy, obetnie paznokcie i rzuci wyzwanie grzybicy.

Służył i był nieskazitelny. Nikt nie mógł mu zarzucić, że jest inaczej.



- Ależ daj jej już, kurwa, spokój. Przecież widzisz, że nie chce!
- Ale musi podnieść łapę, w końcu...
- Nie. Wcale nie musi. Ta suka jest moją liderką. Jeśli jej się nie podoba, że ją dotykasz, to ma ku temu powód.
- Nigdy jej nie lubiłam. Okazuje mi uległość. Ale ja jej nie wierzę.
- No i sama widzisz. To jest powód. Ona oczywiście czuje, że jej nie lubisz, że masz swoich faworytów. Zostaw ją, kurwa, w spokoju, natychmiast. Sam się nią zajmę.
- Masz ochotę na gofry po powrocie? Zrobiłam już ciasto.
- Pewnie. A mamy truskawki? Bez sensu jeść gofry bez truskawek.
- Kupiłam, świeże mrożone, właśnie się rozmrażają. Zblenduję je z cukrem.
- Świeże mrożone, a to nowość, ha, ha! Zupełnie jak diesel turbo. Jedno wyklucza drugie! A śmietanę mamy? Dobrą, tłustą, a nie to gównno light?
- Ależ tak. Tłuszcz będzie się perlił na truskawkach, wyluzuj.
- No to ja przejmuję tu dowodzenie. Pojedziemy z Iris na przejazd treningowy, po sześć psów w każdym zaprzęgu, zajmie

nam to jakąś godzinę do półtorej, gofry będą potem jak znalazł.

– Znów zaczęło padać.

– Kurwa. Mocno?

– Dosyć.

– W sumie to jechałem już naszą zwykłą trasą przed południem.

Tym razem możemy wybrać tę biegówkową.

– Będziecie przeszkadzać tym ludzikom obciążonym gumą.

– W dupie to mam. Moje psy niedługo startują w wyścigu Finnmarksløpet. A ci niedzielni narciarze na swojej boazerii już nie. Moja Lupine leży w domu?

– Tak, żeby baterie się nie wyładowały na mrozie.

– Iris pożyczycy tę moją starszą, zapasową. Ona też jest w środku?

– Tak, cały sprzęt był w przeglądzie.

Nie sądziła, by wiedział, jak idiotycznie brzmiał, gdy pytał o swoją „Lupine”, pewnie nie miał pojęcia, że ta nazwa może też w niektórych językach oznaczać kwiat, znienawidzony zresztą przez wielu, bo rozprzestrzeniający się jak chwast we wszystkich przydrożnych rowach. Dlatego też hodowla łubinu była w Norwegii zakazana.

Ale łubin Christera nie był znienawidzony, lecz kochany z całego serca, była to bowiem najnowsza czołówka led marki Lupine Wilma, kosztująca kilka tysięcy koron. „Czy moja Lupine leży w domu”...

– Co się tak szczerzysz?

– Nie szczerzę się. Idę do domu. Miłej przejażdżki.

– Iris też dostanie potem gofry?

– Oczywiście. Czemu niby miałabym jej odmawiać kawy i gofrów po treningu z psami?

Było w porządku. Właściwie całkiem w porządku.

Iris dopełniała jego życie. Noc w noc siedział przy komputerze, za jedyne towarzystwo mając Nasdaq, Nikkeia i Dow Jonesa, zgarbiony nad ekranami i klawiaturami, z których i dla których żył, otoczony wydrukami i papierami, spekulacja giełdowa była jego nocnym życiem, istotą namiętności, jego mózg omal nie implodował z wysiłku w ciemnościach. Za dnia mógł mu natomiast pozwalać eksplodować czysto fizyczną energią, na saniach za swoim zaprzęgiem, wokół cisza, tylko dyszące psy, żadnego pikania ekranów, surowe życie i ścieranie się z rzeczywistością, bardzo, bardzo brutalne, śnieg smagający twarz, rzęsy sklezione od lodu i oddech, nad którym ledwie panował, gdy zaprzęg rzucał się nagle w złym kierunku, sama to słyszała, wiedziała wszystko o tym, jak pracują jego płuca, zapamiętała to z czasów, kiedy jeszcze wolno jej było towarzyszyć mu na saniach i jeździć podgwiezdnymi trasami w zimowe wieczory. Ale to było już bardzo dawno temu.

Zwróciła uwagę, że nie położył na czekających na dworze saniach ciepłych skór renifera, Iris będzie więc musiała wystawiać zadek w powietrze, termometr wskazywał minus dziewięć, ale on na pewno szybko skończy, zawsze był taki napalony, gdy szykowało się bzykanie na trasie. Gdy przychodziło co do czego, trzymał mocno prawą ręką uchwyt hamulca sań, lewą dłoń zaciskając na biodrze pochylonej przed nim kobiety. O tym także wiedziała wszystko. I jeszcze o dźwięku, który z siebie wydawał, gdy kończył.

Kiedy wreszcie pojechali, a pozostałe w kennelu psy uspokoiły się po tęsknym wyciu i szczekaniu w chórze ze zwierzętami, które ruszyły w trasę, zapadł błogosławiony spokój.

Śnieg spływał na ziemię wielkimi, kosmatymi płatkami, pionowo w dół, psy się otrzepały, rozluźniły wygięte ogony i wpełzły do bud, by zagrzebać się w ciepłej słomie. Sama otrząsnęła włosy ze śniegu jak pies i zamiotła schody, choć wiedziała, że stopnie pokryją się zaraz nową warstwą białego puchu.

Skrzynkę na drewno postawiła tuż za drzwiami, podniosła ją teraz błyskawicznie, opierając ją sobie na udzie, i pobiegła truchtem do drewnutni, weszła do środka. Zawsze przystawała tuż za progiem na kilka sekund, skupiając się wyłącznie na zapachu. Woń drewna uspokajała ją niczym perfumy, był to najpiękniejszy znany jej zapach, zdarzało się, że podnosiła świeżo porąbane polana do nosa i wciągała ich aromat z zamkniętymi ustami, on się wtedy z niej śmiał, jeszcze wtedy, gdy towarzyszyła mu we wszystkim, co robił, układała szczapy drewna w sztaple i ustawiała mu na pieńku kolejne polana do porąbania.

Ale to było kiedyś. Istniało to kiedyś i istniało tu i teraz, a poza tym już za bardzo nic więcej. No i to ciasto na gofry, to była oczywiście przyszłość. I wyścig Finnmarksløpet, rzecz jasna. Ale ta przyszłość nie należała do niej, lecz wyłącznie do niego, i była czymś, na co wcale się nie cieszyła.

Pojadą w dwa auta, ona – z Owem, a w drugim samochodzie Gabi i Georg, którzy mieszkali w gospodarstwie nieopodal i startowali w Finnmarksløpet z Christerem co drugi rok, wymieniając się – raz on był maszerem, a oni jego luzakami, raz odwrotnie.

Dwanaście psów w transporterach na pakach pick-upów, Christer miał polecieć na północ samolotem, musiał być wypoczęty i wyspany. Sama droga z Maridalen do Alty zajmie im trzy dni, na północ od masywu Dovre i prawie aż do granic okręgu Nordland

nie było śniegu, widziała w „Wiadomościach” że w rejonie Trøndelagu zima jest w tym roku wyjątkowo sucha, do tego stopnia, że istnieje niebezpieczeństwo pożarów lasów. Tak czy inaczej, cudownie będzie jechać po suchych drogach. Pożary lasów znajdowały się w tym momencie na samym końcu jej listy zmartwień.

Dorzuciła do kominka w salonie i opalanego drewnem pieca w kuchni, nalała sobie kieliszek białego wina z kartonu stojącego na blacie, włączyła płytę Diany Krall.

Zazdrosna była tylko na początku. Gdy jeszcze sama nie miała pewności, jakiego rodzaju jest to związek, i wierzyła, że być może chodzi o odrobinę miłości, zanim pojęła, że to tak naprawdę coś zupełnie innego, mroczniejszego i brzydszego, z czym jednocześnie było jej wygodnie, również po tym, jak półtora roku po zamieszkaniu z nim pod jednym dachem zaszła w ciążę i poroniła samotnie w toalecie, w trzecim miesiącu, w środku nocy, kiedy on siedział przed swoimi ekranami, nie powiedziawszy mu ani słowa o ciąży, nie czując nawet potrzeby wyznania mu, że straciła dziecko, i poczuła ulgę, niemal euforię, radość, której dawno nie doświadczyła.

Gdy ból wreszcie minął, a ona wcisnęła do majtek grubą podpaszkę, wzięła sobie z lodówki zimne piwo i wypła je przed kominkiem, w którym tlił się już tylko żar, podziwiając ciepłą barwę napoju i odbijającą się w nim czerwoną poświatę polan w kominku.

To by było tyle w kwestii tego dziecka. I tyle w kwestii tych uczuć. Wiedziała, że teraz to przeżycie, to niewyobrażalnie bolesne i samotne pół godziny w toalecie, krew i ta mała grudka, której

wysunięcie się z ciała wyraźnie poczuła, całe to wspomnienie będzie wałem przeciwpowodziowym powstrzymującym uczucia, na które nie chciała sobie już więcej pozwalać.

A przecież niewiele brakowało, a zadzwoniłaby do Erlenda i Krumme z wiadomością o ciąży. Że też można być tak głupią, że też to możliwe. To pewnie były tylko hormony. I myślała sobie wtedy, połykając piwo chciwymi, wielkimi łykami: Teraz jestem wolna, teraz nie ma już na co mieć nadziei. I nie ma co się oszukiwać.

To po tym wydarzeniu postanowiła powtórzyć dwa kursy ze szkoły średniej, bez celu i sensu ani realnego planu wykraczającego poza głupawe pomysły, które przychodziły jej do głowy, gdy budziła się o świcie i zaczynała stawiać w myślach zamki na lodzie. Chciała, by czas po prostu biegł do przodu. Poza tym jeszcze tak strasznie mu współczuła.

Czy istniała na tym świecie bardziej samotna niż on istota? Może z wyjątkiem jej samej?

Byli jak dwa jeże próbujące grzać się ciepłem swoich małych ciał.

Znalazła tealighty, ustawiła je na mosiężnej tacy na stole jadalnym, między szyszkami, kamykami i innymi drobiazgami, które znalazła w lesie i przyniosła do jego drewnianej chaty.

Stał też na nim mały, zakurzony mikołaj z porcelany, jeszcze ze świąt. Oblizła palec wskazujący i przetarła jego czerwoną czapkę, po czym kucnęła tuż przy kominku i zapaliła papierosa. Christer nie tolerował palenia w domu, ale gdy robiła to nachylona nad ogniem, udawało jej się zamaskować dym dymem.

Widziała ich oczyma duszy tam na trasie, zatrzymali się pewnie

w miejscu, w którym latarnie były uszkodzone i nie świeciły, to się zdarzało, często kilka latarni obok siebie, psy sprowadzili na pobocze, kryjąc się z nimi w ciemnościach i cieniu drzew. A wtedy ta mała, drobna, ambitna dwudziestolatka ściągnęła kombinezon, tak że zwisał jej z ud niczym skóra ściągnięta z zaszlachtowanego zwierzęcia, potem zsunęła także kalesony i majtki, w czym jej zapewne pomógł, musieli załatwić to szybko, ktoś mógł się pojawić na trasie, jakiś chudzielec na boazerii, któremu nie było tak śpieszno jak innym, trenującym do biegu Wazów, człowiek nigdy nie może być pewien, jakiś czujny, dziarski emeryt, który nagle postanowił wziąć się za siebie, a psy powarkowały i były niespokojne, może już plątały uprząż, bo zatrzymały się i chciały koniecznie się ze sobą przywitać i podyszeć razem na mrozie, może trochę powalczyć, ale dwunożni towarzysze musieli załatwić swoje sprawy, oczywiście, że tak, a ta mała, ambitna dziewczynka wiążąca wielkie nadzieje z tym mężczyzną, który wysuwał się z niej właśnie z jękiem, myślała: pobrudził mi kombinezon spermą, będę musiała odwrócić go na drugą stronę i opłukać pod prysznicem w domu. Ale już kiedyś to robiła i wszystko poszło dobrze.

Ser, pomyślała, obyśmy tylko mieli ser. Najcudowniejszą rzeczą na świecie był dla niej plaster dojrzalej Norwegii na świeżym gofrze, złożonym na pół, kiedy jeszcze był gorący, tak by ser się roztopił. Zazwyczaj jadła, smażąc, i gdy stawiała w końcu tacę z goframi na stole, była już najedzona.

Znalazła w lodówce pół paczki sera w plasterkach. Sama najchętniej trzymałaby go na kuchennym blacie, żeby przez cały czas miał temperaturę pokojową, ale on zawsze konsekwentnie

chowal go do lodowki. Zamieszała przygotowane ciasto trzepaczką i dołała odrobinę wody, po czym zanurzyła nasadkę blendera w misce z truskawkami i cukrem. Zmiksowała je na gęstą, czerwoną piankę pachnącą latem, musiała podnieść miskę, by dokładniej ją obwąchać. Tak, prawdziwy zapach lata. A jednocześnie widziała śnieg na szprosach kuchennego okna nad blatem i przypomniała sobie nagle, co on powiedział niedawno o lecie, że latem będzie musiał wyciąć większość krzaków i zagajnik, który podchodził coraz bliżej kennelu, by kleszcze z zarośli nie przechodziły na psy, a potem na nich. Na nich. Latem. Taki był wszystkiego pewien.

W momencie gdy sięgnęła do szafki po kubki do kawy i talerzyki, żeby ustawić je na stole, zastanawiając się jednocześnie, czy mają serwetki – tak, chyba trochę zostało ze świąt, od Gwiazdki minęły co prawda dwa miesiące, ale świąteczne motywy pasują do takiej pogody – w tym właśnie momencie jej wzrok padł na pierwszy kubek, po który sięgnęła, żółty. Miał na górze czerwoną obwódkę i niewyraźne, wytarte logo pod uchem. Skąd on się wziął?

Do żadnego z przedmiotów w tych szafkach nie miała jakiegokolwiek stosunku, wszystko należało do niego, bo jej własne kubki stały spakowane w kartony w schowku u matki w Sandvika, to o te kartony matka wciąż suszyła jej głowę, mówiła, że musi po nie przyjechać, zabrać je, matka miała „po dziurki w nosie” tego, że zajmowała cały jej schowek, musiała przez to nawet wynająć kolejny. W pierwszym schowku stały rzeczy, które Torunn zgromadziła, dorastając, nowy zaś wypełniony był po sufit meblami i sprzętami pozostałymi po sprzedaży mieszkania w Stovner.

Nie miała pojęcia, skąd się wziął ten żółty kubek, nigdy o to nie zapytała. Jedynymi rzeczami w tym domu, które należały do niej,

były ubrania i kosmetyki, ale to wszystko, po trzech i pół roku. Gdyby ktoś pokazał jej po kolei każdy kubek, który był jej własnością, każdy z tych stojących w kartonach w Sandvika, byłyby w stanie opowiedzieć historie ich wszystkich. Kubki reklamowe, które zabrała z kliniki, z logo firmy farmaceutycznej, kilka kubków, które razem z torebką bożonarodzeniowej herbaty dostała w prezencie od kolegów, i kubki, które kupiła sama, bo podobał jej się ich kolor albo kształt.

Otworzyła drzwi szafki na oścież i przejrzała zastępy kubków w środku. Wszystkie były różne, z wyjątkiem dwóch oliwkowozielonych. Może to prezent od kogoś? Czy do nich też dołączono torebkę herbaty? Bo ciężko jej było sobie wyobrazić Christera, który wchodzi do sklepu, wskazuje na kubki do kawy i mówi: „Poproszę sześć sztuk”.

Wszystkie były jej obce. Żaden z nich nie miał nic wspólnego z jej historią. Podobnie jak talerzyki i miska z jej doskonałym ciastem na gofry, zanurzone w niej różga kuchenna i chochelka, podobnie jak gofrownica na drewnianej podstawce i sama ta drewniana podstawka. I pomyślała, że nigdy wcześniej się tym nie przejmowała, nie poświęciła temu faktowi nawet jednej myśli, to przecież tylko przedmioty, przedmioty, z których korzystali na co dzień, nie miały dla niej żadnego znaczenia.

Weszli do salonu w skarpetkach i samych kalesonach. Kombinezony zostawili na ciepłej podłodze w pralni, Iris z pewnością dopilnowała, żeby ułożyć swój tak, by Torunn nie zwróciła uwagi na plamy spermy, gdyby przypadkiem zechciała tam zajrzeć, przecież nie była głupia. Mieli zaczerwienione policzki i uśmiechali się do niej radośnie. Ściszyła muzykę.

– Mniam! Gofry – powiedział Christer.

– Cudownie – zawtórowała mu Iris.

Torunn widziała w jego oczach, że wszystko, co sobie wyobrażała, spełniło się co do joty. Samiec alfa osiągnął satysfakcję.

– Już kończę – powiedziała. – Tylko zaparzę kawy. Może któreś z was chciałoby do tego szklankę mleka?

Oboje potrząsnęli głowami.

– Napiliśmy się wody w pralni – powiedział Christer. – Strasznie byliśmy spragnieni. Psy dziś całkiem oszalały, jakby wiedziały, co je czeka.

– Bo pewnie wiedzą – stwierdziła Iris. – Przecież już wcześniej brały w tym udział.

Była taka piękna. Ciało w kształcie litery V, jak u chłopca, biodra węższe niż barki i silne ramiona, które bez trudu radziły sobie z wielkimi psami, była wysoka, prawie metr osiemdziesiąt, z ciemnymi, gęstymi włosami, falującymi i wijącymi się na wszystkie strony, zupełnie jakby w ogóle się nie starała, by wyglądały pięknie, jakby po prostu były piękne same z siebie, opadały miękko na plecy na robiony na drutach sweter, kilka kosmyków ledwie muskało kącik jej oka, figlarny loczek dotykał warg, włosy miała wszędzie i niby próbowała je okiełznać, odgarniając je niedbale za ucho, gdzie, rzecz jasna, nie miały zamiaru zostać, chodziło jej po prostu o zademonstrowanie tego wystudiowanego gestu, próby odgarnięcia sobie włosów za ucho, ale „o Boże, mam tak dużo włosów, że w ogóle tam się nie mieszczą”. No ale w końcu miała dopiero dwadzieścia lat, włosy są ważne w życiu tak młodej damy, która na dodatek właśnie została

wzięta od tyłu na środku trasy biegówkowej i pewnie udawała rozkosz, bo wszystko rozegrało się w niesprzyjającym kobiecemu orgazmowi tempie, jęczała zapewne stosownie przez tych kilka krótkich minut, jęczała, aż psy w zaprzęgu odwracały ciekawie swoje dyszące pyski, zastanawiając się, skąd ten postój.

Jedli z wilczym apetytem, każde z nich pochłoneło pięć gofrów.

– A ty nie chcesz? – spytała Iris.

– Torunn je w trakcie smażenia. Gofry z żółtym serem.

– Ale popijam sobie teraz kawę.

– Tak tu szalenie przytulnie – rzuciła Iris. – Kto to śpiewa?

– Diana Krall – wyjaśniła Torunn.

– Nigdy o niej nie słyszałam, ale to bardzo ładne. A gofry są pyszne. Naprawdę dobre. Chciałabym mieć kominek. Paliłabym w nim cały czas. Także latem, za każdym razem, kiedy by padało!

– A nie macie w domu kominka? – spytał Christer.

– Mamy, ale w salonie. A tam ciągle siedzą mama z tatą. Chciałabym mieć własny. O to mi chodziło.

– Musisz się wyprowadzić od rodziców – stwierdziła Torunn.

– To wychodzi bardzo drogo, muszę trochę poczekać. I znaleźć jakąś pracę.

– Albo wziąć kredyt studencki i wynająć stancję.

– Na stacji rzadko trafia się kominek – odrzekła Iris. – Ty to wszystko czytasz, Christer?

Dziewczyna wskazała na stolik przy fotelu w kącie pokoju, przy kominku. Leżały na nim książki, dwie z nich otwarte, grzbietami do góry.

– Nie, to Torunn – odrzekł. – Ja czytam tylko z ekranu. W zupełności mi to wystarcza i jest dużo bardziej lukratywne.

– To co masz teraz na warsztacie? – spytała Iris, wstając. Podeszła do stolika i pochyliła się nad książkami.

– Taką tam pozycję o wojnie – powiedziała Torunn, śmiejąc się nerwowo.

– Ach tak. Tej wojnie... to znaczy drugiej wojnie światowej? – spytała Iris.

– Tak. Tej właśnie wojnie – odrzekła.

Christer rozparł się na sofie i przymknął oczy. Policzki wciąż miał zaczerwienione. Nie mógł teraz zasnąć, nie chciała zostać sama z tą słodką idiotką, przecież ona należała do niego, nie do niej. Kopnęła go lekko w łydkę, otworzył oczy i spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie zasypiaj – powiedziała. – Nudno nam będzie bez ciebie. Napij się jeszcze kawy.

– Książka o kobiecie imieniem Magda? – spytała Iris. – Kto to taki? Jaki to ma związek z wojną?

– Magda Goebbels – wyjaśniła Torunn. – Zabiła sześcioro swoich dzieci.

– Sama je zabiła? W czasie wojny?

– Tak. Pod sam koniec – powiedziała Torunn.

– Te dzieci były żydowskie?

– Nie, nic z tych rzeczy. Wydawało mi się, że całkiem dużo wiem o wojnie – stwierdziła Torunn. – Właściwie to sądziłam, że wiem prawie wszystko. Ale jakiś czas temu zobaczyłam taki jeden program w telewizji i zrozumiałam, że tak naprawdę mam niewielkie pojęcie. Naprawdę niewielkie.

– Nic o tym nie mówiłaś – powiedział Christer.

Wyprostował plecy, siedział teraz pochyłony nad stołem, z łokciami na blacie.

– Może i nie. Nie pytałeś. Książki przecież tam leżą, Christer, widać, o czym są.

– A kim była ta cała Magda? – spytała Iris. – I czemu zabiła swoje dzieci?

– Chyba położę się na chwilę do łóżka – powiedział Christer.

– Nie. Nie ma mowy.

– Położyłem się dziś dopiero o wpół do siódmej...

– Zostaniesz tutaj. Napij się jeszcze kawy, to zaraz się obudzisz.

– Opowiedz lepiej Iris o tej Magdzie Goebbels – poprosił.

– A ty wiesz w ogóle, kim ona była? – spytała Torunn.

– Żoną Goebbelsa. Ministra propagandy. Tego małego kulawego chłystka, który był prawą ręką Hitlera – powiedział.

– Ojej, ile ty wiesz. A ponieważ Hitler nie miał żony, a Eva Braun, jego kochanka, była ukrywana, Magda pełniła funkcję kogoś w rodzaju pierwszej damy – uzupełniła Torunn.

– Ale co miała w sobie takiego szczególnego? To znaczy... poza tym, co mówisz? – spytała Iris, sięgając po ostatnie gofrowe serce, które zaczęła kruszyć na kawałki. Świeczki na mosiężnej tacy opromieniały jej twarz pięknym, złocistym blaskiem.

– Nie miała w sobie właściwie nic szczególnego, przynajmniej na początku, dlatego pewnie to wszystko wydaje się takie szokujące. Była piękną kobietą, matką sześciorga pięknych dzieci, które urodziła Josephowi Goebbelsowi. Miała też dorosłego syna, z poprzedniego związku, ale jego tam wtedy nie było, przeżył wojnę.

– Zastrzeliła je? – spytała Iris.

– Nie. Dzieci dostały najpierw dawkę morfiny, a potem Magda wsunęła każdemu z nich między zęby ampułkę z trucizną i docisnęła ich szczęki, tak by ją rozgnieść. Arsenik.

– O, dobry Boże. Każdemu z sześciorga?

– Tak.

– Ale dlaczego to zrobiła? – chciała wiedzieć Iris. Jej oczy stały się wielkie i błyszczące, komicznie wręcz piękne.

– Bo wojna się kończyła i wszystko było dla niej stracone. Potem razem z Goebbelsem popełnili samobójstwo. Hitler i Eva Braun też.

– Ale niewinne małe dzieci, przecież mogłyby dalej żyć? – dopytywała się dziewczyna.

– W tej książce autor nazywa często Magdę kobietą zagadką. Ale ja ją dobrze rozumiem – stwierdziła Torunn. – Nie chciała rzucać swoich dzieci wilkom na pożarcie. Za bardzo je kochała.

– Rozumiesz ją? Przecież mówisz, że ona je kochała.

– Powiedziałam, że kochała je za bardzo. Ale one były dziećmi potwora Goebbelsa. Człowieka niemal równie strasznego jak sam Hitler. Cała szóstka dostała imiona rozpoczynające się na literę H, na cześć Hitlera. Ich życie byłoby piekłem.

– Nie sądzę – powiedziała Iris.

– Nie sądzisz...? Nie sądzisz, że ich życie byłoby piekłem? W naszej małej, sielankowej Norwegii dziewczęta w twoim wieku i młodsze bito do krwi i golono im głowy tylko dlatego, że zakochały się w niewłaściwych chłopcach, czyli w niemieckich żołnierzach. W porównaniu z tymi dziećmi były właściwie niewinne. Więc, owszem, Magda zrobiła to z miłości. Te dzieci zostałyby zmiażdżone. Zniszczone. Upodlone do ostateczności.

– *Freedom's just another word for nothing left to lose*^[11] – powiedział Christer.

Krótko potem Iris chciała jechać do domu. Torunn stała, paląc

papierosa pod daszkiem na schodach, przesunęła się, robiąc miejsce wychodzącej z domu Iris, ale nie zdążyła się uchylić i dziewczyna, mijając ją, wymierzyła jej solidnego kuksańca.

– Nie masz pojęcia, o czym gadasz. To nie jest normalne rozumieć, że ktoś może zabić swoje dzieci.

– Świat nie zawsze jest przyjaznym miejscem – powiedziała Torunn.

– Mówisz tak tylko dlatego, że sama nie masz dzieci. No a teraz trochę już dla ciebie za późno.

Torunn zaciągnęła się powoli, obserwując Iris biegnącą do swojego auta w gęstej zadymce, z kombinezonem przewieszonym przez ramię, na długich, szczupłych nogach, odzianych w kalesony, wsunięte w ciepłe śniegowce z rozwiązanymi sznurówkami.

Iris cisnęła kombinezon na tylne siedzenie, zanim zdążyła odśnieżyć auto, sama już była całkiem biała, leżało na nim z piętnaście centymetrów białego puchu, Christer właściwie mógłby jej pomóc. Torunn pomachała, gdy dziewczyna wsiadła za kółko, ale jej pozdrowienie nie zostało odwzajemnione.

– Czy to naprawdę było konieczne? – zapytał, gdy wróciła do domu.

– Sama przecież pytała. Wydawała się zainteresowana. Nie powiedziałam jej poza tym, że Helga, najstarsza z rodzeństwa, została znaleziona cała posiniaczona, najpewniej nabrała podejrzeń i walczyła o życie – powiedziała Torunn, sprzątając ze stołu.

– Ojej, jak miło z twojej strony.

– Prawda?

Wpuściła Owego za kółko jako pierwszego, potem się zmienia, mieli przed sobą trzy dni w drodze na północ. Pierwszy nocleg

planowali w Stjørdal, u znajomego maszera, który miał miejsce dla ich dwunastu psów. Znow mocno padało, musieli w nieskończoność wlec się za pługiem śnieżnym, zanim w końcu wyjechali na E6 i mogli trochę przyspieszyć.

Owe był z natury milczkiem, więc zamiast rozmawiać pozwolili, by kabinę auta wypełniły dźwięki radia. Dlatego Torunn zauważyła to dopiero na pierwszym postoju w Alvdal, gdy zjechali z trasy przy rdzawoczerwonym budynku przydrożnej kafejki, spełniającym dla wszystkich kierowców funkcję naturalnej stacji pośredniej między Oslo a Trondheim, i zaparkowali obok pick-upa Gabi i Georga, który dotarł na miejsce pierwszy.

Psy obudziły się do życia, gdy tylko zatrzymali auto, zaczęły piszczeć i cisnąć się do okienek w transporterze, para ze zwierzęcych pysków unosiła się niczym wata cukrowa, na dworze było minus szesnaście stopni.

To nie Gabi siedziała razem z Georgiem przy stoliku w kafejce, śląc w ich stronę promienny uśmiech, tylko Iris. Torunn podeszła do stolika, również uśmiechnięta. Georg unikał jej spojrzenia, ale musiał się do niej zwrócić, gdy spytała:

– Gabi nie mogła jechać?

– Nie, jest jakaś afera z dziećmi jej siostry – odrzekł. – Więc została i pilnuje psów, też tych Christera, które nie pojechały, a którymi miała pierwotnie opiekować się Iris.

Ale zaraz potem odwrócił znow wzrok, zaczął rozrywać nerwowo opróżnione do połowy opakowanie cienkich placków, pomyśleć, że istnieją jeszcze kafejki, które coś takiego sprzedają, pomyślała, osiem wąskich listków w małej papierowej torebce.

– Ależ okazja ci się trafiła, Iris! Będzie na pewno superciekawie po raz pierwszy wziąć udział w Finnmarksløpet – rzekła.

– Nie mogę się już doczekać! – zaszczębiotała Iris spomiędzy burzy pięknych, bezładnie rozrzuconych loków.

– Jedliście już? – spytała Torunn. – Co dziś dobrego dają?

– Gulasz z renifera jest przepyszny – powiedziała Iris, uśmiechając się do niej, jej spojrzenie było młode, naiwne i tryumfalne, dobry Boże, ależ ty jesteś głupia, pomyślała Torunn, i żadne z ciebie niewiniątko, tylko pieprzony rekin.

– Brzmi świetnie, też to zamówię. Mają żurawinę w tych małych pojemniczkach czy porządną ze słoika?

– Porządną – odrzekł Georg. – Jest taka wielka micha żurawiny i sama sobie nakładasz, ile chcesz.

Stała przy ladzie obok Owego, czekając na obsługę. Wbiła wzrok w brązowe błoto, w którym pływały kawałki mięsa renifera, czekające na nich w kwadratowym pojemniku ze stali nierdzewnej za hartowanym szkłem, myśl o jedzeniu wydała jej się nagle odpychająca, ale Bóg jej świadkiem, że wmusi w siebie ten cholerny gulasz, z ziemniakami, żurawiną i czym tam jeszcze.

– No tak – powiedział Owe.

– Nie musisz już nic mówić – przerwała mu. – Też chcesz renifera?

Radio grało przez trzy kolejne godziny, które zajęła im droga do Trondheim. Pozwoliła, by Owe prowadził także teraz, nie miało to już żadnego znaczenia. Drogi były cudownie suche i szare, z bezśnieżnymi lasami i płaskowyżami po obu stronach, dziwne uczucie, jakby wylądować nagle na innej planecie albo w innym kraju, ale to również była przecież Norwegia. W tych stronach mówiło się o zagrożeniu pożarowym, a cały świat na południu był zasypany śniegiem. Księżyc wschodził powoli na granatowym

popołudniowym niebie. Udawała, że siedzi i drzemie, syta po obiedzie, ale tak naprawdę zbierało jej się na wymioty, mogłaby wyrzucić cały ten gulasz prosto za okno auta. Ale zamiast tego opuściła nieco szybę i zapaliła papierosa.

– On nie lubi, jak w aucie śmierdzi dymem – powiedział Owe.

– Sram na to na rzadko.

Odpalała papierosa od papierosa przez całą drogę na północ, wrzucała pety do pustej butelki z odrobiną wody na dnie, wody, która przybierała coraz ciemniejszą brązową barwę, nie chciała wyrzucać niedopałków za okno, skoro panowała taka susza. Gdy byli na wysokości Heimdalsmyra, kilka kilometrów przed Trondheim, zaczął padać deszcz. Żadne z nich tego nie skomentowało, Owe włączył tylko wycieraczki, guma była stara i sparciała, zostawiała na szybie pasy brudu i piszczała, Owe zaś odchrząknął rzetelnie kilka razy, po czym powiedział, ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie:

– Gdybyś się zastanawiała, to nie miałem pojęcia, że to ona ma...

– Nie przejmuj się – powiedziała. – I tak wiesz najwyraźniej całkiem sporo, skoro o tym wspominasz.

– Trudno jest cokolwiek powiedzieć. On całkiem...

– Nie przejmuj się, mówiłam. Zaraz będziemy w Trondheim. Możesz zatankować diesla na tej stacji benzynowej, tu na prawo.

Wskazała palcem, a on skręcił z drogi.

– Znasz te okolice?

– Tak. Jesteśmy teraz w Heimdal. Jeszcze pięćset metrów drogą E6 wzdłuż tej równiny, a zobaczysz całe miasto nad fiordem. Powiedziałeś, że nigdy wcześniej nie byłeś w Trondheim. A to całkiem ładne miasto. Ale nie będziesz przez nie jechał, E6 przechodzi w obwodnicę, wystarczy kierować się znakami.

- Jechał? Dlaczego mówisz „ty”, a nie „my”?
- Sięgnęła po torbę, którą położyła na tylnym siedzeniu.
- Bo ja się dalej nie wybieram – oświadczyła.
- Hę? Co ty gadasz?
- Zostanę tutaj. Na pewno świetnie sobie poradzicie beze mnie.
- Zostaniesz? A co tu będziesz robiła?
- Mam rodzinę w mieście.
- Ale przecież nie możesz po prostu...
- Ależ tak. Mogę. Miłej podróży. Pozdrów ode mnie resztę.
- Dobry Boże, Torunn, przecież jesteś jednym z jego luzaków!
- Luzacy rosną na drzewach, Owe. Natomiast ja nie.



Ellen i Nora urodziły się poprzez zaplanowane cesarskie cięcie tydzień po terminie. Nie było potrzeby robić tego wcześniej, ponieważ Lizzi była w bardzo dobrej formie, a cztery dni później przyszedł na świat Leon, dziesięć dni przed wyznaczonym dniem. Cała trójka miała normalną wagę urodzeniową i okazała się zdrowymi, dorodnymi niemowlakami. Leon miał troszkę ciemnych włosów na głowie, dziewczynki były całkiem łyse.

Nastało radosne szaleństwo.

Erlend nie oddychał, nie spał, nie był w stanie skupić się ani przez chwilę na jednej myśli. On i Krumme musieli od czasu do czasu mocno wziąć się nawzajem w ramiona, żeby sobie przypomnieć o własnym istnieniu, i że oni dwaj też żyją i są ważnymi osobami, w końcu przyczynili się do tego wszystkiego, dając każdy odrobinę życiodajnego eliksiru. I za każdym razem, kiedy w tym doniosłym okresie wymieniali gorący uścisk, Erlend trajkotał bez przerwy, z ustami tuż przy ciepłej, budzącej poczucie bezpieczeństwa głowie Krumme:

– Musimy dostrzegać pozytywne strony tego cyrku, mój kochany, urodziły się z trzydniowym odstępem, czyli możemy

obchodzić wszystkie urodziny razem, oczywiście powinien to być dzień dokładnie pośrodku, a zatem będą miały wspólne urodziny dwudziestego drugiego listopada, teraz bardzo modny jest temat na imprezy urodzinowe, musimy znaleźć jakiś temat łączący chłopców i dziewczynki, będziemy robić wielkie bale, wynajmować klaunów, a może kucyka, na którym dzieciaki będą mogły pojeździć...

– A gdzie to wszystko będzie się odbywało, myszko? – potrafił odpowiedzieć Krumme z nosem wtulonym w zagłębienie szyi Erlenda. – Czy naprawdę sądzisz, że kucyka da się wstawić do windy?

– Nie, do windy wykluczone, pomyśl, co będzie, jak zwierzę się zesra, metan mógłby nas wszystkich podusić. Nie, trzeba to będzie robić w ogrodzie przy Koreavej, dopóki nie kupimy domu dla nas wszystkich, kiedy dzieci trochę podrosną. Jestem tak szalenie szczęśliwy, że póki co tego nie zrobiliśmy, Krumme, że poszliśmy po rozum do głowy i poczekaliśmy, a teraz dzięki Bogu możemy jeszcze od wielkiego dzwonu wrócić do domu do własnego, wygodnego łóżka.

Po porodach zarówno Jytte, jak i Lizzi przeniosły się do prywatnej kliniki załatwionej przez Krumme, tutaj nie było mowy o normalnych procedurach, zgodnie z którymi pięć minut po tym, jak dziecko wreszcie już wyskakuje z zakrwawionej matki, proszono ją o spakowanie swoich rzeczy i zrobienie miejsca kolejnej rodzącej. Lizzi była w końcu po operacji, a Jytte oczywiście chciała być przy niej. Sama Jytte już kilka godzin po porodzie przechadzała się po korytarzu.

– Nawet nie musieli mnie szyć, wszystko ładnie się ściągnęło, jak

nie przymierzając dziurka w dupie.

Erlend nienawidził, kiedy tak mówiła, robiło mu się fizycznie niedobrze, ale nie miał odwagi powiedzieć ani słowa. Matki zmieniły się teraz w królowe, ich prawa niepodzielnie rządziły życiem, należało je nosić na rękach i spełniać wszystkie życzenia, podobnie jak w ostatniej fazie ciąży, kiedy on lub Krumme, albo też obaj na wyścigi, gnali taksówką na Koreavej o każdej porze dnia i nocy, zazwyczaj nocy, wioząc najdziwniejsze zachcianki żywieniowe, których potrzeba najwyraźniej raziła wszystkie ciężarne jak grom z jasnego nieba.

Jeśli Krumme miał wieczorny dyżur w redakcji, to Erlend zmuszony był załatwiać te sprawy sam. Głowa pękała mu w szwach, o tylu rzeczach musiał pamiętać, zbliżały się święta i wszystkie duże sklepy oraz ekskluzywne sieciówki chciały mieć oryginalne wystawy, asystenci w biurach byli totalnie przepracowani i sami zmuszeni do wynajmowania pomocników, żeby być w stanie wypełniać instrukcje Erlenda z milimetrową dokładnością i precyzją.

Wystawy miały przyciągać i błyszczeć, oddawać jego styl, na fakturze musiał być jego podpis, ale on sam ledwo miał czas, żeby wpaść i skontrolować postępy, nie mówiąc już o świętowaniu za pomocą szampana uroczystego odsłonięcia wystawy. Ani razu nie pozwolił sobie na rozkoszne ululanie się, na wypadek gdyby o godzinie jedenastej wieczorem musiał nagle wcielić się w rolę odpowiedzialnego ojca.

– To nie może być normalne. Mają zachcianki, które są chyba najgorsze w historii świata – rzekł Erlend.

– To całkowicie normalne – odparł Krumme, jako że właśnie wałkowali ten temat w „BT”. Przyszłe matki jedzą to, na co mają

ochotę, najbardziej absurdalne rzeczy, łącznie z papierem gazetowym, zdarzały się takie ciężarne, które pożerały na zakąskę nawet gazetę Krumme. Więc Krumme był bardziej wyrozumiały i posiadał więcej tajemnej wiedzy o tym szaleństwie.

Ale żeby mogło to przychodzić aż tak nagle!

– Stanę się psychicznym wrakiem, będę miał zszargane nerwy! Będą musieli mnie zamknąć! – krzyczał Erlend, kiedy z Koreavej dobiegał alarm. Telefony komórkowe rozgrzewały się do czerwoności, matki nie czekały nawet na odebranie rozmowy przez Erlenda i zaraz dzwoniły do Krumme albo odwrotnie. Należało natychmiast wypuścić z rąk robotę i obaj rzucali się do drzwi, żeby zrobić zakupy, w ostatnim okresie ciąży rzucali się, o ile to możliwe, jeszcze szybciej, gdyż za każdym razem, słysząc dzwonek telefonu, byli przekonani, że wody właśnie odeszły. Albo ujmując rzecz ściślej: obie wody.

Ale obie wody wcale nie odeszły, to była tylko kolejna desperacka zachcianka, matki musiały natychmiast dostać kiszzonego ogórka albo lody z krokantem, zielone jabłka, które bezwzględnie nie mogły być czerwone, w grę wchodziły tylko Granny Smith, musiały dostać żelki anyżkowe i cukierki Werther's Echte, a Lizzi miała zapotrzebowanie na pasztet w jego najczystszej postaci i żeby zawierał jak najwięcej wątróbki.

Zarówno dla Erlenda, jak i dla Krumme wielką tajemnicę stanowiła przyczyna, z której matki nie mogły po prostu napełnić domu aż po czubek komina tymi dziwnymi artykułami, ale najwyraźniej to nie działało w taki sposób. Bo podczas robienia zakupów potrafiły odczuwać niemal obrzydzenie w stosunku do zielonych jabłek i pasztetu, a trzy godziny później groziła im śmierć przez uduszenie, jeśli w ciągu kilku sekund nie wetkną do

ust anyżkowego cukierka lub kiszzonego ogórka. Ponadto wlewały w siebie hektolitry mleka w takim tempie, że Krumme na samą myśl o tym miał odruch wymiotny.

Lizzi zjadała również gumki do ołówków, musiały mieć aromat truskawkowy, żuła je jak szalona, ale nie połykała, tylko po zniknięciu całego smaku wypluwała przeżutą na miazgę masę do toalety albo do śmietnika. Erlend zaproponował ostrożnie zwykłą gumę do żucia, ale usłyszał w odpowiedzi, że nic nie rozumie, w czym było sporo prawdy. Bo to, dlaczego kobieta nosząca w brzuchu człowieka odczuwa skłonność do gryzienia gumki kreślarskiej o sztucznym aromacie truskawkowym, całkowicie przekraczało jego możliwości pojmowania. Na szczęście miał dość rozumu i nie zaproponował, żeby po prostu zjadała sobie parę truskawek.

Jytte natomiast tarzała się w lukrecji. Całe torebki żelków lukrecyjnych, potem przeszła na cukierki lukrecjowe firmy Panda w kolosalnych ilościach. Krumme żartował, że Leon urodzi się Murzynem, ale żarty też nie były mile widziane, a poza tym to się teraz nazywało odmienny kolor skóry. Kiedy jednak lekarz wspomniał, że anyżek powoduje wzrost poziomu cholesterolu, dała sobie odrobinę na wstrzymanie i ograniczyła się do dwóch torebek dziennie.

Miała również kompletnego świra na punkcie czarnych, spalonych końcówek zapalek. Zapalała je, czekała, aż zgasną, potem zeszkrobywała czarną siarkę z koniuszka i zjadała resztę. Nawet nie wspomniała o tym lekarzowi, ale Krumme dokonał rozeznania w sprawie i wyszło mu, że wszystko jest w porządku, chodziło o czysty węgiel, ot, zwykły suplement diety.

– Te śmieszne, małe zapalki, czy nie mogłabyś zamiast tego

wziąć porządnego polana, spalić go w piecu, a potem zjadać sobie po łyżce do posiłku, przynajmniej nie miałabyś takich czarnych palców?

Zero śmiechu. Nawet to nie było zabawne.

– Czyżbym stracił moje poczucie humoru, Krumme? Cokolwiek bym powiedział, nic ich nie rozśmieszy, kiedyś zawsze się śmiały, nawet z rzeczy, które wcale nie wydawały mi się szczególnie zabawne. Czy to przeze mnie? Przeze mnie, Krumme? Może już wypaliłem się werbalnie? Proszę, powiedz mi szczerze.

– Prawdopodobnie tak się dzieje pod koniec ciąży. Tak słyszałem. To tak, jakby permanentnie żyć w stanie wyjątkowym – wyjaśnił Krumme. – Wydaje mi się, że one ledwie słyszą, co mówisz. Na moje słowa też nie reagują. Myślą wyłącznie o brzuchach.

Które wkrótce pękną.

Matki miały szczególny apetyt na rzeczy, których absolutnie nie wolno im było jeść, takich jak sushi, niebieski ser pleśniowy czy brie albo dojrzewająca wędzona szynka. Lizzi utrzymywała, że śni jej się brie tak dojrzały, że aż płynny w środku, że budzi się z jego smakiem w ustach i chce chwycić za kieliszek czerwonego wina, a jej ręka natrafia jedynie na szklanekę letniej wody stojącą na nocnym stoliku.

– Odstała woda, pokryta na powierzchni kropkami kurzu sypialnianego – rzekła. – Co za upadek.

Dlatego z odpowiednim wyprzedzeniem przed porodami Erlend zakupił dwa owalne, lakierowane na biało kosze, jeden obciągnięty jasnobłękitnym, a drugi różowym jedwabiem, a pod tkaninę pokrywającą dno włożył warstwę filcu. Jedwab zszył trochę niestarannie i przymarszczył wzdłuż brzegu kosza, a na koniec na

uchwytach po obu końcach zawiązał kokardy w tym samym kolorze.

Było mu nieskończenie obojętne, że matki wyraźnie nie przepadały za różowym i błękitnym, a wręcz przejawiały wrogie nastawienie do tych kolorów i były zdania, że ostra czerwień i chabrowy stanowiły lepsze barwy, jeśli już w ogóle miało się wprowadzać rozróżnienie kolorystyczne między płciami. Typowe lesbijki. Wszystko zaraz sprowadzało się do polityki gender. Dobry Boże, jakież potrafiły być głupie. Czerwony był wyjątkowo potężnym kolorem, trochę zanadto powiązany ze świętami, to prawda, ale jednak wspomniał, podobnie miała się sprawa z chabrowym, tą niezwykle piękną barwą. Ale chodziło przecież o noworodki.

Nie w tym rzecz, aby kiedykolwiek widział takie dziecko na żywo, polegał po prostu na własnej intuicji. Chciał różu oraz błękitu, i basta. Czyż świeżo upieczone matki nie bywały jakoś okropnie sentymentalne? Jego bogiem był teraz Google, czytał o depresji poporodowej, zaczynającej się w chwili, kiedy adrenalinowa ekstaza tuż po porodzie zmienia się w podstępneuczucie smutku, zwane *baby blues*, któremu często towarzyszą wyrzuty sumienia, że nie skacze się z radości aż tak, jak oczekiwaloby tego otoczenie.

Właśnie w tych momentach matki powinny spoglądać na łagodne, miękkie pastele zamiast na wściekłą czerwień albo wrzaskliwy chaber.

Jako wypełnienie koszy kupił czerwone wino w małych kartonach z dozownikiem, może nie były to jakieś wyborne wina rocznikowe, ale zakładał, że po dziewięciu miesiącach abstynencji nawet wino stołowe będzie smakować jak najśłodszy nektar bogów.

Dołożył po dwie paczki minibruschetty, serwetki z motywem bociana, jedne różowe, drugie błękitne, noże do masła w takich samych pastelowych kolorach, a także plastikowe kieliszki do wina ze złotym brzegiem, bo przy swoim wiecznie katastroficznym myśleniu widział już kawałki szkła, wpadające w szeroko otwarte, niewinnie niebieskie oczy noworodków.

Oddzielny karton w lodówce został napełniony po brzegi szynką serrano i dojrzałymi serami, a na brzegu pudełka Erlend wymalował czarnym flamastrem trupa czaszkę, żeby Krumme przypadkiem nie naruszył zawartości. Brakowało już tylko paru kiści winogron, do dołożenia w ostatniej chwili, oraz ewentualnie bagietki. Pozostawała jeszcze sprawa sushi, matki dostawały ślinotoku na samą myśl o nim.

– Jeśli wody odejdą nagle, nie możemy latać po mieście w poszukiwaniu sushi, myszko.

– Przecież Lizzi będzie miała cesarkę.

Odczuwał niewymowną ulgę, że położna i lekarz sami to zaproponowali, przynajmniej dwoje z trójki dzieci uniknie wyduszania przez te kanały rodne, które wydawały mu się tak obrzydliwe, mimo że kochał ich posiadaczki.

– Nie będziemy również mogli latać po mieście za sushi w chwili, gdy Lizzi będzie miała rozkrawany brzuch w celu wyjęcia dwójki maluchów, Erlendzie. Choćby nie wiem jak dokładnie zostało to zaplanowane.

– Możemy przecież zamówić do szpitala, chyba tam też dostarczają?

– Na pewno. Sądzę jednak, że będziemy mieć w tym momencie inne zmartwienia.

– No to musi wystarczyć wino, ser i szynka serrano.

Stał, przyglądając się przez chwilę napełnionym do połowy koszom, które teraz ustawione były obok siebie na szczycie stołu w jadalni, a potem westchnął.

– O co chodzi tym razem, myszko? Te koszyki są przecież śliczne, to uroczo z twojej strony, że o tym pomyślałeś. Nawet jeśli kolory nie do końca są w guście matek. Ale tyle to na pewno wiesz sam.

– Oczywiście, że wiem i mam to całkowicie w poważaniu. Zorganizuję również balony i kwiaty w tych samych pastelowych barwach. Ale ściśle rzecz ujmując, Lizzi powinna dostać dwa kosze.

– W zupełności wystarczy jeden. Ma tylko jeden brzuch, nawet jeśli w środku jest dwójka dzieci.

– Jak patrzę na te kosze, to wszystko od razu robi się coraz bardziej realne. Czy nie dostrzegasz tego, Krumme? Czy nie widzisz, że to pierwszy niemowlęcy element w naszym domu? No dobra, może pomijając te wszystkie ubranka, które kupiłem dla osoby mającej być Eleonorą. Ale to wcale nie były ubranka dla noworodków, raczej dla małych dzieci. Cała reszta, czyli łódeczka, przewijaki, maści, pieluchy i Bóg wie, ile jeszcze innych remediów, to wszystko znajduje się przecież przy Koreavej. Kiedy ostatnio widziałeś cokolwiek różowego w tym domu, jeśli mogę zapytać?

– Masz jasnoróżową koszulę, Erlendzie. I ja też mam jedną...

– ALE CHYBA ROZUMIESZ, CO MAM NA MYŚLI!

– Dobrze już, dobrze, oczywiście, że tak – odparł Krumme.

Erlend opadł na jedno z jadalnianych krzeseł i ukrył twarz w dłoniach.

– Boże, co myśmy zrobili! I do tego trójka. Większości ludzi wystarczy jedno, żeby znaleźć się na skraju załamania nerwowego! Jezus Maria, Józefie święty, potrzebuję czterech mocnych drinków.

Co najmniej. Teraz i natychmiast.

– A co, jeśli zadzwonią?

– Wyłączymy komórki.

– Oszalałeś. Zabiją nas.

– Możemy wysłać Birte albo setera angielskiego po zakupy z dostawą do matek. Birte za pieniądze zrobi wszystko. Susy również.

– To fantastyczny pomysł. Nawet jeśli Jytte i Lizzi będą mocno wkurwione.

– Potrzebujemy choć jednego wieczoru wytchnienia, Krumme. Jednego. Zasłużyliśmy na to. Mam tak cholernie dosyć wysiadania tutaj w pełnej gotowości. Przecież to najwyższa gotowość nuklearna w wersji permanentnej. Pomyśl tylko o tych mężczyznach, żyjących stale pod jednym dachem z takimi babami, przecież oni muszą dostawać kompletnego świra, biedni faceci. Opuścimy sobie dziś wieczorem. Tak. Koniecznie!

– A co będzie, jeśli wody odejdą?

– Wtedy będziemy niewymownie szczęśliwi, mając w żyłach cztery solidne drinki, Krumme, wspomnisz moje słowa. Milion razy googlowałem sobie informacje o rodzących kobietach. Nawet gdyby przyszedł ojciec stawił się na porodówce przebrany za Kima Larsena, Supermana albo Eddiego Skollera... w ogóle tego nie zauważą, bo jedyną sprawą, o której myślą, są w tym momencie one same. W takiej chwili będziemy powietrzem, Krumme. Więc skoro tak, to równie dobrze możemy być powietrzem przesiąkniętym alkoholem.

W okresie, który nastąpił po porodach, Erlend często myślał o tym wieczorze, jedynym wolnym wieczorze, na jaki pozwolili sobie

z Krumme. Jytte oczywiście zadzwoniła, więc zaproponowali jej usługę Birte, co zostało zaakceptowane, sześć litrów mleka i słoik buraczków kosztowały w tej sytuacji tysiąc koron plus wydatek na taksówkę, kiszone ogórki nagle okazały się *passé*, zakupy zaś dostarczono pod same drzwi przy Koreavej. Jytte nawet nie była zła, co stanowiło tak wielką ulgę dla sumień przyszłych ojców, że pozwolili sobie na kilka dodatkowych drinków oraz wystawny, zaimprovizowany naprędce późny obiad okraszony szampanem, a potem na szalone igraszki wodne w jacuzzi.

– Dlaczego wcześniej na to nie wpadliśmy, Krumme? Że możemy wykorzystać Birte do takich zadań? Ta panienka po prostu uwielbia zarabiać na czarno i dostawać zapłatę wprost do ręki!

– Bo to my jesteśmy ojcami. I kochamy zarówno Jytte, jak i Lizzi oraz ich brzuchy i chcielibyśmy spełnić każdą ich zachciankę. Na zdrowie, myszko.

O tym, że szampan wlany na podkład z dużych ilości wódki nie jest specjalnie dobrym pomysłem, biorąc pod uwagę następny dzień, szybko zapomnieli, mieli ten swój beztroski, rozrywkowy wieczór, mogli o nim myśleć w chwili, gdy kilka krótkich, szybko mijających tygodni później rzeczywistość uderzyła ich z wielkim, wręcz monumentalnym rozmachem.

Erlend zawsze chwalił sam siebie za umiejętność radzenia sobie z totalnym chaosem.

– W samym środku największego zamieszania czuję w głowie pełną jasność, a mój umysł pozostaje chłodny – miał zwyczaj mawiać do Krumme, kiedy ten wracał z pracy do domu.

– To najgłupsze, co kiedykolwiek słyszałem od czasu procesów norymberskich – potrafił odpowiedzieć mu wówczas Krumme. –

Jesteś historykiem. I zawsze nim pozostaniesz.

– Ale udaje mi się zrobić różne rzeczy! Oddaję klientom skończone wystawy.

– To prawda. Bez wątpienia.

– Niekiedy czuję się geniuszem. Może nie zaraz Einsteinem, ale jednak...

– Jesteś genialny w swojej pracy. Nikt nie mógłby temu zaprzeczyć.

Erlend wiedział, że ludzie uważają, iż pod presją zachowuje się historycznie, że jest z tego doskonale znany, jednak całkiem zwyczajnie odrzucał tego rodzaju krytykę. Czuł się mianowicie historyczny, ale w sposób konstruktywny, a to była zupełnie inna sprawa.

Ta forma hysterii powodowała, że asystenci śmigali dookoła jak szczury, wykonując tuż przed odsłonięciem wystawy każde najdrobniejsze polecenie, gdy oczywiście wszystko było nie tak, brakowało najważniejszych dodatków i rekwizytów, ponieważ kurier miał wypadek albo kierowca przyjechał kurewsko naprany, manekinom odpadały ręce i nogi, bo tkaniny upięto zbyt ciasno, oświetlenie punktowe nie działało, rozstawiana drabinka przewróciła się, niwecząc syzyfową pracę, włożoną w stworzenie tła dla całej kompozycji. Wszystko mogło się zdarzyć. I tak się właśnie działo.

O ile to w ogóle możliwe, zlecniodawcy byli jeszcze bardziej wkurzeni niż on sam, zważywszy że w czasie prac wykonywanych w pocie czoła przez Erlenda i jego asystentów, a w ostatnich dniach również przez asystentów asystentów, wszystko zakryte było szarym papierem, a od strony ulicy niby przypadkiem, w stylu budowlanym, naskrobano grubym flamastrem informację, że

wystawa zostanie odsłonięta tego a tego dnia.

W głowie właściciela sklepu, póki wystawa była zasłonięta, pieniądze szerokim strumieniem wpadały prosto do rynsztoka, co skutkowało męczeniem Erlenda ciągłymi pytaniami, kiedy wszystko będzie gotowe, chociaż data wypisana była na szybie ich własnej wystawy. Można było od tego do imentu zwariować, zwłaszcza że właściciele co rusz byli świadkami jakiejś katastrofy. I nie rozumieli, że to zupełnie normalne.

Pytanie sprowadzało się do tego, jaka katastrofa się wydarzy. Oraz kiedy.

Erlend musiał w tej sytuacji z jednej strony uspokajać, a z drugiej wywarkiwać rozkazy, jednak stojąc tam w samym środku chaosu, czuł się pewnie, bo wiedział, że koniec końców wszystko będzie dobrze, a on odniesie sukces.

Erlend żywił przekonanie, że Krumme również potrafi opanowywać kryzysy w sytuacjach, gdy kurier miał wypadek albo kierowca okazywał się kurewsko naprany, lub też gdy światowej sławy celebryta odwalał kitę dziesięć minut przed oddaniem gazety do druku, a czytelnicy zgłodnieli byli szczegółów z jego życia, albo gdy trzeba było wyrzucić cały reportaż kwadrans przed wysłaniem gazety do drukarni, bo dziennikarz wyraźnie nie zachował neutralności w danej sprawie, gdyż na przykład przespał się z obiektem swojego wywiadu i w związku z tym wszystko, co zostało napisane, należało wyrzucić do kosza, a Krumme w ciągu kilku szarpiących nerwy minut musiał znaleźć coś innego do wetknięcia na tę stronę, ogłoszenia nie wystarczały, trzeba było odgrzebać jakieś stare, trzymane na półce reportaże, najlepiej coś o zdrowiu, dziedziczeniu albo nowotworach, wszystko stawało na głowie, trzeba było sprawdzać nagłówki, osób odpowiedzialnych

nigdzie nie można było znaleźć i wszyscy krzyczeli, obwiniając się nawzajem, i nikt nie wierzył, że gazeta będzie gotowa na czas, a potem każdy uważał Krumme za osobiście odpowiedzialnego za późniejsze zwolnienia z pracy.

Przychodził wtedy do domu o trzeciej w nocy i nawet nie myjąc zębów, osuwał się na podwójne łóżko obok Erlenda, snując plany zastrzelenia o świcie tego i owego ze swoich współpracowników.

– Ale przecież ty jesteś apostołem pokoju, mój drogi Krumme. Jesteś jak trzcina na wietrze, nie chciałbyś, aby komukolwiek włos spadł z głowy, wybacz ten kalambur^[12], jesteś odpowiedzią Danii na Matkę Teresę, czynisz tylko dobro, mój ty najdroższy.

– Nie dzisiejszej nocy. Dzisiaj chcę tylko zabijać. Jebanych imbecyli i amatorów, zatruwających mi życie.

– Połóż się na moim ramieniu, a wszystko ci przejdzie. Nikt nie zginie dzisiejszej nocy. A teraz śpijmy.

Katastrofa została więc zażegnana, gazeta ukazała się w terminie i kiedy słońce wzeszło nad mostem Øresund, leżała spokojnie na półkach i statywach, Krumme zaś w tym czasie pochrapywał, a przed nim rysował się już nowy dzień, pełen kolejnych terminów i nowych katastrof.

Tak wyglądała praca redaktora naczelnego w „BT” w Kopenhadze.

Nic nie mogło ich jednak na to wszystko przygotować. Dlatego pozostawało im trzymać się tego, co wspólnie uznali za swoje mocne strony.

– Jedzenie, sprzątanie i pieniądze. Jedzenie, sprzątanie i pieniądze – powtarzał Erlend niczym mantrę.

Ostatniego wieczoru przed cesarskim cięciem postanowili zwołać,

jak określił to Krumme, sztab kryzysowy w domu przy Koreavej. Moment nie został wybrany przypadkiem, poinformowane z tak krótkim wyprzedzeniem matki nie miały szans zaprotestować.

Sztab kryzysowy?!, wrzasnęła w słuchawkę Jytte, co takiego, na Boga, Krumme przez to rozumiał?

– Erlend i ja myśleliśmy o różnych sprawach. Omówimy to u was, mamy ze sobą coś do jedzenia.

Jak zwykle musieli torować sobie drogę przez korytarz. Matki lubiły robić zakupy, ale już nie tak bardzo pozbywać się opakowań. Plastik i papiery leżały ustawione w stosy wzdłuż ścian.

– Spakowałaś już swoją torbę porodową, Lizzi? – zapytał Erlend.

– Jest gotowa. Ale ściśle rzecz ujmując, jest to torba cesarska. A Jytte kupiła mi dzisiaj śliczne kapciuszki. Ciepłe. Pasujące do szlafroka. Nie żeby to było takie ważne, ale jednak. Co przyrzędził Krumme?

– Gulasz jagnięcy oraz purée ziemniaczane, które jest aż żółte od masła.

– Tak szybko się teraz najadam, mój żołądek został wciśnięty w mały kącik jamy brzusznej. Pomyśl tylko, już jutro wreszcie porządnie odetchnę.

– Jesteś gigantyczna. To wygląda jakoś nienaturalnie.

– Mój środek ciężkości został totalnie zaburzony, muszę chodzić odgięta do tyłu, żeby nie podeprzeć nosem podłogi, chyba tylko przez ostatni tydzień przytyłam ze dwa kilo.

– Super. Bo to znaczy, że dziewczynki tam w środku też przybrały na wadze – rzekł Krumme. – Gdzie jest ten duży, turkusowy garnek żeliwny firmy Le Creuset?

– Stoi na tarasie kuchennym z resztkami zupy. Dość zaschłymi,

więc pewnie trzeba go będzie mocno wyszorować.

Krumme zniknął, wzdychając.

– Nie dajemy rady wszystkiego zrobić – powiedziała Lizzi. – Ale mamy gotowe co potrzeba dla dzieci. Absolutnie wszystko. Więc o co chodzi z tym sztabem kryzysowym, jeśli Jytte dobrze usłyszała?

– To brzmi lepiej niż spotkanie kryzysowe – oświadczył Erlend. – Poczekamy, aż Jytte wyjdzie spod prysznic, i siądziemy sobie we czwórkę.

– Przerażasz mnie! Jesteście chorzy? Będziecie się rozwodzić? Macie raka?!

Po raz pierwszy od wieków Erlend napawał się pełną uwagą Lizzi. Dlatego odczekał kilka sekund, zanim odpowiedział.

– Weźcie się teraz w garść, do kurwy nędzy! – krzyknęła. – O CO CHODZI?

– Spokojnie, spokojnie! Nic złego – odparł Erlend. – Usiądź sobie na chwilkę, to rozmasuję ci barki.

– Nic nie może się teraz wypieprzyć, chyba to rozumiesz!

– I nic takiego się nie stanie. Uspokój się i napawaj magicznymi paluszkami masażysty Erlenda.

– Nie mamy zbyt wiele do zaoferowania – zaczął Krumme nad obiadem.

Jytte i Lizzi spojrzały na niego w przerażeniu.

– On ma na myśli ten czas od razu po porodzie – dodał szybko Erlend. – Macie dla nich własne jedzenie... To znaczy będziecie karmiły piersią, więc my nie możemy dawać im jeść. I noworodki są bardzo mocno związane ze swoimi matkami, to czysta biologia. Kontakt skórny i tak dalej. No a poza tym są takie małe, tak

słyszałem, że może lepiej, żebyśmy nie brali ich za dużo na rękę, no wiecie, nasze męskie, szorstkie dłonie... i...

– Co masz na myśli? – przerwała Jytte.

– Jeśli chodzi o te szorstkie, męskie dłonie, to niech Erlend mówi sam za siebie – odparł Krumme. – Ja będę chętnie zmieniał pieluchy. Ale zdaje się, że właśnie namieszaliśmy trochę, więc zacznijmy jeszcze raz od początku. Po pierwsze, załatwiłem wam miejsce w prywatnej klinice. Oczywiście póki co dla Lizzi, ale Jytte też może tam mieszkać, żebyście były razem. Możecie tam zostać, dopóki będziecie czuły taką potrzebę.

– W prywatnej klinice?

– Świetna opieka i pomoc. Doskonałe jedzenie, picie oraz wszystko, czego możecie potrzebować.

– A wy dwaj w tym czasie...

– Będziemy was odwiedzać tak często, jak tylko się da, przed pracą albo po. To oczywiste – rzekł Erlend.

– Okej – powiedziała Lizzi.

– To w sumie brzmi znakomicie – stwierdziła Jytte.

– Poza tym, póki tam będziecie, wysprzątamy dom od góry do dołu – oświadczył Erlend.

– Co takiego? – spytała Lizzi.

– Wysprzątacie dom? – dodała Jytte.

– Posprzątamy i zrobimy na błysk. Naprawdę porządnie.

– Wy dwaj? – zapytała Jytte.

– Nie, no coś ty, oszalałaś. Birte i seter angielski – odparł Erlend.

– Może mów na nią jednak Susy. Biedna dziewczyna, gdyby o tym wiedziała – rzekła Lizzi. – Ale przecież tutaj jest straszny bałagan. Jeśli pominąć kwestie dziecięce.

– Dlatego właśnie mają przyjść, moja droga – rzekł Krumme. –

Są przyzwyczajone do robienia porządków u nas, również po dość ostrych imprezach. To nadludzkie istoty, pracują jak maszyny, aż wszystko się błyszczy.

– Ale czy to oznacza, że będą grzebały w naszych prywatnych rzeczach i tak dalej...

– Tak – odparł Erlend. – Wszystko posprzątają.

– No, jakoś nie mam przekonania – rzekła Lizzi. – Zawsze same sprzątałyśmy swój dom.

– No wiesz... – zaczął Erlend, ale Krumme kopnął go w łydkę.

– Już je zamówiliśmy do pomocy – powiedział Krumme. – Zaczną jutro wieczorem.

– Zaczną?

– To pewnie potrwa kilka dni – wyjaśnił Erlend. – A wy w tym czasie będziecie oddawać się luksusom w prywatnej klinice.

Kiedy Erlend jednym tchem wymienił wszystko, co należy zrobić, Birte oceniła, że potrzebuje na to czterech–pięciu, a może nawet sześciu, albo wręcz siedmiu dni.

Dom trzeba było zdezynfekować, zwracając szczególną uwagę na kuchnię, łazienkę i toaletę dla gości, słuchawki prysznicowe miały zostać wymoczone w roztworze chloru, piekarnik wyszorowany, wentylacja zdemontowana i oczyszczona, wszelkie śmieci i zbędne przedmioty wywiezione specjalnie zamówionym transportem, materace trzeba było odkurzyć przed posłaniem czystej pościeli w łóżkach, zasłony miały być zdjęte, zaniesione do pralni i ponownie powieszona, lodówka i zamrażarka opróżnione, rozmrożone i umyte, a przydatność każdego produktu spożywczego dokładnie sprawdzona, ściany i sufity trzeba było odkurzyć i umyć, wszelki kurz z książek na półkach miał zniknąć, a wszelkie wycieraczki, szczotki do naczyń i ściereczki miały być wymienione

na nowe, a na końcu zaplanowana została wymiana odkurzacza, bo kiedy zrobią już to wszystko, stary nie będzie się do niczego nadawał.

– Tutaj chyba nie ma aż tyle do roboty – rzekła Lizzi.

– To już Birte oceni sama – odparł Erlend, wciągając duszkiem trzy łyki czerwonego wina, bo teraz nadchodził czas na najważniejsze, na ten fantastyczny pomysł, który wpadł im do głowy, kiedy kilka wieczorów wcześniej siedzieli, rozprawiając o swoich mocnych stronach: jedzeniu, sprzątaniu i pieniądzech.

– A zatem... – rzekł Krumme.

– Jest coś jeszcze? – przerwała Lizzi. – Boże, jak się najadłam. Po czterech łyżkach. Cholera. A było bardzo dobre.

– Prywatna klinika i wysprzątaný dom. To chyba wystarczy – powiedziała Jytte.

– Kiedy wrócicie do domu – zaczął Krumme. – Kiedy wrócicie do domu, już w piątkę...

– Wtedy przez całą dobę będzie tylko karmienie i pieluchy – przerwała mu Lizzi. – Jesteśmy na to przygotowane.

– Czy aby na pewno? – zapytał Krumme.

– Oczywiście, że tak. Wiemy wszystko! – stwierdziła Lizzi. – Chodziłyśmy na kurs, kupiłyśmy i przeczytałyśmy kilka książek, no i jesteśmy we dwie. Moja matka nam pomoże, a wy możecie nam robić zakupy i wszystko pójdzie jak trzeba.

– A jednak pozwoliliśmy sobie na... – zaczął znów Krumme.

– Chcemy tylko dobra dzieci – dodał Erlend. – I waszego. Nie chcemy, żebyście się wykończyły.

– To mów wreszcie, o co chodzi – stwierdziła Jytte. – Na co takiego sobie pozwoliliście.

– Nianie do dzieci – oświadczył Krumme. – Dwie pracujące na

zmianę. Nawet nie zauważycie, że ktoś tu jest, pomogą wam tylko dyskretnie w różnych pracach, żeby wszystko szło jak po maśle.

– Czyście poszaleli! – zawołała Jytte, wstając z miejsca. – Nie chcemy niczego takiego! A gdzie miałyby spać? Nie mamy miejsca na to, żeby mieszkały tu teraz dodatkowe osoby!

– Usiądź, kochana, zanim się przewrócisz, i wysłuchaj nas do końca – rzekł Erlend. – Wynajęliśmy dla nich mieszkanie w hotelu Ocean przy Strandvej w Amager, to zaraz obok, kilka minut na rowerze, mieszkanie ma w pełni wyposażoną kuchnię, nianie będą miały tam wszystko, co jest potrzebne. Jedna będzie przychodziła od szóstej rano do drugiej, następna zmieni ją i zostanie do wieczora.

– Albo ustalicie sobie jakiś inny rytm – dodał Krumme – który będzie bardziej pasował wam i dzieciom. Możecie również odesłać je do Oceanu, jeśli uznacie, że jest cicho i spokojnie, a potem poprosić którąś, żeby wskoczyła na rower w razie potrzeby, na przykład gdyby cała trójka wrzeszczała jednocześnie, a wy padałybyście z niewyspania.

– Trzy sikające maszyny z wielkimi płucami – powiedział Erlend.
– Może się zdarzyć, że jeszcze będziecie zadowolone, że możecie...

– Okej – stwierdziła nagle Lizzi.

– Okej? – zapytała Jytte. – Ależ Lizzi!

– Jytte. Mamy mężczyzn, którzy dbają o wszelkie nasze potrzeby, skarbie.

– Tylko czy my tego chcemy? Miałyśmy przecież robić wszystko same...

– To luksus, Jytte, czysty luksus. Pomyśl, jak to będzie cudownie. Będziemy jak królowe.

– Dokładnie – odparł Krumme. – Jesteście naszymi królowymi.

I musicie mieć wszystko stosownie do tego.

- Wydacie na to majątek – stwierdziła Jytte.
- Zgadza się – rzekł Krumme z zadowoleniem.

Wracając do domu taksówką, siedzieli z zamkniętymi oczami, trzymając się za ręce.

– Boże jedyny, jak mi ulżyło – powiedział Krumme – pomyśl tylko, zgodziły się na wszystko.

Jednak ulga nie była równie oczywista następnego dnia, kiedy musiał ubrać się w sterylny papierowy kombinezon, zieloną czapkę i maskę zasłaniającą usta tylko po to, żeby móc przebywać w jednym pomieszczeniu z brzuchem Lizzi.

– Wyglądasz jak policjant na miejscu zbrodni – stwierdził Erlend.

– Tak. To zdaje się jest taki sam strój jednorazowy, jakiego używa policja. Chyba zemdleję, Erlendzie. Na pewno zemdleję.

Erlend nie zdążył odpowiedzieć, bo pielęgniarka zawołała Krumme do środka. Mały grubas odziany w biały papier, ozdobiony zieloną kulą na szczycie, to był ostatni widok, jaki zapamiętał, kiedy za Krumme zamknęły się wahadłowe drzwi, teraz siedział tu opuszczony, w tej okropnej poczekalni, przełykał raz za razem ślinę, bojąc się, że zwymiotuje, czuł się samotny taką samotnością, jakiej nie zaznał od dnia, kiedy spotkał Krumme. Wszystko mogło się zdarzyć. Lizzi mogła umrzeć przy narkozie, dzieci mogły nie przeżyć, Krumme mógł dostać zawału i zejść na miejscu, a on i Jytte zostaliby samotnymi rodzicami Leona.

Jytte chciała siedzieć u wezglowia łóżka, również ona miała na sobie białe ubranie z papieru, czapkę i maseczkę na ustach. Coś na

kształt zasłony odgradzało ją od widoku. Nie była w stanie patrzeć, jak tną. Ale Krumme chciał widzieć wszystko i zamierzał upewnić się, że pierwsza wyjęta dziewczynka dostanie odpowiedni identyfikator na rączkę, ponieważ zdecydowali, że pierwsza będzie miała na imię Ellen.

Nie wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Krumme zemdłał, ale doszedł do siebie, słysząc krzyk Nory, i usłyszał, że wszystko jest w porządku w kwestii imion i opasek na przeguby. Chwiejnym krokiem wyszedł do Erlenda, który sam był półprzytomny. Erlend dla odmiany siedział w pozycji embrionalnej, usiłując ścisnąć nos własnymi kolanami. Krumme zrobił kilka kroków w jego kierunku, a po pulchnych policzkach spływały mu łzy.

– Już po wszystkim, myszko. Urodziły się.

– Żyją?

– Tak i są absolutnie doskonałe.

– Czy było dużo krwi?

– Tak. Nie widziałem co prawda wszystkiego, ale...

– Czy dzieci też były bardzo zakrwawione?

– Oczywiście. I miały na sobie gdzieś taką jakby powłokę z tłuszczu, ale już to zmywają. Chodź tu i przytul mnie, Erlendzie, złap mnie mocno, zanim znów się przewrócę.

– Znów? Zemdlałeś?

Erlend uwolnił nos z uścisku, podniósł się i objął Krumme. Ten trząsł się i płakał i Erlend czuł, że robi to samo.

Nadeszła pielęgniarka i zaprowadziła ich do innego pokoju, w którym dziewczynki miały zostać zmierzone i zważone. Erlend utkwiał w nich wzrok, oglądał ich skórę na tle białego papieru, gdy tak leżały tam na łukowato wygiętych, stalowych wagach. Drżały i krzyczały, usta miały jak otwarte dziurki w kolorze łososiowego

rózu, odcięte pępowiny sterczały, krwawiąc jeszcze z lekka.

Nieskończenie malutkie. Z jakby pomarszczonymi buziami.

Nie przypominały dzieci. Raczej płody wyjęte na światło dzienne, co w zasadzie było prawdą. Nadawanie czemuś takiemu imienia wydawało się odrobinę bezsensowne, czy to faktycznie zmieni się kiedyś w mówiące, myślące, skłonne do zabawy dziecko? Zupełnie bez związku pomyślał sobie, że tę sesję zdjęciową z profesjonalnym fotografem, którą zaplanował dla całej świeżo upieczonej, dużej rodziny, trzeba będzie zapewne przesunąć na moment, kiedy zamienią się już w normalnie wyglądające niemowlęta. Zdjęcia miały zostać zrobione w ogromnym formacie i na lata zawisnąć na ścianach, więc nie mogły przedstawiać trzech pomarszczonych mikrotwarzyczek, jako że nie było specjalnie podstaw do przypuszczeń, że Leon będzie piękniejszy, pewnie okaże się jeszcze bardziej pomarszczony, w końcu dzieci z cesarskiego cięcia były gładsze, tak przeczytał. Gładsze. No cóż... Słowo „gładki” określało w jego słowniku coś zupełnie innego niż takie dwie nieduże, lekko zdeformowane rolady jagnięce.

– Jak to możliwe, że coś tak małego jest już osobą? – rzekł Erlend.

– Ty też kiedyś taki byłeś.

Ale o tym lepiej było nie myśleć, trudno byłoby przy tym uniknąć myślenia o tej całej matce, która go urodziła.

– W ogóle czegoś takiego nie pamiętam.

Pomieszczenie pachniało krwią i mydłem. Dwie drobne istoty wymachiwały rączkami i bezradnie wierzgały nóżkami w powietrzu, przecież po raz pierwszy miały taką możliwość, wreszcie zrobiło się dość miejsca, pomyślał sobie. Ledwo był w stanie zebrać myśli, jedyne, co mu przyszło do głowy, to była

kwestia fotografa. Ich skóra pokryta była plamkami krwi, podobnie jak papier, na którym leżały, przestrzeń pomiędzy paluszkami, we włosach, w kąciakach oczu.

– Czy uważasz, że są do mnie podobne? – wyszeptał Krumme.

Erlend pochylił się nad dziewczynkami, pielęgniarka nieco go powstrzymała, ponieważ nie miał na sobie ochronnych ubrań.

– Proszę tylko patrzeć póki co – rzekła. – Lepiej ich jeszcze nie dotykać.

– Dopiero co brałem prysznic – zaprotestował Erlend.

– Oczywiście, ale mimo wszystko – odparła.

– Jak uważasz? Jak uważasz, myszko?

Oczywiście, że w niczym nie przypominały Krumme. Ich głowy były wielkości pomarańczy.

– Absolutnie tak – stwierdził Erlend. – Są takie jak ty, kropka w kropkę, nieskończenie piękne, dokładnie tak jak ty.

W sumie miał wyłącznie ochotę osunąć się na ziemię. Dobry Jezu i święta Mario, czy to te stworzenia kryły się za napiętą skórą okrywającą piłkę na brzuchu, którą karmili jabłkami, pasztetem i kiszonymi ogórkami? Dwie żywe istoty? Czy to możliwe?

Nawet jeszcze nie zaczęło docierać do niego, że Ellen i Nora stanowią część ludzkości, kiedy urodził się Leon. Wszyscy troje byli przy tym, on, Krumme i Lizzi, którą przywieziono na wózku. Wody odeszły w chwili, gdy Jytte siedziała przy łóżku Lizzi, pomagając jej karmić piersią, uznała, że to musiał być czynnik wyzwalający poród, w dosłownym tego słowa znaczeniu, bo tak bardzo chciała już przystawić do piersi własne dziecko.

Zawezwano Erlenda i Krumme, którzy rzucili wszystko, co mieli w rękach, w wypadku Erlenda był to jego własny penis, bo gdy

zadzwoił telefon, stał właśnie przed pisuarem w ekskluzywnym sklepie z wyposażeniem wewnątrz Illums Bolighus, Krumme natomiast zostawił całą swoją tacę z lunchem w automacie do kawy i popędził do szpitala.

– Spore zgromadzenie – zauważył lekarz.

– Mamy jeszcze dwa noworodki, czekają na zewnątrz – oświadczył Krumme zza maseczki. – Razem z moim ojcem.

– Czy on nie ma ochoty wejść? – zapytał lekarz. – Na pewno znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego.

– Nie wytrzyma widoku krwi – odpowiedział Krumme, nie rozumiawszy ironii.

Erlend tylko w przelocie przywitał się ze starym Thomsenem, zanim weszli do środka, nigdy nie czuł się komfortowo w obecności ojca Krumme i nic nie zmieniło się w tej kwestii na lepsze po tym, jak zadzwonił do niego po pijaku, nazywając go „wielkim sterowcem rozdętym helem”. Zdecydowanie wolał znaleźć się na porodówce, a Jytte była fantastyczna, nie krzyczała ani nie szalała tak jak prawie wszystkie rodzące, które oglądał na YouTube.

Oddychała głośno i z wysiłkiem, pozwalając głaskać się po plecach i ramionach Lizzi, której wózek ustawiono tuż przy łóżku. Po podaniu znieczulenia zewnątrzoponowego zrobiła się zupełnie rozanielona.

– Będę matką – powtarzała w kółko. – Będę matką. Ja też będę matką, moja kochana Lizzi.

– A twój koszyk jest jasnoniebieski, Jytte – rzekł Erlend. – Dostaniesz go później.

– Ty i te twoje pastelowe kolory – powiedziała Lizzi. – Jesteś fantastycznym facetem, Erlendzie, wiesz o tym?

– Wie – odparł Krumme. – Ciągłe mu to powtarzam.

Erlend nie miał odwagi spoglądać między nogi Jytte, ale Krumme odważył się i na to. Nawet na samym końcu, kiedy Jytte wydała z siebie kilka zwierzęcych dźwięków, Krumme nieomal rzucił się między jej uda, żeby zobaczyć dokładnie.

– Spokojnie, spokojnie! – rzekła położna.

– Przepraszam – stropił się Krumme.

– Wszystko w porządku. I nawet nie muszę nacinać krocza, wszystko wygląda bardzo dobrze.

Po chwili Leon już tam był, w kałuży krwi i płynów, na końcu grubego, niebieskawo-białego sznura pępowinowego, z którego zaraz miały zostać pobrane komórki macierzyste do zamrożenia, to również działo się za pieniądze Krumme, dla wszystkich trojga dzieci.

Głowa Leona była większa niż głowy dziewczynek, przypominała bardziej mango, pomyślał Erlend, nie będąc w stanie oderwać od niego wzroku. Drobne usteczka, wargi, zaciskające i otwierające się rączki, paluszki u nóg, małe, niebieskawe paznokcie, siusiak, włoski, i pomyśleć, że miał włoski, cały malutki chłopiec był mokry i błyszczący, tak piękny, że aż nie do pojęcia.

– Leonie – wyszeptał. – Najpiękniejszy Leonie na świecie.

– Czy ktoś chce przeciąć? – zapytała położna. – Kto z was jest...

– Obaj – odparł szybko Erlend.

Razem schwycili nożyczki, potem pulchne, zaokrąglone palce Krumme ukryły się głęboko w dłoni Erlenda i wspólnie przecięli pępowinę, zupełnie jakby chodziło o kawałek weselnego tortu, Erlendowi nawet przez myśl nie przeszło, żeby krew ciekąca po obu stronach dziwnych, małych nożyczek miała być czymś obrzydliwym.

– Od tej chwili świat zmienił się na zawsze – oświadczył Krumme. – Jesteśmy siedmioosobową rodziną.

– Zaczyna się nowa epoka – dodał Erlend.

A potem stało się to, czego nikt z nich do końca się nie spodziewał. Zakochani, zaczarowani, jeśli tylko nie byli w pracy, obaj nie potrafili trzymać się z daleka.

Byli święcie przekonani, że w pierwszym okresie będą całkowicie zbyteczni, że tylko matki są potrzebne, i w sumie pominąwszy zakupy i przygotowywanie posiłków, tak właśnie było w każdej sprawie, jednak to, że sami będą chcieli mimo wszystko przebywać cały czas w pobliżu dzieci, spadło na nich jak grom z jasnego nieba.

– Mógłbym dla nich zabić – powiedział pewnego dnia Krumme. – Oddałbym za nie własne życie.

– Ja również – dodał Erlend, mocno przyciskając Krumme do piersi.

Bo wokół panował totalny chaos, nawet odkażony dom i dwie nianie nie były w stanie temu zapobiec. Leon i bliźniaczki nigdy nie spali w tym samym czasie, Erlend miał uczucie, że nieustannie otoczony jest wilgotnymi od mleka piersiami i szeroko otwartymi ustami oraz pieluchami o zapachu kwaśnego jogurtu, poza tym równym strumieniem bez przerwy napływali wizytujący. Pojawiła się nawet snobistyczna, niemila siostra Krumme i koniecznie chciała się dowiedzieć, które z dzieci spłodził Krumme.

– Ojciec jest zdania, że dziewczynki – powiedziała.

– Chyba nie ma żadnych podstaw, żeby tak myśleć? – zapytał Krumme.

– Był z nimi przez chwilę sam i miał wrażenie, że są do ciebie

podobne – rzekła siostra. – Kiedy rodził się chłopiec.

– Ach tak. Ale wszyscy czworo zamierzamy adoptować nawzajem swoje dzieci, wynajęliśmy już adwokatów w tej sprawie, wszystko zostanie solidnie załatwione, więc przekaz ojcu pozdrowienia i powiedz, że urodziło mu się troje wnuków. Nie dwoje. Nie jedno. Tylko troje.

Różowe i błękitne balony zwisały pod sufitem, zbierając kurz, a pełne chaosu dni powoli zmieniały się w codzienność okraszoną z lekka pewną przewidywalnością. W Wigilię dali nianiom wolne, dzieci skończyły zaledwie miesiąc, w domu przy Gråbrødretorv nie widać było śladu przygotowań świątecznych, wpadali tam tylko wziąć prysznic, wyspać się i przebrać.

– Odbijemy to sobie później – rzekł Erlend. – Przecież w całym naszym życiu tylko te jedne święta będą takie, więc nie ma to znaczenia.

– Nigdy nie sądziłem, że usłyszę z twoich ust coś takiego – odparł Krumme. – Wydoroślałeś, Erlendzie. Nawet ja to widzę, a przyznam szczerze, wydawało mi się to niemożliwe. Tak bardzo cię kocham.

– Odłożymy też na później kwestię prezentów. Tak sobie myślałem, że możemy w tym roku zrobić odroczoną Wigilię, na przykład w jakąś marcową sobotę. Weźmiemy wolne, przyrządzimy sobie smakowitą, tłustą kaczkę i otworzymy prezenty.

Erlend chciał, aby Krumme uczestniczył wówczas w ustawianiu cudownych figurek Swarovskiego z serii niemowlęcej, które Erlend już zamówił i dostał do domu, ale nawet nie miał jeszcze czasu, żeby dokładnie im się przyjrzeć. Małe, kryształowe misie,

trzymające różowe albo niebieskie serduszka, miniaturowe smoczki i buteleczki z fasetowym szlifem, bociany z niemowlęciem w kryształowym woreczku, zawiązanym na dziobie złotą wstążką.

Po raz pierwszy w życiu Krumme miał wziąć udział w tworzeniu kompozycji w witrynie Erlenda, uczestniczyć w ustawianiu nowych figurek i planowaniu oświetlenia, żeby wszystko pasowało do ponad stu pięknych przedmiotów stojących tam już od dawna, była to powolna, cudowna praca, którą dotychczas Erlend wykonywał wyłącznie sam.

Erlend nawet nie rozważał kupienia niemowlęcych figurek Swarovskiego w prezencie matkom, chociaż była to w jego oczach najpiękniejsza rzecz na świecie. Serce by mu pękło, gdyby zobaczył te cuda ustawione gdzieś przypadkowo na półce z książkami, między przywiedłą rośliną a jednotomowym leksykonem, oblepionym żółtymi karteczkami. Z dwóch koszyków, jakie im podarował, różowy stał teraz na podłodze w łazience jako miejsce na czyste śpioszki, a koszyk Leona znajdował się na końcu blatu kuchennego i było w nim wszystko, począwszy od cebuli i cytryn, a skończywszy na wkładkach laktacyjnych i broszurach reklamowych.

Bez pomocy niań Wigilia przy Koreavej przebiegała gorączkowo.

Krumme bardzo rozsądnie ograniczył się do przygotowania na blacie w kuchni smakowitego i zróżnicowanego szwedzkiego stołu, talerze i czerwone serwetki ułożył w małym stosiku tuż obok, więc każdy mógł o dowolnej porze zjeść to, na co miał ochotę.

Zarówno Nora, jak i Leon cierpieli na kolki, więc Jytte i Erlend biegali po mieszkaniu, nosząc każdy swoje zawiniątko. Chodzili tak przez czas, który zdawał się długimi godzinami, a Lizzi w tym

czasie karmiła Ellen, Krumme zaś sprzątał w łazience i wynosił śmieci. Tego wieczoru Krumme i Erlend zostali na noc, Erlend w małym pokoju gościnnym w śmiesznie wąskim łóżku, na pewno nie szerszym niż dziewięćdziesiąt centymetrów, a Krumme na jednej z sof w salonie, i o godzinie szóstej rano pierwszego dnia świąt znów ruszyli do roboty.

Kiedy jedna z niań stawiała się zgodnie z umową o trzeciej po południu, Krumme ucałował ją w oba policzki.

Po dwóch miesiącach radzili już sobie wieczorami bez pomocy niań. Rytm snu i czuwania dzieci zaczął być przewidywalny i pod koniec stycznia Krumme zaproponował zjedzenie eleganckiego obiadu, który stanowiłby coś więcej niż wrzucenie w siebie jedzenia, czyli co najmniej trzydaniowego posiłku, mieli wspólnie usiąść przy stole, przy winie i zapalonych świecach.

Matki pragnęły się wystroić.

– Będzie to pierwszy raz od porodu, kiedy użyję tuszu do rzęs – rzekła Jytte, owijając się szczelniej szlafrokiem, jeden koniec paska zwisał jej krzywo po prawej stronie, a sam szlafrok przesiąknięty był na przedzie po obu stronach żółtawymi, podeschłymi plamami z mleka, na ramionach miał ponadto kilka ciemniejszych plam po ulaniach.

– Będzie miło to zobaczyć – rzekła Lizzi, obejmując ją. – A ja się uczeszę. Możesz mi wierzyć lub nie.

Krumme działał już w kuchni, nucąc coś pod nosem. Erlend uprzątnął stół jadalny, nakrył go, ustawiając talerze i kładąc serwetki, przyozdobił czerwonymi różami i chabrami – przy każdym talerzu położył drobny kwiat róży, wstawił świeczki do

srebrnych podstawek, kiedy nagle zastygł z kilkoma błękitnymi świeczkami w dłoni i zapatrzył się przed siebie.

Usłyszał, jak matki przekomarzają się i szczebioczą do siebie w łazience, dzieci spały, Leon został właśnie nakarmiony i ułożony do snu, Ellen i Nora spały już od godziny, trochę niespokojnie, obie miały problemy z żołądkiem, Lizzi sądziła, że przyczyną mogło być kilka plasterów cebuli na jej kanapce z salami.

Erlend wyjrzał przez okno w styczniowy mrok, spadł śnieg, na święta było goło, ale teraz śniegu napadało całkiem sporo. Nadsluchiwał dźwięków dobiegających z domu, Krumme, matki, brzęk rondli w kuchni. I poczuł wdzięczność tak wielką, że prawie zrobiło mu się niedobrze. Stał tu oto, otoczony swoją rodziną.

On.

Erlend Neshov.

Pedał, który jako młody człowiek został odrzucony przez własną matkę, w chwili, gdy był jeszcze całkowicie bezradny. Sam na świecie, dopóki nie spotkał Krumme.

Spotkał Krumme.

Jak ktoś tak beznadziejny jak on mógł zasługiwać, by spotkać Krumme? A jednak tak się stało. Czy możliwe jest tak wielkie szczęście? Czy bycie tak szczęśliwym nie jest po prostu niebezpieczne? Oczywiście, że tak. Za chwilę zdarzy się coś okropnego. To było nieuchronne. Coś okropnego, a nawet gorszego niż okropne, coś najbardziej przerażającego.

Podniósł jeden wazon z różami, żeby przestawić go nieco bardziej na prawo, ale wtedy wazon wysunął mu się z rąk i przewrócił, a woda rozlała się po całym stole, na serwetki, podkładki i talerze, a potem pociekła dalej na podłogę, gdzie rozdzieliła się na liczne, małe strumienie, a róże leżały w nich niczym cienkie, połamane

szparagi.

Krumme przybiegł z kuchni.

– Co się stało? Och, Boże... a tak się napracowałeś!

Erlend stał zupełnie nieruchomo, patrząc na mokre róże na deskach podłogi, potem podniósł wzrok i omiół spojrzeniem zdewastowaną aranżację stołu, napotykać po drodze współczujące oczy Krumme.

– E tam – stwierdził. – Po prostu zrobię wszystko od nowa. Nie ma problemu. Czuję ulgę, że tak się stało.

– Ulgę? – zapytał Krumme. – Że wszystko oblałeś?

– Tak – odparł. – Właśnie tak.



– „Miłość nigdy nie ustaje, nie jest jak proroctwa, które się skończą, choć zniknie dar języków i choć wiedzy już nie stanie. Po części bowiem tylko poznajemy i po części prorokujemy. Gdy zaś przyjdzie to, co jest doskonałe, zniknie to, co jest tylko częściowe. Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się... dorosły, wyzbyłem się tego, co dziecinne. Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś ujrzymy twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś będę poznawał tak, jak sam zostałem poznany. Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy: największa z nich jednak jest miłość”^[13].

Dziewczynka stała z pochyloną głową w nogach trumny, dłonie miała splecione. Jej długie, chude palce były aż sine od kurczowego zaciskania. Nie widział, by płakała, jedyne, co był w stanie dostrzec, czytając, to jej przedziałek, idealnie prosty, jak nakreślony ostrzem noża w blond włosach na różowej skórze głowy, i dwa cienkie, ciasne warkoczyki, drżące w powietrzu przed jej twarzą. Na końcach miały niebieskie gumki, z których uwolniło się kilka niesfornych kosmyków.

Nie robił tego nigdy, nie pozwalał sobie na takie poprawianie tekstu biblijnego. Ale ponieważ czytanie przy okazaniu zwłok było skierowane przede wszystkim do tej małej dziewczynki, przyszło mu po prostu nagle do głowy, że nie powinien wypowiadać „kiedy zaś stałem się mężem”. Byłoby wtedy niemal tak, jakby to „ja” dotyczyło jego samego, Margida, a tak przecież nie można, pojał to instynktownie.

Nie był to też tekst, na który decydował się zbyt często przy okazaniu zwłok. Rozdział trzynasty Pierwszego listu świętego Pawła do Koryntian czytany bywał tak regularnie, że jego zdaniem trochę już spowszedniał, szczególnie chyba na ślubach. Mimo to osobiście go uwielbiał. Ale czytając, musiał się mocno wysilać, by nie odpływać gdzieś myślami i nie dukać kolejnych słów na autopilocie. Skupiał się na pauzach i intonacji, istotnych, by tekst nabrał w uszach odbiorcy odpowiedniej wagi i znaczenia, mimo że – wstyd przyznać – on sam stał tam, pragnąc tak naprawdę znaleźć się gdzie indziej, odpocząć, przymknąć oczy i powoli zapaść w sen.

Ale ta dziewczynka, Marit, miała zaledwie dziesięć lat, musiał więc wziąć się w garść. Może słuchała tych biblijnych słów po raz pierwszy w życiu, miło więc było je dla niej czytać, niezależnie od tego, co rodzice, stojący tuż za jej plecami, myśleli na ten temat. Dlatego wczuwał się w tekst z czystej przekory i poczuł nawet coś w rodzaju dumy ze swojej spontanicznej decyzji o wymianie tego jednego słowa.

Matka wyjaśniła mu całą sytuację przez telefon, gdy ustalali godzinę okazania zwłok, powiedziała, że ona i jej mąż są świeckimi humanistami i ateistami, a ich córka została nawrócona przez

swoją umierającą babkę, gdy czuwała przy niej przez te dwa ostatnie miesiące jej życia. Marit odwiedzała starszą panią niemal codziennie, bo ośrodek opieki leżał tuż przy jej domu rodzinnym.

Dziewczynka była jedyną wnuczką zmarłej, bardzo związaną ze swoją babcią, ale rodzice czuli się teraz, rzecz jasna, zupełnie zdruzgotani.

– Bo dziecko się nawróciło? – spytał Margido.

Owszem. Zastanawiali się nawet, czy nie posłać Marit do psychologa, bo ich zdaniem dziewczynka wypierała w ten sposób rozpacz po śmierci babci.

– Ja również jestem wierzący, ale nie muszę z tego powodu chodzić do psychologa.

Ależ niech nawet przez chwilę nie myśli, że oni nie mają najwyższego szacunku dla jego wiary. Nic z tych rzeczy. Nie są żadnymi fanatykami, absolutnie nie. Kobieta zadeklarowała, że kocha architekturę sakralną, całą osnutą wokół niej historię. Podróżując w nowe miejsca, zawsze odwiedzają kościoły, a ona lubi wiele psalmów i jest zdania, że to jakiś absurd, by norwescy uczniowie nie mogli chodzić na nabożeństwo bożonarodzeniowe w ostatni dzień szkoły przed świętami tylko dlatego, że sprzeciwia się temu niewielka mniejszość. Ale Marit miała tylko dziesięć lat. Była dzieckiem. Co ona wie o wierze w jakiegoś wymyślonego Boga. To wszystko takie przytłaczające. Chyba głównie dla samej matki, bo jej mąż dorastał przecież w domu tradycyjnym, ujmijmy to w ten sposób, i bardziej do tego przywykł.

– Ale teraz sytuacja jest taka, że państwa córka czuje tak, a nie inaczej. Mimo że to dziecko. Zakładam, że jej babka, Pernille Haugstad, była wierząca.

A pewnie, że była, zapewniła go matka. I to wierząca aż do

znudzenia, na każdą sytuację miała jakiś biblijny cytat.

– Czyli to znaczy, że... Marit także z tym dorastała? A teraz dopiero zaczęła...

Tak, bo wcześniej udawało im się to jakoś równoważyć, dawali radę rozsądnie korygować przemyślenia córki, dawali jej logiczną i konkretną informację zwrotną. Ale w ostatnim czasie dziewczynka spędzała tyle czasu sam na sam z babcią, która jeszcze do tego wszystkiego była umierająca. To pewnie ta okoliczność przeważała w końcu szalę i popchnęła ją w to wszystko. Bliskość, strach i żaloba.

Popchnęła ją w to wszystko, pomyślał Margido.

Zupełnie jakby ta mała dziewczynka spadła w jakąś przepaść. Poczuł, że nie może dłużej pozwolić, by rozmowa posuwała się w tym kierunku, i uświadomił sobie nagle, że wypełnił niemal pół strony notatnika nieforemnymi bazgrołami. Poczuł również rozpaczliwą bezradność na myśl, że być może będzie musiał pomówić z dziewczynką sam na sam, nie miał pojęcia, jak się rozmawia z dziesięciolatkami, czy w ogóle kiedykolwiek to robił? Ale tak czy inaczej, za dziecko odpowiedzialni są jego rodzice, a nie on, po co się w ogóle tym przejmował. Chodziło teraz o to, by profesjonalnie załatwić sprawę i uszanować przy tym życzenia zmarłej.

– Musimy się spotkać, by uzgodnić szczegóły ceremonii. Pasuje pani dzisiaj o pierwszej?

No tak, ceremonia. Czyli to musi być w kościele, prawda?

– Zmarła życzyła sobie zapewne ceremonii religijnej? Skoro była wierząca?

Nigdy o tym nie rozmawiali, teściowa wspomniała tylko, że chce, by zaśpiewali „Ujmij więc moje dłonie”. Pewnie uznała to za

oczywiste, że odbędzie się kościelne nabożeństwo.

– To przecież zresztą naturalne. Jeśli jest się wierzącym, to chce się, rzecz jasna, żeby...

Ale to w końcu oni mieli się z nią pożegnać i mieć poczucie, że to pożegnanie jest właściwe i autentyczne. Bardzo ją kochali. A teraz mieliby niby tam siedzieć i udawać, że czczą Jezusa.

– To zależy tylko od państwa. Nie mamy odrębnego miejsca do ceremonii, którymi dysponują czasem większe biura pogrzebowe, ale przy kościele w Moholt jest bardzo piękna sala. Można także zaśpiewać psalm wybrany przez zmarłą. Pozwalają tam samemu decydować o programie uroczystości. Oczywiście w granicach zdrowego rozsądku.

Ojej. No nie. Chyba to będzie trzeba zrobić w kościele, stwierdziła matka. W takiej sytuacji. Skoro sprawy z Marit tak wyglądają.

Marit uniosła ku niemu twarz, gdy odczytał ostatnie słowa, „największa z nich jednak jest miłość”. To ku niemu uniosła twarz. Nie ku rodzicom. Tym, którzy powinni nieść jej pociechę.

– Tak – powiedziała. – Babcia też to mówiła. Że miłość jest największa.

– To dobrze – odrzekł.

Pomiędzy nimi leżała zmarła, z wciąż odsłoniętą twarzą i złożonymi rękoma. Umalował ją trochę, kładąc nieco rózu na policzki i odrobinę cielistego kremu na powieki, które ze swoim naturalnym, pośmiertnym kolorem, sprawiałyby wrażenie o wiele bardziej zapadniętych. Blade wargi pociągnął czerwoną szminką i elegancko ułożył włosy na kredowobiałej poduszce. Rodzice Marit wybrali standardowy model trumny.

– I babcia mówiła jeszcze, że Jezus zapisał ją na zawsze w swoim sercu i że wkrótce do niego pójdzie.

– Ach tak. Tak ci mówiła.

– Ale co to znaczy? Nie wytłumaczyła mi, bo powiedziała to dzień przed śmiercią, a potem już leżała całkiem nieprzytomna. Rozumiem, że miała zaraz iść do Jezusa, ale to z tym pisaniem, co to znaczy?

Rodzice stali w głębi sali, odsunięci nieco od trumny. Tkwili obok siebie, nie trzymali się za ręce, nie złożyli też dłoni.

Szybkie spojrzenie z ukosa przekonało go, że gdy Marit zadała swoje pytanie, wbili w niego pełen napięcia wzrok. Stali tam, przestępując nerwowo z nogi na nogę, zostawiając na linoleum wokół siebie mokre od deszczu ślady, po czterech miesiącach zimowej suszy i zagrożenia pożarowego zaczęło wreszcie padać, to wszystko zdążył pomyśleć, zanim musiał jej odpowiedzieć, ale wtedy okazało się to wcale nie takie trudne. Widok zdenerwowanych rodziców przekonanych, że ich dziecko zostało zepchnięte w przepaść i stoczyło się do otchłani, pozwolił mu znaleźć prostotę i szczerłość w tej odpowiedzi, bo oni przecież rzecz jasną kochali swoją córkę, mimo że chcieli posłać ją do psychologa, albo właśnie dlatego, kochali ją i ubóstwiali tak, jak Jezus kochał wszystkie dzieci, i dlatego poszedł za nie na śmierć, tak jak i oni poszliby na śmierć dla swojej córki, gdyby tylko tego od nich zażądano.

– To znaczy, że Jezus o niej nie zapomniał. Że cały czas o niej pamiętał. I że rozpozna ją, gdy do niego przyjdzie.

– Tak jest ze wszystkimi? Ma ich u siebie zapisanych? Wszystkie imiona? Pernille? Albo Marit?

– Jezus pamięta o wszystkich. Nawet o tych, którzy w niego nie

wierzą.

– Więc moje imię, Marit, też ma zapisane?

– Tak.

Nie mógł odpowiedzieć inaczej. Nie potrafił. To była jego wiara. Nie mógł stać przed tą dziewczynką i kłamać.

– I sama to zobaczę? Jak umrę?

– On o tobie pamięta, cały czas, przez całe twoje życie. Dużo czasu minie, zanim umrzesz. Musisz najpierw przeżyć całe życie. To dla Jezusa bardzo ważne. Żebyś żyła i miała się dobrze.

– Wie pan to na pewno?

– Wiem to z całą pewnością. On chce, żebyś długo żyła tu na ziemi i była dobrym człowiekiem, dobrym dla siebie samej i dla tych, których kochasz i którzy kochają ciebie. Chcesz teraz przykryć twarz babci całunem? To ten kawałek materiału, który leży złożony obok niej, na poduszce. A potem twój tata i ja zamkniemy wieko, a ty będziesz nam mogła pomóc przykręcić śruby.

– Mam coś, co trzeba włożyć do trumny – powiedziała Marit.

– Co takiego...? – wyrwało się jej matce.

Dziewczynka wyjęła z kieszeni kopertę i małą, niebieską futrzaną maskotkę, po czym podeszła do trumny.

– List? – spytała matka.

– Tak. Do babci i Jezusa. Będą go mogli razem przeczytać. Chcę go jej włożyć pod rękę, mogę?

– Oczywiście – odrzekł Margido. – Uniosę je dla ciebie.

Potem dziewczynka przykryła twarz babci całunem, a jej ojciec i Margido zamknęli wieko trumny. Mała zaczęła płakać, cicho wydając z siebie zduszone, urywane łkanie, i matka przyciągnęła ją do siebie. Margido okrążył trumnę i umieścił wszystkie śruby

w otworach, nie dokręcając ich jeszcze.

Były to dobre śruby, z białymi plastikowymi skrzydełkami, za które łatwo było złapać, z otworami nigdy nie było żadnych problemów i nie trzeba było się męczyć z ich wkręcaniem. Dobry przykład precyzyjnej obróbki maszynowej, dałby swojemu dostawcy trumien do wiwatu, gdyby choć jeden jedyny raz miał kłopoty z wkręceniem śruby w obecności bliskich zmarłego. Zamocowanie wieka było bardzo istotnym, symbolicznym momentem, który pomagał bliskim przejść do kolejnego etapu żałoby, pogodzić się z myślą o utracie ukochanej osoby. Szarpanie się z krzywymi śrubami było w takiej chwili nie do pomyślenia.

Dziewczynka okrążyła trumnę, pociągając nosem, i zaczęła dokręcać śruby, jej ojciec i matka zabrali się do tego od swojej strony. Margido stał w milczeniu i czekał, przyglądając się białym gromnicom. Zarejestrował, że w sali nie ma przeciągu, żółtawe płomienie stały na baczność, paląc się spokojnie.

– Moglibyśmy zaśpiewać tę piosenkę, którą chciała usłyszeć babcia? – spytała dziewczynka.

– Teraz? – zdziwił się jej ojciec. – Przecież to dopiero na pogrzeb.

– Ale chyba możemy zaśpiewać ją i teraz? – nalegała mała.

– Nie znamy przecież tekstu – odrzekła jej matka. – Ani melodii.

Dziewczynka zerknęła szybko na Margida.

– Zawsze mam przy sobie śpiewnik – powiedział. – Jest w nim ta pieśń.

Wyjął ze swojej teczki psalterz i otworzył go na psalmie numer sześćset osiem.

– Ty i... pan Neshov możecie zaśpiewać, skoro mamy tylko jeden tekst – powiedziała matka.

– Znam go na pamięć, więc państwo mogą wziąć śpiewnik,

proszę bardzo. A melodię słyszeliście na pewno wiele razy – powiedział Margido i zaintonował pieśń.

Szybko podchwycili melodię i odśpiewali wszystkie trzy krótkie strofy.

– „Ujmij więc moje dłonie i kroczy razem przed siebie, nim wreszcie wieczne życie odnajdę w Bożym Niebie. Samotnie iść się boję, sam sobie nie pomogę, lecz gdy mnie poprowadzisz, wyruszę w każdą drogę”...

Gdy mieli już wychodzić z kaplicy domu opieki, ojciec dziewczynki uścisnął dłoń Margida i skinął mu głową. Mała także podała mu rączkę i dygnęła, jej dłoń była zimna jak lód, dziwnie wąska i chuda, lecz mimo to drobne palce zacisnęły się mocno na jego dużej ręce.

– Cały czas załatwia pan pogrzeby? Tata mówił, że tak.

– Owszem. To prawda.

– Nie robi się panu od tego bardzo smutno?

– Jakoś daję radę.

– Pewnie dlatego, że ich pan nie zna – powiedziała dziewczynka.

– Może tak – odrzekł, wypuszczając jej dłoń, poczuł, że mógłby potrzymać ją jeszcze trochę dłużej, aż się rozgrzeje.

Matka przystanęła na chwilę w drzwiach, po czym odwróciła się do niego i powiedziała cicho:

– Bardzo dziękuję.

– Miło mi, że mogłem być pomocny. To przecież moja praca.

– Nie miałam na myśli... tych wszystkich praktycznych rzeczy, które pomógł nam pan zorganizować. Tylko to, co powiedział pan Marit, że ma żyć długo. Bo to właśnie o to się martwiłam, że ona będzie chciała umrzeć, by znów się spotkać z babcią, albo... że przyjdą jej do głowy jakieś inne bzdury tego rodzaju. Rozumie pan

z pewnością...

Skinął głową, by nie musieć odpowiadać.

Odstawił trumnę na miejsce, załatwił wszystkie papiery i umówił transport do kościoła cztery dni później, po czym zaniósł świeczniki do samochodu i poukładał świece w przygotowanych wcześniej pudełkach, ostrożnie, by nie ubrudzić tapicerki kapiącym woskiem.

Usiadł za kierownicą, ale nie przekręcił kluczyka w stacyjce, opadł tylko na fotel, głowę oparł na zagłówku i obserwując długo wyczekiwane krople deszczu spływające po przedniej szybie, poczuł, jaki jest zmęczony.

Okazanie zwłok trwało krócej niż pół godziny, mimo to był totalnie wyczerpany, to nie mogło być normalne. Nie miał siły, by dać z siebie trochę więcej, gdy sytuacja wymykała się rutynie, do której przywykł. Drobną dziesięciolatką wystarczyła, by kompletnie wytrącić go z równowagi. A była dopiero trzecia, musiał wracać do biura, nie ma zmiłuj.

Mieli pochować maleńkie dziecko, dziewczynkę. Do zgonu doszło w ośrodku dla uchodźców i rozpętało się już polowanie na czarownice: Jak mogło do tego dojść i kto ponosił winę? Ludzie najwyraźniej nie mogli zrozumieć, że śmierć to coś, co czasem po prostu się przytrafia, niekoniecznie z czyjejś winy, że coś tak skomplikowanego jak ludzki organizm może nieoczekiwanie odmówić działania. Życie nigdy nie jest przewidywalne. Bardziej niepojęty wydawał się właściwie fakt, że ciało działa i żyje, niż to, że się psuje i umiera.

Rodzice dziecka byli chrześcijanami, dlatego właśnie musieli uciekać z Syrii, a teraz odchodzili od zmysłów, bo ciało córki miało im zostać wydane dopiero po sekcji. Mimo tego nie był to

szczególnie wymagający przypadek, można było się oprzeć na wypracowanych procedurach, a załobnikami byli dorośli ludzie, jedyny problem polegał na tym, że potrzebowali tłumacza, ale była to trudność natury praktycznej, jak najbardziej możliwa do rozwiązania, panie zabrały się już do planowania ceremonii. Musiał jednak do nich pojechać, zawsze były jakieś szczegóły, które należało z nim uzgodnić.

A potem wróci w końcu do domu. Już teraz postanowił, że nie będzie odbierał telefonu, jeśli zadzwoni wieczorem, nieważne, że to nieprofesjonalne. A może zresztą wręcz przeciwnie. Nie będzie odbierał, bo chce zachować możliwie największy profesjonalizm w pracy. Musiał podchodzić do sprawy realistycznie, ot i cała kwestia. Nie był w formie. Możliwe, że coś go brało. Wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Był zaszczepiony przeciwko grypie, podobnie jak wszyscy pracownicy biura, ale może przyplątała się do niego jakaś inna infekcja. Przeziębienie, którego zazwyczaj udawało mu się uniknąć.

Był zmęczony od ciągłego zastanawiania się nad tym, od kłębiących się w głowie myśli na temat swojego własnego samopoczucia! Przecież to śmieszne. Muszę się teraz wziąć w garść, pomyślał, to kompletnie bez sensu, przecież robi się z tego najczystsza hipochondria. Postanowił od razu pojechać do spożywczego i kupić wszystko, co zaproponowała mu tamta dziarska pani z apteki. Wtedy będzie miał już zakupy z głowy i po pracy naprawdę pojedzie prosto do domu.

Zawsze odnosił wrażenie, że ludzie gapią się na niego, gdy wchodzi do sklepu w ciemnym garniturze i białej koszuli, z ciasnym węzłem krawata pod szyją, dlatego zawsze przed wejściem przeczesywał

włosy grzebieniem, miał zawsze grzebień zarówno w schowku auta, jak i w kieszeni marynarki. W sklepie niedaleko jego domu we Flatåsen przywykli już do jego widoku, ale gdy wkraczał do obcego przybytku, tak jak teraz, czuł na sobie spojrzenia. Albo wydawało mu się, że je na sobie czuje. Dlatego gdy chwycił pobrząkujący wózek i wsunął się za nim do sklepu, włosy miał schludnie ułożone.

Włożył do koszyka chleb, mleko i ser, salami na drugie śniadanie i paczkę chorizo do smażonych kanapek z serem. Od jakiegoś czasu był to jego nowy zwyczaj, zaczęło się tak, że przez przypadek kupił nie tę wędlinę i odkrył, że chorizo pasuje do roztopionego sera jeszcze lepiej niż salami, ma ostrzejszy, wyrazistszy smak. W koszyku wylądował ręcznik kuchenny, papier toaletowy i żyletki, teraz musiał odnaleźć tylko wszystkie te nowe produkty mające zapewnić mu zdrowie i energię.

Pasztet. Wybrał najgrubiej mielony. Sok pomarańczowy. Wziął najtańszy, witaminy C było w nim tyle samo, niezależnie od ceny. Orzechy, które polecała mu aptekarka – pamiętał ich nazwę, bo skojarzył ją z nerką – znalazł od razu. Nerkowce, wybrał dużą paczkę. Były jasnożółte i miały księżycowaty kształt, nie przypominały ani orzechów ziemnych, ani włoskich.

Przystanął na dłużej przy półce z chrupkim pieczywem, dokładnie studiując listy składników z tyłu opakowań. Nie miał pojęcia, że istnieje tyle różnych rodzajów, nigdy nie zerkał nawet na te półki, nie przepadał za chrupkim pieczywem, łatwo było nim nakruszyć i nabrudzić, poza tym robiło przy jedzeniu straszny hałas, musiało minąć wiele lat, odkąd je ostatnio kupił, a wtedy było wszystkiego, o ile dobrze pamiętał, ze trzy albo cztery rodzaje. Matka kupowała czasami jasne chrupkie pieczywo z makiem,

w nazwie miało coś ze śniadaniem. Ale jasne pieczywo nie było chyba ani pełnoziarniste, ani zdrowe.

W końcu wybrał markę o nazwie Sport Plus, zgodnie z napisem w języku szwedzkim na opakowaniu, „naturalne źródło białka”. Obrazek na paczce przedstawiał ciemnobrązową, kanciastą kromkę z ułożonymi na niej plasterkami ogórka. Nie wyglądało to najsmaczniej, więc pewnie było zdrowe. A nazwa Sport Plus brzmiała dobrze, trochę sportu się przyda, skoro sam ruszał się tak mało i nawet nie śledził wiadomości sportowych. Pomyślał nagle o tranie i o tym, że może go coś bierze, odnalazł półki z suplementami żywności. Nieznany mu świat.

Witaminy i minerały kupił już w aptece, teraz musiał tylko zaopatrzyć się w tran. Najlepiej w kapsułkach, żeby oszczędzić sobie obrzydliwego smaku. Ale, pomyśleć tylko, rodzajów kapsułek też było niezliczenie wiele. Czemu takie rzeczy nie mogą być prostsze? Westchnął tak głośno, że młody mężczyzna niosący w objęciach naręcze woreczków na pieluchy zawiesił na nim wzrok na dłuższą chwilę. Tak ogromny wybór czynił z zakupów prawdziwą pracę. Gdybym miał w zwyczaju kłąć, to pewnie teraz bym zaklął, pomyślał. W końcu wybrał na chybił trafił przypadkowe pudełko z napisanym na nim słowem „omega”. Bo tak się teraz najwyraźniej nazywał tran.

Stał, zaglądając do koszyka, zastanowił się przez chwilę, kiedy ostatnio odwiedził staruszkę. Przed jakimiś dziesięcioma dniami? Niedługo znów będzie musiał do niego zajrzeć, więc mógł równie dobrze kupić to, co zawsze mu przywoził. Miał już popchnąć wózek dalej, gdy jego wzrok padł na podłużne opakowanie na najwyższej półce, nad witaminami i słoiczkami z kwasem omega.

„Floradix Formula. Żelazo i witaminy”. Wyciągnął rękę po

opakowanie i przeczytał: „Żelazo, witamina B2, B6, B12 i C pomagają zwalczać uczucie zmęczenia i braku energii”. Poczuł, jak tętno mu przyspiesza. Znalazł.

Żelazo. Dokładnie to, czego potrzebował. Dlaczego kobieta w aptece mu o tym nie powiedziała? Odwrócił opakowanie. „Czujesz się zmęczony, brakuje ci energii? Formula Floradix jest rozwiązaniem dla ciebie!” Z wykrzyknikiem. Niemal nie wierzył własnym oczom. Nikt mu tu nie będzie marudził o lekarzu rodzinnym. Może wziąć to opakowanie i iść z nim prosto do kasy. Poczuł, jak przepęłnia go ulga, ostrożne, małe szczęście, co prawda niewielkie, ale był to pierwszy powiew szczęścia, jakiego doznał od bardzo dawna.

A potem ogarnęło go uczucie wdzięczności. Bo to był znak. Komuś na nim zależało, ktoś dobrze mu życzył.

– Dziękuję, dobry Boże – szepnął cicho, ostrożnie wkładając opakowanie do koszyka. Było ciężkie, jego waga świadczyła o tym, że buteleczka w środku musiała być szklana, co ucieszyło go jeszcze bardziej. Szkło gwarantowało jakość, tak wynikało z jego doświadczenia. Musztardę zawsze kupował w szklanym słoiku, nigdy w plastikowej buteleczce. Podobnie jak sos chili Heinza zamiast keczupu. Nawet syrop owocowy kupował wyłącznie w szkle. Bo szkła można było zaufać.

Ale gdy robił zakupy do domu opieki, musiał z niego zrezygnować. Staruszek lubił mieć w swoim pokoju własne łakocie, siedział tam, często czytając, i bardzo lubił napój gazowany Solo. Nie był w stanie sam otwierać szklanych butelek z kapslem, pozostawał więc plastik i nakrętki. Margido odkręcał je zazwyczaj wszystkie, po czym ostrożnie zakręcał z powrotem, by stary nie musiał sam mocować się z zapieczętowaną nakrętką ani zawracać tym głowy

personelowi. Poza tym lubił jeszcze wafelki w czekoladzie Kvikk Lunsj i zielone pastylki mentolowe. Margido zgarnął do koszyka pięć wafelków oraz pięć pudełek pastylek, czując, jak ogarnia go entuzjazm. Pomyśleć, że samo znalezienie tej fiolki z żelazem sprawiło, że zrobiło mu się lżej na duszy, przecież to nie do wiary. Co jeszcze lubił stary? Ależ tak, nadziewane czekoladki, waniliowe i kawowe, wszyscy starzy ludzie je lubili, pewnie, że je dostanie, po dwa pudełka każdego rodzaju i do tego najnowszy numer tygodnika „Męski Świat”.

W domu opieki mieli mnóstwo gazet, ale na tygodniki brakowało pieniędzy, były tylko kobiece pisma i magazyny plotkarskie, które przynosiły ze sobą z domu pracownice. Ale w „Męskim Świecie” często drukowali historie wojenne, a w takich rzeczach stary przecież się zaczytywał.

Nic więcej nie przychodziło mu do głowy, poszedł więc do kasy. Zakupy dla starego umieścił w osobnej reklamówce, będzie mogła leżeć w samochodzie, czekając na dzień, kiedy do niego pojedzie. Pod jego blokiem był parking podziemny, przez wszystkie lata, kiedy tam mieszkał, nie zdarzyło się żadne włamanie do jego aut. Pewne działanie prewencyjne mógł mieć fakt, że w jednym z samochodów przeważnie leżała trumna.

Także w pracy spotkała go miła niespodzianka. Przyszedł do niego Peder Bovim, prezentując trzy gotowe albumy ze zdjęciami, po jednym z każdego z trzech ostatnich pogrzebów. Były pięknie opracowane, dokładnie tak, jak oczekiwali tego obecnie bliscy, ze zdjęciami nekrologu i trumny, i wszystkich kwiatów w kościele lub sali ceremonialnej i z zapisem imion z kartek kondolencyjnych i żałobnych wstęp.

– Świetnie – powiedział Margido.

– Zaktualizowałem jeszcze nekrologi w internecie i usunąłem te, które nie powinny tam już wisieć, przejrzałem też przychodzące wpłaty.

– Sprawdziłeś z paniami wszystkie dane osobowe i daty w nekrologach?

– Tak. Ale nad czymś się zastanawiam.

No tak, pomyślał Margido, wiedziałem, że w tym, że facet pierwszy raz w życiu normalnie przepracował dzień i zrobił w miarę dobrą robotę, musi być jakiś haczyk.

– Nad czym mianowicie?

– Mógłbym w przyszłym tygodniu dostać trzy dni wolnego?

– Trzy dni. To dużo. W środku tygodnia?

– Środa, czwartek i piątek. Chciałbym pojechać na takie jedne targi motoryzacyjne. W Niemczech.

– Zakładam, że interesują cię karawany – powiedział Margido, bez śladu uśmiechu.

– Niezupełnie! – oświadczył Peder Bovim, on natomiast uśmiechał się szeroko, bez cienia wstydu czy zażenowania.

– Na pewno da się to załatwić. Pani Gabrielsen dopilnuje najważniejszych spraw w internecie – powiedział.

– Ona sobie doskonale z tym radzi. Szybko się uczy.

Właściwie to mu ulżyło. Przez trzy dni nie będzie przynajmniej musiał irytować się na tego barana, który pojedzie oglądać sportowe auta i marzyć, że pewnego dnia wstawi któreś z nich do swojego przesadnie obszerne go garażu.

Zbliżała się siódma, gdy wspiał się powoli na schody prowadzące do mieszkania, z dwiema reklamówkami i teczką pełną papierów.

Węzeł krawata wciskał mu się w krtań, jakim szczęściem będzie samo jego poluznienie, ale to dopiero gdy znajdzie się już bezpiecznie za drzwiami. Nawet przed sąsiadami chciał uchodzić za nieodmiennie eleganckiego. Możliwe, że pewnego dnia będą potrzebować jego profesjonalnej pomocy, nie powinni wtedy mieć go za niechluję, pnącego się z mozołem po schodach z niedbale zawiązanym krawatem.

Zamknął za sobą drzwi i natychmiast zerwał go z szyi. Buty postawił na gazecie, rozłożonej na podłodze właśnie w tym celu, zaraz obok pasty do obuwia i szczotek, po czym podreptał w skarpetkach do kuchni i wypakował zakupy. Pudełko z Floradixem otworzył od razu.

Dokładnie tak, jak się spodziewał: budząca zaufanie pacjenta buteleczka z ciemnobrazowego szkła, z niewielką miarką wciśniętą na zakrętkę. Przeczytał na etykiecie, że buteleczkę trzeba wstrząsnąć przed użyciem, przechowywać ją po otwarciu w chłodnym miejscu, nie pić z niej bezpośrednio i że należy przyjmować dziesięć mililitrów preparatu dwa razy dziennie. Potrząsnął buteleczką, nalał płyn do miarki, uważając, by dolać go równo do kreski oznaczającej dziesięć mililitrów, i wypił. Smak był cudowny. Świeży i zdrowy. Dokładnie wypłukał miarkę i odłożył ją na suszarkę do naczyń.

W sypialni rozebrał się do majtek i włożył szlafrok. Obwąchał pachy białej koszuli. Ujdzie, będzie mógł ją włożyć również następnego dnia, trzeba ją tylko wyprasować. Prasowanie koszul i pastowanie butów stanowiło codzienne obowiązki, które lubił wykonywać.

Zimą prasował tylko przody koszul, kołnierzyki i mankiety, bo nigdy nie zdejmował marynarki. W lecie musiał prasować je całe,

bo w biurze zdejmował marynarkę i odsłaniał plecy. Albo wybierał cienkie, nylonowe koszule non-iron, tak było zdecydowanie najłatwiej.

Wsunął stopy w pantofle i przystanął na moment, zastanawiając się, czy włączyć sobie saunę. Nie. Poczeka chwilę, zobaczy, jak się potoczy wieczór. Może na którymś z kanałów leciał jakiś ciekawy program.

Właśnie zaczął przygotowywać sobie kanapkę, po której miał zamiar tego wieczora zjeść jeszcze kromkę chrupkiego pieczywa z pasztetem, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

Patelnia stała już na kuchence, skręcił palnik. Właściwie to niepotrzebnie, bo i tak nie miał przecież zamiaru otwierać drzwi w szlafroku. Jego dzwonek do drzwi nie odzywał się prawie nigdy, tylko czasami przed świętami oraz latem, gdy dzieci sprzedawały kalendarze i losy, zbierając pieniądze na szkolną drużynę sportową, albo jeśli ktoś dla draki naciskał na dole wszystkie guziki domofonu.

Ale przez judasza mógł wyjrzeć. W chwili gdy przycisnął oko do małego mosiężnego pierścienia, dzwonek rozbrzmiał po raz drugi.

Zobaczył przez wizjer twarz.

Torunn. To Torunn.

Poluźnił poły szlafroka, owinął się nim mocno i szczelnie, zawiązał pasek dwa razy na brzuchu, po czym otworzył drzwi. Słyszał bicie własnego serca, waliło jak młot kowalski.

– Torunn? Wszelki duch Pana Boga chwali...

– Jesteś chory?

– Nie, dlaczego...

– No bo... masz na sobie szlafrok?

– Nie, skądże, nic z tych rzeczy. Właśnie wróciłem z pracy. Ja tylko... Proszę, wejdz.

– Nie chciałam dzwonić i ci przeszkadzać, na wypadek gdybyś właśnie był przy zleceniu. Kupiłam sobie coś do jedzenia i picia oraz gazetę, miałam zamiar posiedzieć na schodach i poczekać, aż wrócisz.

– A widzisz, mogłaś zadzwonić. Zawsze mam wyciszony telefon, kiedy... A więc przyjechałaś do Trondheim?

Zdjęła buty i postawiła na podłodze dużą torbę podróżną i reklamówkę z supermarketu Coop Prix Flatåsen. Reklamówka przewróciła się na jego przybory do czyszczenia butów, jedna ze szczotek zsunęła się z gazety na linoleum, pozostawiając po sobie wąską smugę czarnej pasty do obuwia.

– Tak. To była właściwie dość impulsywna decyzja. Przyjechałam tu taksówką, adres dostałam w informacji telefonicznej.

– Zdejmij kurtkę. A ja pójdę się ubrać.

– Ależ nie trzeba! Szlafrok jest idealny, w tej chwili sama bym się chętnie w jakiś ubrała.

– Przepraszam, ale mam tylko ten.

– Przecież żartuję.

– To wszystko... zrobiłaś mi niespodziankę.

– Tak, nigdy wcześniej tu nie byłam. A więc tak mieszkasz.

– Tak. Właśnie miałem zrobić sobie kolację.

– Umieram z głodu. Ja też mam trochę jedzenia. I kilka piw.

– A zjadłabyś może smażoną kanapkę z serem? – zapytał.

– Chętnie.

Drżały mu ręce, gdy sięgał po chleb, ser i kiełbasę, cały się trząsł, nie był w stanie zebrać myśli, nie wiedział, co ma powiedzieć,

mimo że ona przyszła za nim do kuchni, wystawiła całą zawartość reklamówki na blat i czekała pewnie, aż wygłosi jakąś swobodną, uprzejmą uwagę.

Torunn.

Tutaj, w jego kuchni.

A on tu człapał w szlafroku i pantoflach. To chyba najgorsze, co mogło się stać. Gorsze od wszystkiego innego, pomyślał, nawet od przyjazdu na miejsce niedawnego wypadku, czemu w ogóle mówił, że pójdzie się ubrać, trzeba było to po prostu zrobić.

– Jak się miewa mój dziadek?

– Twój dziadek? Cóż, on... Zapomniałem, że tak o nim mówisz.

– Miałam go za mojego dziadka, gdy przyjechałam do Neshov, wtedy jak umierała babcia, i potem tak już o nim mówiłam i myślałam. Mimo że tak naprawdę to mój wujek, jeszcze jeden.

– W tym sensie to prawda.

– Ale miewa się dobrze?

– Niczego mu w domu opieki nie brakuje. Mówi, że czuje się, jakby mieszkał w hotelu, choć z tego, co wiem, nigdy w swoim życiu w żadnym się nie zatrzymał. Ale pewnie widział hotele w telewizji.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, słysząc to. Miałam takie wyrzuty sumienia z jego powodu.

– Tak?

– Owszem. Bo go po prostu zostawiłam. Ile on ma teraz lat?

– Nasza matka była jego równolatką, więc teraz ma osiemdziesiąt cztery, za miesiąc kończy osiemdziesiąt pięć.

– Zdrowie mu dopisuje?

– Moim zdaniem nigdy nie czuł się lepiej.

– Zastanawiałam się, czy mogłabym przenocować – powiedziała.

– Tutaj, u ciebie.

Skinał głową, nie odwracając się od jedzenia.

– Oczywiście na sofie – dodała.

Znów skinął głową, krojąc łopatką ser, z jednej strony ukroiło mu się zupełnie krzywo. A zawsze był w stanie obrócić blok sera o dziewięćdziesiąt stopni przed odkrojeniem każdego plastra, tak by nie zostawiać ostrych kantów, które potem wysychały.

– Nie mam niestety gościnnej sypialni – powiedział. – To tylko małe dwupokojowe mieszkanie.

Chciała nocować.....? Czy wypadało, by zaproponował jej w takiej sytuacji własne łóżko? Co, jeśli by się zgodziła?

– Mogę zmienić pościel na moim łóżku – powiedział.

– Nie, nie! Prześpię się na sofie, to żaden kłopot.

Na sofie. Ależ tak, można się na niej było położyć, mimo że sam nigdy tego nie robił. Kiedyś, dawno temu, zaproponował staremu, by się na niej przespał. Zdawało mu się, że od tamtego dnia minęły całe wieki, a przecież nie mogło upłynąć więcej niż trzy czy cztery lata.

– Mam zapasową kołdrę, letnią, zmieniam je sobie w zależności od pory roku – powiedział.

– Super. Na pewno masz też jakieś poduszki na sofę, które da się wepchnąć w poszewki, świetnie sobie poradzę.

Obie kanapki z serem zmieściły się na patelni, ale zapomniał włączyć palnika. Skoro miała u niego nocować, to będzie też pewnie chciała wziąć prysznic. Przekręcił kurek palnika i zamarł ze wzrokiem wbitym w patelnię, jakby koncentrował się na skwierczeniu smażonego chleba. Pasek szlafroka zaciskał mu się na brzuchu, ciężko było oddychać.

– Nie przykryjesz tych kanapek?

– Tak, tak, oczywiście.

– Roztopiony ser to moim zdaniem najlepsza rzecz na świecie – powiedziała. – Może to u nas rodzinne.

– Świetnie – powiedział i wpadł na to, że mógłby zapakować ser z powrotem i włożyć go do lodówki. Podobnie jak kielbasę. A więc ona wejdzie do jego sauny. Nawet jeśli nie włączy tej funkcji i nie rozłoży drewnianego siedziska, będzie tak, jakby wchodziła do jego sauny, mimo że tylko weźmie prysznic. A rzecz jasna zrobi to, skoro miała u niego nocować.

– Moja przyjaciółka też jest miłośniczką chorizo. Robi z nim pizzę – powiedziała.

– Ja nigdy nie piekę pizzy. Niestety. To przez ciasto, nie mam pojęcia, jak się do niego zabrać.

– Można przecież kupić gotowe – powiedziała.

– Naprawdę?

Pojawia się ot tak, po niemal czterech latach, i chce u niego nocować, staje w drzwiach bez uprzedzenia. A jak właściwie wygląda łazienka, pomyślał, czy muszla klozetowa jest czysta, rano miał przecież lekkie rozwolnienie.

– Przepraszam, że nie dałam ci wcześniej znać, że przyjeżdżam. Tak jakoś wyszło. Wezmę sobie piwo. Też masz ochotę?

– Piwo...? – zapytał i zrobił wdech tak głęboki, jak tylko pozwolił mu na to pasek szlafroka.

– Jest zimne.

– Tak, poproszę – powiedział. – Coś czuję, że łyk piwa dobrze mi teraz zrobi.



Zrobiło jej się go żal, gdy zobaczyła, jak bardzo jej niespodziewana wizyta wytrąciła go z równowagi. Ale odetchnęła z ulgą, kiedy zgodził się wziąć od niej piwo, mimo że nie chciał pić prosto z puszki i wyciągnął z szafki dwie szklanki na mleko. Wiedziała, że jest niemal całkowitym abstynentem.

Szlafrok pozbawiał go nieco sztywności, która jej się z nim kojarzyła, tak się cieszyła, że się nie przebrał, bo bała się tego swojego niespodziewanego wtargnięcia do jego domu, mimo że był najbliższą rodziną, obawiała się, że nie zechce jej przyjąć.

Dlatego właśnie nie zadzwoniła wcześniej. Przez telefon zawsze jest łatwiej kogoś zbyć.

Wydawał się taki kruchy i zmęczony, jego wygląd i zachowanie sprawiły, że prawie zapomniała o tym Margidzie, którego poznała przed laty. Łydki miał kredowobiałe i chude, kontrastujące z resztą dostojnej, okazałej sylwetki. Jego kostki były wystające, ścięgna odznaczały się mocno w miejscu, w którym stopy znikają w przydeptanych, ciemnobrązowych pantoflach. Pięty miał białe i popękane, zupełnie jak u normalnego człowieka, pomyślała. A jego szyi i górnej partii klatki piersiowej nigdy wcześniej chyba

nie widziała, może tylko przelotnie tamtego letniego dnia w Neshov, gdy pojawił się ubrany w T-shirt i jasną marynarkę, czym bardzo ją zaskoczył. No ale wtedy na dworze było trzydzieści stopni.

– Przepraszam za te małe szklanki – powiedział. – Niestety nie mam pokali.

– Nic nie szkodzi. Na zdrowie.

Opróżniła własną szklaneczkę i dołała sobie piwa, otworzyła nowe i wyciągnęła do niego rękę z puszką.

– Ja będę dziś pił spokojnie, ale bardzo dziękuję – powiedział. – Przyleciałaś samolotem? Czy wsiadłaś w pociąg?

– Nie, przyjechałam autem. Właściwie to wybierałam się do Alty, ale wysiadłam tutaj.

– Do Alty? Ale to przecież strasznie długa droga? Łatwiej byłoby...

– Mieliśmy ze sobą dwanaście psów. Facet, z którym mieszkam... to znaczy mieszkałam, bierze udział w wyścigu Finnmarksløpet, który zaczyna się i kończy w Alcie. Miałam być jednym z luzaków.

– Luzaków... Niewiele wiem o tych sprawach.

– Chyba musisz je odwrócić, zaczynają się trochę przypalać.

Odstawił szklankę i podniósł pokrywkę, włączył okap, a wtedy w powietrze uniosły się opary spalonego tłuszczu, okap straszliwie hałasował, gdy zaczął odwracać kanapki na patelni, w całej kuchni rozległy się grzmoty jak przy najgorszej burzy, była tak głodna, że mogłaby zjeść je obie.

Musiała podnieść głos, by przekrzyczeć okap:

– Luzacy przygotowują jedzenie i suszą ubrania, pilnują, by maszer, czyli przewodnik zaprzęgu, wysypiał się, budził na czas,

robią mu masaż, kiedy to konieczne, wspierają go psychicznie i tak dalej.

– Nie miałem o tym pojęcia – powiedział, znów przykrywając patelnię.

– Poza tym informują maszera, jak idzie jego zaprzęgowi w wyścigu, sprawdzają prognozy pogody, zajmują się psami, które czasem trzeba wyprząc i zawieźć na kontrolę do weterynarza, właściwie robią wszystko poza samym kierowaniem zaprzęgiem.

Sama słyszała, że zaczyna paplać, tak samo by gadała, by uspokoić zdenerwowanego psa.

– Wyjąć talerze i sztucce? – zapytała.

– Zajmę się tym, a ty idź do salonu. Możemy usiąść przy stole jadalnym. Nie ma sensu siedzieć tu z włączonym okapem, trzeba go jeszcze na trochę zostawić po skończonym smażeniu, ma słaby ciąg. I co, jednak nie będziesz takim... luzakiem w Alcie?

– Nie.

– Zmieniłaś zdanie w Trondheim? Dzisiaj?

– Tak. W samym środku bagien Heimdalsmyra.

Nie miał żadnych obrazów ani zdjęć na ścianach, żadnych chodników na podłodze, jego salon wydawał się nagi i nieprzytulny.

Wielki fotel z podnóżkiem stał zwrócony do telewizora, tuż przy prawym podłokietniku był niewielki stolik, widziała na jego blacie ciemne kręgi po szklankach. To tu miał w zwyczaju siadać, pewnie także do posiłków. A obok stała sofa, na której będzie się mogła przespać, wyglądała na dość wygodną, była szeroka, z dużymi podłokietnikami i trzema wyszywanymi poduszkami leżącymi w nieładzie przy oparciu. Żadnego pledu do przykrycia, pewnie nigdy nie korzystał z tej sofy, to fotel był jego ulubionym miejscem.

Na stole jadalnym leżał haftowany bieżnik, na jego środku zaś królowała przykurzona misa z fioletowego kryształu. Pod bieżnikiem ciągnęła się wzdłuż blatu szpara, stół można było rozsunąć i powiększyć, ale mogłaby się założyć, że nigdy nie miał potrzeby tego robić. Nie patrząc jej w oczy, wszedł do salonu z talerzami i postawił je na stole, jeden po każdej stronie.

– Pójdę tylko jeszcze po swoją szklankę – powiedział.

Gdy ją przyniósł, była już prawie pusta, musiał pić z niej pospiesznie, gdy został sam w kuchni, dołała mu piwa, a on nie protestował.

Smażona kanapka wyglądała na talerzu dziwacznie samotnie. Zrozumiała, że w tym domu nie podaje się do posiłku sałatki ani nie dekoruje talerzy plasterkami warzyw. Ser parzył podniebienie, nie było sensu rozmawiać przy jedzeniu, posiłek dobiegł zresztą końca po kilku zaledwie minutach.

– Możemy chyba jeść dalej na tych samych talerzach – powiedział. – Mam chrupkie pieczywo z pasztetem.

– Na deser?

Ta uwaga sprawiła, że uśmiechnął się nieznacznie.

– To taki nowy zwyczaj, który próbuję wdrożyć. Żeby jeść zdrowiej, nie tylko kanapki z serem. I mam jeszcze takie orzechy, które są podobno wyjątkowo zdrowe.

– Więc jesz zdrowe produkty jako dodatki? A nie zamiast niezdrowych?

– Tak też przecież można. Jak ci się udała podróż na północ? Czy tam u was nie leży przypadkiem mnóstwo śniegu?

– Tak, i to tyle, że byś nie uwierzył. Trzeba było odśnieżać dach domu i w ogóle, nie do wytrzymania. Dziwnie było przejechać przez masyw Dovre i zobaczyć, że po drugiej stronie wszystko jest

zupełnie nagie. Mieliście tu sucho, z tego co słyszałam.

– Tak, coś straszego. Ale dziś jakimś cudem spadł deszcz, na początku grudnia mieliśmy też dwa śnieżne dni. A oprócz tego zielona zima. Albo raczej... rudawa, bo wszystko zaschło. Więc ten deszcz był bardzo wyczekiwany – powiedział i wstał, ale wrócił po chwili z opakowaniem chrupkiego pieczywa, masłem, pudełkiem pasztetu i miseczką z nerkowcami. Okap w kuchni przestał hałasować.

– Częstuj się.

– Przyniosę gotową bagietkę, którą kupiłam sobie w sklepie, jest z serem i szynką, możemy się podzielić.

– Zjedz sama. Ja zostanę przy tym.

Gdy wróciła do stołu, on już zdążył obficie posmarować kromkę chrupkiego chleba masłem, smarował po stronie z zagłębieniami, wypełniając je wszystkie tłuszczem. Sięgnął następnie po pasztet i rozsmarował go na maśle.

– Muszę chyba skorzystać z twojej toalety – powiedziała. – To piwo zupełnie przeze mnie przepłynęło.

– Chwileczkę, ja tylko...

Odłożył kromkę na talerz i wypadł na korytarz. Usłyszała, jak trzaskają za nim drzwi, potem z kranu popłynęła woda, trwało to całą wieczność. Czyżby się tam mył? Postanowił wziąć prysznic właśnie w momencie, gdy jej zachciało się sikać?

Spojrzała na chrupkie pieczywo. „To taki nowy zwyczaj, który próbuję wdrożyć”. Biedny człowiek, pomyślała. Cały dzień w pracy ze śmiercią, a wieczorem to nieprzytulne mieszkanie. Zaczęła się zastanawiać, co robi dla rozrywki, o ile w ogóle cokolwiek. Nigdzie nie było żadnych półek z książkami. Żadnego sprzętu do odtwarzania muzyki ani komputera, tylko ten telewizor. Nawet

talii kart, żeby od czasu do czasu postawić sobie pasjansa.

Wykorzystała okazję, by zerknąć na wyciszoną komórkę. Żadnych nieodebranych połączeń. A więc Owe jeszcze na nią nie naskarżył, pewnie się bał. Było jej wszystko jedno, kiedy o wszystkim dowie się Christer, mogło to równie dobrze być godzinę przed startem, niech piekło pochłonie tego starego capa. Przyniosła z lodówki nową puszkę piwa i napełniła obie szklanki po brzegi. Koniak zostawiła na razie w torbie. To mogłoby być już za dużo dla prawie abstynenta.

W końcu wrócił. Szedł po nagiej podłodze salonu na swoich żalonych, białych nogach, z połami szlafroka łopoczącymi wokół kolan, pasek zwisał po prawej stronie, musiał zostać zawiązany w wielkim pośpiechu, może kiedy zadzwoniła do drzwi, ogarnęła ją ogromna czułość, gdy wszedł tak do pokoju. Tak się wystraszył, kiedy zobaczył ją na swoim progu, ale teraz robił wrażenie zadowolonego i uwijał się w nerwowy, dziecięcy sposób, ten facet powinien pić trochę częściej, pomyślała.

– Musiałem załatwić jedną rzecz w łazience, niezbyt często nocują u mnie goście. Zostawiłem ci parę ręczników na stołku.

– W tej chwili potrzebuję tylko toalety – powiedziała. – Ale miło będzie wziąć potem prysznic. Pomyśleć, że wyjechałam z Oslo dzisiaj rano, mam wrażenie, że to było całe wieki temu.

Zabrała komórkę do łazienki i wysłała esemesa do Owego, nie mogła się powstrzymać: „Sorry, że Cię tak zostawiłam. Musiałam. Mam nadzieję, że rozumiesz. Miłej podróży. Uściski T.”

Wysikała się i zapinała właśnie dzinsy, studiując ogromną kabinę prysznicową ze wszystkimi przyciskami, dyszami i drewnem na ścianie, gdy przyszła odpowiedź: „Christer mówi, że nie będzie problemu, wystarczy mu luzaków”.

– Zapalę na balkonie. Zrobię popielniczkę z pustej puszki.

Lało jak z cebra, ale balkon piętro wyżej osłaniał ją przed deszczem. Stabilne ustawienie pustej, lekkiej puszki na nierównej betonowej posadzce zajęło jej dłuższą chwilę. W rogu stała donica z małym, zielonym drzewkiem cyprysowym, wciąż żywym. Margido musiał je podlewać przez całą suchą zimę. Wciągnęła dym do płuc. Co zostawiła u Christera w Maridalen? Auto. Sporo wierzchniej odzieży. Książki. Trochę ważnych dokumentów. A u Margrete trzymała swój niedokończony koc Missoni. O tym wszystkim, co czekało na nią w schowku w Sandvika, nie miała teraz siły myśleć.

– A przy okazji, jak się miewa twoja matka? – zapytał, gdy wróciła do salonu.

– Ona, no cóż...

Zwróciła uwagę, że przestał przeżuwać, czekając na jej odpowiedź. Ale ona wyszła zamiast tego na korytarz i zanurkowała w torbie, musiała przerzucić kilka rzeczy, zanim odkopła butelkę koniaku, pamiętała, w której szafce w kuchni stoją szklanki na mleko, i przyniosła dwie nowe, mimo iż była pewna, że Margido nie będzie chciał z nią pić. Postawiła jedną szklankę przed nim, a drugą przed sobą, swoją napełniła do połowy, uniosła butelkę i posłała mu pytające spojrzenie, potrząsnął głową. Wlała w siebie cały koniak jednym potężnym haustem.

– Ostro sobie poczynasz – skomentował.

– Właśnie się dowiedziałam, że nikt za mną nie tęskni. Odrobina koniaku na pewno tu pomoże.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale...

– Moja matka miewa się świetnie. Poznała nowego faceta, dzięki Bogu, więc nie ma teraz czasu aż tak bardzo suszyć mi

o wszystko głowy. Mój ojczym, Gunnar, który był jej mężem przez tysiąc lat, zmienił się w chodzący stereotyp i znalazł sobie młodą kochankę, zrobił jej dziecko i ponownie się ożenił. Moja matka prawie całkiem się wtedy załamała, ale teraz już wszystko u niej dobrze. Nie mieszka z tym swoim nowym facetem, ale robią razem mnóstwo rzeczy, podróżują, chadzają do teatru, do restauracji, ostatnio zapisali się na kurs swinga. Strasznie wielka ta twoja kabina prysznicowa.

Wykorzystał okazję, by przeżuć swoje jedzenie do końca, kiwając przy tym głową. Dolała sobie zarówno koniaku, jak i piwa, jemu tylko tego ostatniego.

– Ma też funkcję sauny – wyjaśnił. – To nie tylko prysznic.

– Jezu. Prawdziwy luksus. Muszę wrócić do Oslo i zabrać stamtąd parę rzeczy. Między innymi mój samochód. I nie mam właściwie gdzie mieszkać. Mam przyjaciółkę, tę od chorizo, ale jej mieszkanie też jest tylko dwupokojowe i na dodatek strasznie zagracone, więc mogę tam spędzić najwyżej jedną noc, ostatecznie dwie, można się tam nabawić klaustrofobii, mimo że jest całkiem przytulnie. To znaczy... mam przecież gdzie mieszkać, mieszkałam tam długo, ale już nie chcę, zabiorę stamtąd tylko swoje rzeczy i zniknę. Jestem dość związana z psami, które tam zostały, ale nie będę się chyba z nimi za bardzo cackać, pożegnam się i tyle.

Margido przyglądał się jej ze spokojem. Pomyślała, że przywykł pewnie do rozmów z ludźmi, którzy byli tak roztrzęsieni, jak ona teraz. Że w takich sytuacjach czuje się jak ryba w wodzie.

– Nie jestem wcale roztrzęsiona. Po prostu myślę na głos.

W tej samej chwili poczuła, jak ciężki alkohol spływa jej do żołądka, po całym brzuchu rozlało się uczucie ulgi, zachciało jej się płakać i wiedziała, że on przywykł również do tego, mogę pewnie

płakać, ile tylko zechcę, pomyślała, ale zaraz jej przeszło.

– Jedz swoją bagietkę – powiedział.

– Straciłam apetyt. Wiesz, postawiłam wszystko na jedną kartę.

– Na tego mężczyznę? Maszera...?

– Tak. Sprzedałam swoje mieszkanie, pozbyłam się udziałów w przychodni, chciałam zaznaczyć, że to z mojej strony poważne zobowiązanie.

– Dlaczego właściwie sprzedałaś udziały w klinice?

– Chciałam przejąć odpowiedzialność za psy i sprzęt, żeby miał więcej wolnego czasu. Chciałam, żebyśmy żyli w tej bańce szczęścia, ja i on. A on nie protestował. Poza tym moje stanowisko w klinice wiązało się z prowadzeniem kursów, wielu kursów. Dużo pracy wieczorami. Nie przeszkadzało mi to, póki mieszkałam sama, ale po przeprowadzce do Christera było już zupełnie inaczej. Więc pomyślałam sobie – w cholere z tym wszystkim! Na zdrowie! I tak to się ułożyło. Postawiłam wszystko, co miałam. I przegrałam.

– Co takiego przegrałaś?

Stracił zupełnie zainteresowanie jedzeniem. Był dobrym słuchaczem. A do tego jeszcze jej wujkiem, był rodziną. Znów zachciało jej się płakać i tym razem pozwoliła łzom płynąć.

– W porządku – powiedział. – Przyniosę ci trochę papieru.

– I weź, proszę, więcej piwa. No tak, co właściwie przegrałam...

Wysmarkała się dokładnie w papierowy ręcznik, z którym do niej wrócił, i wsunęła pod talerz, by się nie rozłożył. Margido nalał jej piwa, napełnił też swoją szklankę.

– Przegrałam trzy i pół roku mojego życia. I moją dumę – powiedziała.

– Trzy i pół roku to może być i długo, i krótko. Zależy, jak na to

spojrzeć – odrzekł.

– To na przykład były najpewniej ostatnie lata, kiedy mogłam urodzić dziecko.

– A chciałaś mieć dziecko?

– Nie. Ale zaszłam z nim w ciążę. Dość szybko poroniłam. A on o niczym nie wiedział.

– Nie powiedziałaś mu, że jesteś w ciąży?

– Nie.

– Sam mam naprawdę bardzo małe doświadczenie z... ze związkami, ale moim zdaniem nie było tu chyba za bardzo na co stawiać, skoro nie mogłaś mu powiedzieć, że nosisz pod sercem jego dziecko.

– Pewnie masz rację. A finansowo tylko na tym zyskałam. Zaoszczędziłam opłaty za mieszkanie z kilku lat.

– Całkiem nieźle.

– Jestem zamożną kobietą, Margido Neshov.

– Pieniądze dają poczucie bezpieczeństwa. To musiał być dla ciebie ciężki dzień.

– Tak. Już od Alvdal, gdy zrozumiałam, jak to się skończy.

– Pościelę ci na kanapie – powiedział.

– Nie dokończysz kolacji?

– Ten chrupki chleb zupełnie mi nie podchodzi. Smakuje jak karton przemielony z trocinami.

Pałała, patrząc przez okno balkonowe, jak rozkłada na sofie prześcieradło, czuła się rozluźniona i trochę wcięta, naciągnęła prześcieradło także na oparcie sofy i zawiesił je tam, przysunął mebel bliżej do ściany, by się nie zsunęło. Poduszki położył na razie na stoliku kawowym. Męczył się chwilę z kołdrą, a ona spokojnie

dopaliła w tym czasie papierosa.

Salon nie wydawał się już taki nieprzytulny, gdy oglądała go z zewnątrz, przypominał podświetlony obraz, ze szklankami, talerzami i miseczką z orzechami na stole oraz pościelą na sofie, włączył też telewizor, pewnie w mechanicznym odruchu, ten fotel wyglądał, jakby obejrzano w nim niezliczone godziny różnych programów.

Weszła do domu, znalazła w torbie dres, o którym sobie właśnie przypomniwała, przebrała się w łazience i wróciła do salonu na bosaka.

– Będzie ci pewnie trochę niewygodnie na tych poduszkach od sofy – powiedział. – Ale mam w domu tylko jedną porządną. Właściwie bez sensu, bo w Neshov leży ich pewnie z dwadzieścia. Przywiozę ci jedną jutro, i tak muszę tam zajechać po parę trumien. To znaczy, jeśli... Nie wiem, jak długo planujesz...

– Nadal masz tam magazyn? Z tego co zrozumiałam, gospodarstwo nie zostało sprzedane. Bo się ze mną nie kontaktowałeś w tej sprawie.

– Nie. Ziemia została wydzierżawiona i jest uprawiana. Ale budynki stoją, jak stały, z odciętą wodą i prądem.

– Nie mam siły o tym rozmawiać – powiedziała. – Ale to dobrze, że możesz tam trzymać trumny i różne inne rzeczy.

– Bardzo praktyczne rozwiązanie. No i darmowe. Z wyjątkiem prądu. Do magazynu w stodole nadal jest dostarczany.

– Darmowe, no tak. Nie musiałeś mi płacić czynszu po tym, jak związałam!

Zachichotała, a on spojrzał na nią z uśmiechem.

– A teraz znowu nawiałaś – powiedział.

Rzucił to lekko, jak kwestię w swobodnej pogawędce, słyszała to

po jego tonie, a mimo to ta uwaga ją zabolęła. Miał rację. To był najwyraźniej jej sposób na rozwiązywanie problemów: wziąć nogi za pas.

– To twoja matka wyhaftowała te poduszki? – zapytała.

– Tak. Dała mi je w plastikowej torbie, gdy wyprowadzałem się z domu. Tyle ze sobą zabrałem. I czajniczek do kawy, z którego, jak twierdziła, przestała korzystać.

– Jeśli przekręcisz trochę telewizor, to będę go widziała, leżąc na sofie. A ty będziesz mógł siedzieć w swoim fotelu. I tak, dziękuję, chętnie zostanę na jeszcze jedną noc. Nie pamiętam dokładnie, kiedy Christer miał lecieć na północ, my pojechaliśmy przodem, podróż z psami miała trwać trzy dni, wydaje mi się, że on wsiada w samolot jutro. Czyli ja będę mogła polecieć na południe pojutrze.

– Nie ma żadnego problemu. Może pojedziesz ze mną jutro i...

– Nie. Nie wybieram się do twojego magazynu. Nie mam ochoty oglądać gospodarstwa.

– Myślałem o starym... o twoim dziadku. Moglibyśmy go odwiedzić. Kupiłem dla niego różne jego ulubione rzeczy, poza tym on na pewno bardzo się ucieszy na twój widok. Mogłabyś posiedzieć z nim chwilę i porozmawiać, a ja pojechałbym w tym czasie po trumny i poduszkę.

Widziała jego stopy w pantoflach, skrzyżowane na podnóżku zaraz na lewo od ekranu telewizora. Leżała pod jego letnią kołdrą, z poduszkami na sofę z Neshov pod głową, dość surrealistyczna sytuacja. Czuła, że on się rozluźnił, ona też odetchnęła, nie musieli już rozmawiać. I dlatego właśnie naszła ją na to ochota. Program w telewizji dotyczył najwyraźniej bloku mieszkalnego budowanego specjalnie dla młodzieży.

– Nie masz innych kanałów?

– Ależ tak. Mam chyba wszystkie, które w ogóle istnieją. Mimo że właściwie ich nie oglądam. Ale lubię być na bieżąco z „Wiadomościami” na dwójce.

– Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, Margido...? W szpitalu?

– No tak... To było krótko przed śmiercią matki.

– Powiedziałaś, że to nie jest rodzina, w której ja czułabym się dobrze.

– Powiedziałem coś takiego?

– Aha.

– No i nie do końca się pomyliłem. Straszny z tego wszystkiego się zrobił bałagan. Dla ciebie.

Rozdzwonił się jego telefon. Drgnął w pierwszej chwili, ale potem odchylił się z powrotem w tył i opadł na oparcie fotela.

– Nie odbierzesz?

– Nie.

A potem musiała zasnąć, bo gdy otworzyła oczy, w salonie panował mrok, a całe mieszkanie pogrążone było w ciszy. Sięgnęła po komórkę leżącą na stoliku, zbliżała się trzecia, żadnych nieodebranych połączeń, żadnych esemesów, nawet od matki, która wiedziała, że Torunn rusza w długą trasę, i zawsze martwiła się o wypadki i oblodzone drogi. Najwidoczniej kurs swinga pochłonął ją bez reszty. Nie sądziła, że kiedykolwiek zatęskni za pełnymi troski wiadomościami od własnej rodzicielki.

Margido zostawił uchylone drzwi balkonowe, dochodził zza nich monotony szum deszczu. Musiała przespać ponad sześć godzin, bo nie pamiętała, by udało jej się dotrzeć do nadawanych o dziewiątej „Wiadomości” na kanale drugim.

Sofa była bardzo wygodna, cudownie leżało się nawet na tych

poduszkach wsuniętych w poszewkę, bo jej kark spoczywał w zagłębieniu pomiędzy nimi, zupełnie jak na sofie Margrete, gdzie pupa i kość krzyżowa wpadały jej pomiędzy dwie zsunięte ze sobą poduszki.

Prześpi się u Margrete maksymalnie dwie noce, a co dalej, nie miała pojęcia. To tak właśnie smakuje wolność, pomyślała.

Freedom's just another word for nothing left to lose.

Była sama jak palec, nie musiała się martwić ani o dzieci, ani o zwierzęta. Miała pieniądze. Mogłaby pojechać w podróż dookoła świata. Albo wrócić do szkoły, skończyć weterynarię, to przecież zupełnie wykonalne, mimo że miała czterdzieści lat, do emerytury zostało jej nadal nieskończenie dużo czasu, po dyplomie mogłaby jeszcze przepracować w zawodzie wiele lat. Mogła robić, co tylko zechce. Tylko musiała najpierw ustalić, czego właściwie chce.

Wstała, wyszła na bosaka na balkon i zapaliła papierosa. Nierówny beton posadzki kłuł ją w stopy, miłe uczucie, przypominające jej, że stoi obiema nogami mocno na ziemi. Bo tak przecież było. Nie czuła smutku. Urażoną dumę i irytację, a owszem, ale smutku ani śladu. A poirytowana była przede wszystkim na samą siebie.

Patrzyła na te wszystkie pograżone w ciemnościach okna bloków dookoła. Ludzkie życia i niezliczone losy, dobre i złe dni, nadzieja i oczekiwania, kupony lotto i rachunki, narodziny i zgony, wszyscy ci obcy ludzie śpiący pod swoimi kołdrami, konfrontowane z życiem ciała i marzenia, w podróży ku nowemu dniowi. Nie było co się nad sobą uzalać. Wolą być sobą niż kimkolwiek innym i nie zazdrościła nikomu.

Margido posprzątał ze stołu jadalnego. Została na nim tylko butelka koniaku, na środku blatu, na bieżniku, obok orzeszków

i zakurzonej kryształowej misy.

Obudziła ją jego krzątanie między łazienką, sypialnią a kuchnią po tym, jak otworzył drzwi mieszkania i najpewniej przyniósł gazetę. Usłyszała, jak przystaje i nasłuchuje, ale udała, że śpi, wydając z siebie ciche, wiarygodne pochrapywanie.

Zegar wskazywał wpół do siódmej, stwierdziła to, gdy on zniknął w łazience. Wziął prysznic i spędził w środku dużo czasu, potem usłyszała odgłosy dochodzące z sypialni, ciche tykanie termostatu w żelazku i pobrzękiwanie, gdy odstawiał je co jakiś czas na metalowy statyw, zamocowany przy jednym z końców deski, robił to pewnie za każdym razem, gdy poprawiał ułożenie prasowanej sztuki odzieży, najprawdopodobniej koszuli. Którą zapewne planował wyprasować poprzedniego wieczora, pomyślała.

Patrzyła na niego spod opuszczonych rzęs, kiedy w ciemnych spodniach od garnituru i białej koszuli z krawatem wślizgnął się do kuchni i zamknął za sobą drzwi. Usłyszała wodę płynącą z kranu i zaraz potem trzaski i bulgoty ekspresu do kawy, szelest rozrywanego papieru i długą ciszę, potem znów papier, chyba śniadaniowy, grzechot szklanego naczynia z tabletkami i jeszcze raz woda z kranu, czyżby był chory? Gdy ekspres przestał hałasować, zapadła na dłuższą chwilę cisza, przerywana tylko tłumionym pokasływaniem, pochrząkiwaniem z jedzeniem w ustach, słyszała to wyraźnie, to i przewracane strony gazety. Potem znów zaczął się krzątać, doszedł do niej słaby zapach pasty do butów, włożył teraz marynarkę, upodabniając się do tego Margida, którego zapamiętała, i podszedł nagle prosto do sofy, ale ona nie otworzyła oczu, obserwowała go tylko spod rzęs, salon nadal był pograżony w półmroku, w ten wczesny marcowy poranek

w Trondheim.

Cichy brzęk kluczy, które położył na blacie stolika tuż przed nią.

Pół godziny później wstała, znalazła kalesony, które mogła włożyć pod spodnie do biegania, skarpety, wiatrówkę i szalik, po czym wyszła z domu. Włączyła na iPhone mapę oraz GPS-a i wybiegła z osiedla, kierując się w stronę lasu, minęła ogromne skocznie, które jak przez mgłę pamiętała z „Wiadomości”, budowano je na mistrzostwa świata w narciarstwie klasycznym w dziewięćdziesiątym siódmym, i dotarła do linii drzew w chwili, gdy zrobiło się już całkiem widno.

Czuła się, jakby po całym tym śniegu w Maridalen wbiegła prosto w wiosnę. Ziemia leżała tu odsłonięta, z porośniętymi mchem kamieniami, drzewa wyciągały wolne od białego puchu gałęzie. I ten ptasi śpiew! Był zupełnie jak nieoczekiwany prezent. Usiadła na pniu przewróconego drzewa, po to tylko, by go posłuchać. Ptaki uwijały się jak w ukropie, chodziło przecież o to, by wydobyć z siebie jak najbardziej kuszące trele, które zwabiłyby atrakcyjną partnerkę.

Co za dziwny kraj, pomyślała, na południu pogrążona w ciszy, biała zimowa kraina, a tu harmider w koronach drzew, wystarczyło przejechać przez masyw Dovre. Ale nietrudno było też dostrzec zniszczenia poczynione przez suszę i stwierdzić, że ten deszcz był niczym manna z nieba. Zapaliła papierosa. Dam sobie z tym wszystkim doskonale radę, pomyślała, teraz trzeba było tylko posprzątać po sobie w domu w lesie, zabrać wszystkie swoje rzeczy, spalić za sobą ten wąski mały mostek, który najpewniej od samego początku był tylko wytworem fantazji.

W drodze z powrotem do osiedla zebrała z ziemi kilka rzeczy,

które przykuły jej uwagę. Szyszki i ładne gałązki z przylepionymi do nich porostami, drobnymi kamykami i wyschniętym mchem, gałązki borówek z jagodami niczym małe czerwone kropki na końcach brązowych pędów, część włożyła do kieszeni wiatrówki, resztę niosła w rękach. Chciała teraz wrócić do domu, wziąć prysznic i się ubrać, zjeść śniadanie, pojechać na zakupy, zrobić dla niego coś miłego, nim wróci z pracy, odwdzińczyć mu się za okazaną poprzedniego wieczora wyrozumiałość.

Umówili się esemesowo, że Margido wyjdzie trochę wcześniej z pracy, by mogli pojechać w odwiedziny do domu opieki, więc kiedy o wpół do piątej przekręcił klucz w zamku, Torunn już na niego czekała.

Wiedziała też już, że nie jest chory, to witaminy łykał tego ranka, słoiczek stał na kuchennym blacie i był prawie pełen, a w lodówce znalazła buteleczkę Floradixu wyglądającą na świeżo otwartą, miarka leżała odwrócona do góry dnem na suszarce przy zlewie. Sama też miała taką buteleczkę w lodówce u Christera i pociągała z niej łyk, kiedy jej się przypomniało.

Gdy stanął w drzwiach, wydawał się zażenowany, unikał jej wzroku, postawił teczkę pod ścianą, zdjął buty, stawiając je na rozłożonej w korytarzu gazecie, i wsunął stopy w pantofle.

– Zrobiłam pizzę – powiedziała Torunn. – Zaraz będzie gotowa.

– Naprawdę? Pizzę?

– W końcu oboje mamy bzika na punkcie sera.

– Dobrze będzie coś zjeść. Bardzo ładnie pachnie. Ależ pięknie przystroiłaś pokój – powiedział, gdy wszedł do salonu i jego wzrok padł na stół jadalny. Umyła fioletową kryształową misę i wstawiła do niej tealighty, kupiła też fioletowe serwetki, myśląc o tym, że

fioletowy to kolor, który z jakichś powodów lubili ludzie głęboko wierzący, mimo że nie miała właściwie pojęcia, skąd to przekonanie.

Kamyki, gałązki i inne znalezione w lesie drobiazgi ułożyła na dwóch płaskich białych talerzach i ustawiła między nimi świeczki, wyłączyła też lampę pod sufitem, która umieszczona była zresztą trochę bez sensu i nie oświetlała ani stołu jadalnego, ani stolika kawowego przy sofie.

Telewizor był włączony, wybrała kanał informacyjny, ale ściszyła dźwięk, dochodząc do wniosku, że spodoba mu się sam obraz, zakładała, że telewizor był towarzyszem, do którego przywykł.

Margido poluźnił krawat, zdjął go i rozpiął górny guzik koszuli.

– Dziś nie będziesz paradował w szlafroku, skoro mamy jechać po obiedzie – powiedziała. – Piwa też napijemy się dopiero po powrocie.

– Chyba nie będę pił dwa dni z rzędu – odrzekł.

– Nic ci się nie stanie – odpowiedziała. – Przecież jutro wracam do Oslo, nikt nie będzie już w ciebie wmuszać alkoholu.

– Gdzie znalazłaś taką ładną dekorację na stół? Tu na dworze?

– Byłam w lesie.

– W ten deszcz?

– Ha! Pamiętaj, że przez całe miesiące brodziłam w głębokim śniegu, tu mogę przynajmniej normalnie spacerować, trochę deszczu mi nie zaszkodzi. Czy on wie, że przyjeżdżamy? Proszę, usiądź. Zaraz podam jedzenie. Chcesz do tego napój jabłkowy?

– Ojej. Tak, poproszę. Nie, on nic nie wie. Nie muszę dawać znać, że przyjeżdżam. Sam byłem na spacerze w lesie, nie tak dawno temu.

– Nie wiedziałam, że lubisz życie pod chmurką. A pizza jest

z czosnkiem, mam nadzieję, że lubisz.

– Żaden problem – odrzekł. – Nie będę udawał, że lubię życie na świeżym powietrzu, ale kilka dni temu poszedłem do lasu i zjadłem tam drugie śniadanie. I widziałem, wyobraź sobie, kwiatek podbiału. W marcu.

– Naprawdę? Niesamowite. Boję się lądowania na Gardermoen, w samym środku tego *winter wonderland*, muszę dojechać do Maridalen, wszystko jest tam pewnie zasypane śniegiem, łącznie z moim autem, jest tam teraz taka jedna pani, znajoma, która zajmuje się pozostałymi psami, ale nie możemy... nie mogę od niej oczekiwać, by odśnieżała dla mnie podwórze, sama ma pewnie dość roboty z torowaniem sobie drogi do drzwi, poza tym nie ma pojęcia, że wracam do domu... że tam wracam przed czasem – paplała, wyciągając pizzę z piekarnika, który musiał być rzadko używany, bo lśnił czystością, zupełnie jak nowy.

– Musi trochę ostygnąć, wtedy jest najlepsza – powiedziała, odstawiając blachę na kuchenkę. Wróciła do salonu z butelką napoju jabłkowego Mozell Light. Wybrała wersję bez cukru, bo wspominał jej przecież, że zaczął się zdrowiej odżywiać.

Zanim ruszyła do sklepu, przeszukała szafki w kuchni i lodówkę, by sprawdzić, jakie produkty ma już w domu. Przy okazji przyjrzała się, co Margido ma w mieszkaniu, i potwierdziły się jej podejrzenia co do tego, że jej wuj wie dzie dość spartańskie życie. Nie odkryła żadnych tajemnic. Żadnych leków w szafkach kuchennych ani łazience, nawet tabletek na ból głowy, tylko przybory do golenia, pasta i szczoteczka do zębów, tani dezodorant i mała tubka maści, której nie zdołała zidentyfikować. Na pralce w łazience stała suszarka, którą dobrze pamiętała – kupił ją dla

niej, gdy mieszkała jeszcze w Neshov. Margido za nią zapłacił, a teraz stała tutaj.

Najwięcej miał ręczników, koszul, skarpet i bielizny. Deska do prasowania stała rozłożona obok łóżka, które zdążył nawet zasłać, a na stoliku nocnym leżała Biblia, tuż pod małą, samotną lampką do czytania. W jednej z szafek w sypialni trafiła na stos kartek od rodzin zmarłych, w których dziękowano mu za pięknie i sprawnie przeprowadzone pogrzeby.

W kuchni znalazła natomiast spodki i talerze, szklanki na mleko i kubki do kawy. Wiele szafek i wszystkie górne półki były puste, podobnie jak szuflady pod kuchennym blatem. Łopatka do patelni, chochła, otwieracz do puszek i do butelek – to wszystko, co miał w kuchni oprócz kompletu sztućców, po sześć łyżek, noży i widelców, oprócz tego jeszcze szuflada z papierem śniadaniowym, druga – z woskowanym papierem do przekładania kanapek i rolką foliowych torebek, dwa garnki w osobnej szufladzie, nic dziwnego, że nie miał zmywarki, mycie tego wszystkiego w zlewie nie mogło zajmować dużo czasu, pomyślała, talerze, szklanki i sztuce z poprzedniego wieczoru były umyte i stały równo na suszarce, łącznie z ustawioną pionowo patelnią na jednym z końców, musiał pozmywać, gdy ona zasnęła.

Kupiła rolkę gotowego ciasta na pizzę, puszkę ananasa i więcej chorizo, cebulę i tartą mozzarellę, czosnek i doniczkę świeżego oregano. Do tego chleb i różne dodatki, piwo i napój jabłkowy. Radełko do pizzy znalazła w dziale kuchennym, podobnie jak pleciony płaski koszyk, na którym można było podawać różne dania, jeśli wyłożyło się go papierem śniadaniowym, i to właśnie ten koszyk, ze stosem kwadratowych kawałków pizzy, z których spływał roztopiony ser, wniosła do salonu i postawiła na stole,

między talerzami ze świeczkami a dekoracyjnie ułożonymi skarbami z lasu.

– Ojej. Jak to dobrze wygląda. Nigdy nie robię dla siebie takich smakołyków. A więc można kupić gotowe ciasto.

– Jak najbardziej.

– Ten stół jeszcze nigdy tak się nie prezentował – powiedział, patrząc jej w oczy. – Bardzo ci dziękuję – dodał.

– Proszę, nakładaj sobie. Nie ma za co, musiałam ci się odwdzięczyć, przecież przestraszyłam cię wczoraj wieczorem prawie na śmierć. I do tego ciągle gadałam o sobie i zrobiłam scenę. Wstyd mi, gdy teraz o tym myślę.

– To był w końcu dla ciebie dramatyczny dzień.

– A jak dziś minął dzień tobie?

– Mieliśmy dość duży pogrzeb, wszyscy troje musieliśmy go organizować. Cóż, właściwie to mam jeszcze jednego pracownika, ale dałem mu inne zadania. Pyszna pizza. Czosnek też jest świetny. I ten ananas, bardzo oryginalny smak.

– Może nie masz ochoty o tym rozmawiać? – spytała.

– To tylko praca. Nic, co by cię mogło zainteresować.

– I tu się mylisz. Uważam, że twoja praca musi być niesamowicie fascynująca. Że zajmujesz się naprawdę ważnymi sprawami.

Robiąc co chwila przerwy na żucie i przełykanie, opowiedział jej o mężu i żonie, którzy przeżyli razem ponad sześćdziesiąt lat i zmarli w odstępie zaledwie czterech dni, jedno z nich w szpitalu, drugie – w domu opieki. Pochowano ich razem.

– Jest o nich dzisiaj artykuł w „Adresseavisen”, jeśli chcesz zobaczyć.

– Nie znalazłam tu dziś żadnej gazety.

– Przepraszam – powiedział. – Musiałem położyć ją rano na podłodze w korytarzu, to stary nawyk, pod koszykiem z przyborami do czyszczenia butów.

– Myślałam, że to jakiś stary numer. Ale pogrzeb wypadł dobrze? Może dostanie kolejną kartkę, którą będzie mógł dołożyć do stosu w szafce, pomyślała.

– Bardzo, ale trzeba było skoordynować wiele różnych rzeczy, było mnóstwo bukietów do wstawienia do wazonów i wstęg, nad którymi musieliśmy mieć kontrolę, ksiądz nie miał nawet czasu na odczytanie pożegnań z połowy z nich, poza tym zawsze jest sporo roboty już po wszystkim, ale dziś zajęły się tym panie z mojego biura, bo ja mam przecież gościa – powiedział, sięgając po kolejny kawałek pizzy. Trzeba go było podnieść wysoko w powietrze, bo tak ciągnął się na nim ser, w końcu Margido trzymał go w wyprostowanej ręce, uśmiechając się szeroko.

– Dużo przyszło ludzi? – zapytała.

– Kościół pękał w szwach. Prawie nam zabrakło programów, kiedy wszystkim je rozdaliśmy, zostało tylko siedem sztuk, jak na mój gust zbyt mały zapas i za dużo stresu.

– Przecież kilka osób mogłoby zerkać do jednego programu?

– Nie. Każdy powinien mieć swój własny. I potem zabrać go do domu, to w końcu coś w rodzaju pamiątki z tego dnia.

– Zmieniając temat, kiedy mój dziadek ma w zwyczaju chodzić spać?

– Kiedy tylko sam zechce.

– Ach tak? Myślałam, że to personel domu opieki decyduje o takich sprawach. I że starszych ludzi kładzie się do łóżek wcześniej, bo później nie ma im już kto pomóc.

– Owszem, tak jest w wielu miejscach, ale Byneset to jeden

z lepszych domów opieki w mieście.

Nie mogła się dłużej powstrzymać i spytała go, gdy już siedzieli w aucie:

– Dlaczego właściwie zacząłeś myśleć o tym, co jesz? Lekarz kazał ci zmienić dietę? Nie jesteś chyba chory?

Margido nie oderwał wzroku od drogi. Używał staromodnych rękawiczek do prowadzenia samochodu, miały małe dziurki na wysokości kostek, by skóra nie napinała się za bardzo przy zaciskaniu palców na kierownicy, przez całe dzieciństwo oglądała dłonie ojczyrna na kierownicy w identycznych rękawiczkach i marzyła, by sama takie mieć, ale powiedzieli jej, że nie robi się ich w rozmiarze dziecięcym, bo dzieci nie mogą przecież prowadzić.

– Nie. Nie jestem chory. Tylko ostatnio czuję się trochę zmęczony.

– To pewnie po zimie, wielu ludzi się na to skarży. Bo wiesz, nie możesz zachorować, w końcu jesteś moim wujkiem i w ogóle.

Nie odpowiedział, wciąż patrzył na drogę, znów przyjrzała się jego rękawiczkom, teraz przecież mogłaby sobie takie kupić, pod warunkiem oczywiście, że ktoś je nadal produkuje.

Tormod Neshov siedział w swoim pokoju z pledem i książką rozłożoną na kolanach, tuż przy fotelu stała lampa, rzucając światło prosto na zadrukowane strony. Górna lampa była wyłączona, dlatego nie zobaczył jej w pierwszej chwili, gdy weszła do środka za Margidem.

Ale gdy tylko jego wzrok padł na nią, rozplakał się i zaczął głośno łkać, wypuścił z rąk książkę, która zsunęła się z jego chudych kolan i spadła na podłogę. Jego urywany szloch sprawił, że

i ona zaczęła płakać, nachyliła się nad nim i mocno go uściskała, pachniał czystością i świeżo wypranym ubraniem, policzki miał świeżo ogolone.

– Torunn.

– Tak, jestem tu.

– Wróciłaś...?

– Nie, jestem tylko z krótką wizytą u Margida.

Podniosła książkę i położyła ją na stoliku obok niego. Leżało tam kilka gazet i szkło powiększające, obok stał kubek z kawą i talerzyk z przekrojonymi na pół kanapkami, jedna była z brązowym serem, druga – z szynką.

– Książka ci się zamknęła, zapomnisz, gdzie skończyłeś – powiedziała.

– To nie ma znaczenia, czytałem ją już wiele razy.

– Przeszkodził ci w kolacji? Nie jesz razem z innymi?

– Czasami. Ale nie wtedy, jak chcę czytać. Niektóre panie strasznie dużo gadają.

Margido wypakował zawartość reklamówki, rozstawiając ją na stole.

– Kupiłem ci Solo oraz pastylki i różne czekoladki. I „Męski Świat” – powiedział.

Zakupów było całkiem sporo. Margido odkręcił wszystkie butelki, a potem delikatnie na powrót zakręcił i ustawił je w rzędzie na stole.

– Ojej, bardzo ci dziękuję – powiedział dziadek.

– Zostawię was samych – oświadczył Margido. – Muszę jechać po te dwie trumny i po poduszkę.

– Poduszki nie musisz brać, na tych z sofy spało mi się bardzo wygodnie. Czy do tego auta naprawdę wejdą ci dwie trumny?

– Jedna jest mała, dziecięca, dla małej dziewczynki z Syrii – odrzekł Margido.

– Straszna historia – westchnął dziadek.

– Dziecko uchodźców? – spytała Torunn. – A to oni nie są muzułmanami?

– Nie, to chrześcijańska rodzina. Między innymi dlatego musieli stamtąd uciekać. Do zobaczenia później.

Torunn usiadła na łóżku.

Dziadek zdjął okulary i otarł oczy, powoli, drżącą dłonią.

– A więc tak mieszkasz. Dobrze ci tu?

– Tak. Bardzo dobrze. Wszyscy są tacy mili. I dają dobre jedzenie.

Sięgnął po połówkę kanapki z brązowym serem i odgryzł z niej kęs, jakby chciał jej to zademonstrować.

– Ty też możesz dostać kawę i ciasto, jeśli chcesz – powiedział. – Musisz tylko iść i sobie przynieść. Gościom wolno. Dzisiaj na drugie śniadanie były gofry. Tu mówią na to *lunch*.

– Dziękuję, właśnie jedliśmy pizzę.

– Ty i on? U Margida?

– Tak, to ja ją upiekłam.

Dziadek mówił bardzo wolno, ale nigdy wcześniej nie słyszała, by gawędził z kimś w ten sposób. Pokój był pusty, stały w nim tylko meble, będące najwyraźniej na wyposażeniu domu opieki, jedynymi osobistymi przedmiotami były jego książki o wojnie, ustawione na półce nad łóżkiem i kalendarz ze zdjęciami różnych miejsc w Norwegii wiszący na ścianie nad stołem.

– Nie zabrałaś żadnych mebli z Neshov? Ale chyba wam na to pozwalają? Urządzić swój pokój, tak jak samemu się...

– Nie chcę nic więcej. A na pewno nic stamtąd.

Spuścił wzrok, spojrzął na swoje kolana, zrobił nerwowy, nieco świszczący wdech. Jego łysina błyszczała w świetle lampy, nieliczne kosmyki włosów leżały schludnie przyczesane po jednej stronie czaszki, uszy miał intensywnie czerwone, podobnie jak koniuszek nosa.

– Przepraszam – powiedziała. – Przepraszam, że tak po prostu zniknęłam.

– Musiałaś przecież – odrzekł, nie unosząc wzroku. – Mówiłaś, że nie jesteś w stanie dalej tam być.

– Ale powiedziałam też, że bardzo cię lubię. Kiedy wyjeżdżałam.

– Tak.

– A potem przez trzy i pół roku nie dawałam znaku życia – dokończyła.

– To prawda. Nie dawałaś.

– To za to cię przepraszam – powiedziała.

– Ach tak.

– Nie musisz mi wybaczać ani nic takiego, chciałam cię tylko przeprosić i powiedzieć, że bardzo mi przykro.

– Zawsze jest wybaczenie – powiedział.

– Wyjeżdżając, czułam się jak śmieć, i mam straszne wyrzuty sumienia, że się do ciebie nie odezwałam, ale jakoś się nigdy nie złożyło... Nie wiedziałam, jak miałabym...

– Nie przejmuj się tym już. Byłaś dla mnie dobra. Bardzo dobra.

– Niewiele musiałam robić, żebyś tak się czuł. Wcześniej nie zaznałeś zbyt dużo dobra.

– Nie.

– Nie wybaczyłeś... jej?

– Nie – powiedział, podnosząc wzrok. – Nigdy.

– A więc nie zawsze udaje się wszystkim wybaczyć – powiedziała, uśmiechając się nieznacznie. Nie odwzajemnił uśmiechu.

– Tak. Nie zawsze – potwierdził.

– Tak się strasznie cieszę, że tu jesteś. Bo przecież tego chciałeś. Mieszkać w takim miejscu. Pomagają ci tu we wszystkim, prawda? Przy myciu i tak dalej?

– We wszystkim. Są bardzo uprzejmi. Ale mieszkają tu tacy, co się nie chcą myć. I potem przychodzą ludzie z wizytą i mówią, że tamci śmierdzą. Ale skoro oni nie chcą, to co zrobisz.

– Poznałeś tu kogoś?

– Tak.

– I nie jesteś chory ani nic z tych rzeczy?

– Nie. Często marznę, ale to nie choroba. Wielu ludzi tu śpi za dnia, ale ja nie.

– Śpią, bo dostają leki?

– Nie. Nie mogą spać w nocy, więc zasypiają po wstaniu z łóżka.

– Ale ty dobrze sypiasz.

– Przesypiam całe noce. Bez wyjątku.

– Ja też ostatnio czytam dużo o wojnie – powiedziała.

– Naprawdę? – spytał, pochylając się do przodu na fotelu, z szeroko otwartymi oczami.

– O Magdzie Goebbels.

– Ach tak, o niej. Straszne.

– Trochę ją rozumiem – powiedziała.

– Tak – odrzekł. – Te dzieci, one by... coś okropnego.

– Niewielu rozumie, jak ona mogła to zrobić – powiedziała.

– W takim razie nie rozumieją tej wojny – odrzekł dziadek.

– Tak czy inaczej, ja bardzo chcę zrozumieć więcej i bardzo mnie

to fascynuje.

Widziała, jak ucieszyły go te słowa.

– Margido nie chce czytać o wojnie – powiedział. – Mówi, że dość ma wojny w telewizji.

– Nie sposób się z nim nie zgodzić. Ale ja bardzo chcę dowiedzieć się więcej.

– Możesz coś ode mnie pożyczyć – powiedział dziadek, unosząc rękę w stronę półki z książkami, a ona wybuchnęła śmiechem.

– Chyba nie mówisz poważnie! – powiedziała. – Przecież wiem, jak kochasz te książki, czytasz je w kółko od początku! Mogę sobie kupić własne albo pożyczyć coś z biblioteki.

– Nikomu, kto tu mieszka, nie wolno ich pożyczać – oświadczył.

– No właśnie! A ja nie będę przecież ciągnąć ich ze sobą do Oslo! Jeszcze tego by brakowało.

– Do Oslo.

– Wylatuję jutro. Może mogłabym ci przesłać kilka książek w paczce. Ale ty masz już je chyba wszystkie.

– O nie. Ich jest tak dużo.

– Mogę zrobić zdjęcia tych, które już masz, żebym nie zapomniała – powiedziała, wyciągając telefon. Włączyła lampę błyskową i sfotografowała grzbiety książek z półki i okładkę tej, która leżała na stole.

– Teraz mam pełen ogląd sprawy – powiedziała. – Mogę przy okazji zrobić ci zdjęcie?

– Oj, nie.

– Ależ tak, strzelimy sobie razem selfie.

Ukucnęła przy jego fotelu i wyciągnęła rękę z telefonem.

– Patrz na telefon – powiedziała. – Nie ugryzie cię.

Uniósł podbródek, a ona cyknęła trzy czy cztery zdjęcia, jedno po

drugim. Ale gdy chciała mu je potem pokazać, odmówił ich oglądania.

– Oj, nie – powtórzył.

– Jesteś jak ci z tych ludów rdzennych, którzy nie chcieli, by im robić zdjęcia, bo wierzyli, że fotograf kradnie częśćkę ich duszy.

– A ty to teraz zrobiłaś – odparł.

Gdy następnego popołudnia siedziała przy bramce numer trzydzieści pięć na lotnisku Værnes, Margido był tak uprzejmy, że ją podwiózł, zaczęła studiować zdjęcia, które wtedy zrobiła. Pogodny spokój jego twarzy kontrastował z otaczającym ją podróźnym chaosem.

Ta stara twarz i to, co jej powiedział.

Że ma teraz przy sobie częśćkę jego duszy.

Nagle uświadomiła sobie, że wcale jej to nie cieszy, miała w sobie tylko tęsknotę i głębokie przekonanie, że jest niewystarczająco dobra. Wstała mechanicznie, słysząc, że samolot jest gotów do przyjęcia pasażerów na pokład, i stanęła w kolejce z innymi.



Ponieważ Krumme od zawsze utrzymywał, że w kwestii poziomu hysterii nikt nie mógłby się równać z Erlendem, tym bardziej komiczne wydawało się Erlendowi to, iż w sprawach związanych z dziećmi Krumme stał się znacznie większym panikarzem od Erlenda.

– To na pewno dlatego, że omal nie zostałeś przejechany na śmierć – stwierdził Erlend. – Ale gdyby nie ten wypadek, to naszych dzieci w ogóle by nie było. Nie wolno ci o tym zapominać.

– To nie dlatego. Po prostu przez cały długi dzień w pracy nurzam się w nieocenzurowanych okropnościach, oglądam wszelkie wypadki i zło tego świata, zrobione przez reporterów zdjęcia, których w żadnym wypadku nie możemy dać do druku, opisy spraw molestowanych dzieci pełne szczegółów, których lepiej nie ujawniać, ponieważ czytelnicy nie są na coś takiego przygotowani. Jak więc możemy przyjmować za pewnik, że naszą trójkę uda się uchronić przed okropnościami świata? Czy potrafisz mi to powiedzieć? Wszelkie statystyki wskazują...

– Powód jest prosty, pilnujemy ich, mój drogi Krumme. Kochamy je i chronimy, i do tego przykładnie wychowujemy.

– Tak, ale możemy to robić tylko, dopóki są małe i do tego mamy

pewność, że są pod profesjonalną i serdeczną opieką w przedszkolu.

– Jak na razie wszystko jest dobrze już od trzech lat. Nie widzę żadnego powodu, z jakiego to pasmo sukcesów nie miałyby być kontynuowane – odparł Erlend.

– A ja widzę tysiące powodów.

Krumme dorobił się ponadto nadciśnienia i zażywał teraz regularnie lekarstwa. Zdaniem Erlenda mogło mieć to pewien drobny związek z pękatym brzuszkiem, brakiem treningów do maratonu oraz faktem, że za cztery lata miał skończyć pięćdziesiąt lat, jednak Krumme upierał się, iż to wyłącznie kwestia przeżywanego lęku przed katastrofą.

– Tak to się nazywa – oświadczył Krumme. – To, na co cierpię, ma nawet nazwę. A wobec tego nie może być zbywane lekceważącymi uwagami na temat mojego brzucha.

– Który kocham – dodał Erlend. – Więc wsuwaj te tabletki na nadciśnienie, jakby to były cukierki. Jeśli schudniesz, przestanę cię kochać.

Sam – o dziwo – przyzwyczaił się do szczęścia po tym potwornym okresie niemowlęcym, kiedy wszystko rozplywało się w chaosie i człowiek ledwie dawał radę od czasu do czasu usiąść do normalnego posiłku. Jednak i wtedy odczuwał szczęście, otaczające ten chaos niczym szklana bańka i ten wielki, delikatny cud życia również jemu odbierał rozum ze strachu. Doskonale wiedział, czym jest lęk przed katastrofą. Kiedy jednak u Krumme powoli zaczęły być widoczne nadopiekuńcze kwocze skłonności, powstała sytuacja, w której Erlend mógł odsapnąć i zacząć po prostu cieszyć się życiem, towarzysząc swoim dzieciom i samemu czując się dzieckiem.

Mógł teraz tarzać się w dziecinnych sprawach i zabawie, upajać się faktem, że życie nie miało żadnej skazy, tak to odczuwał, a nocami spał jak kamień, Krumme natomiast potrafił zbudzić go w środku nocy, spocony jak szczur, żeby opowiedzieć o swoich sennych koszmarach, pełnych wybuchów bomb, pedofilów oraz dżihadystów, mających zamiar nadzieć na bagnety Ellen, Leona i Norę.

Krumme był najszczęśliwszy, kiedy dzieci spędzały czas u nich i kiedy cała trójka poszła już spać. Nie mógł napatrzeć się na śpiące, małe ciała, zakopane w kołderkach, kocykach, smoczkach i pluszakach, Erlendowi natomiast brakowało dzieci, kiedy spały, i cieszyła go myśl, że za chwilę wstaną.

Na pokój dziecięcy przeznaczyci niegdysiejszy gabinet Erlenda, miał prawie trzydzieści metrów kwadratowych, więc udało im się uniknąć łóżek piętrowych, które zarówno u Erlenda, jak i u Krumme budziły skojarzenia z letnim obozem i żelazną dyscypliną.

Erlend zamocował na suficie fosforyzujące gwiazdki, a jedna ściana powoli zapełniała się stale rosnącym zbiorem porcelanowych talerzy firmy Bing & Grøndahl, wszystkie zdobione były motywami z bajek H.C. Andersena i stanowiły wielki projekt Erlenda realizowany wspólnie z dziećmi. Każdy talerz został zakupiony w sklepie, a nie przez internet, dzieci uczestniczyły w zakupach, pełne niecierpliwego oczekiwania, jako że Erlend za każdym razem budował napięcie, czytając im odpowiednią bajkę.

Erlend co prawda nie był specjalnym molem książkowym, ale wiele lat wcześniej brał udział w wielkiej wystawie w gmachu Biblioteki Królewskiej Czarny Diament, na której zamierzano

pokazać trójwymiarowe instalacje z postaciami z bajek. Jego zadaniem było stworzenie kompozycji rekwizytów i nadanie im odpowiedniego wyrazu, i w ten sposób całkowicie pochłonęły go baśnie.

– Przecież ja jestem brzydkim kaczątkiem, Krumme! To o mnie chodzi! Nie ma znaczenia, że wyrosło się w kaczej zagrodce, skoro pochodzi się z łabędziego jaja!

W ramach przygotowań do wystawy kupił dzieła zebrane H.C. Andersena, monumentalne jednotomowe wydanie, w które teraz zagłębiał się wieczorami, ku rosnącemu zdumieniu Krumme.

– Nigdy w życiu nie sądziłem, że przez kolejne wieczory będę cię oglądać z nosem wetkniętym w grubą książkę – stwierdził Krumme, a potem zrobił Erlendowi parę fotek i rozesłał je do przyjaciół.

– To tylko dlatego, że są to zamknięte historie, zrozumiałe nawet dla takiego chłopka-roztropka jak ja, ale też i dlatego, że są nieskończenie piękne i strasznie zabawne.

A ponieważ poznał baśnie w takiej formie, w jakiej napisał je H.C. Andersen, doznał szoku i poczuł oburzenie, kiedy po raz pierwszy zobaczył *Kraję lodu*, płaski, stereotypowy w kwestii płci film będący dramatycznie uproszczoną wersją *Królowej Śniegu*, która opowiadała przecież o dwójce ubogich dzieci, Kaju i Gerdzie, a nie o dwóch siostrach przypominających nastoletnie blogerki o taliach os i przesadnie chudych kończynach.

– Powinno się wsadzić ich do więzienia – powiedział do Krumme.
– Albo zrobić im lobotomię, tak aby nigdy w życiu nie byli już w stanie popełnić żadnego scenariusza filmowego. H.C. Andersen przewraca się w grobie, przewraca się niczym oczy największego psa w *Krzesiwie*, tego, który miał gały wielkie jak młyńskie koła!

- Tego, który pilnował złota?
- Dokładnie, Krumme, a więc liznąłeś nieco tematu.
- Ściśle rzecz ujmując, z nas dwóch to ja mam przygotowanie z wiedzy o kulturze.
- To możliwe. Ale nawet taki człowiek pochodzący z kulturowego rynsztoka jak ja potrafi znaleźć nasionko. Złote nasionko.
- Raczej chodzi o ślepą kurę, która...
- Teraz to już łapiesz mnie za słowa. Nienawidzę, kiedy zabawiasz się w słowne gierki!

Jednak nawet dla intelektualnie dojrzałych trzylatków niektóre z baśni H.C. Andersena w wersji oryginalnej mogły okazać się zbyt zaawansowane, sam skłonny był to przyznać jako pierwszy. Cała trójka bardzo szybko rozwijała się językowo, takiego zdania byli w przedszkolu, chociaż dziewczynki wyprzedzały nieco Leona w rozwoju. Niezależnie od tego Erlend miał zwyczaj zawsze opowiadać historię od nowa prostszymi słowami, po uprzednim przeczytaniu pierwszych wersów baśni z wielkiej księgi, jak dzieci nazywały ten tom.

Tego wieczoru dzieci chciały posłuchać *Małej syrenki*, zdecydowały tak po dłuższych przepychankach i pryskaniu na siebie wodą w jacuzzi. Ellen uwielbiała *Księżniczkę na ziarnku grochu*, ale wiedziała już, że to bardzo krótka bajka i czytanie jej zajmowało mało czasu, więc zbyt szybko było po wszystkim. Leon szczególnie upodobał sobie *Niegrzecznego chłopca* oraz *Nowe szaty cesarza*, z tej ostatniej zaśmiewał się do rozpuku, prawie płakał ze śmiechu, i to tak bardzo, że ledwie był w stanie potem zasnąć. Nie mógł uwierzyć, w jaki sposób wszyscy mogli tak kłamać i utrzymywać, że widzą te wszystkie niewidzialne jedwabie,

utkane po to, aby uszyć z nich cesarskie szaty.

– I chodził sobie tak po ulicach w samych majtkach – powiedział Leon – na pewno było mu bardzo zimno!

Poprzedniego wieczoru czytali *Ole Zmruż-oczeko*, która była ulubioną baśnią Nory. Jednak *Mała syrenka* fascynowała całą trójkę również z tego powodu, że często stali przed słonowodnym akwarium w łazience i fantazjowali o życiu mieszkańców morza oraz sześciu małych syrenek na dnie oceanu. A morzem oczywiście była cieśnina Øresund. Pasiaste paletki grały rolę straży przybocznej, żółte pokolce królewskie stanowiły damy dworu, a karłowate ustniczki z raf koralowych były tylko gośćmi, którzy przybyli z wizytą na przyjęcie.

Erlend siedział w białym, wysokim fotelu ustawionym przy ścianie z akwarium i pilnował bawiących się w wodzie dzieci, a Krumme w tym czasie kończył gotować zupę z soczewicy i nakrywał do stołu. Zdążył jednak przynieść Erlendowi kieliszek szampana i obdarzyć go krótkim buziakiem, smakującym podwędzaną golonką.

Ten podział pracy był optymalny. Erlend w pełni opanował procedury wieczorne z dziećmi i w pełni się nimi cieszył, a uwielbiał zasiąść potem do nakrytego do kolacji stołu. Krumme z kolei kochał poszaleć w kuchni po to, żeby potem dać tylko całusa na dobranoc trójce zmęczonych dzieci.

Kiedy Krumme rządził w łazience, sprawy często przybierały całkowicie niekontrolowany obrót, było wycie i krzyki przy myciu zębów oraz kłótnie o to, czyja jest gładka, różowa koszula nocna, a czyja ta różowa w kropeczki, jako że Krumme nie widział żadnej różnicy. Ellen i Nora nie były do siebie podobne, co pogłębiało się

w miarę dorastania, nie dałoby się ich pomylić nawet wtedy, gdy były niemowlętami, Nora miała bardziej okrągłą buzię i drobny, wysunięty podbródek, ale dla Krumme różowe koszulki były po prostu różowymi koszulkami.

Później łazienka była zawałona ubraniami i ręcznikami, ręcznie tkany kocyk firmy Esti Barnets leżał w kałuży wody, a Krumme był totalnie wykończony, znużony i niezadowolony sam z siebie.

Erlend w tym czasie potrafił siedzieć i sączyć szampana, przeglądając wszystkie sztuki odzieży i oceniając, co jeszcze można włożyć następnego dnia. Ubrania leżały ładnie poukładane w trzy niewielkie stosiki na ławie przy drzwiach do sauny, wystarczyło dorzucić tam niezbędne, czyste rzeczy przed położeniem się spać. Siedział, przyglądając się dzieciom baraszkującym w wodzie, ich zadowolonym buziom, cudownym, małym ciałkom, wierzgającym nogami w pianie i mydle.

– To bajkę mamy już uzgodnioną, teraz macie się wytrzeć i umyć zęby – powiedział, opróżniając do końca kieliszek z szampanem. – Pierwsza mała syrenka niech wyskakuje z wody, zapraszam, dzisiaj będzie to Nora, a zaraz potem mały pan syrena. Pojedynczo.

Nigdy nie protestowali. Cieszyli się na moment czytania bajki, biegli na wyścigi do sypialni, włązili każde do swojego łóżka i kiedy Erlend wchodził do pokoju po opróżnieniu jacuzzi i wrzuceniu brudnych ubrań oraz ręczników do pralni, leżeli w pełnej gotowości, przykryci kołderkami. Teraz Nora trzymała w buzi kciuk, z czym Ellen już dawno skończyła, a Leon nigdy nie zaczął. Leon natomiast ułożył sobie na poduszce wielką żyrafę, przytulając się do niej policzkiem. Ellen otoczyła się pięcioma misiami różnej wielkości, ustawionymi po obu stronach pod jej paszkami, codziennie w innej kolejności zależnie od tego, jak grzecznie

w danym dniu się zachowywały. Najgrzeczniejszy mógł leżeć najbliżej niej.

– „Daleko w morzu woda jest tak niebieska jak płatki najpiękniejszych chabrów i tak przezroczysta jak najczystsze szkło, ale bardzo głęboka, tak głęboka, że żadna kotwica nie sięga tam dna; wiele wież kościelnych trzeba by postawić jedną na drugiej, by sięgnąć z dna na powierzchnię. Tam właśnie żyją mieszkańcy morza...”^[14]

– Co to jest kotwica? – zapytał Leon.

– To takie coś, co wypada z łódki do wody – wyjaśniła Nora. – Żeby łódź mocno wisiała w wodzie.

– Dokładnie tak, Noro – rzekł Erlend. – „Nie należy jednak sądzić, że jest tam tylko nagie, białe, piaszczyste dno – nie, rosną na nim najdziwniejsze drzewa i rośliny o tak giętkich pędach i liściach, że przy najmniejszym ruchu wody poruszają się, jakby były żywe. Pomiędzy gałęziami przemykają małe i duże ryby, tak jak u nas w powietrzu ptaki. W najgłębszym miejscu leży zamek króla mórz, jego mury są z koralu, wysokie, spiczaste okna z najczystszej bursztynu, a dach z muszli, które zamykają się i otwierają w rytm falowania wody; wygląda to cudownie, bo w każdej leżą lśniące perły; już choć jedna byłaby wspaniałym klejnotem w królewskiej koronie”^[15].

Erlend starał się czytać najlepszą duńszczyznę, na jaką było go stać, jednak opowiadając, przechodził na swój zwykły żargon duńsko-norweski, z czego wynikało, że król morza był wdowcem i jego stara matka prowadziła mu gospodarstwo oraz dbała o jego sześć córek, z których najmłodsza była najurodziwsza^[16].

– Ale nie wolno jej wypływać i patrzeć na świat nad wodą, dopóki

nie skończy piętnastu lat – rzekła Ellen.

– I jest ostatnia, bo jest najmniejsza? – stwierdził Leon.

– Tak, jest najmłodsza – powiedział Erlend.

Tuż przed świętami wybrali się na niedzielną wycieczkę do parku Langelinie, żeby popatrzeć na syrenkę, kiedy Leon zapytał nagle, siedząc w taksówce rozmiaru XL:

– A czy można ją zjeść od połowy w dół?

Erlend doznał takiego szoku, że o mało nie przewrócił się na swoim miejscu. Czy naprawdę mogło być tak, że męskie, heteroseksualne DNA już od urodzenia zostało zaprogramowane na cunnilingus, coś takiego, na Boga, on mógł w tej sprawie odpowiedzieć chłopcu.

– Co masz na myśli, Leonie? – zapytała Jytte.

Erlend spojrzał na nią z przerażeniem, czy dziecko miało jeszcze pogłębić swoją wypowiedź?

– Przecież na dole jest rybą – odparł Leon. – A dzieci muszą jeść mnóstwo ryb. Więc czy można? Zjeść ją od dołu?

– Przecież wtedy umrze – rzekł Erlend, przełykając z ulgą własny kwas żołądkowy.

– Umrze? – zapytał Leon.

– Oczywiście – odpowiedział Erlend. – Jeśli zjemy ją do połowy.

Jednak Leon był rozczarowany, gdy wreszcie dotarli pod pomnik wykonany z brązu i zauważył, że syrenka ma normalne nogi, do których przyczepionych jest tylko parę marnych, żalonych płetw.

– To nie jest żadna syrenka! – wykrzyknął.

– Wypiła napój złej czarownicy – odparła Ellen, żując koniec jednego ze swoich warkoczyków.

Lizzi ostrożnie wyciągnęła go z jej ust.

– Nie rób tak, Ellen – rzekła. – Włosy zrobią się nieładne.

– Miała przecież otrzymać zwykłe, ludzkie nogi, żeby wyjść za księcia i nie być już syrenką. Czy nie pamiętasz, Leonie? – zapytał Erlend.

– Ale ona przecież nazywa się syrenka. A to tutaj to jest pani! Taka sama jak mama i mamusia!

No tak, powinien upraszczać dla nich te baśnie. Nie w tak wulgarny i poprawny politycznie sposób, jak zrobił to Disney, ale na dziecięcą i naiwną modłę. A jeśli coś nawet miałyby ich przerastać, pomyślał sobie, to jakąż odgrywało to rolę, przecież z każdą chwilą będą rozumieć coraz więcej.

– Co tam było dziś wieczorem? – zapytał Krumme już w kuchni, gdzie przyszedł po ucałowaniu dzieci na dobranoc.

– Mała syrenka.

– No cóż, przynajmniej jeśli chodzi o nią, to mamy dość porcelanowych talerzy, ostatnio jak liczyłem, było ich, zdaje się, dziewięć.

– Ale to dlatego, że jest na bardzo wielu talerzach, przecież jest jedną z najbardziej rozpoznawanych kobiet w Danii, zaraz po królowej i Karen Blixen.

– Ją też chyba przeczytałeś w całości, myszko.

– Widziałem film, Krumme.

– Tak czy owak uważam, że dziewięć talerzy z syrenką w zupełności wystarczy, lepiej, żeby dzieci nie wpadły w taką manię zbieractwa jak ty.

– A czemu by nie, jeśli mogę zapytać? Zbieranie to ładne hobby. To jedzenie smakowało bosko, Krumme.

– Ale wszystko można doprowadzić do przesady. To tylko moje

zdanie. Przypomnij sobie, jak bardzo bałeś się na początku o swoją kolekcję Swarovskiego.

– Kiedy matki zaszły w ciążę, obiecałeś mi witryny na całą długość ściany w salonie i jakoś ich ciągle nie widzę – rzekł Erlend.

– Przecież nie okazały się konieczne, wystarczy, że postawiliśmy wokół witrynek fotele.

– Poza tym już rozumieją, że nie należy ruszać figurek, więc nie bardzo pojmuję, co masz na myśli, mówiąc o przesadzie. I każde będzie mogło sobie wybrać figurkę na piąte urodziny.

– Obiecałeś im to?

– Czyż nie pamiętasz, że zabrałem ich do sklepu Swarovskiego ostatniej jesieni? Chciałem im pokazać.

– Boże święty.

– No wyobraź sobie. Cała trójka chciała jednocześnie trzymać mnie za rękę, poruszaliśmy się cicho i ostrożnie jak myszki, żeby niczego nie trącić, ale poszło znakomicie, nic nie potłukliśmy.

– To nie dlatego powiedziałem „Boże święty”.

– Rozwijam u nich zmysł estetyczny. Będą miały z niego radość przez całe życie – stwierdził Erlend.

– *Less is more* stało się tą mantrą, którą wylałeś razem z kąpielą, czyż nie?

– *Less is bore*^[17], Krumme, ostatnio to do mnie dotarło. Jednak nadal musi być gustownie, i tak właśnie jest. Nasz dom przypomina nagą mniszą celę w porównaniu z mieszkaniem przy Koreavej.

– Masz w tym całkowitą rację. Dzieci rzeczywiście muszą się nauczyć, że ludzie żyją całkowicie odmiennie. Wzniesmy toast za tę sprawę!

– Mars i Wenus.

– A Birte nadal nie chce tam sprzątać? – zapytał Krumme.

– Mówi, że w takim wypadku Jytte i Lizzi musiałyby przebywać poza domem co najmniej przez cztery dni, musiałyby mieć do pomocy Susy i do tego kosztowałyby to nas drobny majątek.

– Pojedźmy zatem gdzieś. Na wakacje, wszyscy razem.

– Dokąd na przykład? – zapytał Erlend.

– Dzieci nigdy przecież nie były w Norwegii. Może na Wielkanoc? W tym roku przypada pod koniec kwietnia. Tydzień w Norwegii w kwietniu, a Birte w tym czasie ogarnie całą sprawę?

– A trzy godziny po ich powrocie wszystko będzie wyglądało tak samo jak wcześniej.

– Tak, co do tego mogę się założyć – odparł Krumme.

– Na szczęście obie są równie zakręcone i tak samo dobrze to znoszą. Nigdy nie kłócą się o to, która ma posprzątać.

– Bo nikt tam nie sprząta – rzekł Krumme ze śmiechem.

– A my też się nie kłócimy, bo obaj tak samo lubimy mieć porządek. Pamiętałeś o wzięciu swojego lekarstwa na nadciśnienie?

– Boże! Dobrze, że powiedziałaś. Muszę wziąć też Alka-Seltzer, mam taką cholerną zgagę.

Krumme odszukał pudełko z tabletkami w szafce kuchennej, wpuścił jedną pastylkę do szklanki z wodą, zamieszał łyżeczką i jak tylko płyn stał się klarowny, opróżnił szklankę do dna.

– Najbardziej chory jest u nich wystrój drzwi do lodówki – stwierdził Erlend. – Dosłownie przykuwa wzrok i to nie z powodu artystycznych zdolności naszych dzieci.

Drzwi lodówki w domu Jytte i Lizzi pokryte były różnymi dość banalnymi magnesami oraz rysunkami stworzonymi przez maluchy, przypiętymi jeden nad drugim, sprawiało to wrażenie, jakby orkan przetoczył się przez sklep z artykułami papierniczymi.

Erlend był przeszcześnieśliwy, że drzwiczki w ich kuchni zrobione były ze szkła i żaden magnes nie mógł się do nich przyczepić, ale tak czy owak, nie byłby w stanie znieść tak chaotycznego obiektu w samym środku kuchni. Jytte i Lizzi zapewne przykleiłyby rysunki taśmą bezpośrednio na szkło.

Nie, Erlend zamiast tego zakupił ogromną tablicę magnetyczną i zamontował ją na jednej ze ścian w hallu, tuż obok drzwi do windy. I nie wieszał tam jeden na drugim całych tysięcy rysunków produkowanych stale przez dzieci, ryzykując, że w końcu magnes nie wytrzyma i wszystko runie na podłogę. Nie, na magnetycznej ścianie w hallu rysunki były stale zmieniane, wisiały zawsze w pewnej odległości jeden od drugiego, tak żeby można było je naprawdę obejrzeć i w odpowiedni sposób podziwiać.

Jednak żadne nie były potem wyrzucane. Na odwrocie każdego zostało zapisane imię i data, a następnie każdy był wkładany do szuflady w komodzie przeznaczonej specjalnie do tego celu i wypełnionej już po brzegi. Na pewno mogliby większość wyrzucić, bo dzieci nigdy nie pytały o nie kolejnego dnia.

– Czyż to nie jest godne zazdrości, Krumme, w jaki sposób dzieci ze swoim naturalnym stanem *mindfulness* zaczynają każdy dzień z mentalnie czystą kartą? Zupełnie tak, jakby noc i sny zerowały im mózgi – rzekł Erlend pewnego wieczoru po wrzuceniu do szuflady kolejnego stosu rysunków.

– Zapominają o wszystkim, co narysowały i stworzyły poprzedniego wieczoru.

– Ty też tak potrafisz.

– Ja? Naprawdę przyjmuję to jako komplement.

– Tylko że ty rozwiązujesz to w taki sposób, że jeżeli późnym

wieczorem poprzedniego dnia po pięciu mocnych drinkach wysłałeś histeryczne, rozwścieczone esemesy do swoich asystentów, to następnego dnia, jeszcze leżąc w łóżku, kasujesz je. A potem wstajesz i zaczynasz nowy dzień tak, jakby nic się nie stało.

– Naprawdę? Nic takiego nie pamiętam.

Po kolacji i serze z chlebkiem figowym zapalili gazowy kominek w jednym z salonów i przenieśli się tam z kawą, koniakiem i czekoladą obniżającą cholesterol. Erlend chwilę wcześniej przytłumił światło lamp i nastawił płytę *Best of Franka Sinatry*, kiedy w kuchni zadzwonił telefon Krumme.

– Kurwa – rzekł Krumme, mozolnie wygrzebując się z miękkiej sofy.

Chwilę potem stał w kuchni, klnąc dalej do osoby, z którą rozmawiał.

Po krótkiej chwili zawołał stamtąd do Erlenda:

– Jest kryzys, muszę natychmiast jechać do pracy!

– Och, tylko nie to.

– Przed świtem na pewno ich pozabijam, to normalny, kurwa, ogród zoologiczny. Ich jebane ego ma rozmiary Chin, u każdego z osobna!

– Tę soczystą wypowiedź powinien był usłyszeć Leon. Byłbyś zmuszony wypić całą krowę, a może nawet ją zaszlachtować.

Erlend przelał koniak Krumme do swojego kieliszka i uznał, że ma szczęście, iż nie siedzi w tym momencie w skórze Krumme, odzianego w swoje skórzane włoskie buty marki Moma, a potem pospiesznie ruszył do hallu, żeby dać mu buziaka na pożegnanie.

– Nie siedź za długo – rzekł Erlend.

– Cieszyłem się na nasz wspólny wieczór, myszko.

– Oddam się zatem samotności, wyciągnę szkicownik i też trochę popracuję. Biuro dostało zlecenie na zaprojektowanie stoiska Google na tych wielkich targach IT, które odbędą się w maju w Bella Center.

– Wow, o tym mi nie wspominałeś – powiedział Krumme.

– O wielu sprawach ci nie mówię, w mojej pracy też się aż gotuje. Ale dzięki Bogu przynajmniej tylko w dzień.

– To wobec tego zadzwoń do matek sam. Pozdrów je ode mnie!

Cowieczne telefony, żeby opowiedzieć o tym, jak dzieci spędziły dzień, stały się już rutyną, nawet jeśli sprowadzały się do pośpiesznej wymiany paru słów potwierdzających, że wszystko jest w porządku.

Poszedł zajrzeć do maluchów. Cała trójka głęboko spała, przesunął pomietą żyrafę Leona nieco dalej na poduszce, żeby go nie udusiła, a potem szerzej otworzył okno, na dworze nie było szczególnie zimno. Zgasił nocną lampkę, a następnie zamknął drzwi i wyszedł na taras, gdzie zapalił sobie boskiego papierosa i przypiął się do niego żarłocznie.

To było prawdziwe szaleństwo, cała ta kwestia palenia i dzieci, histeria, która całkowicie wymknęła się spod kontroli, zupełnie jakby odrobina dymu papierosowego równała się pistoletowi przyłożonemu do małego czółka, chociaż każde dziecko obwożone w wózku po mieście znajdowało się dokładnie na wysokości, na której unosiły się najgorsze wyziewy z samochodów oraz autobusów i tylko czekały tam, wibrując w powietrzu, żeby któreś je wciągnęło w płucka. Dzieci i psy wdychały do płuc najwięcej syfu, przeczytał gdzieś Erlend.

Więc żeby jeden mały papieros miał wywoływać taki powszechny

strach? Wobec tego niech rodzice przeprowadzają się na wieś albo na Grenlandię, pomyślał sobie. Albo niech zaczną na serio martwić się o powietrze, którym oddychają ich dzieci, do kurwy nędzy.

Spalił papierosa do końca, zaciągając się głęboko, aż do samego filtra. Pod nim rozlegał się równy, rytmiczny szum miasta, od czasu do czasu przerywany dźwiękiem syren, oznaczających wyjazdy do dramatów, które go nie dotyczyły, a nad lotniskiem Kastrup samoloty lądowały i wznosiły się jak bezgłośnie pszczoły wokół nęcącego kwiatka, to lotnisko nigdy nie odpoczywało.

Ogarnął trochę kuchnię, z zapalem pociągając ze swojego kieliszka napełnionego prawie podwójną porcją koniaku, a potem poszedł do łazienki, rozebrał się i włożył świeżo wyprany szlafrok.

Przez chwilę stał przed lustrem, klepiąc się mocno po policzkach, naprawdę mocno, aż się zaróżowiły. Czy aby kąciki ust nie zaczęły mu nieco opadać? Czy skóra na jego twarzy nie rozpadnie się wkrótce niczym domek z kart? Ostatnio kupił sobie niebotycznie drogą maseczkę na twarz, która zgodnie z reklamą po zaledwie trzech aplikacjach miała odjąć mu co najmniej dziesięć lat.

Nie chciał jednak teraz nakładać maseczki, miał przecież zadzwonić do matek, a maseczka zabrudziłaby mu szybkę iPhone'a. Klasyczny problem kraju pierwszego świata, pomyślał.

Zamiast tego dołożył czyste ubranka do stosików dziecięcej odzieży, wysikał się długo i porządnie, przyniósł z kuchni kieliszek z koniakiem i bezwstydnie napełnił go ponownie, a potem rozsiadł się przed kominkiem i wybrał numer matek.

Od razu został przełączony na zestaw głośnomówiący, słyszał, jak Lizzi wydiera się w tle, podśpiewując jakąś piosenkę, zapewne była w kuchni. W ich domu to raczej Lizzi zajmowała się kuchnią,

ale obie panie tak bardzo gustowały w słodyczach, że obiad sprowadzał się do obowiązkowego biegu ku chwili, kiedy wieńczył go deser. Uwielbiały posiłki przygotowywane przez Krumme, ale jeszcze bardziej kochały własne pyszności.

Jytte krzyknęła do Lizzi, że ma Erlenda na linii.

– Ale Krumme nie ma w domu, poszedł na wojnę – rzekł Erlend.
– Kryzys w pracy. Poza tym wszystko jest w jak najlepszym porządku, dzieci śpią, spędziliśmy miłe chwile z małą syrenką, wszystko zjedli, Leon posprzeczał się trochę w przedszkolu z jednym z tych ambasadorskich dzieciaków, co to są przywożone i zabierane limuzynami, Leon nie cierpi szczególnie jednego z nich, bo zdaje się, ma jakiś wyjątkowy sweter, który Leon koniecznie też chciałby mieć, nie pytaj mnie, jak on wygląda, bo nie mam pojęcia, ale zdaje się, że z przodu pośrodku ma wyhaftowane jakieś zwierzę.

Taki sweterek mogłaby przecież dla niego zrobić na drutach, tak stwierdziła Jytte, która bez przerwy robiła dla dzieci coś na drutach, sweterki, bluzy, spódniczki i rękawiczki oraz czapki i szaliki, wszystkie te rzeczy po prostu spływały z jej dłoni w szalonym tempie. Erlend nigdy w życiu nie widział takiej produkcji i był pod jej głębokim wrażeniem. Wyglądało to tak, jakby Jytte odkryła właśnie w sobie jakiś ukryty dotąd głęboko gen dziewiarski, sama była tym dosyć zaskoczona.

Potrzeby ubraniowe dzieci były zatem zaspokojone z nawiązką, więc Jytte zapytała, czy może Erlend i Krumme nie chcieliby dostać czegoś zrobionego na drutach. Pragnęli mieć staroświeckie, angielskie swetry w stylu Higgins i Jytte pracowała właśnie nad nimi intensywnie, miały mieć piaskowy kolor i guziki obciążone ciemną skórą. Erlend był zdania, że to fantastyczny gest z jej

strony, pełen pierwotnego instynktu macierzyńskiego.

– Ale nie musisz robić dla niego kolejnego sweterka tylko z powodu jakiegoś zwierzęcego motywu – stwierdził Erlend. – Lepiej rób dalej te cudowne swetry dla mnie i Krumme, Leon nie musi dostawać wszystkiego, co tylko pokaże paluszkami.

Ale przecież wcale tak nie było, zaprotestowała Jytte. Żadne z dzieci nie dostawało wszystkiego, na co miały ochotę. Poza tym sądzili, cała trójka dorosłych, że to właśnie Erlend będzie je rozpieszczał i obsypywał zbędnymi prezentami, a teraz to on osobiście się temu przeciwstawiał. Przecież to kosztuje! Zaśmiewała się do rozpuku z tego, jak bardzo zrobił się dorosły i rozsądny.

– No cóż, Krumme uważa, że robię z nich maniakalnych zbieraczy tylko dlatego, że mamy tyle radości z tych porcelanowych talerzy z motywami z baśni H.C. Andersena i obiecałem im po jednej figurce Swarovskiego na piątą urodziny...

Krumme był idiotą, jeśli coś takiego powiedział. Duńska porcelana i niewinne małe figurki z kryształu stanowiły przecież wyjątkowe wartości, które mogli przekazać dzieciom, więc Erlend mógł go zupełnie nie słuchać. Naprawdę nie, bo przecież Jytte wiedziała, jakie to ma znaczenie dla Erlenda.

Teraz Lizzi również podeszła do telefonu i zapytała, czy to u Erlenda ciągle coś piszczy. Tak jakby ktoś nieustannie dzwonił.

– To chyba tutaj. Ale sprawdzę to za chwilę, to na pewno tylko odwieczne marudzenie naszych bezdzietnych przyjaciół, którzy uważają, że zrobiliśmy się załośni. Znieczuleni społecznie, w czym zresztą mają rację, więc chyba któregoś weekendu powinniśmy zamówić opiekunkę i zrobić porządną imprezę. Co jadłyście na kolację?

Tylko zupełną szpinakową z jajkiem i mozzarellą, a do tego mnóstwo pysznej focaccii oraz przezajebiste lody na deser, z brzoskwinia i czekoladą, Erlend mógł sobie wierzyć lub nie, ale zjadły całe pudełko, z drobnymi makaronikami na bezie francuskiej na dodatek. Naprawdę małymi, ale za to było ich dużo, oświadczyła Lizzi.

– Wierzę ci. Niesamowite jest tylko to, że ciągle trzymacie figury.

To za sprawą galopującej przemiany materii i wysokiego poziomu adrenaliny, stwierdziła Jytte, a poza tym matka Lizzi zdobyła te obciążone skórą guziki do swetrów, to naprawdę okazało się niełatwe, były ręcznie robione i żaden nie był identyczny, będzie super ładnie, o wiele bardziej stylowo niż na tym zdjęciu z opisem.

– Musisz zatem dla niej też coś wydzierać. W ramach podziękowania.

O nie, tego na pewno nie zamierzała robić. Przecież te swetry były dla niego i Krumme, lepiej niech oni kupią jej matce ze dwie butelki szampana.

– Dostanie całą skrzynkę, gdyby tylko mogła w któryś weekend popilnować dzieciaków. Aha, Krumme chciałby, żebyśmy pojechali na tygodniowe wakacje do Norwegii, może na Wielkanoc, w tym roku późno wypada. Ale teraz ja też już słyszę, jak dzwoni, muszę chyba sprawdzić, kto się tak dobija, pogadamy jutro.

Nieodebrane połączenie było od Krumme, Erlend od razu oddzwonił, a Krumme natychmiast odebrał.

– Ale marudzisz – powiedział Erlend. – Zastrzeleń wszystkich dziennikarzy z nocnego dyżuru i muszę przyjechać do aresztu

i wpłacić za ciebie niebotyczną kaucję?

Upadł na ulicy. Był w szpitalu.

– Przewróciłeś się? Boże święty, Krumme, jak mogłeś być taki nieuważny... Gips i kule i... no, to prawda, mamy windę i wszystko w domu na jednym poziomie, nie będziesz musiał chodzić po schodach, ale mimo wszystko...

Niczego sobie nie złamał. Niech Erlend szybko przyjedzie, Krumme się bał. Tak bardzo bolało go za mostkiem. Przywieźli go tutaj na sygnale.

– Ale gdzie jesteś? Co się stało?

Gdzie był? Erlend usłyszał, jak Krumme woła kogoś, pytając, gdzie jest, a potem nastąpiła długa przerwa, podczas której najwyraźniej słuchał, Erlend nie był w stanie usłyszeć odpowiedzi, a potem Krumme wrócił do rozmowy i powiedział, że musi kończyć, bo chcą, żeby...

Rozmowa się urwała.

Erlend zadzwonił ponownie, po wielu sygnałach telefon przełączył się na automatyczną sekretarkę, Erlend przerwał i znów zadzwonił, tym razem odpowiedział mu kobiecy głos.

– Przecież to telefon Krumme – rzekł. – Dlaczego sam nie odbiera? Znaczy... to telefon Carla Thomsena.

A kim on jest?

– Jestem jego mężem.

Jego najbliższą rodziną?

– Zgadza się. Erlend Neshov.

Otrzymali nieco niepełne informacje dotyczące pacjenta, wszystko wydarzyło się tak szybko, ale to wobec tego Erlend był jego najbliższym krewnym?

– Zdecydowanie tak. Mamy wspólnie trójkę dzieci, to powinno

wystarczyć, ale gdzie on jest? Gdzie mam przyjechać, żeby go zobaczyć? I co się stało?

Carla Thomsena przywiozło pogotowie z izby przyjęć szpitala Rigshospitalet i przebywał obecnie w klinice kardiologicznej. Czekał w tej chwili na angiografię naczyń wieńcowych.

– Na co?

Chodziło o coś w rodzaju badania rentgenowskiego serca.

Erlend stał w pełni ubrany, z czołem opartym o ścianę znajdującą się na lewo od ich prywatnych drzwi do windy w hallu, stał nieruchomo, z zamkniętymi oczami, aż w końcu dotarł do niego odgłos windy ruszającej z dołu, drzwi się otworzyły i prawie wypadła z nich Lizzi.

– Erlendzie! Boże jedyńy!

– Czy taksówka czeka na dole? Tak jak prosiłem?

– Oczywiście. Ale jak ty się masz, skarbie?

– Daję radę.

– Ale co wiesz? – zapytała.

– Robią mu w tej chwili badanie rentgenowskie serca, tak jak mówiłem ci przez telefon, to wszystko, co wiem.

– Czy mogę cię objąć, zanim pójdziesz?

– Nie. Ubrania dzieci na jutro leżą przygotowane w łazience. Chleb tam, gdzie wiesz, dodatki też. Nie wiadomo przecież, kiedy wrócę do domu.

– I nie mogę cię przytulić? – zapytała.

– Nie chcę już dłużej blokować windy. Słyszę, jak na dole pukają w drzwi. Nie każdy ma ten przywilej, żeby mieć windę połączoną wprost z mieszkaniem, musimy trochę brać pod uwagę fakt, że w sumie na piętrach pod nami w tych swoich ciasnych

stumetrowych klitkach mieszkają ludzie.

– Wydajesz się taki zimny, Erlendzie. Mam wrażenie, że jesteś w szoku, chyba powinieneś usiąść na chwilę i...

– Mniejsza o mnie, Lizzi. Krumme może umrzeć.

Po wypełnieniu formularza z wszystkimi danymi osobowymi dotyczącymi Krumme, Erlend usiadł na krześle w korytarzu, nie miał siły skorzystać z poczekalni. Wolał przyglądać się spieszącym się ludziom niż wpatrywać się w ścianę.

Zagoniony lekarz poinformował go w biegu, że jeśli u Krumme konieczne okaże się odblokowanie tętnicy, to od razu przystąpią do operacji. Jeśli trzeba będzie założyć bypass, to zrobią to dopiero następnego dnia rano, gdyż w takim wypadku Krumme musi być na czczo. Wszystko zależało teraz od obrazu na zdjęciach rentgenowskich i od tego, jak najłatwiej będzie dojść do zwężenia naczyniowego, które najprawdopodobniej stanowiło przyczynę zaskłabnięcia Carla Thomsena.

Erlend to siadał, to zrywał się z krzesła, czując niepokonowaną i zaskakującą chęć zadzwonienia do Margida. Nie rozumiał tego. Do Margida, a nie do czekającej w domu z dziećmi Lizzi albo do Jytte. Wyciągnął komórkę, wyszedł na klatkę schodową i odszukał numer.

Minęło wiele sygnałów, zanim Margido odebrał.

– To ja. Erlend. Krumme jest w szpitalu z... zawałem serca... zdaje się... nie jestem pewien, ale będą mu odblokowywać tętnicę, jak nazwał to lekarz, albo robić bypassy, właśnie go prześwietlają i badają.

Och, Boże, rzekł Margido, naprawdę bardzo przykro to słyszeć.

– Nie wiem, dlaczego do ciebie dzwonię. Może dlatego, że

zajmujesz się na co dzień śmiercią i tak dalej, po prostu tak tylko chciałem pogadać.

Margidowi było miło, że Erlend tak właśnie zrobił. Często o nich myślał.

– To dlaczego nie chcesz utrzymywać z nami kontaktu? Torunn też się do mnie nie odzywa.

Przecież to nie tak. Po prostu czas tak szybko mijał. I tyle się w międzyczasie zdarzyło. Kiedy Torunn tak po prostu zniknęła i...

– Nadal nie wiadomo, gdzie jest?

Właśnie była u niego z wizytą przez kilka dni.

– Ach, tak? To chyba... miło.

Wpadła zupełnie bez uprzedzenia. Zerwała ze swoim facetem. A czy Krumme zachorował tak całkiem nagle?

– Był w pracy, zasnął tam i się przewrócił. Jeszcze go nie widziałem, czekam cały czas...

W tym momencie Erlend zaczął płakać, łkając, osunął się i oparł o ścianę.

– Umrę, jeśli on umrze. Krumme jest światłem mojego życia. Jest światłem mojego życia, Margido.

Nie umrze, powiedział Margido. O zawale serca wiedzą już wszystko w obecnych czasach. Niech Erlend się uspokoi. Krumme nie umrze.

– Ale co, gdyby jednak.

Wtedy Margido przyjedzie i pomoże mu ze wszystkim. Z absolutnie wszystkim.

– Naprawdę?

Oczywiście. Przecież jest jego starszym bratem. We wszystkim mu pomoże.

– Muszę się teraz rozłączyć, idę usiąść na wypadek, gdyby

przyszedł lekarz. I muszę znaleźć jakieś chusteczki, leci mi z nosa. Bardzo ci dziękuję, Margido, naprawdę bardzo.

O godzinie pierwszej w nocy Krumme miał operację polegającą na odblokowaniu tętnicy przez wejście w pachwinie, Erlendowi pozwolono wejść do niego zaraz po zabiegu, który trwał niecałą godzinę. Usiadł cichutko na krześle przy łóżku i schwycił dłoń Krumme. Była bardzo gorąca, a Krumme miał błyszczące od potu czoło, drzemał z przymkniętymi oczami, ale otworzył je natychmiast, kiedy Erlend ujął go za rękę.

– Krumme, mój kochany, przecież jesteśmy nieśmiertelni. Czyżbyś całkiem o tym zapomniał? Przewracając się w tej twojej redakcji?

– Nie zapomniałem. I lekarz mówi, że mogę jutro iść do domu, że wszystko jest już w porządku.

– Czy to prawda? Na pewno?

– Nie mogę podnosić nic ciężkiego przez trzy dni ani chodzić po schodach, no i muszę przyjmować leki rozrzedzające krew, to wszystko. Jestem zdrow jak drwal.

– To naprawdę cud...

Erlend znów zaczął płakać.

– Ale jutro mam rozmowę z lekarką, była tu przed chwilą, mówiła, że powinienem zmienić tryb życia.

– Przecież nic nie wiedzą o twoim trybie życia! – rzekł Erlend. – Tryb życia niech sobie zmieniają ci cholerni, kłótniwi ludzie u ciebie w pracy. Ty musisz wyłącznie jeść nieco więcej ciemnej czekolady.

– Wiesz, nie zaszkodzi przecież, jeśli będę...

– Dzwoniłem do Margida. Gotów jest przyjechać i pomóc mi ze wszystkim w kwestii pogrzebu. Tylko pomyśl. Pomyśl, że

powiedział to wyraźnie... I było to dla niego oczywiste, bo jest moim starszym bratem. Fantastycznie było to usłyszeć.

– Jak ty płaczesz, mój kochany. To musiał być dla ciebie straszny szok. Możesz sobie ronić łzy, ale raczej nad moim ojcem.

– Twoim ojcem? Dlaczegoż, do diabła, miałbym płakać nad twoim ojcem?

– Bo nie żyje. Umarł dziś wieczorem, dzwoniła moja siostra.

– Birgit?

– Tak, mam tylko jedną siostrę. I to wtedy właśnie się przewróciłem.

– Ależ Boże jedyny! Krumme! Twój ojciec nie żyje?

– Nie krzycz, jest środek nocy. Mówią, że to prawdopodobnie był masywny udar, siedział w swoim fotelu z odwiecznym tomem historii świata Grimberga. Według tego, co mówi Birgit, znalazła go gosposia.

– Och, Krumme, to naprawdę sprawia mi ból.

– Ależ skąd.

– No, skoro tak mówisz. W sumie nie. Jeśli mam być szczery. Ale czy tobie jest przykro?

– Mogłem zapewne pragnąć mieć innego ojca. Ale człowiek nie może wymienić sobie rodziców. Moim zdaniem to smutne, że był takim konformistą. Że nigdy nie był w stanie zaakceptować ciebie. Ale chodzi o coś jeszcze.

– O coś jeszcze? Co masz na myśli?

– Birgit mówi, że już od dawna zastanawiała się nad kwestią spadku.

– O, na pewno.

– Wysłuchaj mnie do końca, myszko. Ona przecież nie ma dzieci.

– To oczywiste. Kto chciałby robić dzieci z taką oziębłą,

neurotyczną kreaturą o morderczym spojrzeniu?

– Ona również jest produktem naszego dzieciństwa, Erlendzie. Ale chyba jako kobieta miała jeszcze gorzej, do tego była dziewczyną z bogatego domu. Wybrała po prostu kontynuację konformistycznej, najłatwiejszej dla siebie drogi, tak sędzę. A teraz ma czterdzieści osiem lat, nie będzie już miała dzieci. Chce też załatwić wszystko w związku z pogrzebem, tak powiedziała. Ale jeśli chodzi o spadek...

– Czy musimy teraz o tym rozmawiać? Właśnie przeszedłeś zawał serca, twój ojciec zmarł, a ja muszę zadzwonić do matek i do Margida i powiedzieć im, że żyjesz. Więc porozmawiajmy o pieniądzach raczej jutro, kiedy już się porządnie wyśpisz i wrócisz do domu. Nie dociera do mnie, że jutro będziesz już w domu, przez wiele godzin myślałem, że...

– Birgit nie chce swojej połowy spadku, mówi, że to byłoby moralnie niewłaściwe. Skoro ja mam trójkę dzieci i dużą rodzinę. Chce, żebyśmy przejęli całą willę w Klampenborg, ona ma już wystarczająco dużo, tak mówi.

– Dobry Boże... No cóż, nigdy nawet tam nie byłem. Obejrzałem tylko bramę od strony ulicy w zeszłym roku, kiedy latem byliśmy w wesołym miasteczku na Dyrehavsbakken.

– Dom ma osiem, dziewięć lub dziesięć sypialni i zdaje się, pięć czy sześć salonów. Jadalnię ze stołem i krzesłami na dwadzieścia cztery osoby oraz... nie pamiętam już wszystkiego. Jest tam dość miejsca na całą naszą siódmkę. Ogromna kuchnia i mniejsza osobna na brudne prace przy mięsie, rybach, wekowaniu, robieniu soków i pieczeniu. I działka o powierzchni dwunastu tysięcy metrów. Nawet z kortem tenisowym, teraz sobie przypomniałem.

– Jezu.

– Płakała przez telefon. Chciałaby poznać dzieci i być prawdziwą ciocią.

– Dobry Boże!

– Tak, możliwe, że on właśnie wspierał nas dzisiejszej nocy. Ale teraz muszę już pójść spać, jestem wykończony, myszko.

– Tej nocy nigdy nie zapomnę, mój najdroższy. Jutro zrobię sobie wolne, dzieci pójdą do matek, będziemy mogli poświętować we dwóch.

– Nie, uważam, że skoro tak, to powinniśmy spotkać się razem, wszyscy siedmioro. U nas w domu. Zaproszę też Birgit.

– Ale czy zdążymy...

– Zamówisz catering. A jutro tylko najlepsze potrawy będą dostatecznie dobre.

– Weźmiemy luksusowy zestaw z Brett's Diner, od dawna już chciałem ich wypróbować.

– Widzisz? Już organizujesz kwestie praktyczne, właśnie takiego Erlenda znam od zawsze, a nie jakąś płaczkę. Zmykaj teraz do domu. Ale najpierw mnie obejmij.

– Nie sprawi ci to bólu?

– W ogóle o tym nie myśl. Ty możesz dać mi tylko dobro, Erlendzie, tylko dobro.



Gdyby tylko wiedziała, miała najmniejsze pojęcie, ile znaczyły dla niego te jej słowa.

„Bo wiesz, nie możesz zachorować, w końcu jesteś moim wujkiem i w ogóle”.

Dobrze, że siedział wtedy za kierownicą, utrzymywał wzrok na drodze i nie musiał patrzeć jej w oczy. On, który nigdy nie płakał. Nawet w najbardziej dramatycznych sytuacjach udawało mu się zachować profesjonalny dystans i nie okazywać własnych uczuć. Co zaskakujące, zaraz potem przyszła mu do głowy myśl, że nigdy w życiu nie zje już ani jednego kęsa tego obrzydliwego chrupkiego pieczywa.

I nawet do niego zadzwoniła, a nie tylko wysłała esemesa, gdy dotarła już bezpiecznie do tej swojej przyjaciółki, która też lubi chorizo. Starał się z nią rozmawiać tak swobodnie, jak tylko potrafił, trochę tak jak z paniami w pracy, i zapytał na przykład, jak długo wytrzyma to świeże oregano w doniczce, jeśli rzecz jasna będzie je regularnie podlewał.

Teraz w marcu pewnie niezbyt długo, stwierdziła, ale mógł postawić doniczkę na blacie pod świetlówką – a czy miał zamiar używać jeszcze tego oregano? Owszem, postanowił teraz, że sam

upiecze pizzę, skoro się dowiedział, że można kupić gotowe ciasto w rulonach, a nawet gotowy sos do pizzy.

W takim razie musi pamiętać, że ciasto zacznie rosnać, kiedy tylko otworzy torebkę w temperaturze pokojowej, powiedziała. Więc jeśli będzie piekł pizzę tylko dla siebie (no tak, bo dla kogo niby jeszcze, pomyślał), powinien przeciąć rolkę na dwie równe części, jedną z nich owinąć w folię i włożyć do zamrażarki.

Zrobił dokładnie tak, jak powiedziała, i z ogromną przyjemnością zjadł swoją pierwszą w życiu własnoręcznie zrobioną pizzę w piątkowy wieczór przed weekendowym blokiem programowym „Gullrekka”, po wypiciu dziesięciu mililitrów Floradixu i zażyciu tabletki z multiwitaminą. Pasztet też bardzo polubił, podobnie jak te zdrowe orzechy, mimo że ziemne były lepsze, ale ziemne orzeszki są bardzo słone, a sól najwyraźniej też już nie sprzyjała zdrowiu, więc zdecydował, że będzie się trzymał tamtych. Egzaminu nie zdało zatem jedynie chrupkie pieczywo, zostawił otwarte opakowanie w aneksie kuchennym w pracy i teraz było już prawie puste, na zdrowie, pomyślał.

Chciał właśnie sięgnąć po ostatni kawałek pizzy, gdy przypomniał sobie nagle, że po wizycie Torunn zostało w lodówce piwo, przyniósł sobie puszkę. Miał za sobą ciężki tydzień, tak ciężki, że postanowił wyłączyć na wieczór telefon, informując o tym uprzednio obie panie. Dzięki temu one też nie będą musiały czekać w gotowości, by w każdej chwili wypuścić wszystko z rąk, gdyby ich potrzebował do przygotowania zwłok.

Mieli w tym tygodniu ofiary dwóch wypadków samochodowych, Margido pracował na miejscu zdarzenia razem ze strażakami, którzy musieli rozciąć wraki, by wydobyć z nich zwłoki, jedna

z ofiar miała zaledwie czternaście lat. A w czasie nabożeństwa pogrzebowego w kościele Hospitalkirken jedna z żałobnic dostała ataku epilepsji i trzeba ją było wyciągnąć z ławy i położyć w przejściu, opartą o jeden z największych wieńców ułożony u stóp trumny, a cała ceremonia musiała zostać przerwana do momentu, aż atak minął.

Wszyscy siedzieli w milczeniu w kościelnych ławach, a Margido czekał w kucki obok kobiety, która zupełnie nie panowała nad swoimi członkami, przykro było patrzeć na jej przewracające się oczy i drgawki wstrząsające drobnym ciałem w żałobnym stroju, na chude łydki w czarnych nylonowych pończochach, rozdartych teraz na szorstkich konopnych chodnikach wyściełających kościelną posadzkę. Gdy kobieta doszła wreszcie do siebie, była wymęczona atakiem i zawstydzona, wyciągnęła swoje skórzane rękawiczki z ust, Margido w pierwszym, słusznym zresztą odruchu zwinął je w rulon i wsunął jej między zęby, by w czasie ataku nie odgryzła sobie języka.

– W tym dniu to nie ja miałam być w centrum uwagi – wymamrotała, rozmasowując szczękę.

Margido wziął od kogoś z żałobników całą paczkę chusteczek higienicznych i podał je leżącej kobiecie, gdy ta wreszcie oprzytomniała. Była mokra od potu i śliny, musiał zamówić jej taksówkę, ksiądz wrócił do odprawiania nabożeństwa dopiero, gdy odjechała.

Na dodatek Peder Bovim zdołał jakimś cudem zaspać na ten sam pogrzeb, który miał się zacząć o jedenastej, a to oznaczało, że sam Bovim powinien był stawić się na miejscu o wpół do dziesiątej, by zdążyć odebrać kwiaty, dopilnować ustawienia wieńców, wazonów i świec. A także pomóc umieścić trumnę na katafalku, wszystko

dokładnie i pieczołowicie udekorować i przygotować, w tym również stół powitalny z fotografią zmarłego i księgą kondolencyjną, do której mogli wpisywać się żałobnicy. Bovim zadzwonił do Margida o wpół do dwunastej, mówiąc, że ma mały poślizg.

W branży pogrzebowej nic nie było bardziej niewybaczalne niż to.

Nic. Nawet literówka w imieniu na urnie.

Ktoś umarł, a rodzina, przyjaciele i koledzy mieli towarzyszyć mu w jego ostatniej podróży, podróży równie wielkiej i ważnej jak wejście w życie. A kiedy brało się na siebie odpowiedzialność za nadanie tej podróży optymalnych ram, nie można było tak po prostu zaspać. Bo kiedy odpowiadało się za rytuał, bo to był rytuał, Margido tak to postrzegał, oczywiście, że tak, rytuał rządzący się surowymi zasadami, dający poczucie bezpieczeństwa i podkreślający wagę międzyludzkich relacji, nie można przedkładać nad to własnej potrzeby snu.

W wielu dużych rodzinach krewni widywali się jedynie na chrzcinach, ślubach i pogrzebach, co czyniło profesjonalną organizację uroczystości przez biuro tym bardziej istotną, należało stawić się do pracy mimo czterdziestu stopni gorączki czy złamanej stopy, prywatne dramaty pracownika branży pogrzebowej schodziły na dalszy plan. Należało dać z siebie wszystko i jeszcze trochę.

Wiedział to każdy agent, każdy konsultant pogrzebowy.

Wiedzieli to wszyscy, z wyjątkiem Pedera Bovima. Który nigdy w życiu nie zaspąłby na targi motoryzacyjne.

Opróżnił ostatnią szklanekę piwa i spojrzał na dekoracje

przygotowane przez Torunn, wstał i podszedł do stołu jadalnego, podniósł szyszkę, pogładził jeden z kamyków, wyobrażając sobie, jak chodziła między drzewami, patrząc pod nogi, w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby ozdobić stół. Była zmęczona i rozczarowana mężczyzną, który ją zawiódł, lecz mimo to znalazła w sobie dość energii, by udekorować salon, kupić coś dobrego do jedzenia i picia, zatroszczyć się, by wrócił z pracy do pięknego domu, nakrytego stołu i ciepłego posiłku. Do czekającego nań człowieka.

Dla niej to była zapewne codzienna sytuacja, ale nie dla niego. Jej puszka po piwie z niedopałkami stała nadal na balkonie, lubił na nią patrzeć, niech sobie tam stoi, dzięki niej można było odnieść wrażenie, że ktoś tu mieszka, ktoś z ludzkimi problemami, naznaczony doświadczeniami przeżytego życia.

Poprzedniego dnia zajrzał do starego, zaraz po tym, jak załadował do auta jedną z ofiar wypadku, na dworze było zimno, więc stwierdził, że dwudziestominutowy postój nie zaszkodzi zwłokom, tak czy inaczej w szpitalu świętego Olava, dokąd zamierzał je zawieźć, personel miał zawsze ręce pełne roboty. A jeśli ktoś zacznie go wypytywać, to powie po prostu, że miał kłopoty z autem.

– Byłem w pracy tu niedaleko, więc pomyślałem, że wpadnę na szybką kawę – powiedział Margido.

– Słyszeliśmy jakiś czas temu syreny, ale teraz już jest cicho, to tam byłeś? – spytał stary, siedział w świetlicy razem z innymi pensjonariuszami i oglądał powtórkę jakiegoś serialu o królu i królowej, na widok Margida wstał powoli z fotela, wspierając się na podłokietniku.

– Tak, zdarzył się paskudny wypadek – powiedział Margido.

– Ktoś zginął?

– Tak.

– Że też możesz tak pracować. Krew i rany, to na pewno straszne.

– Przecież to nie ja najbardziej cierpię – stwierdził Margido.

– Ale mimo wszystko. Że też tak możesz.

– To w końcu moja praca. Przyniosę nam kawy.

– Z kostkami cukru – powiedział stary.

Zostały mu jeszcze dwie butelki Solo, stojące teraz na parapecie. Margido wiedział, że od okna trochę ciągnie, więc napój się tam chłodził. Postawił kubki z kawą na stole, przed starym, który opadł na swój fotel, obok położył jeszcze serwetkę i cztery kostki cukru.

– Nie wzięłeś ciasta?

– A chciałeś, żebym wziął? – spytał Margido.

– Później sobie przyniosę. Torunn miała mi przysłać książki. Ale nic nie przyszło.

– Przecież wyjechała dopiero niecały tydzień temu, a ma sporo spraw do załatwienia, wyprowadza się od mężczyzny, z którym mieszkała.

– Ach tak? Nic nie mówiła.

– A jakie książki miała ci przysłać?

– O wojnie. Zrobiła zdjęcia tych, które już mam. Telefonem.

– Coś takiego.

– Tak. Dużo ludzi tu tak robi. Starzy też. Robią zdjęcia telefonami.

– Może chciałbyś mieć własną komórkę? – spytał Margido.

– Och, nie. Nie. Nie.

– Można kupić taki całkiem prosty model, z dużymi klawiszami i cyframi. Prawie jak zwykły telefon.

– Nie. Nie potrzebuję.

– Mógłbym do ciebie dzwonić. Na przykład ze sklepu, żeby spytać, co ci kupić. Torunn też by mogła z tobą rozmawiać.

Oczy starego napełniły się nagle łzami, zamrugał szybko, łzy stoczyły się wzdłuż bruzd na policzkach.

– Tęsknisz za nią – powiedział Margido.

– Tak. Pojawiła się tak nagle. To było dziwne.

– Ale miło, że przyjechała. A przedwczoraj dzwonił do mnie Erlend. Dwa razy. I jeszcze raz, wczoraj.

– Ach tak?

Wzrok starego stał się nagle czujny i ciekawski, otarł łzy z twarzy, grzbiet jego dłoni upstrzony był ciemnymi plamami wątrobowymi.

– Prosił, żebym cię pozdrowił. To znaczy poprosił o to za drugim razem. Pierwszy raz dzwonił, żeby powiedzieć, że Krumme miał zawał. Był bardzo wzburzony.

– Duńczyk...? Zawał?

– Tej samej nocy zrobili mu zabieg udrożnienia żyły serca. Następnego dnia wrócił do domu i czuje się już bardzo dobrze.

– Był taki miły. I robił dobre jedzenie. Tu też dobrze nas karmią, ale Duńczyk gotował lepiej.

– Na maśle i śmietanie na pewno nie oszczędzał – powiedział Margido. – Pewnie dlatego jego dania tak ci smakowały. I może dlatego też się rozchorował.

– Od masła i śmietany? W życiu o czymś takim nie słyszałem.

– Możliwe, że zachodzi tu jakiś związek – stwierdził Margido.

– A Torunn co powiedziała?

– Kiedy?

– Jak się dowiedziała, że Duńczyk zachorował?

- Nie wiem. Nie rozmawiałem z nią o tym.
- Nie zadzwoniłeś, żeby jej powiedzieć?
- Nie, niech Erlend sam to zrobi. Nie mogę jej zawracać teraz głowy, na pewno ma dość swoich spraw. Przeprowadzkę i tak dalej.
- Mówiłeś, że on dzwonił... trzy razy? Erlend?
- Mieli imprezę. Zmarł ojciec Krumme, a oni...
- Imprezę, bo umarł ojciec?
- Cóż. Może to nie była impreza, sam nie wiem. Było głośno. Mają przecież troje dzieci.
- Tak. Dzieci hałasują.
- Nie zrozumiałem wszystkiego. Rozmawiałem tylko trochę z Erlendem i zamieniłem parę słów z Krumme. Wydawali się szczęśliwi.
- A ojciec umarł.
- Tak. Ale chyba cieszyli się głównie z tego, że Krumme żyje. I mówili o przyjeździe do Norwegii.
- Tutaj?
- Nie, tego nie powiedzieli. Nie wiem. Ale miło, że zadzwonili. Bardzo miło.

Margido umył talerz, szklankę i sztućce pod bieżącą wodą, nie chciało mu się napełniać zlewu, był taki najedzony tą połówką pizzy. Potem włączył saunę i przyniósł gazetę, rozsiadł się z nią, czekając, aż sauna się nagrzeje.

Otworzył gazetę na ostatniej stronie, gdzie drukowano nekrologi, dwa z nich pochodziły z jego biura, pogrzeby miały się odbyć we wtorek i czwartek w następnym tygodniu, to te dwie ofiary wypadków. „Składamy Cię więc na serca dnia, jak wielki skarb w szkatule. Będiesz w nim mieszkał w swym wiecznym śnie,

wspominać będziemy Cię czule”.

Dwa pogrzeby dwóch ofiar wypadku w jednym tygodniu, nie będzie łatwo.

Zmarli w wypadkach zawsze byli najtrudniejsi – kompletnie nieprzygotowani na śmierć krewni, koszmarny wstrząs w życiu najbliższych, musiał być na każde ich skinienie, zwracać się do nich z delikatnością i najwyższą uprzejmością, a jednocześnie być przygotowanym na ataki hysterii w czasie ceremonii, najczęściej dochodziło do nich przy samym pochówku, w momencie, gdy opuszczano trumnę do wykopanej w ziemi dziury.

Wzdłuż krawędzi świeżego grobu można było ułożyć matę ze sztuczną trawą w kolorze soczystej zieleni, coś w rodzaju manewru odwracającego uwagę, ale wszyscy tak czy inaczej wiedzieli, że trumna ze zmarłym zniknie prędzej czy później w ziejącej pustką czeluści.

Zazwyczaj na pogrzeby ofiar wypadków zabierał ze sobą małe, płaskie opakowanie Valium, trzymał je w kieszeni marynarki, tabletki dzielił wcześniej na pół, bo połówka z reguły wystarczała, lek działał szybko. Pilnował też, by zawsze mieć pod ręką kilka butelek wody mineralnej.

Receptę na tabletki wypisywał mu znajomy lekarz, który doskonale wiedział, że Margido nie będzie łykał ich sam. Wypisywanie recept dla osób innych niż pacjent było niezgodne z prawem, ale czasem nie sposób było stosować się do wszystkich przepisów i wielką ulgę przynosiła świadomość, że ma się wokół siebie innych profesjonalistów, którzy to rozumieją i kierują się zdrowym rozsądkiem.

Pod nekrologami w „Adresseavisen” widniały ogłoszenia innych

biur pogrzebowych, dwa z nich podawały numer telefonu całodobowego. Siedział, przyglądając się im.

Telefon całodobowy. Innymi słowy, byli otwarci na okrągło. Dzień i noc, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Pewnie, jeszcze tego mu do szczęścia brakowało. Mógłby od razu położyć się w jednej ze swoich trumien, z tych najprostszych i najtańszych, i przykręcić wieko od środka.

Ale to, jak teraz prowadził swoje biuro... dłużej tak nie da rady. To przecież kompletny brak profesjonalizmu. Wstyd. Oczywiście, że powinien mieć telefon całodobowy i ustalić przy nim dyżury. Przyszedł czas, żeby przejść na wcześniejszą emeryturę albo – przeciwnie – wziąć byka za rogi i zwiększyć liczbę pracowników w przemyślany, zaplanowany sposób. Pani Marstad i pani Gabrielsen nie chciały jeździć do domów zmarłych, a Bovim w ogóle odmawiał pielęgnacji zwłok. Nic dziwnego, że brakowało mu rąk do pracy, ale mógł za to winić tylko siebie, to przecież nie problem znaleźć w tej branży porządnych pracowników gotowych na nowe wyzwania. Musiał mieć tylko dość siły i zapału, by ich aktywnie poszukać. Dość siły. W tym cały szkopał.

Opuścił gazetę na podłogę.

Przejść na emeryturę... i co właściwie robić? Czym wypełniać całe dni, od rana do wieczora?

Gdy stał już nagi w łazience przed wejściem do sauny i sięgał po masę na grzybicę paznokci, pomyślał nagle, że mógłby się ogolić w miejscach, o których łatwo zapomnieć. Wziął maszynkę do golenia i elektryczny trymer do włosów w nosie, podłączył oba urządzenia do prądu, jedno po drugim, i gruntownie ogolił sobie kark oraz usunął włosy z nosa i uszu.

Nie czas zaniedbywać małe rzeczy, teraz, kiedy musiał wreszcie stanąć oko w oko z wielkim wyzwaniem. Spojrzał w oczy swojemu lustrzanemu odbiciu.

W ciągu weekendu, pomyślał, w ciągu weekendu zdecyduje, co zrobić dalej.

Frida Elskjær zadzwoniła do niego w sobotnie przedpołudnie, gdy siedział z kubkiem kawy i weekendowym dodatkiem do „Adresseavisen”, czytając o ambitnych i dalekosiężnych planach budowy osiedla mieszkalnego na dawnych obszarach przemysłowych w centrum Trondheim. Kontaktował się z nią już wiele razy wcześniej, dlatego zapisał ją w pamięci telefonu i na wyświetlaczu pojawiło się jej imię i nazwisko. Natychmiast zrozumiał, czemu do niego dzwoni.

– No i umarł – powiedziała. – Odszedł o świcie, ale musieliśmy jeszcze kilka godzin się przespać, dlatego dzwonię dopiero teraz.

– Już jadę.

– Zabierzesz trumnę?

– Oczywiście.

Jej mąż życzył sobie umrzeć w domu, dlatego na środku salonu stało szpitalne łóżko z aparatem do podawania tlenu i pompą morfinową. Leżał we własnym domu, czekając na śmierć przez trzy tygodnie. Frida Elskjær miała ukończony podstawowy kurs pielęgniarstwa i sama opiekowała się mężem, z pomocą pielęgniarki środowiskowej, która zaglądała do niego w razie potrzeby. Fridzie asystowali poza tym dwaj dorośli synowie, którzy na zmianę dyżurowali przy ojcu w nocy.

Margido był wcześniej w tym domu już kilka razy, ponieważ chory, Oscar Elskjær, sam chciał zaplanować swoją ceremonię

pogrzebową. Wybrali wiersze i pieśni, a także fragment osadzonego w Valdres opowiadania Mikkjela Fønhusa, który miał zostać odczytany po liturgii, to właśnie w Valdres dorastał Elskjær. Umierający życzył sobie zostać skremowany, a ceremonia miała się odbyć w przyszpitalnej kaplicy Tilfredshet, więc to tam należało przewieźć trumnę, która została wybrana z wyprzedzeniem, Margido musiał tylko jechać po nią do magazynu. Nakleił na niej żółtą samoprzylepną karteczkę z imieniem i nazwiskiem, a do środka włożył jedwabną okrywę i poduszkę oraz całun do przykrycia twarzy zmarłego. Śmiertelnej koszuli nie musiał szykować, Elskjær chciał być pochowany we własnym garniturze, koszuli i krawacie, mimo że ubranie będzie teraz na niego za duże, składał się z samej skóry i kości, jak niemal wszyscy zmarli wyniszczeni długą walką z nowotworem.

– Po prostu wepchnijcie nadmiar materiału pod ciało z każdej strony, żeby jakoś to wyglądało – powiedział Elskjær z uśmiechem, kiedy Margido odwiedzał go po raz ostatni.

Gdy Frida Elskjær wpuściła go do środka, usłyszał głośną muzykę, coś klasycznego, symfonię, którą znał, ale której tytułu w tej chwili nie kojarzył, była piękna i podniosła.

Na stole i wszystkich parapetach w salonie stały zapalone świece, synowie siedzieli z kieliszkami czerwonego wina w dłoniach i przywitali się z nim z uśmiechem, a na środku pokoju leżał zmarły z przymkniętymi oczami i nagimi barkami wyglądającymi spod wатовanej, pomarańczowej narzuty. Jego łysina lśniła na czystej poszewce poduszki, na której wciąż widoczne były kanty po prasowaniu.

Oczy synów błyszcząły od wyczerpania, połączonego z ulgą i bólem po stracie bliskiej osoby. I od czerwonego wina.

– Umyliśmy go – powiedziała Frida Elskjær.

– Naprawdę? – spytał Margido.

– Tak, wszyscy troje. Razem. Od stóp do głów. I włożyliśmy mu korek na dole. Żyliśmy z tą śmiercią już od tak dawna i stwierdziliśmy, że chcemy zrobić wszystko jak należy także teraz, kiedy nastał koniec. Jego garnitur wisi przygotowany, ze świeżo wyprasowaną koszulą, krawat sam sobie wybrał kilka dni temu. Chciał swój krawat na 17 maja, granatowy, w małe norweskie flagi. Powiedział, że chce iść do ziemi z flagą powiewającą na szczycie masztu.

Margido uśmiechnął się. To było wspaniałe. Oscar ustanowił również surowy zakaz „kretyńskich tekstów” w nekrologu, jak sam je wtedy nazwał.

– I nie piszcie tam, cholera jasna, że „przegrałem walkę z rakiem”. Bo żadnej walki, kurwa, nie przegrałem! Jeśli ktoś tu przegrał, to ci, którzy nie dają dość pieniędzy na badania, żeby ta przeklęta choroba została wypleniona raz na zawsze.

– Siadaj – powiedziała Frida Elskjær. – Zaraz dostaniesz kawę. Ściszcie trochę muzykę, chłopcy, nie słyszę własnych myśli.

Synowie trącili się kieliszkami, po czym unieśli je w stronę Margida.

– Pewnie myślisz, że zwariowaliśmy – powiedział jeden z nich.

– Ależ nie. Zdecydowanie nie – odrzekł Margido.

Ale stary by tak pewnie pomyślał, przyszło mu nagle do głowy.

– Spodobałoby mu się to, wino, muzyka i świece, nasz ojczulek byłby zachwycony.

– Tu nie ma gotowych rozwiązań – powiedział Margido. – Każdy radzi sobie z żałobą na swój sposób.

– Ty już chyba niejedno widziałeś – stwierdziła Frida Elskjær, stawiając przed nim kubek z kawą.

– Owszem.

– Przyniosę jeszcze jedną butelkę, bo wiercie lub nie, ale ta jest już pusta – odezwał się starszy z synów, Georg.

Margido widział, że potrzebują rozmowy. Długo żyli we własnym, zamkniętym świecie śmierci i bólu, blisko siebie, zapewne najbliżej jak to w ogóle możliwe. Ale wiedział także, że było w tym świecie dużo śmiechu, sam przecież tego doświadczył w czasie swoich odwiedzin. Poza tym w tym domu nigdy nie mydlono sobie oczu i zawsze mówiono, jak jest.

– Wiedzieliście, że ten dzień nadejdzie – powiedział Margido.

– Tak, a wszystko przebiegło tak pięknie – odparła Frida Elskjær. – To Morten czuwał przy nim dziś w nocy, przed świtem zauważył, że mija coraz więcej czasu pomiędzy kolejnymi oddechami. I wtedy Morten nas obudził, posiedzieliśmy przy nim wszyscy troje, a on po prostu umarł po jakiejś godzinie, śpiewaliśmy mu trochę, a potem poszliśmy się położyć. Wszyscy troje mogliśmy spać równocześnie pierwszy raz od niepamiętnych czasów i spaliśmy jak głązy, a potem wstaliśmy i go umyliśmy. Był tu lekarz i wypisał akt zgonu tuż przed twoim przyjazdem, tu wisi jego garnitur, w twoim aucie czeka trumna, wszystko tak sprawnie zostało załatwione. Nekrolog jest już gotowy i... Tak, nie wyobrażam sobie, żeby to wszystko mogło potoczyć się lepiej.

– W takim razie nekrolog trafi do gazety we wtorek – powiedział Margido. – Może zaplanujemy ceremonię na piątek? Wtorek i czwartek mamy już obłożone, a w środę będzie chyba jeszcze za wcześnie, zwłaszcza jeśli ludzie będą musieli przyjechać z daleka, wziąć wolne w pracy i tak dalej.

– Piątek brzmi świetnie – odrzekła wdowa. – Chłopcy, nalejcie mi kieliszek wina. Kawa teraz nie wystarczy. Pomyśleć, że zniknie z domu, że Margido go ze sobą zabierze. Mój najukochańszy Oscar.

Łzy zaczęły płynąć z jej oczu, już gdy kończyła te słowa, młodszy syn otoczył ją ramieniem, a starszy otworzył butelkę wina. Ileż łez wylano w ostatnim czasie w tym domu, pomyślał Margido, w czasie wszystkich tych rund chemioterapii, niosących wciąż to nową nadzieję, która równie szybko była niweczona, miażdżona niczym owad pod obcasem buta. Płacz stał się tu równie zwyczajny jak kaszel.

– Jesteś chrześcijaninem – powiedziała Frida Elskjær. – Wierzącym, prawda?

– Tak – odparł Margido. – Jestem.

– A my nie – ciągnęła kobieta. – Zastanawiałam się nad tym sporo. My wierzymy, że to teraz już koniec. Dla Oscara. Nie wierzymy, że spotkamy go znów w niebie. Ale będziemy go nosić w sobie. Wszystkie wspomnienia.

– No i DNA – dodał Georg.

– Dziedziczy się najdziwniejsze rzeczy – mówiła dalej jego matka. – Sposób, w jaki się przeczesuje dłonią włosy, chodzi, ziewa, wszystkie te drobnostki. Oscar żyje dalej, w was. Nie wspominając już o inteligencji. Bo odziedziczyliście ją, obaj. I to na pewno nie po mnie, ha, ha!

– Ależ owszem – zaprotestował Georg. – Bo tata był strasznym bałaganiarzem, zaczynał sto rzeczy naraz i nigdy niczego nie kończył, a ty jesteś uporządkowana i nie masz sobie równych w logistyce, Morten i ja mamy to po tobie. I poczucie rodzinnej więzi. Rodzina taty to przecież jeden wielki chaos, każdy z każdym się kłóci, wszyscy są na siebie pogniewani i obrażeni, a twoja

rodzina to zupełnie... jak w tym przysłowiu: „gdy rodzina żyje w zgodzie, to jej bieda nie dobodzie”. Więc to także mamy po tobie.

– Pięknie powiedziane – szepnęła wdowa, upiła duży, łapczywy łyk wina i spojrzała w oczy Margida.

– Ale jak to jest właściwie wierzyć? – zapytała. – Jakie to uczucie? Czy może sądzisz, że to zbyt osobiste pytanie? Jestem po prostu ciekawa. Czy to w takich chwilach jak ta wiara naprawdę pomaga?

Margido spojrzał na bladożółtą twarz z zapadniętymi policzkami, pan domu. Wargi miał suche i rozchylone, przez szparę między nimi widać było ciemne wnętrze jamy ustnej, posmaruje je maścią i zamknie, gdy zostanie ze zmarłym sam na sam, w szpitalnej kostnicy. Rodzina nie będzie miała chyba potrzeby jeszcze go oglądać, ale może zażyczy sobie tego ktoś z żałobników, którzy dopiero przyjadą. Czekał na chwilę, w której będzie mógł doprowadzić jego twarz do porządku, zmatowić żółtawą, błyszczącą skórę, pokryć powieki cielistym cieniem.

– Właściwie to przed kilkoma laty straciłem wiarę – powiedział.
– Ale potem ją odnalazłem i wróciła do mnie, odnowiona i silniejsza.

– Jak to? – zapytała wdowa.

– Po prostu... wcześniej wyobrażałam sobie, że moja wiara musi być wszystkim, musi przenikać na wskroś to, kim jestem, co czuję, sądzę i co myślę. I straciłem wiarę, bo rzecz jasna nie byłem w stanie spełnić tych wszystkich wymagań. Nie dało się. Po prostu się nie dało. Miałem brata, który... nie do końca się w to wszystko wpasowywał, że tak to pokrótce ujmę. Ale straciłem wiarę. Porzuciłem wszystko i czułem, że Bóg mnie opuścił.

– To musiało być straszne – powiedziała kobieta.

– Bardzo... empatyczna uwaga od osoby, która sama nie wierzy – odrzekł.

– Ale odnalazłeś ją na powrót? Swoją wiarę?

– Tak, udało mi się. I teraz ona nie jest już taka... Jest spokojniejsza, moja wiara jest spokojniejsza, nie taka natarczywa, nie wiem, jak to wyjaśnić. Może... to tak, jakby biegać po schodach, spieszyć w górę lub w dół, nogi pokonują kolejne stopnie, ale nagle można się potknąć i wtedy trzeba chwycić się poręczy, by odzyskać równowagę. I ta poręcz to jest właśnie moja wiara. Jak barierka ochronna. Wiem, że to pewnie brzmi głupio, ale...

Nie powiedział tego nigdy wcześniej nikomu, nie w ten sposób, wykorzystując metaforę poręczy, na której mógł się wesprzeć, nawet w biurze, gdy rozmawiał z paniami właśnie o kwestii wiary, mimo że zarówno z panią Marstad, jak i panią Gabrielsen mógł mówić o tych sprawach zupełnie otwarcie.

Cała trójka siedziała teraz w milczeniu, mierząc go wzrokiem.

– To brzmi tak, jakbyś nigdy wcześniej nikomu tego nie mówił, Margido – odezwała się wdowa.

– No tak. W sumie to prawda.

– Ale czy wierzysz, że pójdziesz do nieba? Po śmierci? – spytał Morten.

– Owszem, wierzę – odrzekł Margido.

– Do Jezusa?

– Tak. I do Boga.

– I spotkasz tam wszystkich zmarłych, których znałeś? Wszystkich ze swojej rodziny?

– Tak...

– A na spotkanie z kim najbardziej się cieszysz?

– Chyba... chyba z moim ojcem – odpowiedział Margido, wbijając

wzrok we własne kolana, spodnie od garnituru były porządnie wyprasowane, z kantem wzdłuż ud, także w miejscu, gdzie materiał napinał się na kolanach, sam je w końcu prasował. Zapadła cisza. Czekał, co będzie dalej, ale na szczęście nie padły kolejne pytania. Doszedł go nagle zapach kopącego knota świecy, nie znosił go, sam zawsze pilnował, by zdusić ostatni żar między poślinionym kciukiem a palcem wskazującym. Miał już wstać i poprosić chłopców, by pomogli mu z trumną, gdy odezwała się znów Frida Elskjær:

– Margido, czy mógłbyś przeczytać wiersz, który będzie w nekrologu, ty tak pięknie czytasz.

– Oczywiście – odrzekł i wyciągnął papiery z teczki opartej o nogę krzesła.

– To będzie chyba najdłuższy nekrolog w historii „Adresseavisen” – stwierdziła wdowa.

Gdy Margido czytał, synowie złożyli dłonie na kolanach i patrzyli na leżącego w szpitalnym łóżku ojca. Jacy są wspaniali, myślał, jakie wsparcie znajdzie w nich matka w tym czekającym ją trudnym czasie, kiedy trzeba będzie przepracować i zaakceptować wszystko, co się stało.

– „Nie szlochaj, stojąc nad moją mogiłą wytrwale, bo tam mnie nie ma, ja nie śpię wcale. Jestem wiatrem, który wieje, w szczerym polu poprzez knieje. Jestem słońca odblaskiem na zbożu, małym deszczykiem w jesiennym przestworzu...”^[18]

W drodze do szpitala świętego Olava, z trumną załadowaną do auta, zajechał jeszcze do marketu Bunnpris w centrum handlowym Elgeseter.

Czuł się podniesiony na duchu. Z każdą sekundą był coraz

bardziej podniesiony na duchu i wzmocniony spotkaniem z rodziną Elskjær, pchał wózek między półkami ze świadomością, że niesie ze sobą swojego Boga jak rozlewające się w piersiach, ogromne ciepło, jak wielką, wielką miłość, Jego obecność była tak silnie wyczuwalna, że mógł jej niemal dotknąć, była tak samo prawdziwa jak kartony mleka, które zdejmował z półek i układał w koszyku, albo pudełka z gotowymi do odgrzania daniami firmy Fjordland – bo nie mógł przecież codziennie jeść domowej pizzy, mimo że miał na to wielką ochotę.

Oczywiście, że Bóg jest teraz przy tamtej rodzinie, chociaż w Niego nie wierzą. Oczywiście, że to właśnie On da im nadzieję na przyszłość i przyniesie wdzięczność za przeszłość, mimo że nie byli tego świadomi ani nie przyjmowali Jego miłości tak jak ludzie wierzący. Bóg był z nimi.

– „Niech cię Pan błogosławi i strzeże. Niech Pan rozpromieni oblicze swe nad tobą, niech cię obdarzy swą łaską. Niech Pan zwróci ku tobie oblicze swoje i niech cię obdarzy pokojem”^[19].

Wymamrotał te słowa z pochyloną głową i wzrokiem wbitym w koszyk z zakupami. Dobrze, że zostało to powiedziane.

Śmierć potrafiła zrobić z ludźmi także to, popchnąć ich bliżej do siebie, w całej ich szczerości i kruchości, z godnością, ale i zdecydowaną siłą. Oczywiście, że nie mógł iść na wcześniejszą emeryturę. Robiąc to, zrezygnowałby z doświadczeń takich jak to. Oczywiście, że się zestarzeje w tej pracy!

Nie mógł trafić do kasy i zabłąkał się do działu z artykułami kuchennymi, jego spojrzenie padło nagle na rządęk stojących na półce termosów, sięgnął po jeden z nich, stalowy, średniej wielkości, i włożył do koszyka, termos był nawet przeceniony.

We wczesny niedzielny poranek napełnił go świeżo zaparzoną kawą. Przygotował sobie klasyczne drugie śniadanie do pracy, kromka chleba z ogórkiem oraz majonezem i dwie z serem – jedna z żółtym, druga z kozim.

Był przekonany, że pamięta, w którym miejscu zatrzymał wtedy samochód przy drodze i wszedł do lasu, kierowany jakimś dziwnym impulsem, w butach od garnituru.

Nie sądził, by była to częsta trasa spacerowiczów. Z tego, co mówiła pani Gabrielsen, ludzie zresztą już prawie nigdy nie chadzali na spacery po lesie, nawet w niedziele, ani wiosną, ani jesienią. Nawet jagód nie zbierali. Ci bardziej nowocześni przerzucili się na grzyby. Ale całe tony jagód rosły sobie w lesie, czekając nadaremno, by ktoś przerobił je na syrop lub dżem, a potem po prostu gniły. Ludzie chadzali zimą na biegówki, to wszystko. Chociaż śnieg już prawie nigdy nie padał.

Znalazł ten sam pień co ostatnio, zaskakująco daleko od drogi, nie przypominał sobie, by musiał wtedy iść tak długo. Położył na nim swój szalik i usiadł, ziemia wokół niego się zazieleniła, a deszcz wywabił z ziemi kolejne kwiatki podbiału. Niektórzy nazywali tę roślinę bożym liczkiem, a po łacinie nosiła miano *Tussilago farfara*, powiedział mu to Tallak, gdy był małym chłopcem, i pamiętał to do tej chwili. Wówczas jeszcze myślał, że Tallak jest jego dziadkiem.

– Zwariowany dziadek^[20] – uśmiechnął się wtedy Tallak. – Teraz nie zapomnisz.

To z nim najbardziej chciał się znów spotkać. Pomyśleć, że tak właśnie odpowiedział na pytanie Fridy Elskjær. Jego odpowiedź płynęła z serca, padła, nim zdążył się zastanowić.

Odkręcił kubeczek od termosu, nalał do niego gorącej kawy i ostrożnie postawił na ziemi, we wrzosach, pilnując, by stał w miarę prosto, po czym otworzył paczkę z kanapkami, wyjął leżącą na szczycie kromkę i zatopił w niej zęby. Niedzielne śniadanie w lesie.

Jedząc, uświadomił sobie, że nie jest jeszcze zupełnie widno, ale ptaki zaczęły już swoje świergoty, zupełnie jakby nie milkły od jego ostatniej wizyty. W tym krótkim czasie zdarzyło się tak wiele, że było to niemal nie do pojęcia.

To do niego przyjechała Torunn, gdy jej życie zaczęło się walić, do niego zadzwonił Erlend, gdy odchodził od zmysłów ze strachu, że Krumme umrze. Zupełnie jakby miał rodzinę, mimo że mieszkali tak daleko. Stary też był zadowolony. Miał nadzieję, że Torunn nie zapomniała o swojej obietnicy wysłania książek. Ale gdyby zapomniała, co byłoby właściwie zupełnie zrozumiałe, to sam jakies kupi i da je staremu, mówiąc, że Torunn przesłała je na jego adres.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak mu smakowały kanapki, i poczuł, jak dobrze jest w tej chwili podejmować te wszystkie ważne decyzje, których obiecał sobie nie podejmować, zanim znów nie poczuje pod pośladkami tego właśnie pieńka. Przymknął oczy i podziękował swojemu Bogu, który znów dał mu siłę i odwagę w chwili, gdy potrzebował wsparcia. Oto jak łatwe było tak naprawdę wszystko. Żyło się tak lekko, gdy ze wszystkich stron przebijało się ku niemu światło.

W poniedziałek rano zaczął od zaproszenia do swojego biura pani Marstad i pani Gabrielsen. Powiedział im, że ma dobry plan, i objaśnił, jak można go przeprowadzić. Następnie obiecał im

dziesięć procent podwyżki, bo w najbliższym czasie będzie od nich więcej wymagał, zwłaszcza w związku z ewentualnymi szkoleniami, jeśli nie uda im się znaleźć nowego pracownika.

Następnie wezwał Bovima, który, o dziwo, był już w pracy, mimo że zegar wskazywał zaledwie dziewiątą.

– Przejdę prosto do rzeczy – powiedział Margido. – Nie pasujesz do tej firmy.

– He?

– Nie pasujesz.

– Czy to dlatego, że odmawiam pielęgnacji zwłok? Pani Marstad i pani Gabrielsen nie jeżdżą do domów zmarłych, to musi ci też utrudniać życie. Nie rozumiem, dlaczego nie mogę mieć prawa do czegoś tak prostego jak...

– Nie chcę tu wchodzić w szczegóły i podjąłem już decyzję. Wolałbym, żebyś sam złożył wypowiedzenie. A na te trzy miesiące, które jeszcze z nami zostaniesz, dam ci podwyżkę.

– Podwyżkę, mimo że mam... mimo że chcesz, żebym odszedł? O co tu chodzi, panie Neshov?

– Nie ma potrzeby, żebyś był bezczelny.

– Czy to jakiś rodzaj odprawy, bo ja...

– Nie nadajesz się do tej branży. Jestem pewien, że sam to już zrozumiałeś.

– Może. Ale dorastałem przecież z przekonaniem, że to w takim miejscu będę pracował.

– Rozumiem – powiedział Margido. – Nie brałeś pod uwagę wielu innych opcji.

– Dokładnie. A mój ojciec chyba wyjdzie z siebie, jak się dowie, że mnie wywaliłeś.

– Porozmawiam z nim. Wyjaśnię, że czasami jabłko pada

daleko od jabłoni. Ale masz wiele innych umiejętności i stąd właśnie ta podwyżka.

– Zamieniam się w słuch.

– Przeszkolisz panią Marstad. To na tym masz się skupić przez następne trzy miesiące. Ona jest zainteresowana komputerami i chętnie nauczy się wszystkiego, czego trzeba, by zarządzać zamówieniami przez internet, zamieszczać na stronie nowe produkty, zajmować się fakturami i tak dalej.

– Powiedziała ci to?

– Owszem. Przed chwilą.

– Ale... okej. Jasne. Zajmę się tym. Ona zresztą już teraz całkiem nieźle sobie radzi, rozumie, jak działa strona, i wie, jak linkować produkty albo je wyszukiwać. Ale przecież potrzebujesz więcej ludzi.

– Zdecydowanie tak. Rozpocznę rekrutację i zatrudnię dwoje nowych pracowników, może nawet troje, nie powinno być z tym większych kłopotów, mimo że trochę to pewnie potrwa. Ale poszukam gdzie trzeba i przeprowadzę porządne rozmowy kwalifikacyjne, nie będę tego załatwiał na łapu-capu, tak jak w twoim wypadku. Znajdę ludzi, którzy będą jeździć do domów zmarłych i przygotowywać zwłoki. Dzięki temu biuro pogrzebowe Neshov też będzie mogło otworzyć linię całodobową, żeby nie wyprzedziła nas konkurencja. Albo... żeby dogonić konkurencję, która już nas tak naprawdę wyprzedziła.

Peder Bovim upił łyk z kubka, który przyniósł ze sobą do biura Margida, wyjrzał przez okno i stwierdził:

– Rozumiem cię. Rozumiem, że tu nie pasuję, i zrobię, co w mojej mocy, żeby pani Marstad zaczęła śmigać w kwestiach komputerowych. I będę bardzo wdzięczny, jeśli porozmawiasz

z moim ojcem, mam już, kurwa, serdecznie dość bycia zmuszanym do czegoś, na co nie mam ochoty.

Tego samego wieczora Margido przyniósł deskę do prasowania do salonu i rozstawił ją przed telewizorem.

Na sofie ułożył stos czystych, nieuprasowanych koszul. Zmoczył i wyżał bawełniane ściereczki, których używał do prasowania spodni, i powiesił je, jedna na drugiej, na oparciu krzesła, by zanadto nie wyschły. Spodnie porozwieszał na pozostałych krzesłach, pojedynczo. Napełnił też spryskiwacz, którego używał do koszul, prasowanie będzie tu zaraz szło pełną parą, a potem wyczyści buty, a jak i to skończy, to może wejdzie do sauny.

Właściwie to mógłby się napić odrobiny koniaku, by uczcić ten dzień, ale tę butelkę Torunn zabrała ze sobą na południe, najprawdopodobniej dochodząc do wniosku, że żaden z niego koneser alkoholi i że równie dobrze może wypić koniak sama.

Tego wieczora też nie zamierzał odbierać telefonu, niedługo będą musieli czuwać przy nim dzień i noc, to znaczy czuwać będzie osoba, która obejmie dyżur. A on za to będzie sobie mógł pozwolić na prawdziwe wolne wieczory, bez wyrzutów sumienia, odda stery w cudze ręce i dopiero następnego ranka powiedzą mu w biurze, jak minęła noc. Zamiast koniaku przyniósł sobie puszkę piwa, szklanekę do mleka i miseczkę tych miękkich orzechów. Piwo w poniedziałek, pomyślał, gdzie to się skończy.

Przyszło mu do głowy, że mógłby zapalić świece, które kupiła Torunn, i potarł zapałką o draskę, zerkając jednocześnie na puszkę z niedopałkami, która stała na balkonie, obok cyprysu. Była tam, zielona i błyszcząca, a wtedy była tam też ona sama, stała, spoglądając na bloki dookoła i zastanawiając się pewnie nad jego

dziwacznym życiem. Albo nad swoim własnym.

Podłączył żelazko do prądu, rozłożył na desce pierwszą koszulę i zwilżył ją dokładnie, wybrawszy najdrobniejsze otwory na dyszy spryskiwacza.

Upił łyk piwa i zerknął na świeczki.

I wtedy zadzwonił telefon, to była Torunn, widział jej imię na wyświetlaczu, szybko wyłączył dźwięk w telewizorze i odebrał.

– Dobry wieczór, Torunn. Właśnie zapaliłem twoje świeczki na stole.

Stwierdziła, że bardzo miło to słyszeć. Ale może był zajęty, czy aby mu nie przeszkadza?

– Ależ skąd. Będę dziś wieczorem prasować koszule i spodnie. I czyścić buty.

Czy oregano w doniczce jeszcze żyło?

– Niestety nie. Zostało tylko kilka cienkich łodyżek, mimo że sumiennie je podlewałem. Będę je musiał wyrzucić.

Pewnie za dużo podlewał.

– Na pewno. Za bardzo się zapaliłem do tego projektu. Ale oregano można kupić też suszone, w słoiczkach, myślę, że tak jest najprościej. Zrobiłem sobie pizzę, podzieliłem ciasto na pół, tak jak mi poradziłaś. Nie zużyłem jeszcze drugiej połowy, boję się, że za bardzo polubię taką kuchnię. A częste jedzenie pizzy nie jest chyba zbyt zdrowe. A tak w ogóle, rozmawiałaś z Erlendem? Czy to dlatego dzwonisz?

Nie, nie rozmawiała z nim.

– Ach nie. Krumme miał przed kilkoma dniami mały zawał, ale tej samej nocy założyli mu stent i czuje się już zupełnie dobrze.

Ależ do jasnej cholery! Przeprosiła za dobór słów. Zawał? Ale

przecież oni mają trójkę dzieci i w ogóle!

– Wszystko już w porządku. Zabieg stentowania się udał. Ojciec Krumme zmarł tego samego dnia, więc zdarzyło się u nich mnóstwo rzeczy naraz. Myślałem, że może on do ciebie też zadzwonił.

Nie. Erlend był nią chyba rozczarowany. I, można powiedzieć, miał ku temu dobre powody.

– Nie myśl o tym. Wszyscy mamy swoje za uszami.

To nie do niej dzwonił Erlend, gdy życie zaczynało mu się walić, powiedziała. Ale to miło, że zadzwonił do niego.

– Owszem, muszę przyznać, że wiele to dla mnie znaczyło.

A ona dzwoniła, bo chciała tylko powiedzieć, że...

– Tak?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Na długo.

– Torunn...? Jesteś tam?

Tak, była tam.

Znów ucichła, zaczęła pociągać nosem. Czyżby płakała...?

– Zajrzałem przed weekendem do... twojego dziadka. Mówił coś o książkach, które miałaś kupić?

Owszem, właściwie to już kupiła dla niego dwie książki. O rodzinie królewskiej w czasie wojny. Przywiezie je ze sobą na północ.

– Przywieziesz? Co masz na myśli?

Czy byłby tak dobry i wyświadczył jej przysługę, pomógł w kilku praktycznych sprawach? Bo resztę załatwi już sama.

– Ale co... chyba nie do końca rozumiem.

Wspominał, że odciął prąd i wodę w Neshov. Czy mogłby załatwić ich ponowne podłączenie?

– W Neshov?

Tak. Chciała się tam przeprowadzić. Miała po dziurki w nosie ciągłego uciekania. Nie wiedziała, jak to wyjaśnić... Przespała już dość nocy na sofie w zagraconym mieszkaniu przyjaciółki i ukradła... ukradła! szczeniaka od tego faceta, z którym wcześniej mieszkała, tego przekłętą pieprzonego idioty... Jeszcze raz przeprosiła za słownictwo. Rozmawiali trochę o tym jej uciekaniu, kiedy u niego nocowała. Nie miała siły znów przed czymś zwiewać.

– Przestań ciągle przeproszać, Torunn. Jestem przecież w stanie znieść kilka przekleństw, nawet jeśli sam nie używam takiego słownictwa. Mówisz, że chcesz się tu przenieść? Do Neshov?

Tak, tego właśnie chciała.

Opadł na fotel. Termostat w żelazku tykał, włączając się i wyłączając raz po raz, na szczęście postawił je pionowo i deska się nie spali, ale gdyby nawet zaczęła w tym momencie płonąć, też by sobie z tym poradził, bez żadnego wysiłku, zrzuciłby po prostu żelazko i deskę, całą w płomieniach, z balkonu, a następnego dnia wszedł tanecznym krokiem do sklepu i kupił nowy sprzęt.

I co, mógłby załatwić ten prąd przed jej przyjazdem? Chciałaby ruszyć w drogę w środę rano. Czyli pojutrze.

– Oczywiście, Torunn – odrzekł, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Oczywiście, dopilnuję, żeby podłączyli ci w Neshov prąd i wodę.

A czy on tak w ogóle przez te lata opłacał ubezpieczenie i tak dalej? Bo nie dostawała żadnych rachunków.

– Tak, wszystkiego pilnowałem. Kwoty nie były duże, bo w gospodarstwie nie ma żadnych zwierząt i nikt tam nie mieszka... to znaczy nie mieszkał. Ale wszystkie opłaty, podatki i tak dalej opłacałem z konta, na które przelałem pieniądze za dzierżawę ziemi. Jest na nim teraz chyba z dwieście tysięcy.

O rany! Podziękowała mu, serdeczne, serdeczne dzięki.

– Nie ma za co. Przecież to twoja ziemia.

Byłoby wspaniale, gdyby mógł po prostu zostawić klucze w drzwiach. A całą resztą zajmie się sama. Porozmawiają sobie, jak on wpadnie do gospodarstwa po trumny.

– Jeśli chcesz mieć święty spokój, to po prostu powiedz. Uszanuję to. Mogę sobie podjechać autem i zabrać to, czego mi trzeba, nie muszę ci przeszkadzać. Rób wszystko we własnym tempie, a mną się nie przejmuj.

Brzmiało cudownie. Tylko żeby nie zapomniał o kluczu.

– Oczywiście, że nie zapomnę. O wodzie i prądzie też będę pamiętał. Zajmę się tym, Torunn. Bezpiecznej drogi na północ.

Po zakończonej rozmowie długo jeszcze siedział w fotelu i gapił się w ścianę, a potem wstał i wrócił do prasowania. Postanowił, że dziś wyprasuje wszystkie koszule z obu stron, mimo że do lata było jeszcze daleko.

[1] Fedtmule (duń.) = Langbein (nor., dosł. Długonogi) = Goofy – postać z bajek Walta Disneya. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczek).

[2] Bocuse d'Or – najbardziej prestiżowy konkurs kulinarny na świecie.

[3] Okłamujesz swojego syna? (ang.).

[4] Mt 6,26. Cytaty z Pisma Świętego wg *Biblii Tysiąclecia* (Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2012).

[5] Najbardziej błyszczący w mieście.

[6] Zieloną opalenizną natryskową.

[7] Zmarszczek. Zmarszczek i raka skóry.

[8] Wspomnisz moje słowa.

[9] I znów to samo (ang.).

[10] Rdz 17,1.

[11] „Wolność” to tylko inne określenie na „nic do stracenia” (fragment piosenki *Me and Bobby McGee*, wykonywanej m.in. przez Janis Joplin).

[12] Gra słów. W oryginale użyto słowa „krumme”, które stanowi imię bohatera, ale ma też kilka innych znaczeń, takich jak „okruszek”, „zgiąć”, „pochylić”.

[13] 1 Kor 13,8–13.

[14] H.C. Andersen, *Baśnie*, przeł. Bogusława Sochańska, Media Rodzina, 2005.

[15] Tamże.

[16] A. Ragde używa w tym fragmencie mieszaniny słów duńskich i norweskich.

[17] Gra słów: *Less is more* (ang.) – Mniej to więcej, *Less is bore* (ang.) – Mniej to nuda.

[18] Fragment elegii żałobnej Mary Elizabeth Frye w przekładzie Haliny Arendt.

[19] Lb 6,24–26.

[20] Gra słów: zwariowany dziadek – *tussete farfar* (norw.).

część 2



Najpierw próbowała przekonać Gabi, by powiedziała, że po prostu znalazła szczeniaka martwego w kennelu.

Tak się czasem zdarzało. Szczeniaki zdychały. Miot przyszedł na świat przed czterema miesiącami, szceniak mógł mieć wrodzoną chorobę serca albo wadę, która w tym właśnie wieku przesądzała o życiu i śmierci. Piesków było łącznie osiem, zostałyby mu ich siedem, tak czy inaczej będzie musiał kilka z nich sprzedać, zabraknie dla nich miejsca, gdy wyrosną na duże psy pociągowe, poza tym maluchy były owocem przypadkowego krycia, zupełnie niezaplanowanego.

Właściwie to robiła mu przysługę.

Torunn kochała matkę tego miotu, Birkę. Szaleństwo ogarniało tę sukę dopiero, gdy stała gotowa do startu w zaprzęgu i padała komenda: Mush! Wtedy każdy jej smukły mięsień eksplodował energią i stawała się stuprocentowym zwierzęciem pociagowym, od koniuszka ogona do nozdrzy. Ale poza tym była spokojna i cicha, ten spokój odziedziczyły po niej szczeniaki, pewne siebie, piękne psy.

– Nie ma mowy, zapomnij – powiedziała Gabi. – To ja odpowiadam za kennel, kiedy Christer bierze udział

w Finnmarksløpet, nie życzę sobie, by ktokolwiek pomyślał, że szczeniaki zdychają pod moją opieką. Moja odpowiedź brzmi nie, Torunn. Sama będziesz musiała mu powiedzieć, że zabierasz jednego z jego psów.

– Ale on przecież nawet nie wie, że od niego odchodzę! Nie odezwał się do mnie, nie wysłał ani jednego esemesa i jest na tyle głupi, by wierzyć, że siedzę tu ze świeżymi goframi i na niego czekam. Że zrezygnowałam z bycia luzakiem, bo chciałam odwiedzić rodzinę albo coś w tym stylu.

– Musiał chyba zauważyć, że usunęłaś swój profil z Facebooka, to powinno mu już dać do myślenia, że nie wszystko jest tak, jak być powinno – odrzekła Gabi.

– Na to zwróciła uwagę nawet moja matka i wpadła zresztą w totalną histerię. Zadzwoiła, myśląc, że mam myśli samobójcze i chcę sobie zrobić krzywdę. Musiałam do niej pojechać, jeść z nią sushi drugiej świeżości z supermarketu, pić okropnie słodkie białe wino, wysłuchiwać opowieści o kursie swinga i zapewnić ją jakieś zylion razy, że po prostu mam dość fejsa, gdzie w najlepszym razie oglądam, jak ludzie piją herbatę, jestem przymusowo faszerowana filmikami z YouTube'a i ogólnie rzecz ujmując, udaję, że zaliczam się do jakiejś fałszywej paczki przyjaciół. Nie masz nawet pojęcia, jak cudownie było zamknąć ten profil w cholere.

– Ten Facebook wpędził twoją matkę w histerię bardziej niż wiadomość, że jej dziecko przeprowadza się pięćset kilometrów na północ?

– Ona jeszcze o tym nie wie – odrzekła Torunn. – Powiem jej za jakiś czas. Nie zawsze jest tak, że wszystkie informacje przekazuje się zainteresowanej osobie od razu. Ty też mi nie powiedziałaś, że Iris ma zająć twoje miejsce w drużynie.

– Przepraszam cię za to. Zostałam postawiona w niezręcznej sytuacji – powiedziała Gabi. – Georg był zdania, że to sprawa między wami dwojgiem. Ale cała ta historia wydała mi się obrzydliwa, oczywiście, że tak.

– A ja dość... obrzydliwie się poczułam, dowiadując się o tym w Alvdal. Naprawdę fatalnie. Ale koniec końców dobrze, że tak się stało. Można powiedzieć, że dostałam kopniaka na start. A teraz czuję już tylko niesmak na myśl o tym facecie. Nie chcę wiedzieć niczego o tym wyścigu, czy musiał przerwać zawody, czy psy nabawiły się kaszlu kennelowego, czy on sam zapadł na raka trzustki, czy też nieuleczalne brodawki płciowe. Mam nadzieję, że pięknie ci podziękuję za to, że pilnujesz mu psów, odśnieżasz tu i wspierasz go jak wariatka. Ale z drugiej strony wolałabym, dla dobra Georga, by nie dziękował ci tak, jak ma w zwyczaju dziękować ludziom pomagającym mu przy kennelu.

– Rozumiem, że jesteś zła. Także na mnie. I w sumie uważam, że to zdrowa reakcja. Nie mogłabyś po prostu zostawić mu kartki na stole? Napisać, że wyjechałaś, zabierając ze sobą szczeniaka? Tylko pamiętaj, że raczej nie uda ci się go zarejestrować w związku hodowców. Wątpię, by Christer miał zamiar ci to ułatwić.

– Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia – odparła Torunn. – Równie dobrze mógłby to być mieszaniec. Chcę mieć towarzysza, psa, z którym mogłabym chodzić na spacer, a lubię matkę tych szczeniaków, dlatego zabieram suczkę, tę z najjaśniejszym umaszczeniem, która zawsze kładzie się w kojcu sama, z dala od rodzeństwa, samotniczkę.

– Tak jak ty?

– Nie. Nie powiedziałabym, że jestem samotniczką. Ale nie wykluczam, że mogę się nią stać.

Gabi ma rację, pomyślała: Najłatwiejsze rozwiązania często są najlepsze. Zostawiła kartkę na stole, obok mosiężnej patery ze skarbami lasu i małym porcelanowym mikołajem, który zdążył znów pokryć się kurzem. Ten mikołaj nie był już pod jej opieką i nie poczuje nigdy więcej jej zwilżonego śliną palca na swojej czapeczce, bo ona już nigdy więcej nie sprzątnie niczego w tym domu.

„Zabrałam wszystkie swoje rzeczy oprócz letnich opon, możesz je wyrzucić. Wzięłam też szczeniaka, suczkę. Zgłoś mnie na policję, jeśli Ci się chce. T.”

Nie chciała pytać Gabi, kiedy załoga Christera miała wrócić do domu, z psami i pick-upami, wzięła więc szczeniaka i ostatnią noc przed podróżą na północ spędziła u Margrete.

– Ona nigdy wcześniej nie była jeszcze w mieszkaniu – uprzedziła przyjaciółkę. – Tylko w kennelu i kojcu, więc może zacząć trochę szaleć, ale zaraz się uspokoi.

Stały we dwie, patrząc, jak niezdarny szczeniak biega na swoich długich łapach po całym mieszkaniu, obwąchując wszystko i węsząc dookoła, gryzie przez chwilę leżącą na podłodze włóczkę i błyskawicznie ją porzuca, sika odrobinę, patrząc sztywno przed siebie, na środku kuchni, szczęśliwie nie na macie, po czym odmaszerowuje, spokojny i zadowolony, do sypialni.

– Gdzie masz ręcznik kuchenny? – spytała Torunn.

Margrete wskazała go palcem, a ona oderwała kilka listków i ułożyła je na niewielkiej kałuży, pies sikał kilka razy na dworze, zanim zabrała go do mieszkania, te kilka kropel było już tylko wyrazem podniecenia.

– Czy on linieje? – spytała Margrete.

– Jeszcze nie. Przecież to tylko szczeniak.

– Co on robi w moim pokoju? Boże, Torunn, jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak. I przestań mówić na nią „on”. To ona. Co pichcisz? Pachnie smakowicie.

– Zostało mi z wczoraj trochę ryżu, zrobiłam prostą zapiekankę, przed chwilą wstawiłam ją do piekarnika. Z kurczakiem, rodzynekami, szczypiorkiem, mnóstwem curry i bekonem na wierzchu. Straszliwie będę za tobą tęsknić.

– Tak ci dziękuję, że mnie w tym wszystkim wspierasz – powiedziała Torunn.

– Znalazłaś miejsce parkingowe?

– Jedno się zwolniło w momencie, kiedy przyjechałam. To dobry początek. Muszę przyznać, że trochę się boję.

– Sprawdź, proszę, czy on nie robi nic złego w sypialni.

– Ona.

– Oczywiście. Ale sprawdź.

W tej samej chwili szczeniak stanął w drzwiach ze skarpetką w pysku.

– Niech on ją sobie weźmie – westchnęła Margrete. – Rozpoznaję ją, ma dziurę na palcach, i tak miałam ją wyrzucić. Drugą też mu dam, jeśli chce.

– Jej! Poza tym ty też możesz się przenieść na północ.

– No tak, z pewnością – prychnęła Margrete.

– A czemu nie? Mogłabyś dostać pracę w szpitalu świętego Olava albo w tym domu opieki, w którym mieszka mój dziadek. Mam własne gospodarstwo, Margrete. Dość podupadłe, ale doprowadzę je do porządku. Duży dom. Znajdzie się w nim miejsce też dla ciebie, z całą twoją włóczką, materiałami i zasłonami. Mam

nawet wolne pół stodoły, magazyn trumien mojego wujka nie zajmuje tam całego miejsca. Mogłabyś zamieszkać u mnie za darmo.

Margrete roześmiała się głośno i wyszła do kuchni.

– Jedzenie zaraz będzie gotowe! Zgarnij tylko bałagan z końca stołu i przygotuj dla nas nakrycia.

Ze swojego miejsca przy stole miała widok na korytarz. Stały tam cztery ogromne torby z książkami i ubraniami oraz jej ukochane buty Klim, chroniące przed wilgocią i zimnem, obok zaś leżał kombinezon, na którym pies po wychłęptaniu odrobiny wody i zjedzeniu miski suchej karmy, którą zabrała od Christera w reklamówce, zwinął się teraz w biały kłębuszek.

– Mówiłaś, że się boisz – powiedziała Margrete. – I dobrze to rozumiem. Sama jak palec w ogromnym gospodarstwie, że też się na to porywasz.

– Nie boję się ani ciemności, ani pustych domów, więc będzie dobrze. Martwię się tylko trochę kwestią pajaków, sama przecież wiesz, jak mnie przerażają. Natknąć się nagle na pajaka wielkości spodka do herbaty i nie mieć kogo poprosić o pomoc, to scenariusz mojego horroru, naprawdę najgorsze, co mi przychodzi do głowy. Ale nie dlatego się boję. Chodzi o całą tę sprawę. Wszystko to z Christerem i o samą przeprowadzkę do gospodarstwa. Zobowiązania... sama nie wiem. Tyle rzeczy mi się kłębi w głowie. Ciężko mi będzie tam teraz wrócić. Bardzo ciężko. Ale chociaż raz w życiu nie uciekam. Wręcz przeciwnie.

– Pomyśleć, że zostałam dziedziczką majątku. A ja cię miałam za moją sąsiadkę z dwupokojowym mieszkankiem! Ależ się człowiek może pomylić.

– A jeszcze niedawno miałam nadzieję, że gospodarstwo zostanie sprzedane.

– Teraz się możesz cieszyć, że stało się inaczej.

– Sama nie wiem... W ogóle to bardzo mało w tej chwili wiem. Tyle tylko, że jestem pewna, że muszę to zrobić. Czuję to instynktownie. Decyzja zaczęła chyba we mnie kiełkować, kiedy odwiedziłam mojego dziadka. Spotkanie z nim było takie... Zupełnie jakby wszystko nagle do mnie wróciło. To dobre i to złe.

– A przypadkiem nie wtedy, gdy nocowałaś u Margida? Samo to... Że u niego zamieszkałaś! Na samą myśl o tym chce mi się śmiać. Pojawiłaś się tam po prostu, niezapowiedziana, a on otworzył ci w szlafroku, totalnie zszokowany. Jak ty o nim kiedyś powiedziałaś? Że przypomina ci „szary kwadrat”?

– Nie jest już wcale taki szary. Czuję się przy nim bezpieczna. Bo można na nim polegać. Jest silny i niezachwiany, jak skała.

– A te wszystkie rzeczy stojące w schowku u twojej matki?

– Będę je musiała sprowadzić na północ. Moja matka ma „po dziurki w nosie” tych wszystkich moich gratów w Sandvika i myślę, iż sam fakt, że je wreszcie stamtąd zabiorę, przyćmi moją wyprawę na północ. Taki jest w każdym razie plan. Tak czy inaczej, nie będziemy się widywać zbyt często.

– Ale jedną swoją rzecz zabierzesz na północ już teraz – oświadczyła Margrete, wstając od stołu.

Torunn nie zdążyła skończyć swojego koca Missoni, ale przyjaciółka zrobiła to za nią. I nie tylko obszyła brzegi ciemnoszarą lamówką, ale podszyla cały tył koca tym samym materiałem, łącząc go ze zrobionym na szydełku frontem, precyzyjny zygzak idealnie kopiujący wzór.

Położyła koc na kolanach Torunn i usiadła.

– To niemożliwe... Margrete... serdeczne dzięki, ależ mnie ucieszyłaś. W życiu nie widziałam czegoś tak pięknego. Ten koc mógłby leżeć na wystawie najbardziej ekskluzywnego butików z wyposażeniem wnętrza... Jesteś taka... zdolna...

I w tym momencie się rozpląkała, łkając głośno, zarzuciła koc na oparcie wolnego krzesła obok i szlochała tak, że szczeniak się obudził i ruszył w jej stronę, ale w połowie drogi zmienił zdanie i nasikał na podłogę, po czym zaczął merdać ogonem, powoli i spokojnie, wszystko to do niej dotarło, ale nie była w stanie powstrzymać płaczu, wydobywał się z głębi jej brzucha, z całego ciała, z palców u stóp i dłoni, z płatków uszu, miała wrażenie, że nigdy się nie skończy, prawie sama się posikała. Margrete przyskoczyła do niej od razu i otoczyła ją ramionami, Torunn położyła głowę na jej piersi i płakała bez końca.

– Ależ, cholera jasna! Torunn! Kochana... Nie chciałam przecież...

– Jestem taka samotna! W tym wszystkim, sama jak palec... Musiałam ukraść psa, by mieć jakieś towarzystwo, przyjadę tam zupełnie sama i... moje życie to jeden PIEPRZONY BAŁAGAN! Mam czterdzieści lat i GÓWNO osiągnęłam. Jestem nieudacznikiem, kompletną ofiarą losu, jestem nikim, nie mam dzieci, nie mam NICZEGO!

– Ale masz przecież trochę pieniędzy – powiedziała Margrete.

– He?

– Masz pieniądze i całe gospodarstwo, które jest tylko twoje, jesteś wolna i niezależna. Możesz też tak na to spojrzeć, głuptasie.

– Jesteś nienormalna. Ale... masz rację. Chyba mi już przechodzi... Sorry. A ten koc jest po prostu... Serdeczne, serdeczne dzięki, kochana Margrete.

- Przyniosę ręcznik kuchenny. Dla ciebie i dla niego.
- Przyszło mi nagle do głowy, jak powinnam go nazwać – powiedziała Torunn. – Dostanie imię na złość losowi. By odczynić urok.
- Aha?
- Będzie się, do cholery, wabić Anna. Na cześć matki trzech braci, w tym mojego ojca, któremu tak koszmarnie spieprzyła życie.
- Anna to bardzo ładne imię.
- Może niezbyt popularne u psów rasy husky syberyjski, ale będzie Anna i koniec. A teraz przynieś ten ręcznik, cała jestem zaryczana i zasmarkana. Na szczęście zdążyłam odłożyć koc. Że też można się tak rozkleić. I to tak nagle.
- Jesteś najtwardszą babką na świecie, moja droga. To dlatego.

Ostatnia noc na sofie Margrete, z pupą wciśniętą idealnie w szparę między poduszkami. Myślała o sofie Margida, na której jej głowa spoczywała tak wygodnie pomiędzy dwiema poduszkami upchanymi w jednej poszewce.

Poduszkami, które kiedyś, bardzo dawno temu, zdobiły sofę w salonie tego gospodarstwa, do którego miała teraz pojechać i zaanektować je, uczynić je swoim.

Jechała do Neshov.

A nie wyjeżdżała z majątku.

Leżała, wpatrując się w nocną ciemność, i myślała o dniu, w którym po prostu związała z gospodarstwa, kiedy wszyscy inni rozkoszowali się dobrym jedzeniem i pićmi na podwórzu, wino, świeczki i dzbany z polnymi kwiatami na stołach, śmiech dobiegający do niej przez otwarte na noc okna, a ona była tak

zmęczona, że najchętniej zasnęłaby na stojąco. Kaj Roger, który jej pragnął.

Kaj Roger, który widział przed sobą przyszłość razem z nią, dziedziczką.

Erlend i Krumme, którzy widzieli przed sobą swoją przyszłość w prowadzonym przez nią gospodarstwie, do którego wpadaliby w wakacje w odwiedziny z dziećmi i ich matkami, by pomieszkać w odrestaurowanych przez wziętego architekta silosach, gdzie Torunn czekałaby już na nich ze świeżo upieczonymi goframi.

Wszyscy ci ludzie traktowali ją jak jakiegoś swojego pieprzonego zakładnika, mającego zapewnić im wygodę, wszyscy traktowali ją jako gwaranta własnych planów.

Nawet niewierność jest lepsza niż bycie elementem wyposażenia wnętrza.

Postąpiła właściwie, uciekając stamtąd. Bo wtedy chodziło o przetrwanie. Nie miała dość siły, by się im przeciwstawić. Nigdy w życiu nie zdołałaby wymaszerować na podwórze, zmieść ze stołu wina i kwiaty wściekłym ruchem ręki, nagadać im wszystkim, aż by im poszło w pięty, wysunąć żądań, sprawić, by spojrzeli na sprawy z jej perspektywy, by zaczęli ją szanować, sprawić, by cała scena skończyła się aplauzem, pełnym wsparciem i dramatycznymi, stosownymi do sytuacji łzami, jak na amerykańskim filmie.

Była zbyt zmęczona. Zbyt zużyta. Wtedy.

Ale teraz... teraz to co innego.

Jednak jej samotność miała swoje źródło w osobistych wspomnieniach. Tych, o których nikt nie wiedział. W tym wszystkim, co się stało w gospodarstwie, gdy mieszkała tam w osamotnieniu, opiekując się ojcem i dziadkiem. Ani Christerowi,

ani Margrete nie opowiedziała więcej niż pięć procent tego, co tam się wtedy z nią działo. Matce nie powiedziała natomiast nic.

Jeśli patrzeć na to pod tym kątem, to dużo bliższy był jej Margido, bo on dodał dwa do dwóch, znał poza tym zarówno ojca, jak i dziadka, wiedział, jak się mają sprawy w gospodarstwie. Ale także miał ją za element wyposażenia wnętrza. Tak to wtedy odczuwała.

Lecz teraz powoli do niej docierało, że raczej chodziło mu o to, by jej nie przeszkadzać, nie zawracać głowy, nie próbować jej zdominować, nie dać po sobie poznać, że nie wierzy do końca w jej zdolność samodzielnego zapanowania nad wszystkim.

Dziadek był jedynym, przy którym płakała, wyjeżdżając, a on płakał razem z nią, powiedziała mu wtedy, że „nie daje sobie z tym rady”, on zaś wyznał jej swoją największą tajemnicę. Był takim wspaniałym człowiekiem i stał się jej tak bardzo bliski. A teraz, niedawno, powiedział jej, że zawsze jest przebaczenie. Dla niej.

Udowodni mu, że jest godna takiej wspaniałomyślności.



– Ruszamy zatem do Neshov, Anno – rzekła, napotykając w lusterku wstecznym psie spojrzenie. – Po prostu zwiń się w kłębek i śpij sobie na moim kombinezonie. Podróż będzie długa.

Margrete machała do niej z okna kuchennego, jej dłoń i połowa twarzy były ledwo widoczne, Torunn opuściła szybę i odmachwała.

Kiedy w chwilę później wyjechała na drogę E6, a samochód został nieodwołalnie skierowany na północ, starała się myśleć jak najmniej, skupić się na drobiazgach, codziennościach, włączyła radio, nuciła sobie do muzyki, zapaliła papierosa i opuściła boczną szybę, nagle przyszło jej do głowy, że mogłaby kupić sobie nowy samochód, te pozostawione letnie opony, na które nie miała już miejsca, tak czy owak były zużyte, a felgi miały zardzewiałe i zniszczone, to jasne, że kupi sobie nowy samochód.

Miała na to środki, nowy pojazd z zielonymi tablicami rejestracyjnymi, mogłaby zamówić sobie z tyłu porządną klatkę dla psa, kupiłaby sobie SUV-a, o tak, SUV to dobry pomysł, czyż to nie takimi właśnie autami jeżdżono na wsi, a po co była jej tylna kanapa, skoro miała jedynie psa, psa, który na pewno będzie rzygał po drodze, Anna nie była przyzwyczajona do podróżowania samochodem, to była jej druga w życiu podróż autem i byłoby

znacznie lepiej, żeby wymiotowała w klatce niż na tylnym siedzeniu. A gdyby kupiła sobie samochód zarejestrowany jako dostawczy, to mogłaby pozwolić sobie na o wiele nowszy i lepszy. Chociaż i tak było ją stać na wiele, miała na koncie ponad cztery miliony koron, a teraz zamierzała wprowadzić się do gospodarstwa, gdzie będzie mieszkała niemal gratis, w dodatku gospodarstwo było jej własne, więc spokojnie może wyjąć z kieszeni trzysta–czterysta tysięcy na samochód na zielonych tablicach, to jasne, że może.

Wielokrotnie zatrzymywała się, żeby pozwolić Annie się wysikać. Suczka nie zdradzała oznak niepokoju ani tendencji do wymiotów, spała spokojnie, wzdychając i ciamkając, zagrzebywała się głębiej w kombinezon, nie sprawiała wrażenia zestresowanej, przerażonej czy niespokojnej, chociaż niespodziewanie znalazła się w zupełnie nowej dla siebie sytuacji, pozbawiona rodzeństwa i matki.

Pojechała przez dolinę Gudbrandsdalen, nie miała siły na mijanie kafejki w Alvdal, nie widziała powodu, by konfrontować się z uczuciami, z których już wyciągnęła praktyczne wnioski.

Właśnie tam, w górach Dovre, gdzie zatrzymała się na ogromnym, odśnieżonym parkingu, żeby wypuścić Annę z samochodu, poczuła pierwsze nieznaczne, zaskakujące tchnienie szczęścia. Anna skakała po zaspach, nie miała jeszcze obróżki ani smyczy, wyglądała jak napawający się wolnością uroczy, szczęśliwy niedźwiadek.

Zapaliła papierosa i skupiła uwagę na sobie. Podmuch szczęścia już zniknął, ale najważniejsze, że się pojawił, takie malutkie, radosne ukłucie w żołądku. Świeciło słońce, wokół niej rozpościerał się nieskończenie piękny krajobraz, widoczność była krystaliczna, mogła objąć spojrzeniem wiele mil dzielących ją od gór i dolin,

niebieskawe i szare odcienie przechodzące na samym końcu w pastele, śnieg zaczynał się topić, jak okiem sięgnąć z górskich rozpadlin wystawały wrzosa i karłowate brzozy, w Oppdal czekała na nią już tylko zwykła droga. Anna rzuciła się na ziemię i zaczęła tarzać, wierzgając łapami, z otwartym pyskiem, machała szaleńczo puchatym ogonkiem, wzbijając do góry tumany śniegu.

– To ci było potrzebne. No dalej! Dalej, biegaj! Anna! Chodź!

Pies podskoczył w jej stronę, chwyciła go w ramiona i uniosła na wysokość twarzy, wdychając świeżą wilgoć śniegu i zapach psiego futra, a kiedy szczeniak oparł łapę na jej podbródku i z impetem polizał ją po nosie, pomyślała: Czy to naprawdę porażka, że człowiek pragnie bliskości i towarzystwa psa zamiast kogoś innego? Skoro pies sprawia mu tyle radości, jest taki piękny i tak cudownie pachnie...?

Może wkrótce będzie w stanie zdefiniować swoje własne szczęście? Odważyć się na to? Postawiła szczeniaka na pokrytym śniegiem parkingu.

– Zobaczmy, jak to będzie, Anno. Ty będziesz miała jak najlepiej. Więcej w tej chwili nie potrafię powiedzieć. Muszę zastanowić się nad tym, co powiedziała Margrete. Jestem właścicielką gospodarstwa, mam pieniądze, jestem wolna i niezależna. Mam wujka, który się o mnie troszczy, i dziadka, który mi wybaczył. Chodź, wracamy do samochodu. Wskakuj!

Zatrzymała się w Oppdal, żeby zrobić zapas wina i koniaku, nie miała bowiem pewności, czy na trasie wiodącej z Oppdal do Neshov znajduje się jakiś monopolowy, a wychodząc z centrum handlowego, zauważyła sklep z artykułami dla zwierząt, gdzie kupiła obrózkę dla Anny. Kiedy już miała płacić, przyszło jej do

głowy, że myśli nieco krótkowzrocznie.

– Poproszę o dwie dodatkowe obroże. Zupełnie zwyczajne, dość mocne, w dwóch kolejnych rozmiarach, dla rosnącej suki husky. I porządną elastyczną smycz z rączką.

Dopiero jednak w Soknedal zjechała z drogi E6, żeby zrobić prawdziwe zakupy w staroświeckim, wiejskim sklepie, gdzie wiszące na wystawie reklamy oraz towary wystawione na chodniku przed sklepem sugerowały, że sprzedają tu wszystko, począwszy od opon do traktorów, a skończywszy na esencji migdałowej.

Zamierzała poczekać kilka dni, zanim wybierze się do lokalnego sklepu w Byneset, nie chciała ryzykować spotkania z Kajem Rogerem, chociaż kompletnie nic już dla niej nie znaczył, o ile w ogóle kiedykolwiek coś znaczył, oprócz tego, że jego obecność była wtedy decydująca dla prowadzenia gospodarstwa i dzięki niej mogła robić to tak długo. Poza tym, kiedy wracała na południe, do Oslo, i Margido odwoził ją na lotnisko, opowiedział jej, że Kaj Roger znalazł sobie partnerkę i ma małego synka.

– To świetnie – odpowiedziała wówczas. – Czy on nie miał w sumie zamiaru kiedyś... kupić Neshov?

– Chyba skończyło się na zamiarach – odparł Margido. – To oznaczałoby mnóstwo roboty. A wtedy był przecież sam. Teraz pracuje w szkole rolniczej w Skjetlein i jak sam powiedział, bardzo dobrze się tam czuje, zajmuje się tematami obory, szkoleniem z zakresu robotów mlecznych i wszelkimi innymi sprawami związanymi z nowoczesnym prowadzeniem chowu zwierząt.

– Rola zmiennika w Neshov nie należała akurat do ambitnych zadań – powiedziała.

– Ale przecież z tym też sobie poradził. Zdolny chłopak. Jego

partnerka uczy w tej samej szkole. Organizowałem pogrzeb jej babci ze strony matki, to dlatego co nieco wiem.

Znalazła wielki wózek na zakupy i spróbowała skoncentrować się na tym, co mogło jej być potrzebne, kiedy już dotrze do gospodarstwa. Środki czystości stały w szafkach kuchennych, jakoś nie mogła sobie wyobrazić, żeby Margido zabrał je ze sobą, ale nie chciała dzwonić i pytać, wolała zaryzykować. Ale naręcze ściereczek, od tych najbardziej przaśnych aż po najdelikatniejsze z mikrofibry, oraz papier toaletowy, ręczniki w rolkach i pastę do zębów wrzuciła do koszyka. A także chleb, masło i różne dodatki do chleba. Pasztet dla Anny, żeby trochę uatrakcyjnić jej monotonię suchej karmy. Jajka i bekon, sok, mleko i piwo. Duże opakowanie tealightów oraz sporą liczbę gotowych obiadów firmy Fjordland.

Przez chwilę stała przed stosem ekspresów do kawy po obniżonej cenie, usiłując przypomnieć sobie, czy poprzednim razem go kupiła. Nie, na to nie mieli wtedy pieniędzy. Czajnik elektryczny? Czy tego też nie kupowała? Żeby mogli robić sobie kawę rozpuszczalną? Nie, pomyślała znowu, musieli przecież przyjąć od Erlenda pieniądze na nowy telewizor, kiedy stary się zepsuł. A Margido kupił im pralkę, suszarkę i odkurzacz. Kiedy wyjechała z gospodarstwa, zabrał suszarkę do siebie, widziała na własne oczy, że stoi w łazience we Flatåsen. Jednak tego, czy na miejscu był czajnik, nie mogła sobie przypomnieć.

Ekspresy do kawy były podejrzanie tanie, zwróciła się więc do jednego ze sprzedawców z pytaniem, czy cena na pewno się zgadza.

– Tak – potwierdził. – Nikt już nie kupuje ekspresów, teraz każdy chce mieć taką maszynę, do której wtyka się małą kapsułkę. Nespresso.

– Aha, wiem jak to wygląda.

– To wszystko przez George’a Clooneya, który rozreklamował te przeklęte urządzenia. Kiedy odwiedza się teraz ludzi mających coś takiego, przez pierwsze dwadzieścia minut z kuchni dobiegają odgłosy jak z placu budowy, i tak do czasu, aż każdy dostanie swoją filiżankę, a wtedy pierwsza jest już zimna. Jakaś głupota. Ale w kuchni decydują kobiety, więc za tę cenę może pani podziękować George’owi Clooneyowi. To typowa cena, żeby się pozbyć. Dla nas czysta strata.

– Skoro tak, to wezmę jeden – odparła ze śmiechem.

– Tam leżą pasujące filtry. Na nie jest taki sam cholerny rabat.

– Bardzo dziękuję. Potrzebuję też kawałka łańcucha, dość cienkiego, żeby póki co przywiązać psa do drzewa na podwórku, na pewno pan wie, o jaką grubość i długość mi chodzi.

– Najlepszy będzie z karabińczykiem z każdej strony. Czy dziesięć metrów wystarczy? Ale może drzewo jest bardzo grube?

– No tak, dosyć grube. To może dwanaście metrów. Na pewno będzie się opłatywać dookoła, więc niech ma na to trochę miejsca.

– Już przynoszę.

– I jeszcze najskuteczniejszy na świecie spray na owady, do użytku wewnątrz.

– Przeciwno czemu konkretnie? Facetom?

– Pająkom! Ohydne stworzenia!

– Dla niektórych to chyba jedno i to samo.

Jeszcze tylko karton papierosów oraz mielona kawa do ekspresu i miała już wszystko. Wtedy kątem oka zauważyła kombinezony robocze wiszące na prawo od ściany z narzędziami. To oczywiste, że potrzebuje nowiusieńkiego kombinezonu do pracy! Czerwonego i czystego! Czeka ją ciężka harówka, z trudem mogła sobie

wyobrazić, jak gospodarstwo wygląda teraz, w marcu. Zamierzała wyrzucić wszystkie stare ubrania robocze, co do jednej sztuki, zamówić kontener na śmieci i pozbywać się, ile wlezie. W tym momencie ponownie poczuła ten leciutki powiew szczęścia. Mogła wyrzucać, co tylko chciała, decyzje należały wyłącznie do niej.

Wyszukała czerwony, bawełniany kombinezon w rozmiarze M i wepchnęła go do koszyka, pomiędzy bekon a rolki papieru toaletowego. Jakże kochała takie sklepy. Zupełnie coś innego niż uładzone centra handlowe, w których pomiędzy jedną a drugą interesującą ją rzeczą trzeba było zazwyczaj przejść co najmniej sto metrów. Mężczyzna wrócił, niosąc przygotowany łańcuch dla psa i duży spray.

– To załatwi wszystko.

– Super. A macie może gofrownice?

– Jasne. Ale są w zwykłej cenie. Najlepsze z dostępnych na rynku. Pieką od razu dwa gofry.

– To taką jedną też wezmę. Żeby nie przynieść wam zbyt wielu strat.

W tej sytuacji mogła pozbyć się jeszcze jednej rzeczy. Wiekowa gofrownica w Neshov cała porośnięta była starym, zapieczonym tłuszczem.

Upchała wszystko z tyłu samochodu i przez chwilę męczyła się ze znalezieniem miejsca na duże pudła z ekspresem i gofrownicą, więc poszła po dwie dodatkowe reklamówki. Otworzyła kartony, wyjęła istotne rzeczy i przełożyła je do plastikowych toreb, opakowania i instrukcje wyrzuciła do kontenera na śmieci. I w tym samym momencie przypomniała sobie, że chyba faktycznie kupiła wtedy czajnik, bo w pamięci wyłoniła jej się scena, kiedy stoi za stodołą i wyrzuca stary imbryk do kawy do dziury, w której ojciec

miał zwyczaj palić śmieci. Zupełnie jakby aluminiowy czajnik mógł się spalić. Przypomniała sobie również i tę myśl.

Najwyraźniej w miarę, jak była coraz bliżej, przypominała sobie coraz więcej. Nawet tę historię z gofrownicą. Myśląc o gofrach, poczuła, jak bardzo jest głodna, więc kolejny raz weszła do sklepu i kupiła sobie dwie bułki, paczkę sera w plastrach oraz colę zero. Rozerwała bułki palcami, napchała do nich sera i jadła, prowadząc, wszędzie było pełno okruszków, spojrzała na swoje ubranie i pomyślała, że przypomina karmnik dla ptaków, ale jakie to w końcu miało znaczenie, czy brudzi, skoro i tak będzie kupować nowy samochód, i w tej samej sekundzie powiew szczęścia znów powrócił.

Kiedy na rondzie w Klett zjechała z drogi E6 i skierowała się na Byneslandet, siąpił deszcz i zaczął zapadać zmrok. To nawet lepiej, nie będzie musiała od razu po przyjeździe oglądać śmieci i całego tego rozpadu.

Jednak po drodze, zupełnie bez podejmowania wcześniej takiej decyzji, skręciła w stronę domu opieki, gdzie przebywał dziadek, zaledwie pięć minut drogi od eleganckiej klonowej alei, którą mogła podjechać i znaleźć się już w Neshov. Jej ojciec mawiał, że ta aleja jest jedynym pięknym elementem gospodarstwa, oprócz świń. Mimo to chciał wyróżnić wszystkie klony co do jednego, bo były świadkami kłamstw i złudnych oczekiwań.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Wiedziała, że klonowa aleja nadal tam rośnie. Niczym czerwony dywan, wiodący prosto w stronę zgnilizny. A ojciec nie był już w stanie tego zmienić.

Anna nie zareagowała, kiedy samochód się zatrzymał, spała z głową i szyją głęboko zagrzebaną w rękaw kombinezonu. Torunn

myszkowała w torbach leżących z tyłu, dopóki nie znalazła książek, które kupiła dla dziadka.

Pensjonariusze siedzieli przy kolacji, dziadek również, przy długim stole, na którym ustawiono koszyki z chlebem, talerze z dodatkami do pieczywa i gotowanymi na twardo jajkami pokrojonymi w plasterki, a na końcu stołu umieszczono duże termosy i kartony z mlekiem i sokiem.

Przez kilka sekund stała, przyglądając się mu. Właśnie przygotował sobie dwie kanapki, jedną z jajkiem i pastą kawiorową, a drugą ze słodkim brązowym serem. Akurat podnosił do ust kubek ze zwisającą z brzegu torebką herbaty, kiedy ją zauważył. Odstawił kubek drżącą ręką, trafiając nim częściowo w talerz z chlebem, aż omal się nie przewrócił.

– Torunn...?

Kilka osób odwróciło się w jej kierunku.

– To... to jest... – zaczął.

Powiedz to, pomyślała, powiedz to w takiej formie, w jakiej chcemy, żeby wszystko trwało między nami.

– To moja wnuczka. Torunn – obwieścił. – Przyjechałaś tu znowu? Jedziesz do Margida?

– Nie – odparła, wręczając mu książki.

– Aaach. Bardzo dziękuję.

Odłożył je na stół, jednak z zadziwiającą szybkością chwycił ponownie, kiedy jeden z pensjonariuszy wyciągnął rękę w stronę pozycji leżącej z brzegu. Zabrał je i położył na kolanach, skąd natychmiast ześlizgnęły się po chudych udach na podłogę.

Torunn pośpiesznie wyłowila książki spod stołu.

– Nic im się nie stało, nie przejmuj się – powiedziała. – Ale może weźmiemy książki, twoje jedzenie i herbatę i pójdziemy do pokoju?

– Tak. Dobrze... może tak.

W pokoju odstawiła kolację na stół, książki położyła obok i okryła mu kolana pledem. Nałożył okulary i zaczął uważnie oglądać prezent.

– Od dawna nie miałem w rękach całkiem nowych książek – powiedział.

– Mogę kupić kolejne. Poszukam trochę w internecie i zobaczę, co zostało wydane w ostatnim czasie. A poza tym pożyczę ci moją biografię Magdy Goebbels, jak tylko skończę ją czytać. Ostatnio nie miałam na to zbyt wiele czasu.

– Muszę zacząć ją dziś wieczorem. Tę o królu Olavie.

Uśmiechnął się w kierunku książki, a potem podniósł wzrok na nią i powtórzył:

– Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co.

– Więc nie jedziesz do Margida?

– Nie. Czy Margido nic ci nie mówił?

– Był tutaj w zeszłym tygodniu. Straszny wypadek drogowy wydarzył się tuż obok. Wpadł tylko na moment. Potem się już nie pojawił.

Usiadła na jego starannie poślany łóżku.

– Jadę do Neshov – rzekła.

– Do Neshov? Czy coś... chcesz stamtąd zabrać?

– Nie. Przeprowadzam się tam.

Zamilkł całkowicie, usta zastygły mu w pozycji lekko półotwartej, zdjął okulary i zobaczyła wtedy, że jego oczy są pełne łez.

– Herbata ci ostygnie – powiedziała cicho i uświadomiła sobie, że ma ochotę go objąć. Teraz rozplakał się na dobre, z twarzą opartą

spokojnie na jej piersi, stała zupełnie nieruchomo, czując żebra na jego plecach, wystające przez zniszczony wełniany sweter.

– Myślę, że wszystko pójdzie dobrze – odezwała się po chwili, być może głównie do siebie.

Pociągnął nosem, a ona ostrożnie wypuściła go z objęć.

– Przyniosę ci trochę papieru.

Nigdy wcześniej nie wchodziła do jego łazienki. Była olbrzymia i wysprzątana na błysk, z podłokietnikami po obu stronach klozetu, a na podłodze pozostawiono mnóstwo miejsca, na pewno z myślą o ewentualnych sprzętach, które byłyby potrzebne, jeśli zaczęłyby wymagać pełnej opieki. Oderwała dla niego kilka listków papieru toaletowego i ponownie usiadła na łóżku, wtykając dłonie pod uda.

– Rozumiem, że jesteś zaskoczony – powiedziała.

Odłożył zmięty, mokry kawałek papieru na stół, z dala od książek.

– Tak, ja... naprawdę? Ale... tam wszystko jest takie stare. Okropne.

– Pamiętam, jak wyglądało ostatnio, chociaż wyjechałam stamtąd trzy i pół roku temu. Ale przecież to moje gospodarstwo.

– Tak.

– I w dodatku nie mam gdzie się podziać.

– Ach, tak...? Nie masz żadnego... domu?

– Mam pieniądze. Nie starczyłyby na nic więcej niż malutka kawalerka w Oslo, wszystko jest tam niebotycznie drogie. A ja nie dostanę kredytu, zważywszy że nie mam pracy. A poza tym mam dosyć Oslo. Nic mnie tam nie zatrzymuje, jeśli pominąć moją matkę. A ona jest zajęta własnym życiem. Poza tym chciałabym być bliżej ciebie. I Margida.

– Eee...?

– Czy to tak dziwnie brzmi?

– Trochę... dziwnie, tak.

Przez chwilę oboje milczeli. Siedziała na swoich dłoniach schowanych pod udami i wyglądała przez okno.

– Wiesz – odezwała się – jesteś teraz taki odmieniony. Szczęśliwy i pełen życia, mówisz do mnie, rozmawiasz ze mną. Chyba dlatego, że znalazłeś się tutaj. Z dala od Neshov.

– Tak.

– Byłeś prawie jak niemy, kiedy tam przyjechałam. Do gospodarstwa.

Schwycił w prawą dłoń swój kubek z herbatą, a w lewą wziął kanapkę z jajkiem i pastą kawiorową, kilka plastrów jajka zsunęło się z niej na podłogę.

– Och. Dzisiaj wszystko leci mi z rąk – rzekł.

– Bo tak sobie myślałam, że może chciałbyś przeprowadzić się ze mną do domu. Do Neshov.

– O nie, nie, nie.

– Akurat teraz to mogłoby być dobre rozwiązanie, ale gdybyś zachorował, a wypowiedział swoje miejsce tutaj... no tak, mogłoby być trudno dostać je ponownie.

– Tak. Nie. Chcę zostać tutaj. Tak. Tutaj.

Przyniosła kolejny kawałek papieru toaletowego i wytarła z podłogi ślad po jajkach.

– Ale teraz będę mieszkała blisko ciebie, to chyba dobrze – powiedziała.

– Bardzo dobrze.

– Mogę ci robić zakupy i tak dalej. Co Margido zazwyczaj dla ciebie kupuje?

– No cóż... Solo i batonik Kvikk Lunsj. I pastylki mentolowe.

Moja proteza... wiesz... pastylki mentolowe są dobre.

– I możemy jeździć na wycieczki samochodowe. Na kawę do Margida.

– Nigdy tam nie byłem.

– Nie byłeś w domu u Margida?

– Nie.

– Ale chyba zabierał cię gdzieś samochodem?

– Nie.

– To my sobie pojedziemy razem. Po prostu przejechać się po okolicy. Weźmiemy termos z kawą i kanapki. Zabierzemy też mojego psa.

Uśmiechnął się.

– Lubię psy. Tutaj można je przyprowadzać na wizyty – rzekł.

– To zabiorę ją ze sobą następnym razem. Czy w Neshov nigdy nie było psa? Albo kota? W sumie to bardzo dziwne.

– Anna nie lubiła psów. Ani kotów – odparł.

– Mój pies ma na imię Anna.

– Eee...?

– Moja suka, ma na imię Anna.

– Ooo.

– Czy to nie wydaje ci się urocze?

Nie odpowiedział. Zamiast tego spróbował ponownie ugryźć kanapkę, a kiedy żuł, jego proteza klikała. Przełknął wszystko dokładnie, a potem powiedział:

– Jesteś odważna. Bo przeprowadzasz się tutaj. Z... Anną.

– Tak uważasz? No cóż, postaram się brać byka za rogi na bieżąco. Ale teraz zostawię cię z kolacją i książkami, pojedę do gospodarstwa rozpakować się.

– Duńczyk dostał zawału serca.

– Wiem. Ale zdaje się, że wszystko dobrze się skończyło, tak mówił Margido.

– Chcą przyjechać do Norwegii. Erlend i cała reszta.

– Ach, tak? Kiedy?

– Nie wiem – odparł.

– Tutaj?

– Tego też nie wiem.

Wyjrzała przez okno. Zrobiło się już całkiem ciemno. I pomyślała sobie: Kurwa, zrównam z ziemią te cholerne silosy.

W lampie na ganku przepaliła się żarówka. Zostawiła auto na jałowym biegu, po kilku niezdarnych próbach zamocowała łańcuch i uwiązała psa do podwórzowego drzewa w blasku przednich reflektorów. Wokół rzucanych przez nie dwóch świetlnych stożków panowała kompletna ciemność.

Klucz czekał wetknięty w zamek frontowych drzwi, przekręciła go i otworzyła, zapaliła światło w sieni i pociągnęła nosem. Stare, zastałe powietrze z wciąż wyczuwalnym odorem szamba, mimo że zerwała listwy podłogowe i wszystko dokładnie wyszorowała. Zawartość przenośnej ubikacji dostała się pewnie pod wykładzinę z linoleum tamtego dnia, kiedy ojciec wywrócił się z całą prowizoryczną toaletą w korytarzu, wystraszony jej niespodziewanym najściem. Podjęła wtedy niełatwą decyzję, by przyjechać tu z Oslo, chciała mu pomóc, potrzebował opieki po tym, jak zranił się w nogę siekierą. I siedział tam, na swojej przenośnej ubikacji przy otwartych drzwiach, a na jej widok wywrócił się z całym tym ustrojstwem. Leżał w wielkiej kałuży nieczystości i nie pozwolił sobie pomóc, musiała zadzwonić do Marit Bonseth, pomocy domowej, nazywanej przez ojca „gospożą”. To musiało być dla niego takie upokarzające.

Zapaliła światło w kuchni, po czym wróciła do auta i zaczęła znosić do domu reklamówki i torby. Przyszło jej do głowy, że Anna pewnie jest spragniona, i otworzyła szafkę, w której – z tego co pamiętała – stały plastikowe miski. Kran nad zlewem pluł, charczał i hałasował dobrych kilka sekund, zanim w końcu popłynął z niego równy strumień czystej wody. Napełniła miskę i zaniósła ją Annie, po czym zapaliła papierosa i przystanęła przy drzewie z zamkniętymi oczami. Krople deszczu rozbijały się na jej nosie, uniosła głowę. Było jej tak dobrze.

Tu i teraz, to wszystko było prawdziwe.

Zrobiła to, dotarła na miejsce. Niepojęte. Poczowała nie tylko radosne drzenie serca, to było coś większego: świadomość, że dokonała właściwego wyboru. Że to była jedyna słuszna decyzja, którą mogła podjąć. Nagle ogarnął ją przedziwny spokój. Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Margrete.

– Jestem tu już. W moim gospodarstwie.

Nasza dziewczynka, powiedziała jej przyjaciółka.

– Pada i jest ciemno, więc będę dziś skazana na oglądanie wnętrza domu. I chyba zresztą dobrze. Gospodarstwo wyglądało fatalnie, kiedy wyjeżdżałam, i raczej, że tak to ujmę, lepiej się tu pod moją nieobecność nie zrobiło.

Na pewno ze wszystkim sobie poradzi. Powinna teraz zadzwonić do matki. Najlepiej od razu, żeby już mieć to z głowy.

Matka odebrała po pierwszym dzwonku.

Torunn? Ależ zbieg okoliczności, sama miała właśnie do niej dzwonić. Nigdy nie zgadnie, co ona i Frode wymyślili!

No przecież, facet matki miał na imię Frode. Torunn cały czas o tym zapominała i przy okazji ich ostatniego spotkania nazwała

go Mortenem.

– No nie zgadnę. Co wymyśliliście?

Wybierali się w rejs! Takim wielkim statkiem, po Karaibach, *all inclusive*! A Frode nie jest z tych, co każdy grosz oglądają dwa razy, zarezerwował apartament junior suite, tylko niech Torunn sobie nie myśli, że jak się nazywa „junior”, to jest mały, będą mieli własny salon, werandę i prawdziwą łazienkę, nie jedną z tych mikroskopijnych kabin, które zazwyczaj znajdują się na statkach, z Gunnarem popłynęli kiedyś w rejs Hurtigrutą^[21], to było wiele lat temu, Torunn na pewno pamiętała, Gunnar tak strasznie marudził o ten rejs, zupełnie jakby ją w ogóle interesowało norweskie wybrzeże, Boże kochany, co ją to obchodzi, a łazienka była taka mała, że susząc włosy, można było się nabawić łokcia tenisisty, przy czym suszenie tych cholernych włosów w ogóle miało tam niewielki sens, bo on ją co chwila wyciągał na pokład, żeby podziwiać widoki, to jest kolejne wyspy, szkiery, góry i fiordy, i lodowaty wiatr dujący z każdej strony, a potem znów ciągnął ją prosto do baru, wyglądającą jak strach na wróble, ale teraz będzie zupełnie inaczej, ruszają za dwa tygodnie, a ona tak szalenie się cieszy.

– Dwa tygodnie? To zdążysz jeszcze zamówić firmę transportową do odbioru tych wszystkich rzeczy, które u ciebie trzymam.

Naprawdę? Wyprowadzała się od tego faceta z Maridalen? Ach, jak dobrze to słyszeć! Dzięki Bogu, że Torunn nareszcie poszła po rozum do głowy. Naprawdę, świetna wiadomość. A gdzie sobie kupiła mieszkanie? Boże, co za szczęście i co za ulga, oczywiście, że matka zamówi firmę transportową, niech tylko Torunn poda jej adres i datę, kiedy chciałaby wszystko odebrać, a ona zajmie się resztą, za wszystko zapłaci, wspaniale będzie odzyskać swój

schowek, Torunn nie miała co prawda zbyt dużo rzeczy, ale mimo wszystko trochę miejsca to zajmowało, a ona tak suszyła o to Torunn głowę, bardzo przeprasza, ale jak człowiek przenosi się z wielkiego domu do mieszkania, to musi gdzieś trzymać swoje rzeczy, do jednego ze schowków planowała wstawić szafę na futra, ze swoimi norkami, mogły tam wisieć latem, temperatura i wilgotność powietrza były idealne, nie żeby miała nie wiadomo ile futer, chodzi ledwie o kilka płaszczy, czapek i etoli, ale chciała sama mieć nad nimi kontrolę i nie musieć każdej wiosny oddawać ich do przechowalni, bo nigdy się nie miało pewności, jakie będzie lato, jaka wypadnie pogoda, takiego przynajmniej była zdania, w chłodne dni człowiek ma czasem ochotę zarzucić etolę na ramiona, chociażby na imprezę w plenerze, na przykład noc świętojańską, jeśli nie ma upałów, więc to naprawdę doskonała wiadomość, czy Torunn ma adres pod ręką, żeby matka mogła go od razu zapisać? I czy już się zastanowiła, jaka data będzie jej odpowiadać?

– Właściwie to chciałabym dostać wszystko najszybciej, jak się da. A adres to gospodarstwo Neshov, siedemdziesiąt siedemdziesiąt cztery Spongdal.

Matka zamilkła.

– Jesteś tam?

Czy Torunn raczy sobie z niej żartować?

– Nie. Wprowadziłam się do Neshov. Przejmuję gospodarstwo. Należy do mnie i nie zostało sprzedane, więc mogę tu równie dobrze zamieszkać, by być blisko mojego dziadka i Margida.

Matka musiała usiąść. Nie wiedziała, co ma... ale... co też ona najlepszego ZROBIŁA? Ma zamiar zostać CHŁOPKĄ? Torunn jest przecież jej CÓRKĄ!

– I chcesz przez to powiedzieć, że...?

Chciała, żeby Torunn mieszkała w Oslo, to przecież oczywiste! Torunn jest jej jedynym dzieckiem!

– Mam czterdzieści lat i żadne już ze mnie dziecko. A teraz przeprowadziłam się do Neshov, gospodarstwa, które odziedziczyłam.

Do dupy z takim dziedzictwem, wyraziła swe zdanie matka.

– Ty i Morten... to znaczy Frode, możecie mnie odwiedzić. Serdecznie zapraszam.

Jeszcze czego. Noga matki nigdy w jej życiu nie postanie w tym gównianym domu, z którego wygnała ją ta stara wiedźma, bo mimo że chodziła w ciąży z dziedzicem majątku, nie była dla niej dość dobra. A ta pierdoła, przeklęty ojciec Torunn, stał tylko, kiwając tępo głową, i zgodził się na wszystko, zgodził się, by matka wyrzuciła jego narzeczoną za drzwi. Więc nie, żadnych odwiedzin nie będzie, to wykluczone.

– Mój ojciec nie żyje. Wiedźma też nie żyje. Teraz to ja tu mieszkam. Więc może się zdarzyć, że zmienisz zdanie. Ale tak czy inaczej, to tu prześlij, proszę, moje rzeczy.

Tak, tyle matka pojęła. Zrozumiała to ponad wszelką wątpliwość. A teraz nie miała już siły rozmawiać z Torunn. Tak się ucieszyła, że córka do niej dzwoni! Ale Torunn wszystko popsuła.

Przyniosła resztę rzeczy z samochodu, umyła ubłocone łapy Anny starą szmatą do podłogi i zamknęła się z psem w domu. Reklamówki z jedzeniem zostawiła w sieni, chciała najpierw przeprowadzić inspekcję lodówki. Wypakowała suchą karmę i nasypała jej trochę do plastikowej miski ustawionej na podłodze pod zlewem, znalazła kolejne naczynie na wodę i umieściła je obok,

pasztet poczeka do jutra, miała teraz pełno roboty, sprawdziła, czy elektryczny grzejnik pod kuchennym oknem jest ciepły, dotknęła bojlera nad zlewem, był rozgrzany, więc pewnie w łazience na górze też już wszystko ruszyło. Grzejąca się czteroletnia woda, dosyć obrzydliwa myśl. Ale będzie się nią tylko myła, nie zamierzała jej pić.

Drzwi lodówki były uchylone, w środku panowały ciemności, i bardzo dobrze. Margido najwyraźniej wyciągnął wtyczkę z kontaktu i uchylił drzwiczki, by lodówka się wywietrzyła, zajrzała do środka i odkryła pudełko z masłem, szerniały kawałek sera w foliowej torebce i dwie cebule tak zasuszone, że przypominały morele. Świetnie, mogła od razu zacząć wszystko wyrzucać. Zapomniała kupić worki na śmieci. Gdzie je tu zazwyczaj trzymała? W dolnej szufladzie, pod sztućcami, a obok pustych reklamówek ze sklepu znalazła cienką, zgniecioną rolkę, zostały tylko dwa worki, oderwała jeden i powiesiła go na gałce szuflady pod kuchennym blatem.

Wyjęła balię do zmywania z jednej z dolnych szafek, w której trzymała także kiedyś środki czystości, niektóre z nich nadal tam stały, takie rzeczy mogą przetrwać całe lata. Balia miała na dnie pajęczyny, w jednym jej rogu leżały trzy martwe pająki, potrząsnęła nią mocno, by upewnić się, że są martwe, po czym utopiła je w odpływie zlewu, wypełniła balię gorącą wodą, dodając odrobinę płynu do dezynfekcji, wypakowała ściereczkę z mikrofibry zakupioną w Soknedal i zaczęła myć wnętrze lodówki.

„Tak się ucieszyła, że córka do niej dzwoni! Ale Torunn wszystko popsula”.

Tak. Nawet niewierność jest lepsza niż bycie elementem wyposażenia wnętrza.

Gdy lodówka była już czysta, otworzyła drzwiczki na oścież, by wszystko w środku wyschło i porządnie się wywietrzyło. W kuchni było zimno, powinna, rzecz jasna, rozpalic ogień w małym piecyku na drewno. Pies zwinął się w kłębek na leżącym w kącie kombinezonie, z największą oczywistością, zupełnie niewzruszony przewodzką. Zwierzę wydawało się spokojne i pewne siebie, cieszyła się, że wybrała tego właśnie szczeniaka.

Wzięła stojącą w sieni szczotkę na długim kiju i oświetlając sobie drogę latarką w iPhonie, poszła przez podwórze do drewnutni. Usunęła szczotką stare pajęczyny wiszące wokół drzwi, po czym napełniła szczapkami przyniesioną ze sobą reklamówkę. Drewno było wyschnięte na wiór, więc torba pozostała lekka. Kątem oka dostrzegła przenośną ubikację, była turkusowa, z czarną deską i klapą, tę samą, której zawartość po znalezieniu ojca martwego w chlewie wylała do wychodka za stodołą i którą potem zdezynfekowała roztworem amoniaku.

Ułożyła pod szczapkami trochę kory, tyle wystarczyło, by po chwili w piecu zaczął tlic się ogień. Zostawiła uchylone drzwiczki i wsłuchiwała się w kojący odgłos trzaskających płomieni pożerających suche drewno, dźwięk wypełnił izbę, było tu cicho, zbyt cicho jak na tę uroczystą okazję, którą było jej przybycie.

Nie chciała majstrować przy telewizorze, stara antena na dachu przekrzywiła się już pewnie ze sto razy, odkąd złapała sygnał po raz ostatni. Antena satelitarna, tak, mogłaby ją sobie zamontować, teraz miała na to pieniądze. Ale czy przypadkiem nie było tu gdzieś małego radia turystycznego? Przypomniało jej się, że kupiła je kiedyś w centrum handlowym City Syd. Pewnie stało na górze, w sypialni.

Żarówka przepaliła się także w korytarzu na piętrze, oświetliła sobie drogę do drzwi swojej dawnej sypialni iPhonem, który zadzwieczał nagle, oznajmiając nadejście esemesa od matki.

„Jak mogłaś. Jestem w szoku. Ale swoje rzeczy dostaniesz – na mój koszt”.

Nic na to nie odpisała. Ale gdy zaledwie kilka sekund później Margido napisał do niej: „Dojechałaś? Wszystko dobrze?”, odpowiedziała mu twierdząco, załączając do wiadomości uśmiechniętą buzię.

Lampa w sypialni działała, a na parapecie faktycznie stało radio, w towarzystwie szklanki do mleka, z której pijała koniak, obserwując wieczorne niebo nad fiordem Korsfjorden i wznoszące się w oddali góry.

A obok, na nocnym stoliku, leżały nadal te bzdury, które kupił dla niej Erlend w bezcłowym, gdy przyjechał tu po raz ostatni, przedmioty, które niczym kropla przepelniająca kielich popchnęły ją do wyjazdu z gospodarstwa: zapakowane w celofan pudełeczka z kremami i zestaw podróży z cieniami do powiek, tuszem do rzęs i pudrem. Dowód, że kompletnie jej nie znał. Z początku miała wrażenie, że są w tej samej drużynie, bardzo go polubiła, nazywał ją „małą brataniczką”, uwielbiała jego sposób bycia, ale tylko do momentu, gdy okazało się, że oczekiwał od niej, by bez słowa protestu wpasowała się w jego plany. Miała niejako z automatu cieszyć się i zachwycać wszystkimi jego pomysłami i marzeniami co do gospodarstwa, bez prawa do własnego zdania. Jakże ją wtedy rozczarował. Właściwie była prawie pewna, że on nadal tego nie rozumiał, nie pojął, dlaczego zareagowała wtedy tak, a nie inaczej, i po prostu wyjechała.

Zebrała kremy i zestaw kosmetyków, zaniósła je do łazienki

i ustawiła na półce pod lustrem, mogły tu sobie stać dla ozdoby.

Zerwała poszwy z kołdry i poduszek oraz prześcieradło, wszystko cisnęła na korytarz, otworzyła okno, zaniósła kołdrę i poduszki na dół do kuchni, wzięła też radio, które podłączyła do gniazdka na końcu blatu, pod starym kalendarzem firmy Coop zawieszonym na gwoździu, z którego zwisał także cały pęk gumek recepturek.

Szybko znalazła stację nadającą pogodne przeboje pop i zwiększyła głośność. Anna uniosła łeb i zastrzygła uszami, po czym znów ułożyła pyszczek na łapach i zapadła z powrotem w sen.

– Sorry, Anno, ale teraz trzeba mi dźwięku!

Potrzebowała dźwięku, który wypełniłby całe wnętrze tego wielkiego budynku, mającego teraz stać się jej domem. Kołdrę i poduszki rozłożyła na kuchennych krzesłach, które przysunęła tak blisko pieca, jak tylko się odważyła, chciała, by pościel wysuszyła się i ogrzała, zanim położy się w niej spać. Czyste prześcieradła i poszwy leżały w sztaplach w jednej z szaf na górze, sama je kiedyś uprała, poskładała i tam zaniósła.

Wylała brudną wodę z płynem do dezynfekcji i przygotowała sobie nową, tym razem z płynem do mycia naczyń i odrobiną roztworu amoniaku, po czym wyszorowała wszystkie powierzchnie w kuchni, podśpiewując fałszywie do piosenek nadawanych w radiu. Okienne parapety, stół, siedziska krzeseł, blat, kuchenka – gdy skończyła, wszystko to lśniło czystością. Tealighty znalazła w pierwszej reklamówce, do której zajrzała, razem z sześciopakiem piwa.

– A teraz, droga Anno, zrobię coś, na co naprawdę długo czekałam!

Ale pies nie otworzył nawet ślepi, gdy zdjęła wiszącą w oknie nylonową zazdrostkę i wepchnęła ją do worka na śmieci, wykręciła nawet małe śrubki z haczykami, na których była zamocowana. Okno nie stanowiło już bariery między kuchnią a resztą świata, mogła spoglądać prosto na zewnętrzny termometr. Postawiła na parapecie spodki z zapalonymi świeczkami. Uniosła puszkę z piwem w stronę okna, w geście toastu, i upiła z niej łąpczywie kilka łyków.

Teraz muszę spisać wszystkie rzeczy do zrobienia, pomyślała, i podgrzać sobie jakieś gotowe danie.

Znalazła w jednej z kuchennych szuflad notes i długopisy, pierwsze dwa były wyschnięte i wylądowały w śmieciach, ale trzeci zadziałał.

Kontener na śmieci DUŻY

Zamówić antenę satelitarną i internet

Zgłosić przeprowadzkę

Silosy: Firma rozbiórkowa?

Odkurzyć i posprzątać!!!

Wyrzucić wszystkie suche produkty z kuchni

Wymienić żarówki

Wyszła na pogrążone w ciemnościach podwórze, zapaliła papierosa i zerknęła w stronę kuchennego okna. Słyszała dobiegającą z domu muzykę, sączyła się przez ściany, przez szyby. Płomienie świec drgały na parapecie, ich blask oświetlał czarną ziemię przed domem.

Ktoś patrzący na to jedno tylko okno mógłby dojść do wniosku, że dom faktycznie wygląda na zamieszkały.



Przepuściła przez nowy ekspres do kawy dwa litry wody, którą wylała prosto do zlewu, i dopiero wtedy umieściła w koszyczku filtr, nasypała do niego kawy i zaparzyła sobie duży kubek porannego, czarnego jak smoła napoju, smakował wyśmienicie, pomyślała więc ciepło o George’u Clooneyu.

Spała dobrze i niezwykle jak na siebie długo. Łóżko nie było szczególnie wygodne, ale za to dobrze znane i należało do niej. Anna ułożyła się na kołdrze w nogach. Torunn nie chciała mieć psa podwórzowego nocującego w wyłożonej słomą budzie, zależało jej na towarzyszu, dlatego musiała dbać o zadzierzgnięcie z suczką bliskich więzi.

Poprzedniego wieczora postawiła po prostu na podłodze miskę suchej karmy, ale tego dnia chciała zacząć ćwiczyć z nią posłuszeństwo. Pies musiał nauczyć się przyswajać wiedzę i to polubić. Siedzieć grzecznie, czekając na jedzenie, i nie biec do miski, nim Torunn nie powie: „proszę bardzo”.

Umyła się w jasnoniebieskiej wannie na górze po dokładnym jej opłukaniu, odczyściła ściany pokryte laminatem i wyszorowała muszlę klozetową oraz umywalkę. W najbliższej przyszłości będzie

musiała urządzić niewielką toaletę na dole, schowek, w którym stała kiedyś przenośna ubikacja ojca, nadałby się do tego idealnie.

W korytarzu stało kilka par gumiaków, włożyła jedną z nich, to w tych butach chodziła, gdy mieszkała tu ostatnio, kiedyś należały pewnie do Anny Neshov, wzięła kubek z kawą i wyniosła go ze sobą na ganek, przypięła Annę do łańcucha i zapaliła papierosa. Niedopałki z poprzedniego wieczora rzuciła po prostu na ziemię pod oknem kuchennym, brzydko to wyglądało, nie chciała takiego bałaganu, odłożyła zapalonego papierosa na barierkę i wróciła szybko do domu po słoik po dzemie, do którego naląła odrobinę wody. Pozbierała wszystkie niedopałki z ziemi i wrzuciła je do środka, po czym wróciła do nadpalonego papierosa.

Po obu stronach ganku ustawione były naprzeciw siebie ławki, osłaniał je niewielki daszek, idealne miejsce, w którym można było siedzieć nad kubkiem kawy i kontemplować życie. Wciąż padał deszcz, gospodarstwo leżało pogrążone w czerniach i szarościach, drewniane ściany były mokre, rdzewiejące, zniszczone i zużyte maszyny rolnicze wyglądały spod podjazdu na piętro stodoły, leżały tam także stare opony, porzucona laweta i wiele innego niezidentyfikowanego złomu. Uniosła spojrzenie, w oddali majaczyły silosy z paszarnią pośrodku.

Pomiędzy domem mieszkalnym, stodołą, oborą a drewnutnią leżała na podwórzu tylko mokra i ciemna ziemia, jedynie tu i ówdzie majaczyło w niej kilka źdźbeł trawy, drzewo pośrodku podwórza nie wypuściło jeszcze pączków, pięło się ku niebu niczym na czarno-białej fotografii. Kilka szyb w niewielkich okienkach stodoły musiało zostać stłuczonych, zastąpiono je grubym kartonem albo dyktą, tak to wyglądało już wtedy, gdy przyjechała tu po raz pierwszy, a prowadzenie gospodarstwa należało do

obowiązków ojca, który musiał utrzymywać się z emerytury rodziców i każdą najmniejszą rzecz robił pod dyktando Anny Neshov. Która zresztą postanowiła nawet o tym, że Tor ma sprzedać limit mleczny i przejść na hodowlę świń, jej macki sięgały zatem aż za drzwi obory.

Torunn nieszczęśliwie się tam spieszyło.

A za zabudowaniami leżały pola, na razie tylko ciemnobrązowe bruzdy zaoranej ziemi, nie wiedziała nawet, komu Margido je wydzierzawił, ale była wdzięczna, że to już załatwione. W tym roku, tak jak we wszystkich poprzednich, trzeba będzie zżąć na nich zboże, ale ona nie miała ani dość kompetencji, ani maszyn, by się tym sama zająć.

Jedynym, co nie wydawało jej się z tego miejsca, w którym siedziała, stare ani zniszczone, jedynymi nowymi rzeczami, na których mogła zawiesić wzrok, były łańcuch Anny i lśniący kłódka Margida na podwójnych drzwiach po lewej stronie stodoły. Zamontował przy nich także rampę, tak by bez większego wysiłku móc za pomocą wózka ładować trumny prosto do samochodu.

Weszła do środka i zrobiła sobie kanapkę z goudą, którą zamierzała zjeść na dworze, popijając kawą, ukroiła też dodatkową kromkę chleba i pokruszyła ją na karmniku. Był zamocowany do drzewa w miejscu, gdzie pień wyginał się nieco, tworząc naturalne zadanie chroniące przed deszczem. Anna siedziała z podwiniętym ogonem i węszyła, rozglądając się dookoła, krople deszczu były jak lśniące kropki na jej kredowobiałej szczenięcej sierści, uszy sterczały, nasłuchiwały i strzygły.

– Niedługo pójdziemy na spacer, muszę tylko najpierw uporządkować trochę ganek, żeby nam się na nim miło siedziało, a potem zadzwonię jeszcze w parę miejsc.

Pamiętała, że koce i pledy leżą w szafach w salonie z kominkiem, w tym wielkim, eleganckim pokoju, z którego nigdy nie korzystano, z długim stołem jadalnym i krzesłami o wysokich oparciach i siedziskach obciągniętych skórą.

Wyciągnęła dwa grube wełniane pledy z jednej z szaf, myśląc o wieczorze wigilijnym, który tu kiedyś spędzili. Wyszła pospiesznie z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Jedna rzecz naraz. Jeden pokój naraz. Nie powinna się zmuszać, by myśleć o wszystkim jednocześnie.

Rozwiesiła pledy na ławkach. Na ich końcach zostawiła kawałek odsłoniętych desek, chciała mieć miejsce na kubek z kawą i popielniczkę, sięgnęła po komórkę oraz iPada i wpisała w wyszukiwarkę „kontenery na odpady Trondheim”.

– Największy kontener, jaki macie, będzie mi potrzebny na czternaście dni. I możliwe, że będę potem potrzebowała kolejnego, ale dam znać, jak przyjedziecie odebrać ten pierwszy.

Obiecali dostarczyć kontener tego samego popołudnia, mieli zadzwonić, gdy będą się zbliżać, żeby mogła wyjść i pokazać im dokładnie, gdzie go mają postawić.

Upiła duży łyk letniej kawy i zapaliła nowego papierosa.

– O rany – powiedziała. – To jest takie proste, Anno. Ha! Ogromny kontener, który wypełnimy po brzegi. Cudownie. Wreszcie będziemy mogli zabrać się do roboty.

Wpisała w wyszukiwarkę „antena satelitarna” i „internet szerokopasmowy”, po czym znów sięgnęła po telefon. W ciągu kilku zaledwie minut zdołała się umówić na instalację w najbliższym tygodniu. Następne w kolejce były silosy, idzie mi niemal zbyt gładko, pomyślała. Ale to oczywiście dlatego, że nie musiała

porównywać ofert i targować się o cenę, mogła po prostu zamówić to, czego potrzebowała.

Wpisała w wyszukiwarce „zgłoszenie zmiany adresu”, ale postanowiła poczekać, aż zainstalują jej internet i będzie mogła zacząć korzystać ze swojego MacBooka, zamiast męczyć się z wstukiwaniem literki po literce na iPadzie.

Napisała do Margida esemesa, rozpoczynając go od „Cześć wujku”, niech wpadnie z wizytą, byłoby bardzo miło, dostanie kawę i gofry. „Nie będzie ciśnienia na picie”. Dwie uśmiechnięte buźki na koniec.

Naciskając klawisz „wyślij”, uświadomiła sobie, że nie ma wszystkich składników na ciasto do gofrów, ale okej, pojedzie jutro do sklepu, skoro naprawdę musi. Nie chodziło jej tylko o to, że mogłaby się tam natknąć na Kaja Rogera, ale czemu niby właściwie miałyby się tak stać, przecież pojedzie tam przed południem, a on prowadzi w tym czasie lekcje o automatycznych dojarkach, chociaż oczywiście mógł też być zmuszony wziąć wolne, żeby siedzieć w domu z małym, ślicznym i przeziębionym dzieckiem, majtającym nóżkami w wózku na zakupy i pociągającym noskiem, człowiek nigdy nie miał pewności.

Ale nie, prawdziwym powodem, z jakiego jak najdłużej chciała unikać lokalnego sklepu, były plotki. Od razu wszyscy zaczęliby gadać, że wróciła do gospodarstwa, wystarczy, że zobaczyłaby ją jedna osoba, chociażby kasjerka, która spełniała funkcję wiejskiej centrali informacyjnej, ze wszystkimi tego dobrymi i złymi stronami. Torunn najchętniej zostałaby tutaj, w swojej małej, wolnej od plotek mydlanej bańce. Jako samotniczka, tak długo, jak tylko się da. Sygnał przychodzącej wiadomości obwieścił odpowiedź Margida.

„Mam dwa duże pogrzeby dziś i jutro, ale chętnie przyjadę w sobotę. Jak miło. Będę autem, więc gofry i kawa brzmią świetnie. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze”.

Żadnej uśmiechniętej buźki na koniec, ale chwycił jej żart, całkiem nieźle jak na szary kwadrat.

Wpisała w wyszukiwarkę kolejny punkt na liście, „firma rozbiórkowa Trondheim”.

Tu już nie poszło tak łatwo. Zadzwoiła do firmy, która wyskoczyła na szczycie listy, ale została przekierowana do innego przedsiębiorstwa, a potem do kolejnych, wszyscy wyjaśniali jej, że to duże zlecenie, że musi złożyć wniosek do gminy, nie można było tak po prostu wyburzyć silosów, zwłaszcza jeśli były stare, poza tym musiała mieć plan utylizacji odpadów, trzeba je posegregować i wywieźć, osobno beton, osobno elementy zbrojenia. Gdy w końcu udało jej się znaleźć firmę gotową przyjąć to zlecenie i opisała na oko wysokość i promień podstawy silosów, rozmawiający z nią mężczyzna wycenił wstępnie pracę na co najmniej dwieście tysięcy koron.

– Ach tak, aż tyle. Ale... mimo wszystko chciałabym, żebyście przyjechali i się temu przyjrżeli. Najszybciej, jak dacie radę.

Mogli do niej zajrzeć po weekendzie, ale same prace gotowi byli rozpocząć najwcześniej za dwa czy trzy tygodnie.

Rozłączyła się i siedziała chwilę bez ruchu, lustrując silosy.

Mogłaby wyczyścić konto z nadwyżką za sprzedaż zboża. Ależ to by była ironia losu, pomyślała. A wniosku do gminy w ogóle nie zamierzała składać, wojnę z urzędnikami podejmie ewentualnie już po wszystkim, to przecież jej silosy i życzyła sobie, by zniknęły.

A teraz umyje okna. Światło dnia zdemaskowało, jak

niewyobrażalnie są brudne.

Właściwie nie rozumiała do końca, dlaczego. W pobliżu nie było przecież żadnej drogi, żadnych spalin, grubej warstwy brudu nie tłumaczyły nawet cztery lata regularnych deszczy. Jej okna w Stovner, a także te u Christera w Maridalen szarzały stopniowo na zewnątrz pod wpływem opadów, od środka zaś matowiały na skutek oparów kuchennych i dymu ze świec, ale to było coś zupełnie innego. Szyby wyglądały najgorzej od strony fiordu, skąd najbardziej wiało, wiedziona impulsem otworzyła jedno z okien salonu z telewizorem, przesunęła palec po szybie od zewnętrznej strony i włożyła go do ust.

Był intensywnie słony.

Słony...?

Większość życia spędziła w mieście w głębi lądu, ale mimo to szybko zrozumiała, że chodziło tu o fiord i zimowe sztormy, wiatr i deszcz wzbudzający słoną wodę znad jego powierzchni, nawiewający ją na pola i budynki Byneslandet.

Nie było sensu brać się do odkurzania i sprzątanania przy takich brudnych oknach. Lśniące szyby miały absolutnie decydujące znaczenie dla poczucia czystości w domu, nauczyła ją tego matka. Usiadła na parapecie przy otwartym oknie, wciąż czując w ustach smak soli, wyciągnęła z kieszeni spodni komórkę i wybrała numer matki.

– To ja.

Niech Torunn się nie denerwuje, dostanie swoje rzeczy, matka przecież jej obiecała. I niech się Torunn swoją matką nie przejmuje, przecież ma teraz całe gospodarstwo na głowie.

– Owszem, mam. Nawet zabrałam się do mycia okien. Są tak usmarowane solą z fiordu, że szyby wydają się wręcz żółte, to

chyba przez sztormy i silne wiatry. Podobno niedawno była tu wichura, ale z tego co widzę, nic nie zostało zniszczone. Chociaż właściwie trudno stwierdzić, bo już wcześniej sporo rzeczy było tu zdewastowanych. Dość podupadłe miejsce.

Ach tak.

– Wiem, że ty... Wydaje mi się, że wszystko ci się trochę miesza. To, że nienawidziłaś mojego ojca, i to, że ja tu teraz jestem. Ale to ja jestem tu teraz, nie on. Tak to wygląda.

Matka nie pojmowała, dlaczego się na to zdecydowała. Przeprasza, że tak mówi, ale nic nie poradzi, że takie ma zdanie. Torunn mieszkała z tym dziwnym typem w Maridalen przez prawie cztery lata, nawet jej do siebie nie zaprosili, to Torunn nie chciała, matka tego akurat się domyśliła, ani razu nie spotkała się z tym facetem, niech Torunn zastanowi się nad tym chociaż przez sekundę, jej jedyna córka była z mężczyzną, którego ona nawet nie poznała. Dlatego matka tak się ucieszyła, gdy Torunn zadzwoniła do niej, mówiąc, że potrzebuje swoich rzeczy, ten związek raczej nie mógł być dla niej dobry. Ale okazało się, że wpadła z deszczu pod rynnę, bo jak to inaczej nazwać, matka miała ochotę zwymiotować na wieść, że Torunn chce przejąć gospodarstwo, przecież widziała, jaka była zmęczona wtedy, gdy spotkały się w Palmen, zarezerwowała dla Torunn pokój w Britanii, żeby mogła odpocząć, a potem zjadłyby obiad i spędziły miło czas, ale Torunn chciała tylko wracać do tego gospodarstwa, bo musiała zrobić obrządek w chlewie.

– Tak. Pamiętam to.

Czy ona nie rozumie, że matka się o nią boi?

– Nie to mówiłaś wczoraj. Wczoraj miałaś pretensje, bo popsułam ci dobry nastrój, a ty przecież wybierasz się w rejs z Mortenem.

Frodem.

– Jeden pies. Przez długi czas traktowałaś mnie, jakbym była elementem wyposażenia wnętrza. Ale teraz już ci nie wolno.

Ale przecież Torunn jest jej córką!

– Czyli córka to dla ciebie ktoś w rodzaju służącej? Ktoś, kto jest na każde twoje skinienie?

Torunn, droga Torunn, zaczęła matka. Miała przecież czterdzieści lat. Była samotna, bez wykształcenia i bez pracy. A skoro o czterdziestce już mowa, matka chciała świętować jej urodziny w The Thief, zaprosiła Torunn i jej faceta na uroczysty obiad, razem z jej przyjaciółką ze Stovner, tą, która szyje i robi na drutach, chyba miała na imię Margrete, a Torunn powiedziała jej tylko, że nie ma czasu. Matka wyciągnęła do niej rękę, a ona ją odtrąciła. Zawsze tak robi.

– Jesteśmy tak od siebie różne.

Czyli że Torunn jest podobna do swojego ojca, to chce powiedzieć? Tak, na to wygląda. Zwłaszcza że teraz ma niby zostać chłopką.

– Nie będę żadną chłopką, przejęłam tylko gospodarstwo.

Tylko? Większej bzdury matka w życiu nie słyszała.

– Gospodarstwo należy do mnie i teraz tu mieszkam. Miałam się właśnie zabrać do mycia okien i przypomniałam sobie twoje słowa, że jak szyby są brudne, to nic nie pomoże odkurzenie ani mycie podłóg. A okna mam tu kompletnie usmarowane solą z fiordu. Dlatego dzwonię.

A tak, to akurat matka doskonale pamięta ze swojej młodości na północy! Tak właśnie wyglądają okna na wybrzeżu! Torunn musi najpierw wziąć czystą wodę i ściereczkę i tylko opłukać szkło, trzeba do tego mnóstwa wody. A potem trzeba użyć ściągaczki...

a ma w domu ściągaczkę?

Matka mówiła teraz jasnym, radosnym głosem. Boże jedyny, czyżby to było aż tak proste...?

– Mam. Chyba.

I wody z octem. Matka nieszczególnie wierzy w metodę z papierem gazetowym, niech Torunn użyje po prostu wody z octem i ściągaczki i przygotuje sobie czyste ściereczki do wytarcia rogów, bo w tych miejscach ściągaczka nie wszystko zbiera.

– Zrobię, jak mówisz. Wielkie dzięki za radę. A teraz muszę uciekać, sprawiłam sobie suczkę i widzę, że właśnie zaczęła mi kopać na podwórzu wielką jamę.

Matka kocha ją całym sercem. Niech Torunn o tym nie zapomina. I to dlatego bała się tych wszystkich jej nieprzemyślanych decyzji. I życzy jej powodzenia przy oknach. Na pewno będą błyszczeć!

Zamiast od razu sięgnąć po wiadro, ściągaczkę i ocet, usiadła przy stole w kuchni z rolką taśmy klejącej, którą znalazła w jednej z szafek. Wyrwała z notesu białą kartkę i napisała na niej swoje imię i nazwisko, wielkimi drukowanymi literami, poprawiała je długopisem raz po raz, aż stały się grube i wyraźne. Następnie zakleiła papier przezroczystą taśmą, by nie zamókł na deszczu, włożyła tak zalaminowaną kartkę do kieszeni razem z rolką taśmy, wyszła na dwór, przypięła Annę do regulowanej smyczy i poczłapała z nią przez klonową alejkę, kierując się do skrzynki na listy.

Skrzynka okazała się wypchana po brzegi ulotkami, ale nie było w niej ani jednego listu zaadresowanego do kogokolwiek imiennie.

Przykleiła własnoręcznie wykonaną tabliczkę z nazwiskiem na samej górze pod klapką i wypchała kieszenie ulotkami.

– No i już. Ale jesteśmy efektywne, Anno. A nawet nie miałyśmy tego na liście.

Mosiężną tabliczkę z nazwiskiem, którą dał jej w prezencie Gunnar, gdy kupowała mieszkanie w Stovner, zawiesi przy drzwiach wejściowych na ganku.

Wróciła powoli alejką, lustrując po drodze zabudowania. Ich fatalna kondycja nie rzucała się z daleka w oczy.

To pierwszy raz, kiedy przybywam do mojego gospodarstwa pieszo, pomyślała, mojego gospodarstwa, i pierwszy pełen dzień, który tu spędzam, a teraz nawet umieściłam swoje nazwisko tam, gdzie zaczyna się moja posiadłość.



Kontener właśnie został dostarczony, stał teraz na prawo od drzewa na podwórku niczym osobny mały domek. Do swojej listy zadań dodała kolejny punkt:

„Wybrukować podwórko? Łupek czy coś innego?”

Kiedy padało, wszystko strasznie się brudziło, Annę trzeba było splukiwać wodą z węża przed wejściem do domu, szmata do podłóg nie wystarczała, a ona sama musiała wyskakiwać co chwilę z gumiaków, kręcąc się między domem a podwórkiem. Stała właśnie przy ścianie stodoły i usiłowała uruchomić wiekowy wąż do podlewania ogrodu. Woda zaczęła charczeć i pryskać w taki sam sposób jak wewnątrz domu, wąż zwijał się w konwulsjach w jej dłoniach, a po chwili końcówka obluzowała się, posyłając strumień wody we wszystkich kierunkach i mocząc ją całkowicie, łącznie z ramionami, twarzą i włosami.

Oderwała końcówkę, a strumień natychmiast przestał szaleć, ciśnienie również się zmniejszyło, woda ledwo ciekła z węża, ale to będzie musiało jej wystarczyć. Podeszła do rampy przy stodole i wyszukała starą drewnianą paletę, którą zawlokła pod kran. Będzie mogła teraz stawiać na niej Annę i myć ją po tarzaniu się po zabłoconym podwórku. Potem pozostawało już tylko zanieść psa

do domu i stojąc w sieni, wytrzeć go do sucha ręcznikiem.

Wszystkie okna na parterze błyszcząły. Ich mycie zajęło jej kilka dobrych godzin, ponieważ mimo deszczu rozkręciła wszystkie, żeby umyć również szprosy od wewnątrz. Krople deszczu, spływające teraz po szybach, stanowiły doprawdy drobnostkę.

Niektóre z okien musiała czyścić, stojąc na zewnątrz, ale większość była dostępna od środka, wdrapywała się na parapet i wychylała z okna na obie strony. To była ciężka praca, a ona cała ociekała potem. Zadzwoiła do Margrete, ale natychmiast włączyła się automatyczna sekretarka, to nie miało znaczenia, wiedziała przecież, co odpowie Margrete na jej relację o wszystkim, co działała tego dnia.

„Nie musisz robić wszystkiego naraz, Torunn, przecież się nie spieszy, dopiero tam przyjechałaś i masz całe morze czasu”.

Oczywiście Margrete miała rację. Przez prawie cztery lata siedziała w domu Christera, zajmując się jego gospodarstwem, psami i ich treningiem, a teraz nagle wszystko chciała mieć zrobione w mgnieniu oka.

„Musisz odnaleźć spokój, Torunn. Musisz gdzieś się ukorzenieć! Daj sobie trochę czasu”.

Dziękuję ci, Margrete, pomyślała sobie, za to, że znam cię tak dobrze, iż nie musisz mi odpowiadać, a i tak otrzymuję od ciebie radę.

Wkrótce miał zapaść zmrok, postanowiła posłuchać Margrete i nie gnać tak z robotą następnego dnia. Kontener stał tam i czekał, mycie okien było załatwione, miała telewizję i internet, ekipa do zburzenia silosów była już w drodze, na skrzynce na listy widniało

jej nazwisko, a Anna miała na dworze własne miejsce kąpielowe. Podłączyła iPada do ładowarki, kładąc go w tym celu na podłodze w kuchni, znalazła klucze do samochodu i suchą, ciepłą kurtkę, a potem wsadziła brudnego psa na podłogę przed siedzeniem pasażera.

Do tej pory tylko raz była tutaj nad samym fiordem, to było niedaleko stąd, wtedy, gdy ten szalony architekt przyjechał oglądać silosy, ten bogaty i znany na całym świecie, który wyglądał jak kloszard i który wywołał kłótnię pomiędzy Erlendem a Krumme.

Dziadek też pojechał wtedy z nimi nad fiord, to było dobre wspomnienie, brodził w wodzie, podpierany przez te dwie Dunki. Szalony dzień, dziadek kąpiący się we fiordzie i Erlend miotający się z szampanem po kamienistej plaży.

To było jak dawno prześniony sen.

Anna nie dała jednak rady pobiegać sobie nad wodą, było zbyt kamieniste i przy wejściu do wody za głazami widać było tylko bardzo wąski pas piaszczystego dna. Widziała wcześniej drogowskaz na Øysand, z symbolem plaży, zamierzała tam pojechać i zbadać teren.

Plaża, do której dotarła, była piaszczysta jak okiem sięgnąć, teraz, w czasie odpływu, była również szeroka, a pas wodorostów chował się wśród słabych fal, ledwie muskających piasek. Zamknięte na zimę przyczepy kempingowe stały długim rzędem wzdłuż parkingu, gdzie zostawiła samochód, pozbawione schodków przy drzwiach albo dużych namiotowych przedsionków z wystawionymi na zewnątrz krzesłami turystycznymi, wyglądały tak, jakby złożyły skrzydła i zbiły się w gromadę w oczekiwaniu na ciepło lata. W przesyconym deszczem marcowym zmierzchu nie było widać ani jednego człowieka, więc mogła spokojnie puścić

Annę luzem.

Pies zaczął biegać, sprawiając wrażenie, że w żywiołowym przyptywie energii czyni to we wszystkich kierunkach jednocześnie. Torunn, śledząc suczkę spojrzeniem, nie mogła powstrzymać się od głośnego śmiechu. A więc to był ten sam spokojny pies, który chwilę temu siedział na podłodze samochodu, bez wskakiwania na siedzenie ani miotania się dookoła. Czyli energia przez cały czas tam była, tylko poskromiona. To naprawdę musiał być mądry pies, skoro potrafił dostosować swoje zachowanie do sytuacji. Jak dobrze, że właśnie ją wybrała z całego miotu. Że ukradła akurat tego szczeniaka. Ciekawe, czy Christer odezwie się do niej po powrocie do domu? Kiedy obok małego zakurzonego mikołaja znajdzie pożegnalną kartkę? Iris zapewne wprowadzi się do niego i w końcu będzie mogła mieć własny kominek, opuścić rodziców i swój dziewczęcy pokój, żeby przypiąć się do przystojnego maszera, zarabiającego nocami krocie na globalnym handlu akcjami. Ależ na zdrowie. Jeśli Iris miała trochę oleju w głowie, to wkrótce zajdzie w ciążę, dziecko było chyba jedyną sprawą, której Christer pragnął bardziej niż swobodnego pieprzenia się na prawo i lewo z kim popadnie.

Tutaj będzie przyjeżdżać częściej, pomyślała sobie, otwarty krajobraz, gdzie można było oddychać, idąc szybkim krokiem, myśleć, pozwolić psu pobiegać, i tak aż do lata, kiedy przyjadą tu turyści i zmienią to miejsce w letnisko. Miała zamiar trzymać kciuki za najgorszą możliwą pogodę, która skłoniłaby ludzi do pozostania w domach.

I w chwili, gdy tak szła, rozmyślając o tym wszystkim, a Anna podbiegała do niej ze swoim pyszczkiem małego misia dosłownie

rozdziawionym od radosnego uśmiechu i z oczami błyszczącymi radością życia i wpadała jej prosto w ramiona, właśnie wtedy wszystko się zawaliło. Równie brutalnie jak wówczas, gdy Margrete podarowała jej pled Missoni. Schwycił ją płacz, ścisnął niemal od samego podbrzusza, poruszając się w górę gwałtownymi zrywami, aż prawie straciła oddech. Pies biegał dookoła równie szybko jak wcześniej, chyba zauważył jakieś resztki przyniesione na piasek przez wiatr od morza, tyle zdążyła pomyśleć, siedząc w kucki, szlochając i balansując na palcach ledwie dotykających piasku, była taka samotna, tak totalnie sama na świecie, jak to mogło się stać, że tak właśnie było. Kurwa, co takiego z nią było nie tak, że wszystkich od siebie odpychała? Odepchnęła Christera, przecież to nie była tylko jego wina, nawet nie powiedziała mu, że jest w ciąży, poroniła jego dziecko, nie wspominając mu o tym ani słowem, nie dzieląc z nim tego, płakała aż do stanu, kiedy zaczęła wyć, tutaj nikt jej nie słyszał.

Nie miała w kieszeniach ani kawałka papieru do wytarcia nosa, użyła więc palców, podniosła się i zeszła nad brzeg fiordu, opłukała palce w słonej wodzie i ponownie wytarła nos, przetrzała też oczy, czując, jak kojący wpływ ma na nią ta lodowata woda na dłoniach i twarzy; wklepała sobie wodę z fiordu Korsfjorden w całą twarz, dobrze było tak sobie popłakać, i pomyślała: Dlaczego bycie samej ma być takie okropne, czy w sumie to nie jest wszystko jedno? Przestać budować zamki na lodzie, zadowolić się tym, co się ma, i nie pozwolić matce definiować rozmiarów swojej porażki?

Wjeżdżając znów na podwórko, poczuła, jak zimowe opony co chwilę ślizgają się w kałużach, ten deszcz nadszedł po długiej i suchej zimie, miała wrażenie, jakby ziemia skuta była wieczną

zmarzliną, na którą spadały masy wody, zaparkowała równolegle do kontenera na śmieci, Anna siedziała przed nią na podłodze z futrem pełnym mokrego piasku, będzie musiała znów postawić ją na palecie pod kranem z węzem.

Będąc już w kuchni, włączyła radio, zapaliła nowe tealighty i ustawiła je na parapecie oraz na laminowanym stole, a potem rozmieszała sporą łyżkę pasztetu w odrobinie gorącej wody. Zagotowała wodę w czajniku, nawet Anna nie będzie zmuszona pić czteroletniej ciepłej wody, chociaż miała wrażenie, że już przeczyściła cały bojler nad zlewem kuchennym, kilka wiader wody poszło na mycie okien. Połała rozmieszonym pasztetem suchą karmę, Anna z zainteresowaniem śledziła jej ruchy.

– Siad.

Pies usiadł.

– Zostań.

Postawiła plastikowe pudełko na podłodze pod zlewem, a Anna rzuciła się w tę stronę, Torunn natychmiast podniosła pudełko i odprowadziła psa na miejsce, w którym przed chwilą siedział.

– Zostań. Zostaaań.

Ponownie postawiła pudełko. Anna podniosła się, ale pozostała na miejscu, wpatrując się w nią.

– Siad. Siad!

Pies rzucił się przed siebie, Torunn schwyciła pudełko z jedzeniem i odprowadziła psa z powrotem na miejsce.

– Siad!

Pudełko ponownie znalazło się na podłodze.

– Zostaaań!

Spojrzenie Anny szybko przebiegało pomiędzy Torunn a jedzeniem, oczy poruszały się jak u sędziego meczu

pingpongowego, Torunn musiała zacisnąć usta, żeby nie roześmiać się głośno, bo wtedy cała praca byłaby na nic.

– Zostań! – powtórzyła i odczekała kilka sekund.

– Proszę!

Pies siedział nadal.

– Proszę! Chodź, jedz!

Wtedy Anna pojęła, o co chodzi, rzuciła się przed siebie, wetknęła pysk do pachnącej pasztetem miski z suchą karmą i zaczęła ją pożerać, sapiąc ciężko przez nos.

Dla siebie Torunn zrobiła świeżą kawę, przygotowała kanapkę z serem i salami i sprawdziła wiadomości na iPadzie.

Siedziała w przedsiionku z papierosem, kiedy zadzwoniła Margrete.

– Tak, tak, dzwoniłam do ciebie, miałam trochę doła, ale już jest lepiej.

Opowiedziała o wszystkim, co robiła tego pierwszego dnia.

Teraz Torunn musi spróbować się ukorzenieć, rzekła Margrete, musi znaleźć w sobie spokój, a nie tylko zatapiać się w tysiącu zadań do wykonania. Musi po prostu...

– Wiem, wiem, nie męcz się. Pokręcę się teraz chwilkę przy swoich sprawach, położę się wcześniej, obejrzę sobie w łóżku coś na Netflixie.

Czy w tym jej gospodarstwie nie było może sofy?

– Zostanie wyrzucona. A poza tym stoi w salonie. Jeszcze nie zabrałam się do tego pokoju.

A co takiego miała na myśli?

– Jak dotąd ogarnęłam kuchnię, sypialnię i łazienkę. No i podwórko. Trochę trudno poradzić sobie ze wszystkim naraz. Tyle tutaj jest wspomnień, nawet nie zapalałam jeszcze górnego światła

w salonie z telewizorem, przeszłam tylko przez niego, idąc po coś do salonu z kominkiem. W dawnym biurze mojego ojca też jeszcze nie byłam. To ogromny dom, Margrete.

Tak właśnie jej się wydawało.

– I wszystko mi tutaj coś przypomina. Nie na górze, nie te sypialnie, do nich nie mam żadnego osobistego stosunku, ale wszystko tu na dole.

Te sypialnie? Aż tyle ich było?

– Razem osiem, po cztery po każdej stronie korytarza, a na jego końcu jest łazienka.

Czy to możliwe? Boże święty!

Margrete zaśmiała się głośno. Osiem sypialni? Czy Torunn aby na pewno sobie nie żartowała?

– Ależ skąd, na pewno nie.

Torunn mogłaby wynajmować pokoje. I stać się bogata.

– Ha, ha, nie, to miejsce leży całkowicie poza uczęszczanymi szlakami. Ledwo autobus tu dojeżdża, więc o tym można od razu zapomnieć.

Czy dzwoniła do swojej matki?

– Yesss.

I jak matka zareagowała?

– Bardzo się ucieszyła, że wreszcie wyśle mi wszystkie moje rzeczy, choć nie do końca podobał jej się kierunek. Najwyraźniej tą drobną informacją popsułam jej humor.

No to chyba nie było specjalnie dziwne. Torunn pewnie sama mogła sobie wyobrazić, jak to jest. Kiedy jej jedyne dziecko przeprowadza się na odległość pięćdziesięciu mil.

– Brzmisz teraz zupełnie jak ona. Jakie dziecko?

No dobrze, córka. Torunn prawdopodobnie zrozumiała, co ma na

myśli, jeśli tylko chwilę się zastanowiła.

Torunn wciągnęła głęboki oddech i wypuściła powoli powietrze, przypomniała sobie rozpacz, która niespodziewanie zalała ją na plaży.

Halo, była tam jeszcze?

– Ależ tak, jestem, tylko się zastanawiam. Tak sobie myślę, że może popytam ją trochę o radę w takich całkiem codziennych sprawach, wiesz, w stylu jak zrobić biały sos i tak dalej, udam nieco głupszą, żeby mogła poczuć się mądrą, wspierającą, pomagającą mi matką. Że z tej strony trzeba zacząć. Wyjść jej odrobinę naprzeciw.

Zdaniem Margrete ten plan brzmiał dobrze, niemal zbyt dobrze jak na kogoś, kto miał zwyczaj wszystko robić samodzielnie. Absolutnie wszystko. Czy zdawała sobie sprawę, że kiedy Margrete kończyła ten pled, miała obawy, czy jej go dać. Myślała, że Torunn być może będzie zła.

– Zła? Teraz to sobie żartujesz.

Nie, nie żartowała. Bała się, że Torunn będzie wściekła, bo przecież za wszelką cenę chciała dokończyć ten projekt własnoręcznie. Sama. Że nie będzie chciała przyjąć pracy, jaką Margrete włożyła w to rękodzieło. W prezencie. Torunn miała bowiem pewną trudność z braniem.

Napaliła w piecu. Pies zasnął na kombinezonie leżącym w kącie. W korytarzu, w jednej z tych szafek wbudowanych pod schodami znalazła żarówki, one chyba nie miały daty ważności. Żeby dostać się do lampy zewnętrznej na szczycie ganku, potrzebowała drabiny albo chociaż rozstawianych schodków do wieszania firanek, nie miała siły teraz do tego się zabierać. Zamiast tego wzięła krzesło

kuchenne i stojąc na nim, zmieniła żarówkę w górnej lampie w korytarzu. Nowa żarówka oświetlała starą pościel rzuconą na podłogę, zabrała ją ze sobą na dół razem z krzesłem.

Schodząc do piwnicy, pomyślała nagle o tych dwóch wielkich zamrażarkach. Boże, a co jeśli one nadal pełne są dań przygotowanych przez Annę Neshov? Kiedy zobaczyła, że stoją otwarte, z odłączonymi wtyczkami leżącymi na betonowej podłodze, poczuła niewymowną ulgę. Rzuciła szybko okiem do środka, obie były puste, jeśli pominąć kilka gumek i etykiet z odręcznymi napisami, na których atrament rozmazał się od starej wilgoci. A zatem nie zostały wymyte, tylko opróżnione z jedzenia. W piwnicy na środku podłogi był odpływ, więc Margido na pewno przechylił je po prostu, żeby wylać wodę po rozmrażaniu.

Załadowała pralkę pościelą i ściereczkami, których używała do mycia okien, nasypała proszku i włączyła program, również tutaj rury z wodą musiały przez chwilę poprychać i podławić się, zanim pralka ruszyła pełną parą.

Stała tak przez chwilę, patrząc na bawełniane tkaniny obracające się za grubym szkłem w wodzie i pianie. Czowała zmęczenie. Po płaczu nad brzegiem wody przebiegła czterokrotnie całą długość plaży, aż paliły ją mięśnie i płuca.

Jedyne, co miała jeszcze zamiar zrobić, zanim całkowicie zatopi się w iPadzie, to dopisać „suszarka bębnowa” do swojej listy zakupów.



Włożyła do koszyka składniki na gofry, dwie rolki worków na śmieci, żarówki, dżem i więcej goudy, piwo, napoje gazowane, płyn i szczotkę do mycia naczyń, kość do żucia dla Anny oraz Solo, wafelki w czekoladzie Kvikk Lunsj i pastylki mentolowe dla dziadka. Kaja Rogera, rzecz jasna, nie zobaczyła między półkami, a przy kasie siedziała nieznana jej kobieta. Właśnie wykładała zakupy na taśmę, kiedy zadzwoniła matka, jej rzeczy powinny być na miejscu we wtorek.

– Już we wtorek? To wspaniale, bardzo dziękuję!

Był piątek, następnego dnia miał przyjechać Margido, może pomoże mi wynieść sofę, pomyślała Torunn, wtedy ludzie z firmy przeprowadzkowej będą mogli wstawić wszystkie jej rzeczy od razu do salonu, oprócz łóżka, które trzeba było zanieść na górę. Stare przestawi do którejś z pozostałych sypialni we wtorek rano. Cudownie będzie wreszcie wyspać się na własnym materacu z Ikei, z grubą matą, brakowało jej go także wtedy, gdy mieszkała u Christera, mata miała metr czterdzieści szerokości i dokładnie wyrobione zagłębienie na pupę pośrodku, to będzie jak spotkać się po latach ze starym przyjacielem, za którym bardzo tęskniła.

Matka chciała jeszcze powiedzieć, że się zastanowiła i oczywiście

odwiedzi swoją córkę, ma się rozumieć. Po prostu... tak się z początku zdenerwowała.

– Świetnie! Będziesz mi mogła pomóc umyć okna na piętrze! Ha, ha! Nie, przecież żartowałam. Dostaniesz własną sypialnię, bo mam ich, ogólnie mówiąc, więcej niż dosyć. Sprzątam jak szalona, więc na twój przyjazd wszystko będzie piękne i lśniące. No dobrze, może nie takie piękne, bo wszystko jest tu dość stare i zniszczone, że nie masz nawet pojęcia, ale przynajmniej będzie czysto.

Ależ Torunn jest pracowita. Niemniej jednak nie musi się spieszyć, matka nie przyjedzie tak od razu, dopiero za jakiś czas.

– Doskonale. Już nie mogę się doczekać.

Naprawdę...?

– Oczywiście, jasne, że tak!

Poczuła, że mówi szczerze. Matka pochwaliła ją, mówiąc, że jest pracowita.

W recepcji domu opieki zatrzymała jedną z opiekunek, która pchała wózek inwalidzki starszej pani, ciepło ubranej, z szalikiem i czapką, pewnie wiozła ją właśnie na spacer, i zapytała, czy faktycznie można wejść do środka z psem.

– O jejku, jejku, jaki słodki szczeniak! Oczywiście, proszę wchodzić. Nasi mieszkańcy uwielbiają zwierzęta, wielu z nich mieszkało w gospodarstwie, wie pani, bardzo za nimi tęsknią.

– Nie będzie kłopotu z alergikami i tak dalej?

– Absolutnie nie! To przecież starzy ludzie! Nie są na nic uczuleni. To teraz każdy ma na coś alergię. Na wszystkie możliwe pokarmy, zwierzęta, pyłki i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Ale naszym mieszkańcom nic nie przeszkadza!

Dziadek siedział u siebie w swojej klasycznej pozie, z pledem i książką na kolanach oraz kubkiem kawy na stoliku. Obok kubka leżała proteza górnej szczęki, na widok psa błyskawicznie wepchnął ją do ust i niemal odrzucił książkę, niezwykle jak na siebie pobudzony. Wyciągnął obie ręce, a Anna ruszyła mu na spotkanie.

– Przynieś ciasta – powiedział. – Trzeba mu coś dać!

– To potrzyмай w tym czasie smycz – odrzekła Torunn, stawiając reklamówkę na podłogę.

Anna zaraz wetknęła w nią nos.

– Kupiłeś Kvikk Lunsj? Można by mu dać kawałek.

– Nie, czekolada szkodzi psom. Pójdę lepiej po ciasto.

To zadziwiające, jak ożywiła się jego twarz, gdy karmił suczkę babką, przypominał małego chłopca, Torunn zdawało się, że widzi przed sobą dziecko.

– Bardzo piękny pies – powiedział.

– Anna.

– No tak, przecież tak się nazywa. Pomyśleć, że ty... no tak.

– Ona się pewnie teraz przewraca w grobie.

– Ojej. Nie powinnaś... no tak. Pewnie się przewraca. Zapewne tak. I jeszcze córka Tora pewnie wszystko teraz pozmienia w gospodarstwie. Przewraca się, a jakże.

Posłał jej przelotne i rozbawione spojrzenie, po czym zanurzył swoje stare dłonie w białej szczenięcej sierści, Anna chętnie pozwalała się głaskać, jej tylna łapka zaczęła wierzgać w powietrzu, gdy dziadek drapał ją pod obrozą.

– Nie przepada za tą obrozą – powiedziała. – Ale w domu nie musi jej nosić.

– A gdzie śpi?

– Na podłodze, na moim kombinezonie. Chyba muszę się z nim zresztą pożegnać, zupełnie go zaanektowała, więc nawet mnie za bardzo nie kusi, żeby go jeszcze nosić.

– Musi mieć wygodne poślanie.

– Mogę cię zapewnić, że je ma. Przyniosłam ci Solo, wafelki i pastylki.

– Serdeczne dzięki, Torunn.

Nie zerknął nawet w stronę zakupów, był bez reszty pochłonięty psem.

Zamknęła drzwi, by Anna mogła swobodnie chodzić po pokoju, suczka węszyła z nosem przy podłodze, zbierając ostatnie okruszki babki.

– Margido przyjeżdża do mnie jutro na kawę i gofry, może też się wybierzesz?

Jeśli się zgodzi, to będę musiała podjechać jeszcze do sklepu po cukier w kostkach, pomyślała.

– Nie.

– Nie masz ochoty?

– Nie. Nie wrócę tam już.

Tak naprawdę nie zaskoczyło jej to, ani trochę.

– Ale jak się już urządzą i przywiozą mi moje rzeczy, to może wtedy...

– Nie. Nie wrócę tam. Już nigdy – oświadczył.

– Rozumiem. Nie będę ci już tym zawracać głowy. Piękna dziś pogoda, świeci słońce, może wybierzemy się na przejażdżkę?

– Nie dzisiaj, chciałbym poczytać. Kupiłaś bardzo dobre książki. Ile miesięcy ma twój pies?

– Cztery.

– Tylko cztery? To duży wyrośnię.

- Jest suczką, więc nie będzie przesadnie wielka.
- Trzymasz go na dworze?
- Tak – powiedziała. – Na łańcuchu przymocowanym do drzewa na podwórzu, ma stamtąd na wszystko baczenie.
- Na łańcuchu? A nie ciąży jej za bardzo?
- Ależ skąd, to cieniutki łańcuch, waży tyle co nic, ale wiesz, chodzi o to, żeby go nie przegryzła. Nie chcemy przecież, żeby husky biegał luzem po całym Byneset, dopiero wtedy by się zaczęły awantury!
- Zaczęłyby się awantury, pewnie! – powtórzył dziadek i zaśmiał się, aż zastukały protezy, jego oczy znów były młode i radosne. Z tym gospodarstwem wiązało się dla niego jeszcze więcej złych wspomnień niż dla niej, która musiała w nim wycierpieć tylko niecałe pół roku.
- Muszę uciekać – powiedziała. – Czeka mnie mnóstwo roboty. Mam nadzieję, że podwórze wyschnie trochę na tym słońcu, wszystko będzie wtedy dużo łatwiejsze.
- Następnym razem też zabierz ze sobą psa. Annę.
- Oczywiście, że ją wezmę. Będzie od teraz twoim stałym gościem.
- Dziadek pokiwał energicznie głową i uśmiechnął się do psa.
- Stałym gościem, tak – powiedział. – Stałym gościem, bardzo dobrze.

Zostawiła reklamówki w chłodnej sieni i zabrała się do opróżniania szafek w kuchni, wrzucając całą ich zawartość do worka na śmieci. Zostawiła tylko sól i cukier, wyrzuciła nawet pieprz, a także zupki w proszku, mąkę, paczki z herbatnikami i cienkimi plackami oraz bulion w kostkach, zgarniała po prostu wszystko z półek obiema

rękami i napełniała worek, ale zatrzymała się na chwilę i wyłowiła z niego herbatniki i placki, mogła je przecież dać ptakom, następnie wyniosła worek z domu i cisnęła go do kontenera, uderzył w dno z donośnym, głuchym łoskotem.

Anna siedziała na podwiniętym ogonie pod drzewem i bacznie ją obserwowała.

– Zupełnie zapomniałam, kupiłam ci przecież kość do żucia. A ptaszki dostaną trochę przeterminowanych chrupkich placków.

Podwórze przeszło na tyle, że mogła wyjść z domu w starych drewniakach ojca, nie musiała wciąż wkładać i zdejmować tych cholernych gumiaków. Anna wzięła się do obgryzania kości, a ptaki zleciały się do karmnika, zanim jeszcze skończyła kruszyć placki.

Nalała do balii wody i roztworu szarego mydła, dodała odrobinę roztworu amoniaku, po czym dokładnie wyszorowała wnętrza kuchennych szafek. Zostawiła je otwarte i wymyła drzwi kuchni i salonu, poszła po czystą pościel. Prześcieradło i poszwę kołdry rozwiesiła na drzwiach, poszewki na poduszki i ręczniki – na kuchennych krzesłach. Weszła do salonu z telewizorem i rozejrzała się dookoła. Czy powinna zostawić tu odbiornik, który nadał temu pokojowi jego nazwę?

Starego stołu z drewna tekowego nie musiała wyrzucać. Podobnie jak wiszących na ścianach półek na książki, na których nie stała teraz zresztą ani jedna książka, tylko trochę starych bibelotów. Bibeloty pójdą do kosza, ale same półki były w porządku. Pokój trzeba było wyremontować, remontu domagał się właściwie cały parter, cały dom, potrzebowała nowej kuchni z porządnym zlewem, nową kuchenką i okapem, a także zmywarką, potrzebowała nowej łazienki i dodatkowej toalety na dole, poza tym powinna poprosić specjalistów o przyjrzenie się

samej drewnianej konstrukcji domu, o zbadanie dachu pod kątem ewentualnych nieszczelności, nigdy nawet nie była na strychu, ale teraz powinna koncentrować się na jednej rzeczy naraz, posuwać się naprzód krok po kroku i nie panikować, ale mimo to poczuła, że wzbiera w niej lęk, to wszystko wydawało jej się przytłaczające, lecz wtedy przypomniała sobie, że ma przecież pieniądze, może do tego wszystkiego wynająć ludzi, do absolutnie wszystkiego. Drewniane pokrycie na zewnątrz także trzeba będzie wymienić, samo malowanie nie wystarczy, i co właściwie z oknami? Na ile były nieszczelne? Jak bardzo wieje od nich zimą?

Weszła do starego biura ojca przylegającego do salonu z kominkiem. Jej wzrok padł najpierw na skrzynki po bananach pełne papierów, skrzynki, do których sama wkładała stare rachunki i wszystkie dokumenty mające związek z gospodarstwem, pisma z Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności i Związku Hodowców Trzody Chlewnej, spisane wymogi dotyczące higieny i sama nie wiedziała co jeszcze. Pewna była tylko tego, że te stosy papierów na zawsze zdławiły motywację ojca do prowadzenia gospodarstwa. To te właśnie skrzynki nappełniała podczas straszliwej fali upałów, krótko przed tym, jak dała stąd nogę. Doskonale to pamiętała, jakże jej wtedy było okropnie. Poczucie winy wobec ojca, myśl, że to ona odebrała mu życie.

Rozejrzała się po pokoju, mogła zostawić samo biurko, było zrobione z ciemnego drewna, bardzo teraz zakurzone, ale solidne i właściwie dość ładne, na pewno bardzo stare. W jego prawym rogu stała szara maszyna licząca ojca, to tam siedział, wstukując kolejne cyfry, wyliczając rachunki do zapłacenia, całkowicie zapewne zrozpaczony tym, jak niewiele mu zostaje. Maszyny liczącej nie chciała wyrzucać, niech zostanie jako pamiątka po ojcu,

klawisze były brązowe, w końcu stukał nimi rok po roku brudnymi od pracy w chlewie palcami, ale mogła je przecież wyczyścić.

Musiała poszukać ważnych papierów dotyczących samego gospodarstwa, nie jego prowadzenia, ale nieruchomości. Szukała ich już wtedy, gdy została tu jako dziedziczka w samym środku tamtej fali upałów i marzyła tylko o tym, by stąd uciec, więc skrzynki po bananach można było po prostu usunąć z tego świata, chwyciła tę stojącą na samej górze, zostawiła otwarte drzwi i zaczęła krążyć między biurem a kontenerem. Na ścianie wisiała fotografia lotnicza gospodarstwa, nigdy wcześniej nie zwróciła na nią uwagi, niech sobie wisi, przerwała na moment, wpadła do kuchni i dopisała do listy „krzesło i lampka na biurko”, po czym weszła do salonu.

Stała tam dłuższą chwilę, spoglądając na turkusowy fotel dziadka. Często wynosiła go i stawiała pod słoneczną ścianą naprzeciwko drewnutni, by dziadek mógł posiedzieć na dworze, obok umieszczała stołek na kubek z kawą i kanapkę. Fotel był właściwie dość stylowy, retro, mogła wymienić obicie, miał podłokietniki z drewna tekowego, wyszła przed dom i usiadła na ganku z papierosem. Anna obgryzała swoją kość jak opętana.

Nie, fotel też wyrzuci. Właśnie dlatego, że się zawahała. To tylko dowód na to, ile wiązała z nim wspomnień, wspomnień, których nie powinna dłużej w sobie pielęgnować, mimo że łączyły się z dziadkiem, który był jej bardzo bliski. Nowy początek, o to przecież chodzi, a nawet gdyby obciągnęła fotel jaskraworóżowym welurem, nadal byłby on turkusowym fotelem, jeśli koniecznie chciała mieć taki w salonie, to mogła poszukać podobnego na jakimś pchlim targu, jesteś teraz śmieszna, pomyślała, wrzucając niedopałek do słoika po dzemie, po czym zaniósła fotel do

kontenera i wypakowała przyniesione ze sklepu zakupy.

Znalazła drabiny oparte o krótszą ścianę stodoły, było ich tam kilka, wybrała najkrótszą, postawiła na ganku i ostrożnie wypróbowała każdy szczebel, naciskając na niego mocno drewniakiem, zanim zdecydowała się oprzeć na nim ciężar całego ciała. Kupiła najnowszy model żarówki o mocy siedemdziesięciu watów, miała nadzieję, że oświetli całe podwórze. Szklany klosz lampy siedział w miejscu jak przyklejony, musiała majstrować przy nim kilka minut, nim wreszcie udało jej się go zdjąć, trzymała go mocno pod lewą pachą, wykręcając starą żarówkę. Ubrudziła sobie sweter, dlaczego nie przyszło jej do głowy, żeby włożyć nowy roboczy kombinezon, który kupiła w Soknedal?

Poszła po niego, gdy tylko zeszła z drabiny, przebrała się, odniosła drabinę i wróciła do napełniania kontenera. Otworzyła szafki w sieni i opróżniła je z butów, gumiaków i starych kombinezonów, z którymi jej własny, czerwony jak auto strażackie, mocno kontrastował. Wszystko leżało na stosie w sieni, w jednej z szafek stał także odkurzacz, podłączyła go do prądu i wyczyściła półki, przejeżdżając nim również wzdłuż ścian. Spodziewała się pajaków i ustawiła puszkę ze sprayem na jednym ze stopni schodów wiodących na piętro, ale była jeszcze najwidoczniej zbyt wczesna pora roku, pająki pewnie spały albo robiły to, co zwykle robiły zimą. Otworzyła drzwi do schowka, w którym dawniej stała przenośna ubikacja ojca. Zdjęła wszystkie stare ubrania wiszące tam na kołkach, ale najpierw wsunęła na prawą dłoń leżącą w kuchni gumową rękawiczkę, potem poszła do dREWUTNI.

To tam właśnie stało teraz to wielkie upokorzenie ojca. Trzymała

je w wyciągniętej ręce, jak najdalej od ciała, zamachnęła się niczym kulomiot, nadając mu porządny impet, tak że poleciało pięknym łukiem i wylądowało w kontenerze.

Wyniosła też wszystko z salonu, oprócz stołu z drewna tekowego i sofy, poprosi Margida, by jej z nią pomógł, ale poduszki powędrowały do kontenera razem ze zniszczonymi i brzydkimi pomniejszych meblami i koszykami na gazety ze stosami starej prasy oraz komodą pełną ogarków, pudełek po zapałkach i innych śmieci, w środku leżały także okrągłe, robione na szydełku serwetki w paskudnych kolorach, a dwie szuflady były zupełnie puste. Wyblakły, zniszczony dywan zwinęła i wyniosła, zarzuciwszy go sobie na ramię, zaraz za nim wywędrowały koszmarnie brzydkie stojące lampy. Razem z jej rzeczami miały przyjechać dwie lampy z Ikei. Żyrandol chciała zatrzymać, bo był taki zabawny, pięć imitujących płomień żarówek umieszczonych w okręgu na małych kolumienkach mających przypominać topiące się świece.

Pod jedną ze ścian stało złożone łóżko polowe, to, na którym spał ojciec, gdy nie był w stanie wejść po schodach. Precz z nim. Niska szafka, na którą wcześniej nie zwróciła uwagi, zawierała szklanki do samogonu, kieliszki do nalewek i kilka ładnych karafek. Dziwne, że stały tutaj, a nie w salonie z kominkiem, gdzie zbierano wszystkie piękne przedmioty, z których nigdy nie korzystano. Stamtąd niewiele trzeba będzie wyrzucać, większość tych rzeczy pochodziła z beztroskich czasów, kiedy gospodarstwem zarządzał ogier rozplodowy Tallak we własnej osobie, razem ze swoją synową.

Zaniosła szklanki, kieliszki i karafki do kuchni i ustawiła je na blacie, sama szafka wylądowała w kontenerze z resztą śmieci.

Pomyślała, że w salonie z telewizorem jest już więcej niż dość miejsca na duży stół jadalny, gdyby go tam ustawić, miałyby do niego krótszą drogę z kuchni.

Jeśli umyje teraz podłogę w miejscu, w którym chciała umieścić stół, Margido będzie mógł jutro pomóc jej go przestawić. Cały pokój trzeba będzie rzecz jasna odremontować, pomalować ściany i sufit, ale to było daleko na jej liście, bardzo daleko.

Podłoga była wyłożona malowanymi na szaro deskami, lśniącymi i bez uszkodzeń czy zarysowań tam, gdzie leżał dywan, można ją wycyklinować albo pociągnąć nową warstwą szarej farby. Ale nie teraz. Teraz musiała tu mieszkać. Żyć. A pierwsza w kolejce będzie kuchnia, postanowiła. W czasie jej remontu będzie mogła korzystać z czajnika elektrycznego i robić sobie kawę rozpuszczalną i dania instant w łazience na górze. I do tego kanapki, te mogła przygotowywać gdziekolwiek, nie będzie problemu, w końcu nie miała wygórowanych wymagań kulinarnych.

Z kuchni wyrzuciła wszystko z wyjątkiem rzeczy, z których miała zamiar korzystać do wtorku, do śmieci powędrowały rondle, brzydkie kubki, sztucce i przybory kuchenne, rozpadające się żelazko, korzystanie z niego groziło zapewne śmiercią, bo izolacja kabla odłaziła tuż przy wtyczce, odsłaniając nagie miedziane przewody, a także starą gofrownicę, miała teraz zupełnie nową kupioną w Soknedal, a we wtorek przyjedzie w kartonach cały jej sprzęt kuchenny. Uświadomiła sobie nagle, że będzie miała wtedy dwa czajniki elektryczne. Jeden z nich będzie sobie mógł wziąć Magrido i korzystać z niego w pracy albo coś w tym rodzaju.

Cudownie było późnym popołudniem przebrać się w zwykłe ubranie i buty, zostawić na chwilę gospodarstwo i cały panujący w nim

bałagan ze świadomością, że na nią i na Annę czeka długa, piaszczysta plaża. W dodatku całkiem wyludniona, mimo że był piątek. Spuściła psa ze smyczy i ruszyła truchtem wzdłuż brzegu.

Dziś nie miała zamiaru płakać.

Nie, dziś będzie tylko myśleć o wszystkim, co władowała do kontenera, a także o tym, że Anna Neshov przewraca się w grobie.



W sobotni poranek wstała bladym świtem, zupełnie jakby miała iść do chlewu oporządzić świnie, sprawdzić, jak się miewają prosięta, przynieść świeżej słomy, nakarmić i napoić zwierzęta, podrapać je za uszami i poklepać po ryjach.

Ale na szczęście nie musiała tego wszystkiego robić. Albo niestety. Leżała w niewygodnym łóżku, w gospodarstwie, w którym z wyjątkiem skulonego w jej nogach szczeniaka nie było żadnych zwierząt, wcale się nie wyspała.

Christer zadzwonił do niej koło pierwszej, obudził ją, miała prawie całkiem wyczerpaną baterię w telefonie i musiała klęczeć po ciemku przy kontakcie, z podłączoną do niego ładowarką o absurdalnie krótkim kablu.

– Jesteś zły?

Nie, ale sądził, że ona była zła, kiedy pisała tę kartkę.

– Owszem, byłam zła już od Alvdal, kiedy się dowiedziałam, że jedzie z nami Iris.

Tak, rozumiał to. Teraz. I nic nie szkodzi, że zabrała szczeniaka. Szczerze mówiąc, to on ma już dość psów pod opieką. A ona gdzie tak w ogóle teraz jest? U Margrete?

– Nie. Jestem w moim gospodarstwie.

Co? W Trøndelagu?

– Tak. Przejęłam je. To znaczy... gospodarstwo cały czas było moje, ale teraz się do niego wprowadziłam.

Ależ niespodzianka. W ogóle nie przypuszczała, że Torunn może zrobić coś takiego.

– Naprawdę?

Właściwie to on jej nigdy do końca nie rozumiał. Nie pojmował, dlaczego tak długo z nim została.

– Ja też właściwie teraz tego nie pojmuję.

Chociaż było im też razem cholernie dobrze. Chyba zwłaszcza na początku. Ale on zawsze miał poczucie, że nie potrafi do niej w pełni dotrzeć. Jakby cały czas coś ją powstrzymywało.

– Rozumiem, co czujesz.

Rozumiała? Naprawdę...?

– Chyba tak. W każdym razie po części.

Ale teraz wiedział już, że to koniec. Niech Torunn na siebie uważa. Na szczeniaka i gospodarstwo też.

Zakończyła rozmowę i wyłączyła dźwięk w komórce, po czym zaczęła płakać, wciąż klęcząc w ciemnościach. Zanim wpełzła z powrotem do rozgrzanego łóżka, była zziębnięta i zeszywniała. Gdyby tylko był wściekły i zaczął na nią krzyczeć.

Usłyszała szczekanie Anny, gdy Margido wjechał na podwórze koło dwunastej, suczka po raz pierwszy wydała z siebie inny dźwięk niż ciche popiskiwanie w głębokim śnie. Torunn stała przy kuchennym blacie i mieszała gotowe ciasto na gofry. Świeciło słońce, drzwi na podwórze zostawiła otwarte.

– Ojej, trzeba ci przyznać, że naprawdę zabrałaś się do roboty –

stwierdził Margido, oglądając pokój za pokojem.

– Neshov ogarnęła rewolucja – odrzekła. – Pomyślałam, że zanim zainaugurujemy pracę nowej gofrownicy, mógłbyś mi pomóc poprzestawiać trochę mebli?

– Oczywiście.

Nie włożył garnituru, miał na sobie koszulę i wełniany sweter, bez krawata. No ale przecież widziała go już w szlafroku.

– Myślałem o tej suszarce... – zaczął.

– Wczoraj wieczorem zamówiłam sobie nową przez internet, dostarczą mi ją do domu. Zniosą do pralni, podłączą i zabiorą karton z powrotem. Więc nie musisz się tym już przejmować. Dzięki, że opróżniłeś zamrażarki, aż się spociłam na myśl, że stały tu wypchane przez kilka lat bez prądu!

– Muszę powiedzieć, że to było nie lada zadanie. Moje panie mi pomogły, bez nich nie miałbym pojęcia, co za jedzenie tam w ogóle leżało. Wyrzuciliśmy chyba z połowę, wszystko co się przeterminowało. Resztę ze sobą zabrały i dostałem od nich trochę rzeczy w ramach podziękowań, dzemy, które zrobiły z owoców, już usmażone kotlety mielone i gulasze, które wystarczyło odgrzać w domu.

– Zastanawiam się, co leżało na samym dnie wszystkich tych zamrażarek – powiedziała.

– My też się musieliśmy zastanawiać! Więc wyrzuciliśmy to bez dogłębniejszej analizy.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Szkoda, że twoja matka was nie widziała – stwierdziła Torunn.

– I szkoda, że nie widzi zawartości tego kontenera, do którego właśnie zerknąłem.

– Zabierzmy się najpierw do sofy – zaproponowała Torunn.

- Niewiele tam w środku zostanie.
- We wtorek mają przyjechać moje rzeczy.

Po wyniesieniu sofy zabrali się do stołu jadalnego. Był koszmarnie ciężki, zrobiony z solidnego drewna dębowego. Odsunęli krzesła, przewrócili go na bok, układając na rozłożonym wełnianym pledzie, i zaciągnęli w ten sposób do salonu z telewizorem.

– Pomyślałam, że możemy go postawić równolegle do ściany, żeby było do niego blisko z kuchni.

– Będzie świetnie – stwierdził Margido.

– Mam zamiar wyburzyć ścianę między salonami, żeby można było cieszyć się kominkiem, siedząc przy stole.

– Będziesz miała gigantyczny pokój.

– Może zdecyduję się też na otwartą kuchnię. Ale to potem. Jedna rzecz naraz.

– To będzie strasznie dużo kosztować. Dopilnuję, żeby adwokat Berger przelał ci pieniądze za dzierżawę ziemi zaraz po weekendzie, daj mi tylko numer konta. Będziesz pewnie musiała zapłacić od tego podatek.

– Mogłam to zresztą zrobić już wcześniej – powiedziała.

– Do tej pory adwokat zarządzał tymi pieniędzmi, mówił, z tego, co pamiętam, że to „zamrożony kapitał”, twierdził, że to ważne, by był powiązany z gospodarstwem, niewiele z tego zrozumiałem, ale tak czy inaczej, zaoszczędzisz na tym w ten sposób parę koron.

– Nie zainwestował tych pieniędzy w jakiś fundusz?

– Nie, nie zrobił tego.

– I dzięki Bogu – odetchnęła. – Nienawidzę funduszy. Chcę mieć dostęp do moich pieniędzy, kiedy tylko zechcę, nawet jeśli miałabym na tym trochę tracić przez podatek majątkowy.

– Nie mógłbym bardziej się z tobą zgodzić, Torunn. Myślę dokładnie tak samo.

Ustawili stół na wszystkich czterech nogach. Wiedziała, że gdzieś na piętrze są jakieś stare, ale nieużywane chodniki, mogłaby położyć dwa z nich pod stołem. Anna Neshov oszczędzała na wszystkim, najpiękniejsze rzeczy zostawiała na później i wreszcie przyszedł czas, by i one ujrzały światło dzienne.

– Właśnie tak to sobie wyobrażałam – powiedziała Torunn. – Krzesła przeniosę później, a teraz podłączę gofrownicę, muszę tylko najpierw zapalić na ganku. Ekspres do kawy też włączę. A tak w ogóle, razem z moimi rzeczami przyjedzie dodatkowy czajnik elektryczny, z którym nie będę miała co zrobić. Całkiem dobry. Będiesz go może chciał?

– Bardzo chętnie. Lubię czasem wypić sobie przed snem kubek herbaty, gotuję wtedy wodę w garnku.

– Od wtorku już nie będziesz musiał.

– Piękny pies – powiedział Margido. – To jeszcze szczeniak, prawda?

Siedzieli naprzeciwko siebie, każde na swojej ławce na ganku.

– Ma cztery miesiące. Dziadek od razu się w niej zakochał, byliśmy u niego wczoraj.

– Coś takiego, zgodził się wyjść na powietrze? To dopiero nowina.

– Nie, pozwolili mi zabrać psa do środka. Kupiłam mu napój gazowany, wafelki i pastylki.

– Jak dobrze. Dziwnie mi z myślą, że nie muszę się już sam nim zajmować. Ale to wspaniałe uczucie, Torunn.

– Czyli dziadek nie chce wychodzić na powietrze?

– Kategoriecznie odmawia – powiedział Margido. – Zaprosiłem go

do siebie do domu, chciałem, żeby miał jakąś odmianę, tylko na filiżankę kawy, pytałem też, czy nie chce pojechać ze mną na przejażdżkę, tylko żeby zobaczyć, co się zmieniło w Byneset i tak dalej, ale nie, nie było nawet mowy.

– Ale... dlaczego, u diabła, on nie chce stamtąd wychodzić?

– Chyba się po prostu boi, że straci to swoje nowe, dobre życie. Jemu tam jest tak dobrze. Może spędzać czas z innymi, jeśli ma ochotę, siedzieć i czytać, kiedy tylko najdzie go ochota, nikt nim nie pomiata, a jedzenie jest dobre. Nie waży się wyściubić stamtąd nosa. Chyba się boi, że to wszystko okaże się tylko pięknym snem. Powiedział mi to kiedyś, tymi właśnie słowami, że czuje się, jakby śnił.

– Biedny człowiek.

– Już nie jest biedny.

– Nie, teraz już nie – przyznała Torunn.

– Do tych wszystkich rupieci, które leżą pod podjazdem stodoły, i do reszty złomu na podwórzu możesz po prostu zamówić jakąś firmę zajmującą się wywozem odpadów, przyjadą i wszystko to zabiorą. Nie męcz się z tym sama.

– Dobry pomysł. Dopiszę to do listy. Tak czy inaczej, nie poradziłabym sobie bez pomocy.

Opowiadała o wszystkim, co jak na razie udało jej się zrobić. Jak miło było przyjmować go u siebie jako gościa i jak bardzo to wszystko było właściwie surrealistyczne. Margido jako gość w jej gospodarstwie.

– Chcę też wyburzyć silosy, po weekendzie mają przyjechać fachowcy, żeby je obejrzeć i zrobić wycenę...

– Wyburzyć silosy? Chcesz je zrównać z ziemią?

– Owszem.

– Ale dlaczego? Przecież to cię będzie kosztowało majątek!

– Paręset tysięcy.

– Ależ Torunn... nie rozumiem, skąd ta decyzja.

– Nie mogę znieść myśli, że Erlend i Krumme znów tu przywalczą z całą swoją rodziną i uwiją sobie u mnie jakieś modne wakacyjne gniazdko. Po prostu nie mogę jej znieść. Dlatego silosy muszą zniknąć. Na zawsze.

– Tak czy inaczej, nie sądzę, by oni nosili się z takimi planami. Rozmawiałem niedawno z Erlendem, zadzwonił, żeby porozmawiać na spokojnie, bo ostatnio było tyle stresu i zamieszania, Krumme dopiero co miał operację i nie przyzwyczaili się jeszcze do myśli o śmierci jego ojca, pochowali go dzień przed naszą rozmową, Erlend koniecznie chciał mi opowiedzieć o trumnie, którą wybrali, podobno bardzo piękny model, ale tak czy inaczej, odziedziczyli ogromny majątek na północ od Kopenhagi, zamierzają go wyremontować, Erlend twierdzi, że będzie musiał wziąć pół roku urlopu tylko po to, by koordynować tam prace, więc szczerze wątpię, by mieli się teraz zabierać do jakichś silosów w Trøndelagu. Poza tym burząc je, usunęłabyś z gospodarstwa coś naprawdę wartościowego.

– Wartościowego? Jak to?

– Może się przecież zdarzyć, że któregoś dnia... nigdy nie wiadomo, ale różne rzeczy się mogą zdarzyć, może zechcesz sprzedać gospodarstwo, a bez silosów... wartość majątku zdecydowanie spadnie.

– O tym nie pomyślałam.

– A powinnaś. O planach Erlenda możesz chyba zapomnieć. On się bardzo ucieszył na wieść, że się tu wprowadziłaś, miałem cię od niego pozdrowić, ale pomyślałem, że może sam do ciebie zadzwonił.

– Nie, nie dzwonił. Ale dziadek wspominał, że oni się wybierają w odwiedzinę do Norwegii, a ja nie jestem nawet w stanie znieść myśli, że mieliby tu mieszkać.

– To powiedz im to po prostu. Że robisz remont. Że jeszcze nie doszłaś ze wszystkim do ładu. Przecież to zrozumiałe, Torunn. Masz teraz mnóstwo spraw na głowie. Nie powinnaś się zamęczać. Wydajesz się taka radosna i pełna energii, nie pozwól, by to się zmieniło. Pamiętam, jaka byłaś roztrzęsiona krótko przed wyjazdem. Rób wszystko powoli. A do najcięższej pracy załatw sobie pomoc. Na przykład do sprzątnięcia i do tego złomu, co tam leży.

– Posprzątać mogę przecież sama.

– Ale ten dom jest olbrzymi. Przyda ci się ktoś do gruntownych porządków, całe piętro trzeba przewrócić do góry nogami, nikt tam porządnie nie sprzątał przez kilka dziesięcioleci. To mógłby być mój prezent dla ciebie, z okazji przeprowadzki.

– Co takiego? Czyżbyś, drogi Margido Neshov, proponował mi właśnie, że wysprzątasz całe piętro domu? Mam sporo fartuszków w skrzyni w korytarzu, na pewno wybierzesz sobie jakiś twarzowy. Zaśmiał się tak głośno, że Anna zaczęła merdać ogonem.

– Ależ nie. Ale znam dobrą firmę sprzątającą, porządkującą mieszkania zmarłych, są solidni i efektywni. Obrobiliby całe piętro w dwa czy trzy dni, łącznie z myciem podłóg, ścian, sufitów i okien.

– Ojej. Brzmi to dość kusząco – przyznała.

– W takim razie postanowione.

– To bardzo miło z twojej strony. Zdecydowałam, że pozbędę się wszystkich kołder, poduszek i materacy, a koce wypiorę w pralce.

– Kilka łóżek na górze jest naprawdę pięknych. Stare, solidne meble.

Oboje zamilkli na chwilę, zerkali na podwórze i na psa. Torunn zrozumiała nagle, że myślą o tym samym.

Pierwsze dwa gofry poszły prosto do stojącego pod zlewem kosza. Nawet ptaki nie powinny jeść metalowego pyłu i chemicznych środków czyszczących. Wlała do gofrownicy dwie nowe chochelki ciasta i powiedziała:

– No dobrze. Nie wyburzę silosów. Masz rację, to by zmniejszyło wartość gospodarstwa. I muszę przestać się bać Erlenda. Oszczędzę dzięki temu kilkaset tysięcy i będę sobie mogła kupić nowe auto.

– Nowe auto? Niegłupi pomysł. Zimą może być trudno dojechać do domu przez alejkę, to jest, rzecz jasna, jeśli wrócą normalne zimy, ze śniegiem.

– Muszę to załatwić, zanim skończy się sezon na kolce, nie mam letnich opon do mojego samochodu, a nie ma sensu, żebym je kupowała, skoro i tak zaraz będę sprzedawać ten wóz.

Postawiła na stole masło, ser i dżem, po czym naląła im kawy.

– Wiesz, jakie chciałabyś auto? – zapytał Margido.

– Nie znam się na samochodach, rozejrzę się trochę w sieci.

– Tu też mógłbym ci właściwie pomóc – powiedział.

– Jesteś ekspertem od motoryzacji? Nie tylko od sprzątanania? Chyba musisz mnie uszczypnąć, bo wydaje mi się, że śnię.

– Oby nie za mocno. Bo chodzi o to, że mamy w biurze...

– Pierwsze gofry gotowe! Ja je zawsze jem gorące, z plastrami goudy, składam je na pół. O tak! Spróbuj i ty.

Zrobił, jak go prosiła. Ser się rozpuścił, jedli, uśmiechając się do siebie.

– Niewiarygodnie smaczne – stwierdził Margido. – Ale nie

opowiadaj o tym moim paniom. Myślą, że ich gofry są najlepsze na świecie, korzystają z przepisu, który wygrał konkurs w Domu Marynarza, ale te są o wiele lepsze.

Torunn naląła do gofrownicy nową porcję ciasta.

– Tak czy inaczej – ciągnął Margido – mam w biurze takiego faceta, którego właśnie zwolniłem, kompletnie się nie nadaje do pracy, kilka razy zasnął na pogrzeb, nie chce jeździć do domu zmarłych ani przygotowywać zwłok, jedyne, co go interesuje, to auta i komputery, teraz trzymam go jeszcze na okresie wypowiedzenia, chodzi mi o to, żeby podszkolił moje panie w kwestiach technicznych, mógłbym go poprosić, żeby znalazł ci jakiś dobry samochód.

– Okej.

– Powiedz tylko, czego potrzebujesz.

– Nic wymyślnego. Żeby dało się go zarejestrować jako pojazd dostawczy, żeby miał z tyłu miejsce na duży transporter dla psa, napęd na cztery koła i kosztował jakieś trzysta–czterysta tysięcy, może nawet pięćset, skoro nie będę wyburzać silosów.

– Zapamiętam to wszystko. Poproszę go, żeby do ciebie zadzwonił.

– Nie ma wielkiego pośpiechu. A od kiedy właściwie nie można już jeździć z kolcami?

– Od pierwszego poniedziałku po Wielkanocy, ale święta wypadają w tym roku późno, pod koniec kwietnia, więc masz jeszcze dużo czasu.

Dwa kolejne gofry były już gotowe. Żadne z nich nie ruszyło nawet dżemu, Margido był tak przewidujący, że ukroił już kilka plasterków sera, z chirurgiczną precyzją, pozostawiając idealnie gładki szczyt bloku.

– A kogo chcesz zatrudnić na miejsce tego faceta od aut?

– Jeszcze nie wiem, zacząłem się dopiero trochę rozglądać, poza tym potrzebujemy więcej niż jednej osoby, musimy zorganizować całodobowe dyżury, jak inne biura, inaczej wypadniemy z rynku. Wiesz, naboru na takie stanowiska nie ogłasza się zazwyczaj w gazetach, ale nie powinno być zbyt trudno, wielu ludzi z branży chce od czasu do czasu zmienić otoczenie, wszystko musi po prostu trochę potrwać.

– Miałeś bardzo zabiegany tydzień, domyśliłam się po twoim esemesie.

– To prawda. Ale wczoraj odbył się piękny pogrzeb. Zmarły sam go zaplanował, gdy leżał i umierał w swoim domu, pod opieką żony i dwóch dorosłych synów. Bardzo mocne przeżycie. Takie doświadczenia przypominają mi, dlaczego wybrałem ten zawód.

– No właśnie, jak właściwie do tego doszło?

– Pewnego lata zatrudniłem się jako grabarz na cmentarzu przy kościele w Byneset, miałem zaledwie siedemnaście lat i zacząłem pomagać trochę przy pogrzebach, zobaczyłem wtedy, jak dokładnie trzeba było wszystko robić, jak ważna jest nienaganna logistyka i to, by wszystko ze sobą zagrało. Niedbalstwo zawsze budziło we mnie odrazę, więc taka praca bardzo do mnie przemawiała, a w dodatku można było w niej pomagać ludziom, którym było ciężko. Sprawiać, żeby poczuli się trochę lepiej, urządzać pogrzeby najpiękniej, jak się da, żeby wspomnienie o nich zostało w ich pamięci na samym wierzchu, przykrywając cały ból.

– Pięknie powiedziane, Margido. Damy radę zjeść jeszcze po jednym?

– Ależ oczywiście.

Torunn naląła nową porcję ciasta do gofrownicy.

– Dlaczego ten facet nie chce przygotowywać zwłok do pogrzebu?
Boi się widoku zmarłych?

– Twierdzi, że zapach zostaje na ubraniach.

– Rozumiem, z jakiego powodu go zwolniłeś. Ale skoro ma mi pomóc kupić auto, to postaram się nie myśleć o tym, jaki z niego palant. Z naszej kliniki też musieliśmy zwolnić kiedyś jedną dziewczynę, asystentkę, która nie chciała brać udziału w usypianiu zwierząt. A tak przecież nie można. Twierdziła, że chce pomagać tylko w leczeniu, ze śmiercią nie chciała mieć nic do czynienia.

– Sam nie mam niestety bliskiej relacji ze zwierzętami, mimo że dorastałem w gospodarstwie. Tor kochał swoje świnie, krowy zresztą też, wtedy, jak jeszcze sprzedawał mleko. Ale zakładam się, że stary był tak zajęty twoim psem, kiedy u niego byłaś, że nie poprosił cię nawet, żebyś mu poodkręcała butelki z Solo, by potem nie zawracać głowy personelowi.

– Hę? Nie, nie poprosił. Boże święty!

– Tylko nie przepraszaaj.

– Dobrze – odrzekła ze śmiechem.

– To usypianie... z tym nie mam doświadczenia.

– Ale rozumiesz, co chcę powiedzieć? Że nie można odmawiać przy nim pomocy? Nie mogliśmy pracować z tamtą dziewczyną. W takiej pracy trzeba być gotowym na wszystko, prawda? Wszystko bez wyjątku.

– Zupełnie się z tobą zgadzam. A w mojej branży to śmierć o wszystkim decyduje, czasem potrzeba jej dużo, a czasem mało czasu. Zdarza się, że bardzo mało.

– Mówisz o wypadkach?

– Tak – przyznał.

– Do nas także przywożono potrącone zwierzęta, oczywiście

tylko domowe, bo rannymi zwierzętami dzikimi zajmuje się zarząd okręgu łownego, trzeba je namierzyć i zazwyczaj odstrzelić. Ale usypianie kochanych pupili bywa trudne, najczęściej emocji jest chyba ze starymi psami albo kotami, często przyjeżdżają całe rodziny, pewnie brzmi to dla ciebie śmiesznie, ale...

– To w ogóle nie brzmi śmiesznie. Niejedno w swoim życiu widziałem, Torunn. Zdarza się, że na miejscu wypadku są zwierzęta, od tych domowych, przez konie pociągowe, do transportów w drodze do rzeźni. I nie mnie oceniać uczucia wobec ludzi czy zwierząt, z którymi się żegnamy. Doskonale rozumiem, że utrata wiernego psa może być bardzo smutnym doświadczeniem. Rozumiem to chociażby od strony czysto profesjonalnej. Potrafię to sobie wyobrazić.

– Właśnie. Zdarzało się, że leżały przed nami na stole zabiegowym zupełnie obce psy, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy na oczy, stare, wyliniałe i nieszczególnie budzące w tym momencie miłość, może nawet agresywne w stosunku do nas, śmierzące odchodami, a potężni, silni mężczyźni siedzieli na krześle obok zupełnie załamani, bo kochali te psy od lat, pamiętali jeszcze ich szczenięce czasy. Takim ludziom trzeba wtedy towarzyszyć w tej ich rozpacz. Położyć na wierzchu dobre wspomnienie, tak jak powiedziałeś. Ale u nas poddaje się zwierzęta kremacji. A właściciele mogą rozsypać ich prochy, gdzie tylko zechcą. Wiem, że z ludźmi jest inaczej.

– Owszem. Tu obowiązują surowe przepisy. A ten mój ekspert od aut nawet z nimi nie zdołał się zapoznać.

– Jeszcze po jednym gofrze?

– Ojej. Ale to będzie musiał być już ostatni – westchnął Margido.

– Właściwie to się bardzo cieszę, że nie będę musiała burzyć tych

silosów – stwierdziła Torunn, nalewając znów ciasta do gofrownicy.
– Dziękuję.

– Nie masz mi za co dziękować. Ja tylko cię poinformowałem, jakie są realia.

– Ha, ha! No dobrze, skoro tak to wolisz nazwać. A o jakich trumnach chciał cię poinformować Erlend?

– Od Jacoba Jensena. Zapamiętałem, bo chodziłem w podstawówce do klasy z chłopcem, który tak się właśnie nazywał.

– Poszukam ich na iPadzie, jak wyjdę na ganek zapalić. Ale najpierw zjem ostatniego gofra. Nakrój nam, proszę, sera.

– Dobrze sobie radzisz z elektroniką – powiedział Margido, gdy stali na ganku, a ona wpisywała lewą ręką w przeglądarkę „Jacob Jensen trumny”.

Zabrali ze sobą na dwór kubki z kawą.

– Nie trzeba dobrze sobie radzić z elektroniką, by korzystać z iPada – stwierdziła Torunn. – Albo tabletu.

– iPad i tablet to to samo?

– Tak, właściwie przypominają małe telewizory. Filmy też na swoim oglądam. O, proszę, to te trumny – pokazała mu ekran.

– Ach tak, to te! Seria diamentowa. Wytwarzają je zakłady Tommerup, spotkałem ludzi stamtąd na targach w Danii, wtedy, gdy odwiedziłem przy okazji Erlenda. Spytał mnie wówczas, czy widziałem ostatni krzyk mody w branży trumiennej, a ja powiedziałem, że nie, ale tymczasem się okazało, że ten właśnie model stał się hitem... No tak, coś takiego. I ojciec Krumme będzie pochowany w takiej trumnie?

– A dlaczego ty nie masz takich modeli u siebie?

– Są bardzo drogie. Ale moje panie faktycznie o nich

wspominały. Mówiły po prostu o serii diamentowej, dlatego nie skojarzyłem, gdy Erlend też o nich wspomniał.

– Zamów ich kilka, będziesz miał je pod ręką na wypadek śmierci jakiegoś bogacza. Na pewno też nieźle byś na tym zarobił. Poza tym mieszkam tu teraz i mogłabym je odebrać, kiedy przyjadą. Tu jest napisane, że kosztują od piętnastu tysięcy w górę, bardzo solidnie w górę. Zobacz, tu jest jedna za trzydzieści tysięcy. Niezbyt tania sprawa.

– To typowe, że Erlend myśli o designerskich modelach – stwierdził Margido. – Nawet planując pogrzeb. Ale takie trumny świadczą też o szacunku dla zmarłego.

– Właśnie. Bo są niesamowicie piękne. A na pogrzebach człowiek musi siedzieć i dość długo wpatrywać się w samą trumnę...

– W porządku. Mogę kilka zamówić. Skoro ty rezygnujesz z wyburzenia silosów.



W niedzielę obudziła się dopiero około jedenastej, pies ciągle jeszcze leżał zwinięty w kłębek na kołdrze przy jej stopach, suczka najwyraźniej miała naprawdę dobry pęcherz.

Znalazłyśmy wspólny rytm, obie, pomyślała sobie. Najpierw praca i wysiłek przez cały dzień, potem wyjazd na plażę, a potem wieczorny odpoczynek, iPad, spisywanie listy zakupów i spraw do zrobienia, przy radiu włączonym na pełny regulator.

Leżała, myśląc sobie o tym, jak miło było poprzedniego dnia z Margidem, że dało się odwołać ekipę do burzenia silosów, o dobiegającym końcu sprzątaniu góry domu, o zwolnionym z pracy gościu, który ma jej pomóc z samochodem, o tym, że Erlend nie spadnie jej na głowę niczym śnieg z dachu, że ona i Margido równie mocno przepadali za serem i tak samo nienawidzili oszczędzania w funduszach i że on naprawdę był jej wujem. Rodziną.

Ale coś jej się śniło, coś, co miała teraz gdzieś z tyłu głowy jako dodatkowy punkt na swojej liście spraw do załatwienia. Nie była w stanie sobie tego przypomnieć. Usiadła na łóżku, a jej spojrzenie napotkało połyskującą kałużę moczu tuż pod drzwiami.

– Okej. Następnym razem obudź mnie, Anno. Teraz pójdźmy po parę rolek papieru toaletowego. A poza tym coś mi przyszło na

myśl.

Pies podniósł głowę i utkwiał w niej spojrzenie żywo błękitnych, typowych dla husky oczu.

– Że nie mam już czterdziestu lat, tylko dopiero czterdzieści lat. Czy ty, która jesteś częścią tego świata od czterech krótkich miesięcy, uważasz, że to brzmi dziwnie? A teraz musimy napić się kawy. Dla ciebie będzie kanapka z pasztetem.

Pierwsza niedziela w Neshov. Kiedy przywiązała Annę do drzewa na podwórku, usłyszała odgłos dzwonów kościelnych dolatujący ze starego, kamiennego kościoła, słońce świeciło, a powietrze było krystalicznie czyste, dźwięki dzwonów niosły się szeroko po całym Byneslandet. Pewnie już niedługo rolnicy zaczną nawozić pola, byłoby typowe, gdyby matka przyjechała właśnie w tym czasie, wtedy nie byłaby w stanie tutaj wysiedzieć, przecież nawet wtedy, gdy spotkały się tamtego razu w hotelu Britannia, narzekała, sama świeżo wykąpana, że Torunn pachnie oborą.

Wiedziała, że rolnicy starają się nie nawozić w okresie, kiedy w niedzielę przypada najwięcej konfirmacji, będzie musiała się trochę rozeznać, jej matka, dokładnie tak jak świeżo upieczeni konfirmanci, nie powinna zaznać odurzającej woni nawozu.

Zabrała kubek do kawy i kanapkę na ganek, gdzie siedziała, żując i z zadowoleniem łypiąc okiem na kontener, kiedy przypomniła sobie, co jej się śniło i o czym koniecznie powinna pamiętać.

Szydełkowe serwetki.

Te, które wyrzuciła z komody.

Ktoś siedział i mozolnie je robił, dokładnie tak samo, jak ona męczyła się z pledem Missoni, być może Anna Neshov albo – co

równie prawdopodobne – żona Tallaka, jej prababka, zanim została przykuta do łóżka na całe lata, a może siedziała w łóżku na pięterku na górze, szydełkując małe serwetki, żeby jakoś zabić czas. Żeby zabić czas – a jej mąż w tym czasie robił dzieci swojej synowej.

Po wypiciu ostatniego łyka kawy zapaliła pierwszego w tym dniu papierosa, a potem poszła po małą drabinę i ustawiła ją przy kontenerze. Znalazła szczotkę na kij, zabrała iPhona, wspięła się na drabinę i zrobiła zdjęcie hałdy śmieci, żeby zostawić je sobie na pamiątkę. Przenośna toaleta leżała otwarta wzdłuż ściany kontenera, sofa sporo przykrywała, miała opory, żeby tam wejść, i zamiast tego spróbowała popchnąć ją kijem od szczotki, ale była za ciężka, chyba jednak będzie musiała wejść, nie ma zmiłuj.

Poszła do domu, nałożyła czerwony kombinezon roboczy, przelazła przez krawędź kontenera, odszukała szufladę z serwetkami, wyrzuciła całą jej zawartość na ziemię, po czym szybko wspięła się z powrotem. Anna z ożywieniem przyglądała się leżącym na ziemi serwetkom, machała ogonem i wyciągała szyję, ale nie była w stanie ich dosięgnąć. Serwetki były czerwone, żółte, zielone i granatowe, ale mogła je przecież wybielić chlorem. Pewnie nie zrobią się całkiem białe, raczej pastelowe, ale to będzie ładnie wyglądało. A we wtorek dostanie swoje żelazko. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Nigdy nie interesowała się wnętrzami, jednak lubiła ładnie nakryć do stołu, ustawić świece, zadbać o miłą atmosferę. Jej mieszkanie w Stovner było miejscem, w którym mogła odpocząć, jej oazą ciszy i spokoju, a nie jakąś wystawą prac dekoratorów wnętrz. Ale teraz czuła dumę z posiadania tego wielkiego domu, chciała go ładnie

urządzić, z pazurem, ale zarazem stosownie do faktu, że był to stary, tradycyjny dom w stylu trønderlån.

Mogłaby przyjąć za punkt wyjścia salon kominkowy, wybrać kuchnię pasującą do domu, nie zamierzała ograniczyć się do grzebania w internecie i wyszukiwania modnych rozwiązań, o nie, zamierzała ściągnąć fachowców, czuła niewymowną ulgę na myśl, że udało jej się na to wpaść. Tutaj kuchnia z Ikei stanowiłaby słabe rozwiązanie.

Trzymając naręcze szydełkowych serwetek, podeszła do stołu jadalnego w salonie z telewizorem, krzesła wniosła tam już poprzedniego wieczoru. Nie przejmując się brzydkimi kolorami, które i tak zamierzała wybielić i złagodzić, położyła serwetki rzędem na środku stołu, od końca do końca, łącznie dwanaście sztuk, każda miała nieco inny wzór, wymiary jednak były bardzo podobne.

Będzie pięknie. Zamierzała zaprasować wilgotne serwetki zupełnie na płask, zamówić grube szkło dokładnie na wymiar stołu i wszystkie pod nim ułożyć.

– Wow – szepnęła sama do siebie.

I do tego sama to wymyśliłam, przemknęło jej przez głowę, przyszło do mnie we śnie, być może tutaj straszy i ktoś wyszeptał mi dziś w nocy do ucha, żebym ich nie wyrzucała, żebym nie niszczyła tej pracy, którą ktoś w nie włożył.

Napełniła bardzo gorącą wodą miskę do zmywania naczyń, wlała do niej resztę zawartości butelki z chlorem, zapisała natychmiast „chlor” na swojej liście zakupów i włożyła do środka serwetki, wciskając je mocno do wody za pomocą szczotki do naczyń. Wtedy zadzwonił telefon.

Margrete miała nocny dyżur i jeszcze się nie położyła.

Była przemęczona, powiedziała. Co za cholerny młyn był dzisiaj.

– Cieszę się, że to nie na mnie padło. Ja też pracuję jak szalona, ale jest w tym element radości, możesz mi wierzyć lub nie, ale właśnie doznałam objawienia w kwestii wystroju wnętrza.

Dziedziczka.

– Tak, mówiłaś mi to już parę razy. Ale też to i prawda.

A jak mają się sprawy z tym psem?

– Suczka jest po prostu cudowna, do tego spokojna i mądra.

Czy Christer się do niej odezwał?

– Tak.

I cóż takiego miał do powiedzenia?

– To i owo. Było mu przykro. I zupełnie nie miał pretensji, że wykradłam mu psa.

To dobrze.

– Niespecjalnie było to miłe. Mam na myśli rozmawianie z nim. Potem czułam się dosyć okropnie. Do tego w środku nocy.

Torunn z wszystkim sobie świetnie poradzi i powinna Bogu dziękować, że nie siedzi już w Maridalen.

Ale teraz Margrete zamierzała się położyć, lepiej, żeby zgadały się później, chciała tylko opowiedzieć Torunn, kto dzwonił do niej dzisiaj po południu.

– Ooo? Christer? Nie, no żartuję przecież... Po cóż miałby...

Jej matka.

– Moja MATKA?!

Jej matka. Nie Margrete. Chyba powinna była poprosić Torunn, żeby usiadła, zanim jej to powie.

– Siadam teraz. Moja matka...? Ale ona przecież nie ma twojego numeru? Jak, na litość boską... Chyba nigdy wcześniej ze sobą nie

rozmawialiście?

Zapewne nie było jej szczególnie trudno znaleźć Margrete, zważywszy że wiedziała, gdzie mieszka i jak ma na imię.

– Ale... czego chciała? Teraz to już nic nie rozumiem, Margrete.

Zaproponowała, żeby pojechały wspólnie odwiedzić Torunn. Na taką babską wycieczkę.

– Babska wycieczka? Boże drogi... Ach tak, a więc ona nie ma odwagi przyjechać tu sama.

Ale Margrete doskonale ją rozumiała. Ona i Torunn nie miały akurat najlepszych na świecie relacji, a matka wiedziała, że Torunn i Margrete się przyjaźnią, Margrete była zdania, że to dobry pomysł.

– Powiedziałaś to? Znaczącej jej?

Tak, powiedziała.

– Więc przyjdziecie we dwie? Razem?

Właśnie tak. Ale nie od razu, Margrete musiała z wyprzedzeniem załatwić sobie urlop i tak dalej.

Torunn pomyślała o sprawie nawożenia, w tej chwili nie było czasu na dowiadywanie się w tej kwestii, wyszła do sieni i trzymając telefon przy uchu, zapaliła papierosa.

– Koniec maja na pewno będzie najlepszy. Kiedy będzie już po wszystkich konfirmacjach.

Konfirmacje...? Co, do cholery, konfirmacje miały wspólnego z babską wycieczką?

– To nieco trudno wyjaśnić tak na szybko, ale początek czerwca będzie zdecydowanie najlepszy. Na przykład w okolicy Zielonych Świątek.

Zielone Świątki brzmiały dobrze.

– Wtedy będę też miała już gotowe sypialnie dla was.

Nie potrzebowały wszystkich ośmiu, dwie wystarczą. *À propos* sypialni, jaka ona jest potwornie zmęczona.

– Kładź się teraz, widzimy się w czerwcu. W tym czasie jest tu naprawdę pięknie.

Przecież jeszcze tysiąc razy będą przedtem ze sobą rozmawiać.

– Dobranoc, Margrete.

Serwetki już straciły trochę koloru. Zamieszała wokół nich szczotką do naczyń, będzie musiała zrobić następny roztwór, przed pozycją „chlor” na swojej liście zakupów postawiła dwójkę.

Babska wyprawa.

Nie chciała dzwonić. Być może matka zamierzała zrobić jej niespodziankę. Czyż to możliwe, aby była tak niepewna siebie, jak przypuszczała Margrete?



Nim furgonetka firmy przeprowadzkowej wtoczyła się na podwórze we wczesne wtorkowe popołudnie, zdążyła usunąć z piętra wszystkie rzeczy, których nie zamierzała zatrzymać. W dół schodów popłynęło w sumie, niczym tratwy, jedenaście materaców, razem z całym mnóstwem starych kołder i poduszek. Dawne sypialnie ojca i dziadka zostały niemal zupełnie wyczyszczone, łącznie z zasłonami. Wyrzuciła także szafki nocne, może głupio zrobiła, ale ich tam nie chciała.

Nie otworzyła nawet szafki ojca, nie miała zamiaru grzebać w jego najintymniejszych tajemnicach, mimo że przecież od jego śmierci minęło już tyle czasu, a może właśnie dlatego. Zostawiła wszystkie ramy łóżek i szafy, nagie i puste, a w czwartek miał się pojawić prezent Margida z okazji przeprowadzki – firma sprzątająca, nie musiała więc robić na górze nic więcej. Tego samego poranka spławiła w dół schodów własny stary materac z Neshov, po czym, trochę pchając, a trochę ciągnąc, przestawiła łóżko do sypialni po drugiej stronie korytarza.

Potem wyjęła kilka dużych poduszek z kontenera, leżały na samej górze stosu materaców, suche i czyste. Przypomniała sobie nagle o czymś, co wyczytała w internecie, wyszukała znów tamten

artykuł, umyła dokładnie jedną z zamrażarek i podłączyła ją do prądu. Gdy zaświeciła się zielona lampka przy termostacie, wsadziła do środka puchowe poduszki, podobno ta metoda była równie skuteczna jak pranie chemiczne. Trzeba je było zostawić w zamrażarce na całą dobę, a potem dokładnie wytrzepać i wywietrzyć.

Większość swoich ubrań wciąż miała w wielkich torbach, z którymi przyjechała, i postanowiła, że oszczędzi firmie sprzątajacej mycia chociaż jednej szafy, tej w jej pokoju, a właściwie chłopięcej sypialni Erlenda, zaniósła na górę wiadro z wodą i płynem do dezynfekcji, po czym zabrała się do gruntownego szorowania półek. Tym właśnie była zajęta, gdy przyjechała furgonetka firmy przeprowadzkowej, a Anna zaczęła czekać.

Zupełnie jakbym otwierała prezenty gwiazdkowe, pomyślała, moje rzeczy, których nie widziałam od kilku lat.

Ani się obejrzała, a dwaj mężczyźni wnieśli wszystko do środka, łącznie z łóżkiem, które postawili w sypialni na górze.

– Ale wam szybko poszło – stwierdziła.

– Rzeczy nie było zbyt dużo. I tylko z nimi tu przyjechaliśmy. Zazwyczaj czekamy, aż zbierze się więcej klientów, oni oszczędzają w ten sposób pieniądze, a my oszczędzamy czas, ale pani Breiseth zapłaciła więcej, żebyśmy ruszali od razu. Inaczej musiałyby pani pewnie trochę poczekać.

– Napijcie się kawy? – zapytała i natychmiast pożałowała swoich słów, miała ochotę dać nura w kartony i od razu zacząć się rozpakowywać.

– Bardzo chętnie. Jeśli to nie kłopot.

Siedzieli u niej dobre pół godziny, wypytywali o gospodarstwo, obaj odpalali papierosa od papierosa i wlewali w siebie kawę, wypili po dwa pełne kubki.

– Masz pracę w mieście? A może chcesz tu uprawiać ziemię? Trzymać zwierzęta?

– Nie wiem. Muszę się tu najpierw zadomowić – stwierdziła.

– A w Oslo co robiłaś?

– Nic specjalnego.

– O rany. Czyli na brak wolnego czasu nie narzekasz.

– W tej chwili nie mam go wcale tak dużo – stwierdziła.

Gdy mężczyźni zdołali w końcu oderwać się od kubków z kawą i wdrapali się do szoferki, Torunn pobiegła na piętro i wyjęła swój koc Missoni z jednej z toreb.

Sofa stała w salonie z telewizorem niczym skorupa, poduszki leżały zapakowane w cztery worki na śmieci, ułożyła je wszystkie na miejscu i zawiesiła koc na podłokietniku.

Wreszcie. Jej jaskinia.

Prawie wszystkie rzeczy stały na podłodze w salonie z kominkiem, zniosła lampy do pokoju telewizyjnego i odszukała torby z pościelą. Nie musiała jej na szczęście ładować do zamrażarki, zanieś zaraz wszystko na górę do sypialni i powlecze w czyste poszwy z Neshov.

Kartony opisane jako „kuchnia” zniosła we właściwe miejsce i zaczęła w nich szukać tabliczki ze swoim nazwiskiem, którą znalazła wreszcie zawiniętą w papier gazetowy na samej górze stosu płaskich talerzy. Nie chciało jej się szukać śrubek, ale w jednej z kuchennych szuflad mignęło jej pudełeczko gwoździ, a młotek widziała w drewnutni.

Wypolerowała tabliczkę rękawem kombinezonu i przybiła ją na

wysokości wzroku do framugi po prawej stronie drzwi wejściowych, po czym wyszła na podwórze i przyjrzała jej się z odległości. Wyglądała, jakby wisiała tam od zawsze.

Jej dom.

Ukucnęła obok psa.

– Nie będę tu uprawiać ziemi ani trzymać zwierząt z wyjątkiem ciebie, mała trzpiotko, muszę znaleźć sobie coś innego do roboty.

Zanim dotarły na plażę, zrobiło się już ciemno, ale światło latarni przy głównej drodze sięgało daleko, a na niebie świecił księżyc, i to właściwie podwójnie, bo jego poświata odbijała się w spokojnej wodzie fiordu. Torunn szła powoli wzdłuż brzegu, trzymając się samego skraju wody. Poprzedniego wieczora podjęła już decyzję, zapyta go, a potem będzie wóz albo przewóz.

Biała sierść Anny jaśniała w ciemnościach, suczka biegała zygzakiem bez konkretnego celu, po to tylko, by dać ujście energii, wydyszeć swoją radość życia. Co jakiś czas podchodziła do Torunn i trącała ją nosem, po czym pędziła dalej w nowym kierunku.

Margido miał przyjechać następnego dnia prosto z pracy, a ona obiecała mu obiad. Zrobi pulpety rybne w sosie curry, z krewetkami i usmażonym na chrupko bekonem, do tego gotowane ziemniaki i marchew. Porządny chłopski posiłek, w sam raz do zaserwowania w gospodarstwie w Trøndelagu. A sos do pulpetów zawsze jej się udawał, nie będzie musiała pytać matki, bo za każdym razem wychodził jej gładki i pyszny, bez ani jednej grudki.

Nakarmiła Annę i rozpałała w piecu. Następnie wykręciła robione na szydełku serwetki po ich trzecim namoczeniu w wodzie

z chlorowym wybielaczem, kolory były teraz idealne. Rozwiesiła je na oparciach krzeseł i drzwiach, po czym otworzyła puszkę piwa, które popijała, zaglądając po kolei do każdego kartonu z rzeczami. Muzyka sączyła się z radia na kuchennym blacie, zza drzwiczek piecyka biła pomarańczowa poświata, a zwinięty na starym kombinezonie pies wylizywał sobie łapy, zmęczony po szaleństwach nad wodą.

Torunn znalazła czajnik elektryczny dla Margida i radio ze Stovner, to małe będzie mogła zanieść do sypialni. Co chwila brała do ręki jakąś rzecz, o której posiadaniu zdążyła już dawno zapomnieć, ustawiła książki na półkach w salonie telewizyjnym, kubki od firm farmaceutycznych trafiły do kuchennych szafek, sympatyczne pamiątki z czasów, gdy pracowała w klinice. Wszystkie zdjęcia i obrazki zostawiła w jednej ze skrzynek, chciała poczekać na światło dnia i przyjrzeć się im wszystkim dokładnie po kolei.

Gdy zrobiło się całkiem ciemno, przysunęła sobie jedną z lamp do sofy i ułożyła się na niej z biografią Magdy, przykryta kocem Missoni. Ale zamiast czytać, zaczęła rozglądać się po pokoju z otwartą książką na brzuchu. Nigdy wcześniej nie patrzyła na salon z tej perspektywy, wydawał się jakiś inny, dużo większy niż zazwyczaj. Wchodziła tu i wychodziła stąd tyle razy, nosząc kubki i talerze, do środka z kanapką i kostką cukru, z powrotem z okruszkami, to tu ojciec leżał na marnym polowym łóżku i zdecydował, że umrze. Spojrzała na dziwaczny żyrandol, wiszący tu zapewne od czasów, gdy postawiono ten dom – jakież sytuacje i rozmowy musiał oświetlać, czego był tu świadkiem.

Czuła niewypowiedziany spokój na myśl, że wreszcie ma

wszystkie swoje rzeczy w jednym miejscu i że wyrzuciła to, czego być tu już nie powinno. Tego wieczora mijał tydzień, odkąd siedziała w domu Margrete, jadła zapiekankę z kurczakiem i patrzyła na stojące w korytarzu torby, roztrzęsiona tym, że następnego dnia czeka ją podróż na północ.

Tydzień. A czuła się, jakby minął miesiąc. Co najmniej.



Margido sprawiał wrażenie zmęczonego. Nakryła do stołu w salonie telewizyjnym.

– Pulpety rybne w sosie curry z krewetkami i bekonem, lubisz?

– O, tak. Nie za często jadam takie rzeczy – odrzekł. – Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz.

– Kompletnie nie umiem gotować, ale akurat to potrafię. Po prostu usiądź. Ziemniaki i marchewka zaraz będą gotowe. A twój czajnik postawiłam w sieni, żebyś o nim nie zapomniał.

Zapaliła świece, a w jednej ze skrzynek znalazła serwetki w jaskrawym, turkusowym kolorze.

– Postawię po prostu rondle na stole, jedzenie nam wówczas nie ostygnie. A tutaj jest bekon usmażony na krucho, moim zdaniem to wybornie smakuje razem. Krewetki i bekon, dość dziwny zestaw, a jednak dobry.

– Niektórzy używają sałatki krewetkowej na hot dog, to chyba takie samo połączenie – odezwał się.

Nalała soku do szklanek.

– To naprawdę dziwne – rzekł, polewając sobie ziemniaki sosem curry, krewetki pływały w nim niczym małe pólksiężycy.

– Dziwne? Co takiego?

– Siedzieć tutaj, przy tym stole, w tym salonie, i jeść obiad podany przez moją bratanicę. Panie dopytują się ciągle, co u ciebie słychać. A twoje przeprowadzkowe bagaże przyjechały, jak widzę?

– Yes. Wszystko pod kontrolą. A jutro wielkie sprzątanie na górze, to będzie fantastyczne.

– Wielkie nieba, to naprawdę pyszne – powiedział.

– Jak miło. Jedz, ile tylko chcesz, zrobiłam całe mnóstwo.

– Widzę.

– W zasadzie chętnie wypiłabym piwo do jedzenia, ale przyzwyczaiałam się, że każdego dnia po południu jeżdżę do Øysand z psem, więc tego się nie da pogodzić.

– Sok też jest okej – odparł, wrzucając do ust kolejną porcję widelcem trzymanym w prawej ręce.

– Chyba byłeś głodny.

– Nawet nie zdążyłem dziś zjeść moich kanapek, tyle się działo. Ale ponieważ wiedziałem, że będę tutaj na obiedzie, jakoś udało mi się wytrzymać. I naprawdę warto było poczekać, muszę to przyznać.

– Ale ja chętnie wypiłabym piwo, bo czuję się nieco zdenerwowana. To tylko dlatego. Sok też jest dobry, ale...

– Zdenerwowana? Czy coś się stało? Adwokat załatwił sprawę pieniędzy za ziemię, na pewno już są na twoim koncie.

– Nie, to nie dlatego. Nie brakuje mi pieniędzy. Ale jest coś, o co chciałabym cię zapytać.

– Pomogę ci we wszystkim, w czym potrafię, dobrze wiesz, Torunn – rzekł, przeżuując kolejny kęs.

– Tak, wiem. Ale chodzi o coś innego.

Odłożył sztućce i spojrzał na nią.

– A więc? – zapytał.

– Ja... zastanawiałam się... może mógłbyś mnie nauczyć? Ty i panie? Żeby w przyszłości mogła tam pracować?

Wytrzymał przez kilka sekund jej spojrzenie, potem pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

– Margido?

Skinął głową, nie zabierając rąk z twarzy.

Siedziała zupełnie spokojnie, czując, jak serce pracuje jej za mostkiem niczym silnik, musiała coś powiedzieć, nie płacząc się powiedzieć wyraźnie, co miała na myśli.

– Oczywiście nie od razu w pełnym wymiarze, muszę przecież wszystkiego się nauczyć, mam tutaj sporą pracę do ogarnięcia... znaczy w domu, mnóstwo rzeczy do załatwienia, wszystko musi być porządnie zrobione. Więc pomyślałam sobie, że gdybym tylko mogła pochodzić za tobą jak cień, kiedy nadarzy się okazja, tak na początek, robić wszystko, o co mnie poprosisz w czasie pogrzebów, przygotowań, nauczyć się zasad, wdrożyć się do pracy papierkowej, pojeździć z tobą na wizyty domowe, obrządzanie zwłok i wszelkie prace, które z tym się wiążą. No i myślałam, że chciałabym zajmować się tym bez wynagrodzenia i że nie zapłacisz mi ani grosza, dopóki nie uznasz, że radzę sobie samodzielnie i że zasługuję...

Opuścił ręce, podniósł głowę i spojrzał na nią. Jego policzki były mokre od łez.

– Ależ... ty płaczesz? – zapytała.

Skinął głową.

– Bo ja...

– Tak – odparł. – Bo tak bardzo się ucieszyłem. Nawet nie masz pojęcia.

– Więc uważasz, że to dobry plan?

– Uważam, że to bardzo dobry plan.

Uśmiechnął się, ona również, położył dłoń na jej dłoni i uścisnął.

– Bardzo ci dziękuję, Torunn. Zupełnie zbiło mnie to z tropu.

Wstała i objęła go ramionami od tyłu, przytulając twarz do jego policzka.

– To ja powinnam podziękować; i pomyśleć, że tak się ucieszyłeś, Margido...

– Będziesz doskonała w tej pracy – rzekł. – Tylko poczekaj, aż panie to usłyszą.

– Ale teraz jedzmy, bo nam ostygnie.

– Tak, teraz zjedzmy – odparł. – I wypij sobie to piwo, zawiozę cię później na plażę.

Jego buty zupełnie nie nadawały się do chodzenia po piasku, ale z tyłu samochodu miał parę kaloszy, które naciągnął na wierzch.

– Nie miałam pojęcia, że coś takiego naprawdę istnieje, widziałam je tylko na filmie! – rzekła ze śmiechem, spuszczając psa ze smyczy.

– Wykańczam kilka par rocznie – powiedział. – W tej sprawie kobiety pracujące w biurach pogrzebowych mają fory, bo kiedy jest mokro lub zimno, mogą chodzić w botkach. Szczególnie w kościołach podłoga bywa lodowata.

– I to właśnie była pierwsza lekcja – odparła, zapalając papierosa. Wiatr natychmiast rozgonił dym.

– Ostatni raz byłem tutaj jako mały chłopiec. Boże, ależ ten pies potrafi biegać, wydaje się poza tym taki spokojny.

– Szybko zmienia tempo. Jest dokładnie taka jak jej matka, czyli pies pociągowy.

Przez chwilę szli w milczeniu. Ciężkie chmury powoli wpłynęły do fiordu od strony gór Fosenfjellene, wieczorem zapewne spadnie deszcz.

– Moja matka przyjedzie z wizytą w czasie Zielonych Świątków, razem z moją najlepszą przyjaciółką.

– Tą od chorizo?

– Tak.

– Wobec tego mam nadzieję, że poznam twoją matkę – rzekł. – W ostatnich latach rozmawialiśmy czasem przez telefon. W zasadzie poznałem ją już jakieś czterdzieści lat temu. O tyle, o ile.

– Przyjeżdżaj. Zaprzęgnę Margrete do pomocy w kuchni, ona świetnie gotuje. Nie tak znakomicie jak Krumme, ale zawsze.

– Przykro mi, jeśli sprawiam wrażenie odrobinę nieobecnego, Torunn, ale ciągle jeszcze nie mogę dojść do siebie, oczywiście, że cieszę się na spotkanie z twoją najlepszą przyjaciółką. Tylko się zastanawiam... skąd ci to przyszło do głowy? Żeby związać swoją przyszłość z taką branżą?

– Mam wrażenie, że moją wcześniejszą pracę i twoją branżą łączy wiele wspólnych cech. Być może więcej, niż nam się wydaje. To, żeby nasze działania naprawdę miały dla kogoś znaczenie. Żeby być dokładnym i profesjonalnym, nie pozwalać sobie na błędy. Mieć prawdziwy kontakt z życiem.

– Masz całkowitą rację. Kiedy twoją dziedziną pracy jest śmierć, masz naprawdę bliski kontakt z życiem, niewielu ludzi zdaje sobie z tego sprawę, uważają, że to wszystko to tylko ponure, smutne sprawy.

Spojrzała na niego i musiała się uśmiechnąć. W ciemnym garniturze i kaloszach wydawał się całkowicie nie na miejscu.

A jednak dreptał dalej po grząskim piasku, robił to dla niej.

– Poza tym powiedziałeś kiedyś coś takiego, że biura pogrzebowe prawie zawsze są firmami rodzinnymi – rzekła.

– Tak, to prawda.

– Twoje biuro takie nie jest.

– Nie.

– Ale teraz będzie – stwierdziła.



[21] Norweska linia promowa, obsługująca kursy wzdłuż zachodniego i północnego wybrzeża Norwegii pomiędzy Bergen a Kirkenes.

Zawsze jest przebaczenie

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

część 1

część 2

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Alltid tilgivelse*

Copyright © 2016 Forlaget Oktober A/S

Copyright © 2017 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Ewa M. Bilińska and Karolina
Drozdowska

This translation has been published with the financial support of NORLA



Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska

Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz

Projekt graficzny i skład książki: Agnieszka Karmolińska

Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska

Zdjęcie na okładce: © istockphoto / Izhairguns

ISBN: 978-83-65731-12-8



Smak Słowa

ul. Sobieskiego 26/4, 81-781 Sopot

Tel. 507-030-045

www.smakslowa.pl

Szukaj nas także na:

facebook



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl



Anne B.
Ragde

**Zawsze jest
przebaczenie**



Saga rodziny Neshov 4